
OPINIA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNY I NAUKOWY**

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaik, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Adam
Lewandowski (sekretarz naukowy), Krzysztof Lancman, Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy
Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

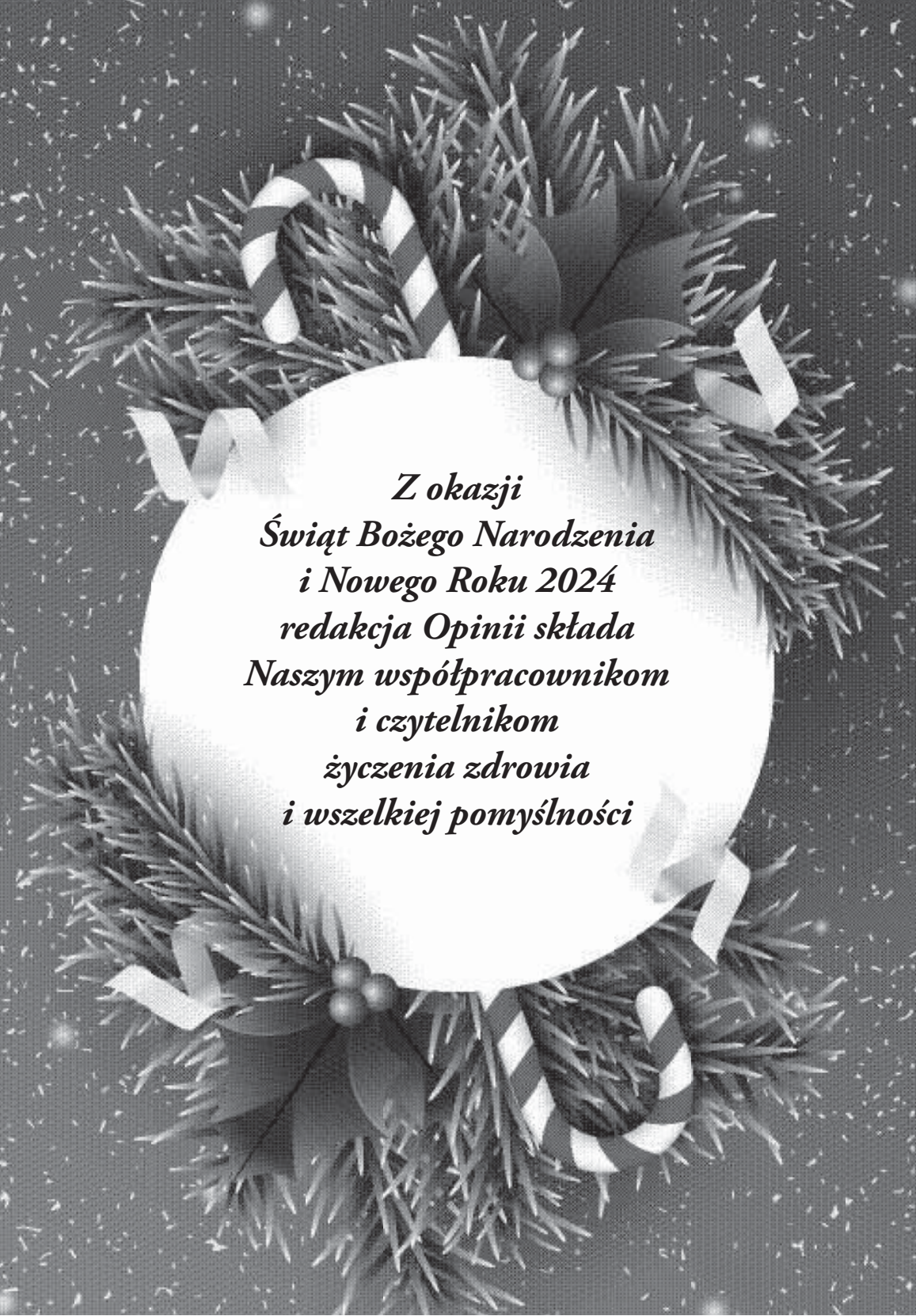
e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa



*Z okazji
Świąt Bożego Narodzenia
i Nowego Roku 2024
redakcja Opinii składa
Naszym współpracownikom
i czytelnikom
życzenia zdrowia
i wszelkiej pomyślności*

SPIS TREŚCI

Uroczystości w 79. rocznicę chwalebnej śmierci błogosławionego Józefa Stanka SAC	7
81. rocznica utworzenia 1. Dywizji Pancерnej gen. Stanisława Maczka	13
83. rocznica sformowania organizacji zbrojnej Batalionów Chłopskich	17
Międzynarodowa konferencja „Niezwyciężony duch. Antysowieccy dysydenci przeciwko rosyjskiemu imperializmowi”	21
105. rocznica odzyskania przez Polskę Niepodległości	24
Koncert wspomnieniowy Krzysztofa Lancmana	29
Zmarł Benedykt Czuma	34
Rocznica Powstania Listopadowego	37
Uroczyste posiedzenie Rady ds. Kombatantów i Rady ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej z okazji 156. rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego	40
Po wyborach.Z Dr Andrzejem Anuszem rozmawia Eliza Olczyk	49
My jako Naród przemówiliśmy. Z dr. Andrzejem Anuszem, socjologiem, autorem książek „Wokół Marszałka” i „Nielegalna polityka” rozmawia Łukasz Perzyna	59
„Miałem umrzeć. Żyję i będę walczyć o prawdę o Szlachetnej Pacy” . Z ks. Jackiem Stryckiem rozmawia Marcin Makowski	64
DR WOJCIECH BŁASIAK Prawo Duvergera czyli dlaczego Jarosław Kaczyński musiał przegrać te wybory	91
DR DARIUSZ MACIEJ GRABOWSKI O pierwszeństwie strategii przed polityką	99
JAROSŁAW NOWAK Cyfrowa nienawiść – zjawisko hejtu w sieci	106
Rozmowy o zmierzchu. Z księdzem infulatem Janem Sikorskim – w ramach notacji – rozmawiał Mirosław Lewandowski	117
ŁUKASZ PERZYNA Przywódca narodu, symbol chłopskiego losu. Na 150 rocznicę urodzin Wincentego Witosa (21 stycznia 1874 – 31 października 1945)	165
KRZYSZTOF DUREK Próby zorganizowania Niezależnego Samorządnego Związku Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej	181

SPIS TREŚCI

Ks. DR STANISŁAW TYLUS SAC Pallotyni wobec stanu wojennego	206
RYSZARD CZARNECKI 1987, Wrocław, NZS, „odwilż”	222
PIOTR WÓJCIK „O antykomunizmie skutecznym” – drobna głos wspomnieniowa „obserwatora współuczestniczącego”.	226
MIROŚLAW LEWANDOWSKI 1 Listopada – narodowa szajba	257
JERZY WAWROWSKI Wartości i cele	263
ŁUKASZ PERZYNA Okno w murze. O „Punkcie odniesienia”, więziennych opowiadaniach Jana Sznajdera . . .	306
ŁUKASZ PERZYNA Mag z Wybrzeża. Pożegnanie Pawła Huelle (1957–2023)	312
ŁUKASZ PERZYNA Czerwony Radom pamiętam, siny... Prolog Solidarności. O „Proteście wyklętym...” Macieja Kosowskiego.	315
WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI Wiersze	325
Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”	333
ANDRZEJ SADOWSKI Mirosława Dzielskiego przestrogi dla Polski wobec procesów w Europie	348

WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI

UROCZYSTOŚCI W 79. ROCZNICĘ CHWALEBNEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO JÓZEFA STANKA SAC

23 września 2023 roku w dniu 79. rocznicy męczeńskiej śmierci bł. ks. Józefa Stanka SAC «Rudy», bohaterskiego kapelana Zgrupowania «Kryśka» Armii Krajowej, który w czasie Powstania Warszawskiego z białą-czerwoną opaską na ramieniu niósł pomoc rannym i umierającym, a w imię wolności Ojczyzny nie zawahał się przelać nawet własnej krwi. Zatrzymany przez SS w charakterze zakładnika, bł. ks. Józef Stanek SAC został poddany wielu brutalnym torturom, a następnie – powieszony na własnej stule.

W miejscu śmierci pallotyna tj. u zbiegu ulic Wilanowskiej i Solec w Warszawie odbyły się uroczystości upamiętniające jego bohaterską posługę które poprowadził Prezes Okręgu Warszawa-Wschód Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Mirosław Widlicki.





List od ministra Jana Józefa Kasprzyka Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych odczytała dyrektorka Monika Kalinowska.

Po modlitwie i złożeniu kwiatów uroczystości przeniosły się do kościoła księży pallotynów pw. Chrystusa Króla Pokoju przy ul. Skaryszewskiej na warszawskiej Pradze.

Uroczystości uświetnił Zespół Artystyczny Wojska Polskiego dając koncert pieśni wojskowych.

Centralną częścią uroczystości kościelnych była Eucharystia.

Warszawa, 18 września 2023 r.

SZEF
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Jan Józef Kasprzyk

Do Uczestników
uroczystości poświęcone
księdzu Józefowi Stankowi

Monika Kalinowska

serdecznie pozdrawiam uczestników uroczystości upamiętniającej 79. rocznicę męczeńskiej śmierci błogosławionego księdza Józefa Stanka i wyrażam żal, że nie mogę być razem z Państwem.

Przez ostatnie trzy stulecia my Polacy niewiele zazналиśmy wolności. Była to cała epoka wypełniona zmaganiem o niepodległość, o prawa do pielęgnowania własnej tożsamości narodowej, języka i tradycji. Pośród walczących znalazło się wielu duchownych, nie tylko żarliwych kapłanów, ale także wielkich patriotów. Za swą postawę płacili często najwyższą cenę, tracąc życie na bitewnych polach i w miejscach kaźni.

Dzisiejsza uroczystość poświęcona jest jednemu z takich kapłanów, księdzu Józefowi Stankowi, kapelanowi Armii Krajowej i uczestnikowi Powstania Warszawskiego.

W tych wyjątkowo dramatycznych powstańczych czasach ksiądz Stanek niósł pociechę walczącym żołnierzom i cywilom, pomagał rannym, udzielał ostatniego namaszczenia umierającym. Niczym prawdziwy ojciec nie skorzystał z możliwości

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa; tel. 22 336-77-70; fax 22 250-52-00
www.kombatanci.gov.pl

ewakuacji na Pragę i pozostał ze swymi duchowymi podopiecznymi do końca. Zginął męczeńską śmiercią z rąk tych, którzy na wojskowych kłamrach nosili wrytą dewizę „Gott mit uns”, a Boga w sercach nie mieli.

Ksiądz Józef Stanek w pełni zasłużył na wdzięczną pamięć i miejsce nie tylko pośród beatyfikowanych sług Kościoła katolickiego, ale także w panteonie naszych narodowych bohaterów.

Niech spoczywa w pokoju!

*Łożę myśli na ciele
Jan Jędrzej*



UROCZYSTOŚCI W 79. ROCZNICĘ CHWALEBNEJ ŚMIERCI BŁOGOSŁAWIONEGO...

Po Mszy św. jak każdego 23 dnia miesiąca została odprawiona Nowenna do bł. Józefa Stanka, w której dziękowaliśmy za otrzymane łaski i prosiliśmy o wstawiennictwo u Boga w naszych potrzebach.

W obchodach wzięli udział, poczty sztandarowe oraz grono wiernych.

Organizatorami uroczystości byli: Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Proboszcz Parafii pw. św. Wincentego Pallottiego w Warszawie – ks. Marcin Gontarz oraz Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.

81. ROCZNICA UTWORZENIA 1. DYWIZJI PANCERNEJ GEN. STANISŁAWA MACZKA

7 października 2023 roku, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk wziął udział we współorganizowanych przez Urząd obchodach 81. rocznicy utworzenia 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka i uhonorował medalem „Pro Patria” Stołeczne Środowisko 1. Polskiej Dywizji Pancernej.

W uroczystości współorganizowanej przez Stołeczne Środowisko 1. Polskiej Dywizji Pancernej przed pomnikiem 1. Polskiej Dywizji Pancernej przy pl. Inwalidów w Warszawie uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych



i samorządowych organizacji społecznych (w tym reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z Prezesem Andrzejem Chyłkiem na czele) oraz Ambasad: Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Królestwa Niderlandów w Rzeczypospolitej Polskiej Jej Ekscelencja Daphne Bergsma, Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Królestwa Belgii w Rzeczypospolitej Polskiej Jego Ekscelencja Rik Van Droogenbroeck, Przedstawiciel Generalny Flandrii w Polsce i w Krajach Bałtyckich Pan Thomas Castrela, w zastępstwie Ambasador Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej w Rzeczypospolitej Polskiej – Starszy Chorąży Lee Forrest, Zastępca Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Francuskiej w Rzeczypospolitej Polskiej i Pierwszy Radca, Pani Lucie Stepanyan.

W trakcie uroczystości szef UdSKiOR uhonorował medalami „Pro Bono Poloniae” oraz „Pro Patria” osoby i instytucje posiadające szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o Niepodległość RP. Medal „Pro Patria” otrzymało m. in. Stołeczne Środowisko 1. Polskiej Dywizji Pancernej. Wysłuchano także archiwalnego nagrania Generała Stanisława Maczka, po którym



minister Jan Józef Kasprzyk skierował do zgromadzonych gości okolicznościowe przemówienie.

Nie byłoby wolnej Europy, wolnej Polski, wolnej Francji, wolnej Belgii, ani wolnej Holandii, gdyby nie żołnierze generała Maczka, którzy tak, jak Ich dowódca nigdy nie przegrali żadnej bitwy. Generał Stanisław Maczek mówił, że Polski żołnierz potrafi umrzeć i walczyć za wolność wszystkich krajów, ale sercem umiera tylko w imię miłości do Polski. Polska, która w 1939 roku zaatakowana przez Niemcy i sowiecką Rosję została na długo wymazana z kart Europy i świata. Dzisiaj oddajemy hołd tym, którzy wtedy walczyli, ale równocześnie dziękujemy tym, którzy pamięć o generale Stanisławie Maczku, o 1. Polskiej Dywizji Pancernej niosą w przyszłość. Cieszę się, że wraz z jednym z ostatnich żołnierzy Generała – panem Pułkownikiem Januszem Gołuchowskim miałem zaszczyt i honor wręczyć medale tym, którzy na pamięci budują tożsamość naszego Narodu. Bez zakorzenienie się w przeszłości i bez pamięci nie można budować współczesności i nie można marzyć o przyszłości. Chcemy podziękować ceniom naszych przodków na czele z gen. Maczkiem za to, że nie zabrakło Im nigdy odwagi mówić szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk.

Minister podkreślił, że *nie byłoby wolnej Europy, wolnej Francji, wolnej Belgii, ani wolnej Holandii, gdyby nie polscy żołnierze!*

Po Apelu Pamięci odmówiono modlitwę wielowyznaniową i złożono kwiaty.



Na zakończenie uroczystości wysłuchano pieśni „Pancerni chłopcy” oraz „Modlitwy obozowej” zaprezentowanej przez młodzież z Kujawsko – Pomorskiego Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego nr 1 dla Dzieci i Młodzieży Słabo Widzącej i Niewidomej im. L. Braille’a w Bydgoszczy.

83. ROCZNICA SFORMOWANIA ORGANIZACJI ZBROJNEJ BATALIONÓW CHŁOPSKICH

9 października 2023 roku szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk wziął udział w uroczystościach organizowanych przez UdSKiOR z okazji 83. rocznicy sformowania Batalionów Chłopskich, formacji zbrojnej która obok Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych walczyła z niemieckim okupantem o wolność Polski.

Pierwsza część uroczystości odbyła na się na Wojskowych Powązkach, gdzie minister Jan Józef Kasprzyk wraz z kombatantamiłożyli wieńce przed pomnikiem „Ku Chwale Batalionów Chłopskich” oraz na grobie generała dywizji Franciszka Kamińskiego.





Obchody kontynuowano przed pomnikiem Żołnierzy Batalionów Chłopskich i Ludowego Związku Kobiet. Wśród zgromadzonych byli m.in. szef Kancelarii Sejmu Pan Christian Młynarek, zastępca dyrektora Instytutu Pamięci Narodowej dr Mateusz Szpytma, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej dr Jan Tarczyński, weterani organizacji społeczne (w tym reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z Prezesem Andrzejem Chyłkiem na czele) oraz mieszkańcy Warszawy. Podczas uroczystości został odczytany list od Pani Marszałek Sejmu Elżbiety Witek. Głos zabrał również minister Jan Józef Kasprzyk.

Gromadzimy się dzisiaj przed odśloniętym kilka lat temu pomnikiem aby oddać hołd 170 tysięcznej armii chłopskiej, która wspólnie z Armią Krajową walczyła o to, co najcenniejsze w życiu ludzi, narodów i państw – o wolność i o Niepodległość.

83 lata temu zawiązane zostały struktury Batalionów Chłopskich, tej formacji, która wstawiała się w tysiącach bitew i potyczek z Niemcami broniąc polskiej suwerenności i polskiej ziemi broniąc Polaków tak mocno doświadczanych przez okupanta niemieckiego mówił szef UdSKiOR.



W sposób szczególny dziś oddajemy hołd, tym żołnierzom BCh, którzy stanęli w obronie wysiedlonej przez Niemców zwłaszcza z Zamojszczyzny polskiej ludności. To przede wszystkim BCh stanęły w pierwszym szeregu obrońców ziemi zamojskiej, a Ich czyn zbrojny słusznie zaczynamy nazywać w krwioobiegu historycznym jako Powstanie Zamojskie.

Oddajemy hołd tym żołnierzom, którzy pomni byli doświadczeń swoich przodków, którzy w latach I wojny światowej i starcia z bolszewicką Rosją również walczyli o Niepodległość. To byli potomkowie Legionistów, Peowiaków, armii ochotniczej, która powstała w roku 1920, którzy bardzo dobrze odrobili lekcję, jaką otrzymali od swoich rodziców: lekcję miłości do Polski, umiłowania ziemi, umiłowania współobywateli i współrodaków kontynuował szef UdSKiOR.

Dziękujemy tym, którzy są wśród nas, którzy tak jak Pan Prezes Zbigniew Zaborowski, dbają każdego dnia aby pamięć o tej wielkiej, włościańskiej armii, jaką były Bataliony Chłopskie, trwała i była wiecznie żywa. A my tu obecni możemy złożyć na wasze ręce ślubowanie, że ten dar, który otrzymaliśmy od Was, czyli Niepodległą Polskę utrzymamy i przekazemy następnym pokoleniom, tak aby pomni słów Wincentego Witosa: Polska trwała wiecznie!

Chwała żołnierzom Batalionów Chłopskich!
Chwała żołnierzom Ludowego Związku Kobiet!
Chwałą Bohaterom – Rycerzom Niepodległej Rzeczypospolitej!
zakończył minister Jan Józef Kasprzyk



Na zakończenie uroczystości odmówiono modlitwę oraz złożono pod pomnikiem wiązanki kwiatów.

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA „NIEZWYCIĘŻONY DUCH. ANTYSOWIECCY DYSYDENCI PRZECIWKO ROSYJSKIEMU IMPERIALIZMOWI”

9 listopada 2023 roku Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych zorganizował wraz ze Stowarzyszeniem 13 grudnia międzynarodową konferencję „Niezwyciężony duch. Antysowieccy dysydenci przeciwko rosyjskiemu imperializmowi”.

Podczas konferencji odbywającej się w Domu Technika NOT w Warszawie szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk odznaczył medalami „Pro Bono Poloniae” oraz „Pro Patria” osoby posiadające szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o Niepodległość RP. Wśród uhonorowanych znalazła się m.in. wicemarszałek sejmu RP Małgorzata Gosiewska oraz zasłużona opozycjonistka – Janina Jadwiga Chmielowska.



Uroczystość zgromadziła przedstawicieli środowisk opozycyjnych m.in. z Litwy, Ukrainy i Gruzji oraz przedstawicieli Wojewódzkich Rad Konsultacyjnych ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych. W spotkaniu udział wzięła reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego.



W trakcie wydarzenia minister Kasprzyk wygłosił okolicznościowe przemówienie podkreślając niezwykłą rolę środowisk opozycyjnych w kształtowaniu historii Polski i Europy.

– W przededniu 105. rocznicy odzyskania przez Polskę Niepodległości możemy spotkać się tutaj, nieopodal placu marszałka Józefa Piłsudskiego i Grobu Nieznanego Żołnierza, aby uczcić, uhonorować tych, którym nigdy nie zabrakło odwagi, aby niszczyć imperium zła, jakim była sowiecka Rosja. [...] Józef Piłsudski mówił, że jego marzeniem i celem jest przyniesienie wolności wszystkim narodom, które zamieszkują tereny dawnego imperium sowieckiego. Niestety, nie udało się tego zrealizować. Wydawać by się mogło, że z chwilą upadku Związku Sowieckiego to marzenie będzie realizowane w XXI w. Niestety, w wielu przypadkach tak nie jest.



Jednak jesteśmy w zupełnie innym punkcie niż 105 lat temu. Dzięki obecnym tu na sali Polska jest wolna. Bije się o swoją wolność Ukraina, Białoruś, wolna jest Gruzja, chociaż nie do końca i wciąż się o nią bije. Biją się narody, które zamieszkują dawne imperium zła. A to wszystko dzieje się w imię tej najpiękniejszej idei, jaką jest idea wolności i niepodległości – podkreślił szef UdSKiOR.

Głos zabrały również posłanka do Parlamentu Europejskiego Anna Fotyga, była ambasador RP w Republice Litewskiej Urszula Doroszevska, a także odznaczona Janina Jadwiga Chmielowska.

Spotkanie w Warszawie stanowiła część międzynarodowej konferencji, która obędzie się także w Brukseli.

105. ROCZNICA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

11 listopada 2023 roku w samo południe na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie odbyły się uroczyste obchody Narodowego Święta Niepodległości.

W tegorocznym upamiętnieniu udział wzięli przedstawiciele najwyższych władz RP na czele z Prezydentem Andrzejem Dudą. Na Placu Marszałka Józefa Piłsudskiego obecni byli także kombatancki, działacze opozycji antykomunistycznej, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, poczty sztandarowe oraz goście przybyli z najdalszych zakątków Polski.



Odśpiewanie hymnu narodowego, Apel Poległych i salwa honorowa poprzedziły uroczystą odprawę wart, po której okolicznościowe przemówienie wygłosił prezydent Andrzej Duda.



Ceremonia złożenia wieńców na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza oraz pod pomnikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego a także defilada pododdziałów Wojska Polskiego zwieńczyła obchody 105. rocznicy odzyskania przez Polskę suwerenności.

Marsz Niepodległości pod hasłem „Jeszcze Polska nie zginęła”

Po odśpiewaniu hymnu państwowego, uczestnicy Marsz Niepodległości wyruszyli w sobotę przed godz. 15 z ronda Dmowskiego.

Idący w pochodzie uczestnicy nieśli biało-czerwone flagi.



Pochód prowadziła straż Marszu Niepodległości. Uczestnicy mieli ze sobą flagi narodowe, część niosła biało-czerwone opaski na ramionach, inni przypinane do kurtek kotyliony. Obecne też transparenty z hasłami „Bóg, honor, ojczyzna”, „Tak dla życia” czy „Warto być Polakiem”. W pochodzie uczestniczyli działacze Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego i środowisk niepodległościowych z nim współpracujących.

Pochód, jak co roku przeszedł Alejami Jerozolimskimi i mostem Poniatowskiego i po około dwóch godzinach na dotarł na błonia Stadionu Narodowego.



11 listopada 1918 roku Rada Regencyjna przekazała Józefowi Piłsudskiemu władzę wojskową i naczelne dowództwo podległych jej wojsk polskich. Tego samego dnia Niemcy podpisały zawieszenie broni kończące I wojnę światową. 11 listopada został również rozbrojony okupacyjny garnizon niemiecki w stolicy. Wolne były Kraków, Lublin, Cieszyń. Z mroków okresu zaborczego, z wojennego i rewolucyjnego chaosu wyłaniała się nowa Polska. Dzień później, 12 listopada 1918 roku, Józef Piłsudski wydał rozkaz do polskich sił zbrojnych:

– Żołnierze! Obejmuję nad wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci naszej ziemi ujrzały słońce swobody w całym jej blasku! Z Wami razem przeżywam wzruszenie tej godziny dziejowej, z Wami razem ślubuję życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia jej obywateli!

KONCERT WSPOMNIENIOWY KRZYSZTOFA LANCMANA

13 listopada 2023 roku o godzinie 17:00 w gościnnych progach **Centrum Edukacyjnego Instytutu Pamięci Narodowej** „Przystanek Historia” im. *Janusza Kurtyki* w Warszawie odbył się zorganizowany przez Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego koncert wspomnieniowy **Jana Kondraka** poświęcony pamięci Krzysztofa Lancmana.



Do uczestników (grono rodziny i przyjaciół) list skierował Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk.



SZEF
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH
Jan Józef Kasprzyk

Warszawa, 8 listopada 2023 roku

Do Uczestników koncertu
poświęconego pamięci
Krzysztofa Lancmana

Jan Józef Kasprzyk

serdecznie pozdrawiam Uczestników koncertu przywołującego pamięć cichego bohatera naszej wolności. Koncertu organizowanego wkrótce po Jedenastym Listopada, który to dzień świętujemy w pomniejszonym gronie. Nie ma wśród nas Bohdana Urbankowskiego, nie ma Krzysztofa Lancmana.

Krzysztof Lancman odszedł zbyt wcześnie, a jednak postawię tezę, że swoją misję wypełnił do końca. Jego życie potoczyło się torem wyznaczonym we wczesnym dzieciństwie, w rodzinnym kole kultywującym wartości patriotyczne oraz w harcerstwie. Na każdym etapie jego życia widać absolutną zgodność myśli i czynu. Konfederacja Polski Niepodległej, a potem Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego stały się dla niego naturalnym środowiskiem, w którym mógł wyrazić siebie i wszystko to, w co wierzył. Z ugruntowanych przekonań, ale też z otoczenia czerpał siłę, by mierzyć się z trudnościami, a tych nigdy nie brakowało. W czasach PRL trzeba było w warunkach konspiracyjnych organizować składanie wydawnictw podziemnych, druk i kolportaż. Trzeba było nawiązywać i utrzymywać kontakty, załatwiać niezbędne materiały. I tak dzień w dzień, bez żadnej gwarancji, że ten wysiłek zaowocuje w bliskiej perspektywie.

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa; tel. 22 276 77 77; fax: 22 227 04 07
www.kombatanci.gov.pl

Krzysztof Lancman wytrwał na posterunku i doczekał wolnej Polski. Przeżył wiele radości, ale i rozczarowań. Nie akceptował postaw lekceważących niepodległościowe aspiracje Polaków. Taki był.

Dużo mówimy o pamięci jako warunku utrzymania wspólnotowych więzi. Moc narodowej wspólnoty widać pierwszego listopada, gdy gromadzimy się wokół grobów bliskich. A teraz zebrali się Państwo w jednym miejscu, by posłuchać muzyki i powspominać Krzysztofa. To wydarzenie jest jego pośmiertnym zwycięstwem.

Umieszczony w zaproszeniu cytat z Adama Skwarczyńskiego, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta sam w głębię życia...” dobrano bardzo trafnie. To znakomite posumowanie dokonań Krzysztofa Lancmana i drogi, jaką przebył.

Cześć Jego pamięci!

Łucja Syrezy nacelnik
Jan Józef Kasprzyk





Krzysztof Lancman, urodził się 22 stycznia 1958 r. w Warszawie, w rodzinie z tradycjami patriotycznymi, które miały duży wpływ na zaangażowanie w działalność niepodległościową.

Od 1983 roku zaangażowany w ruch podziemnej Solidarności i nurtu niepodległościowego. Działacz podziemnych struktur techniki drukarskiej drugiego obiegu w Międzyzakładowym Porozumieniu Solidarności – UNIA. Organizator i koordynator kilku drukarni i punktów składania książek oraz kolportażu pism, książek i innych rzeczy które powstawały z inicjatywy podziemnych struktur „Solidarności”. Odpowiedzialny za transporty i przerzuty maszyn drukarskich, materiałów poligraficznych i wydruków gazet, książek i broszur na punkty składowe bądź kolportażowe.

Z jego udziałem i dzięki jego pracy mogły ukazywać się w podziemiu antykomunistycznym między innymi takie tytuły prasy jak, „Tygodnik Mazowsze”, „Wolna Trybuna” oraz miesięcznik „UNIA”.

Od 1986 członek Grupy Politycznej „Niezawisłość”.

Od 1987 (po skonfederowaniu się GP „Niezawisłość z KPN”) działacz Konfederacji Polski Niepodległej.

Po 1987 roku był szefem technicznym „Wydawnictwa Polskiego KPN” które ma w swoich osiągnięciach wydanie wielu książek, broszur, znaczków poczty podziemnej oraz takich gazet prasy niepodległościowej jak „Gazeta Polska KPN”, „Droga” czy też krajowy reprint wydanej w Londynie „Rzeczpospolitej”.

Członek Zarządu Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego.

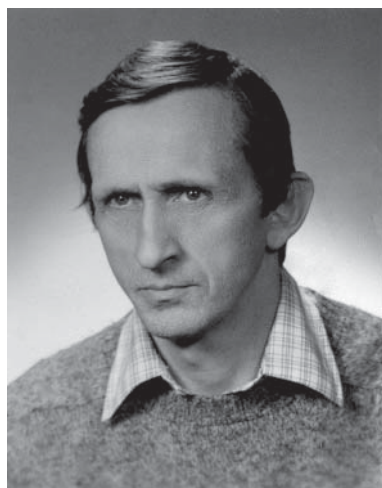
Wiceprezes Koła „Opocznik” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Członek Instytutu Józefa Piłsudskiego.

Za swoją działalność został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Medalami Pro Patria i Pro Bono Poloniae oraz 100-lecia Odzyskanej Niepodległości.

Zmarł 21 czerwca 2023 roku.

ZMARŁ BENEDYKT CZUMA



W dniu 18 listopada 2023 roku zmarł istotny działacz opozycji niepodległościowej Benedykt Czuma.

Absolwent Politechniki Warszawskiej, Wydz. Mechaniki Precyzyjnej (1966).

1966-1970 starszy konstruktor w Łódzkiej Fabryce Zegarów, 1975-1990 konstruktor i technolog w Zakładzie Doświadczalnym Techniki Medycznej w Łodzi.

W 1965 współzałożyciel (z bratem – Andrzejem Czumą, Stefanem Niesiołowskim, Marianem Gołębińskim i Emilem Morgiewiczem) tajnej organizacji niepodległościowej Ruch, członek nieformalnego kierownictwa, uczestnik zjazdów, współautor deklaracji programowej „Mijają lata...”

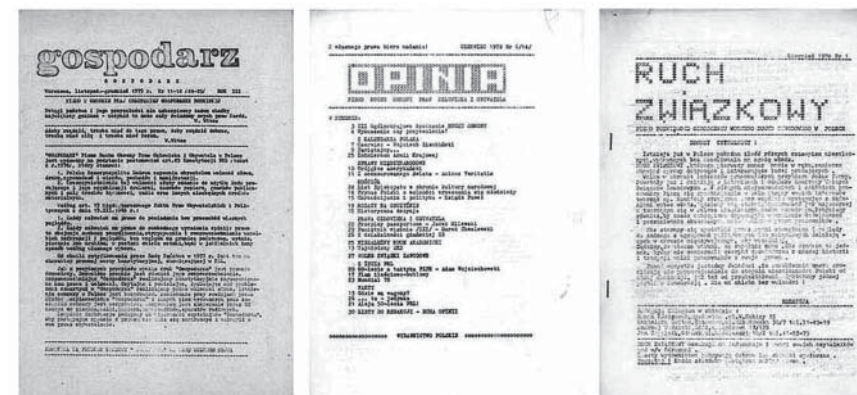
W III 1970 podczas pobytu w Rzymie prowadził rozmowy o współpracy między Ruchem a emigracyjnymi władzami Stronnictwa Pracy (Karol Popiel, Stanisław Gebhardt). Uczestnik przygotowań do podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie.

20 VI 1970 aresztowany, przetrzymywany w Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów.

23 X 1971 skazany wyrokiem Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy na 6 lat więzienia, osadzony w Zakładzie Karnym w Strzelcach Opolskich, 25 IX 1974 zwolniony na mocy amnestii.

1977-1978 działacz Nurtu Niepodległościowego, od 25 III 1977 w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, od I 1979 członek Rady Sygnatariuszy ROPCiO. IV 1977-1980 w swoim mieszkaniu w Łodzi prowadził Punkt Konsultacyjno-Informacyjny ROPCiO, od jesieni 1977 do 1980 spotkania Klubu Swobodnej Dyskusji.

Wydawca, drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych; wielokrotnie zatrzymywany na 48 godz., poddawany rewizjom.



Od IX 1980 w „Solidarności”, wiceprzewodniczący Komitetu Założycielskiego, następnie KZ „S” w ZDTM, od IX 1980 doradca MKZ/MKZ „S” Ziemi Łódzkiej; od V 1981 delegat na I WZD Regionu Ziemia Łódzka, członek Zarządu Regionu, IX/X 1981 delegat na I KZD. X 1980 – XII 1981 współzałożyciel (ze Stefanem Niesiołowskim i Andrzejem Woźnickim) i redaktor naczelny tygodnika „Solidarność Ziemi Łódzkiej”.

13 XII 1981 internowany w Ośrodku Odosobnienia w Łęczycy, następnie w Łowiczu, zwolniony 7 VII 1982.

1986-1989 współpracownik jawnego Prezydium ZR „S” Ziemia Łódzka. W 1989 uczestnik reaktywowania „Solidarności” w regionie.

1989-2000 współzałożyciel, członek naczelnych i regionalnych władz Zjednoczenia Chrześcijańsko Narodowego, 2000-2001 współzałożyciel Przymierza Prawicy, 2003-2005 partii Suwerenność-Praca-Sprawiedliwość. 1990-1994 dyrektor Wydziału Ogólnego Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, 1995-1997

własna działalność gospodarcza, 1997–1998 kierownik bazy w Przedsiębiorstwie Robót Wiertniczych, 1998–2000 zarządca komisaryczny w Łódzkim Przedsiębiorstwie Handlu Artykułami Technicznymi Elmet, 2000–2006 dyrektor łódzkiego oddziału w firmie Nowa France.

Autor książek: „Łódzka «Solidarność» 1980–1981. Zapis zdarzeń” (2010), z braćmi Hubertem, Łukaszem i Andrzejem Czumami „Wspomnienia z PRL-u” (1996).

Wyróżniony odznaką Zasłużony Działacz Kultury (2001), odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1989, przez prezydenta RP na Uchodźstwie Kazimierza Sabbata), Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2006). Krzyżem Wolności i Solidarności (2016).

8 III 1960 – 7 XI 1963 rozpracowywany przez Wydz. III KS MO w ramach sprawy ewidencyjno-operacyjnej X-10;

1970–1973 przez Wydz. III KM/KW MO w Łodzi w ramach SOR krypt. Omega;

w 1975 w ramach SOR krypt. Sextet; 1974-1988 przez Wydz. III KM/KW MO/WUSW w Łodzi w ramach SOS/SOR/KE krypt. Propagator.

ROČZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W dniu 26 listopada 2023 roku na Olszynie Grochowskiej w Warszawie odbyła się uroczystość zorganizowana przez Krąg Pamięci Narodowej z okazji 193 rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego.

Andrzej Melak Przewodniczący Kręgu Pamięci Narodowej, jako główny organizator zaprosił na uroczystości wielu gości w tym wice marszałek Sejmu RP Małgorzatę Gosiewską, Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Re-





presjonowanych Jana Józefa Kasprzyka (reprezentowanego przez Magdalенę Sawkę, Ministra Obrony Narodowej Mariusza Błaszczaka (reprezentowanego przez Łukasza Kudlickiego). W wydarzeniu uczestniczyła liczna reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoję Owsianego z Prezesem Andrzejem Chyłkiem na czele.

Uroczystości rozpoczęły się od złożenia kwiatów w Alei Chwały Olszyny Grochowskiej

Następnie uczestnicy uroczystości udali się pod pomnik bitwy pod Olszynką grochowską, gdzie odprawił mszę Kapelan Wojsk Obrony Terytorialnej.



Po mszy św. Zabrał głos: Małgorzata Gosiewska, Łukasz Kudlicki, Magdalena Sawka oraz Andrzej Melak, który w swojej wypowiedzi wyraził nadzieję na coraz liczniejszy udział szczególnie młodych ludzi w upamiętnianiu kolejnego zrywu narodowego w walce o niepodległość Ojczyzny. Uroczystość zakończyło składanie kwiatów pod Pomnikiem Bitwy pod Olszynką Grochowską.

UROCZYSTE POSIEDZENIE RADY DS. KOMBATANTÓW I RADY DS. DZIAŁACZY OPOZYCJI ANTYKOMUNISTYCZNEJ Z OKAZJI 156. ROCZNICY URODZIN MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

4 grudnia 2023 roku, w przededniu 156. rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, minister Jan Józefa Kasprzyk wraz z prezesem Instytutu Pamięi Narodowej dr Karolem Nawrockim, sędzią mjr Bogusławem Nizieńskim, dr Andrzejem Anuszem oraz przedstawicielami kierownictwa Urzędu złożyli wieniec pod pomnikiem jednego z Ojców naszej Niepodległości.

Tego samego dnia Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych zorganizował w Belwederze uroczyste posiedzenie Rady ds. Kombatantów



UROCZYSTE POSIEDZENIE RADY DS. KOMBATANTÓW...

tów i Osób Represjonowanych pod przewodnictwem sędziego mjr Bogusława Nizieńskiego oraz Rady ds. Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych pod przewodnictwem minister Zofii Romaszewskiej.



Podczas spotkania minister Kasprzyk wręczył pamiątkowe dyplomy członkom obu Rad.



Szef UdSKiOR odznaczył prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr Karola Nawrockiego medalem „Pro Bono Poloniae”.

– *Marszałek Piłsudski wielokrotnie wskazywał jak ważna jest troska o pamięć, o przeszłość, historię. Bez tego nie można budować współczesności i marzyć o przyszłości. Wielokrotnie mówił, że naród, który traci pamięć przestaje być narodem. Jestem głęboko przekonany, że doktor Karol Nawrocki jest realizatorem przesłania Józefa Piłsudskiego dbając o Polską pamięć, historię i jako wyśmienity historyk i jako Prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Serdecznie dziękuję za wszystkie Pana działania. „Pro Bono Poloniae” – dla dobra Polski – takie jest Pańskie życie i Pana poświęcenie – powiedział Jan Józef Kasprzyk.*



Następnie głos zabrał prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

– *To ogromny zaszczyt dla mnie osobiście oraz dla Instytutu Pamięci Narodowej znaleźć się w tym miejscu, aby odebrać tak ważne odznaczenie. Patrzę teraz na ojców mojej, czyli ludzi urodzonych w latach osiemdziesiątych, wolności. Widzę tych, którzy walczyli o Polskę wolną, suwerenną i niepodległą po to, aby moje pokolenie mogło żyć właśnie w niej – zaznaczył Karol Nawrocki, zwracając się do kombatanatów, weteranów i działaczy antykomunistycznych.*



List do uczestników uroczystego posiedzenia skierował prezydent RP Andrzej Duda. List odczytała doradca prezydenta Zofia Romaszewska przekazując także biało-czerwoną flagę

– *Biało-czerwona flaga to jeden z najczcigodniejszych symboli naszej Ojczyzny. Jest spoiwem łączącym naszą narodową wspólnotę, strażnikiem rodzimych tradycji i widowym znakiem patriotyzmu – zaznaczył Pan Prezydent.*

Szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk otrzymał od Rady Kombatanatów pamiątkową statuetkę.





A od Rady do Spraw Działaczy Antykomunistycznych, kopię obrazu Wojciecha Kossaka.

Po uroczystym wręczeniu podziękowań głos ponownie zabrał szef UdSKiOR – *Bardzo dziękuję Państwu za dotychczasową współpracę podczas której mogliśmy dokonać bardzo wiele dla podopiecznych Urzędu. Państwo jako członkowie rad znają bardzo dobrze te zmiany, gdyż sami je opiniowaliśmy. Jednak warto kilka przypomnieć. Udało się między innymi zwiększyć pomoc dla kombatanów, zwiększone zostały środki finansowe, wprowadziliśmy wiele programów jak np. program dofinansowania aparatów słuchowych. Te zmiany nie byłyby możliwe, gdyby nie Państwa opinie, podpowiedzi i rady. Za to serdecznie dziękuję. Ostatnie lata były przełomowe w myśleniu o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych z powodów politycznych. Dzięki kolejnym nowelizacjom ustawy zostały wprowadzone świadczenia wyrównawcze do emerytur. Znacząco również wzrosło świadczenie, które Państwu jest przyznawane za to, że walczyliście o Polskę, nie dlatego, że jesteście ubodzy. I to była ta zmiana w sposobie myślenia* – podkreślił Jan Józef Kasprzyk.

Szef UdSKiOR przypomniał, że w ciągu ośmiu lat Urząd zorganizował ponad półtora tysiąca uroczystości w kraju i za granicą: *Państwo jako świadkowie*

historii, uczestnicy wydarzeń byli najważniejsi. Dla młodego pokolenia i małych miejscowości spotkanie z Wami było okazją do mocniejszego budowania tożsamości lokalnej, małej ojczyzny. Bez Państwa wsparcia uroczystości byśmy nie przygotowali. To Was jako świadków historii stawialiśmy na pierwszym miejscu. Kiedy podczas uroczystości spotykają się przedstawiciele pięciu pokoleń, od najstarszych po tych najmłodszych to znaczy, że Polska trwa i będzie trwała wiecznie.



UROCZyste POSIEDZENIE RADY DS. KOMBATANTÓW...

Zwieńczeniem uroczystości był koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

PO WYBORACH
Z DR ANDRZEJEM ANUSZEM ROZMAWIA
ELIZA OLCZYK

Eliza Olczyk: Kroci nam się czteropartyjna koalicja rządząca, nie licząc jej mniejszych składowych. Ostatnie takie wielopartyjne rządy mieliśmy w latach 90-tych. Pan z bliska obserwował dwa – Jana Olszewskiego i Jerzego Buzka. Jakie są blaski i cienie takich rządów?

Dr Andrzej Anusz: Zaczniemy od tego, że rząd Jana Olszewskiego powstał po pierwszych demokratycznych wyborach, które odbyły się w 1991 roku. Ordynacja wyborcza, która wtedy obowiązywała była proporcjonalna i pozbawiona progu wyborczego. W rezultacie w Sejmie było ponad 20 ugrupowań. I to był pierwszy problem. Drugi polegał na tym, że w tamtych wyborach najlepszy wynik osiągnęła Unia Demokratyczna, zdobywając zaledwie 13 proc. głosów, z małym haczykiem. Prezydent Lech Wałęsa powierzył misję zbudowania rządu Bronisławowi Geremkowi ze zwycięskiego ugrupowania ale zarówno Porozumienie Centrum jak i Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zdecydowanie odmówiły uczestnictwa w tych rządach, a bez nich Geremek nie zdołał zbudować koalicji większości dla swojego rządu.

Z jakiego był powodu Porozumienie Centrum nie chciało wejść do rządu Geremka?

To było pokłosie wojny na górze i podziałów w obozie Solidarności, które utrwaliła kampania prezydencka 1990 roku, gdy Lech Wałęsa walczył o stanowisko głowy państwa z Tadeuszem Mazowieckim. Te podziały wtedy były jeszcze bardzo żywe i dlatego ugrupowania o korzeniach solidarnościowych nie były w stanie uformować jednego, silnego układu politycznego. To się zmieniło dopiero w czasach AWS. W rezultacie Geremek się poddał. Ogłosił, że

rezygnuje i nawet nie chciał głosowania nad wotum zaufania w parlamencie. Wtedy do gry wkroczył Jan Olszewski, który już wcześniej był rozpatrywany jako kandydat na premiera – bezpośrednio po wyborach prezydenckich. Ale Wałęsa wybrał wtedy na szefa rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego, ze środowiska gdańskich liberałów, które – obok Solidarności, Porozumienia Centrum, ZChN – było w obozie wałęsowskim. Wałęsa i Bielecki uznali, że wicepremierem ds. gospodarczych nadal będzie Leszek Balcerowicz. Olszewski się na to nie zgadzał m.in. dlatego, że był przeciwnikiem tak szybkiej prywatyzacji jaką prowadził Balcerowicz.

A co to ma wspólnego z misją Geremka?

To, że Geremek też chciał powierzyć sprawy gospodarcze Balcerowiczowi, na co nie zgadzała Solidarność, Jarosław Kaczyński, Wiesław Chrzanowski, szef ZChN i inni. W sposób naturalny Olszewski był drugim kandydatem na premiera, a środowiska skupione wokół niego były gotowe do wzięcia odpowiedzialności za państwo. Elementem układanki rządowej było stanowisko marszałka Sejmu dla ZChN. To była główna konstrukcja. Mniejsze ugrupowania otrzymały wicemarszałków i zaczęły się układanki rządowe wokół Olszewskiego. Przypomnę, że Wałęsa od początku był zdystansowany wobec tego rządu. Bracia Kaczyńscy już wtedy popadli w konflikt z prezydentem i odeszli z Kancelarii Prezydenta.

Dlaczego nigdy nie udało się zdobyć większości dla rządu Olszewskiego w Sejmie? Bo od początku do końca był to rząd mniejszościowy.

Z Unią Demokratyczną, z powodów o których wcześniej mówiłem, rozmów o wspólnym rządzeniu nie było ale z Kongresem Liberalno-Demokratycznym tak. Jednak liberałowie nie zdecydowali się na wejście do rządu. Może dlatego, że poprzednim premierem był Bielecki i poczuli się zdegradowani? Miałem wrażenie, że wyczekują, zastanawiając się czy za jakiś czas do tej koalicji nie dołączyć. Natomiast za powołaniem rządu Jana Olszewskiego zagłosowały: Konfederacja Polski Niepodległej, PSL i kilkusobowe środowisko Ryszarda Bugaja, które do rządu nie weszły. Czyli w momencie powoływania rządu Jan

Olszewski miał większość w parlamencie, choć składała się one z ugrupowań rządowych i pozarządowych.

Czy ten brak twardej większości później się mścił?

Oczywiście, bo trzeba było budować większość na najróżniejsze głosowania. Od początku mieliśmy świadomość, że trzeba poszerzyć bazę polityczną rządu. I tu zderzyły się dwie koncepcje – jedna autorstwa Jarosława Kaczyńskiego, który namawiał Olszewskiego do poszerzenia koalicji o Unię Demokratyczną i KLD czyli – jak wtedy mówiliśmy – o układ liberalno-demokratyczny. Natomiast druga koncepcja, bliższa Olszewskiemu, to była formuła rozszerzenia rządu o KPN i PSL czyli o układ chrześcijańsko-ludowy. I te rozmowy trwały i trwały. Olszewski ciągnął w jedną stronę, Kaczyński w drugą i w rezultacie rząd do końca pozostał mniejszościowy. Pewnym fenomenem tamtej sytuacji był fakt, że budżet, który przygotował rząd Olszewskiego został uchwalony dzień po jego upadku czyli 5 czerwca i zagłosowali za nim ci, którzy dzień wcześniej odwołali Olszewskiego z funkcji premiera. Później była nieudana misja utworzenia rządu Waldemara Pawlaka, aż wreszcie powstał rząd Hanny Suchockiej, który nieustannie balansował na granicy większości. Wiemy jak to się skończyło – podczas głosowania wotum nieufności na wniosek klubu Solidarność, rząd upadł jednym głosem i doszło do przedterminowych wyborów. Tamten Sejm przetrwał niecałe dwa lata.

Z dnia upadku rządu Suchockiej zapamiętałam następujące sceny: polityków ZChN, którzy gratulowali posłance ze swojego klubu Bogumile Bobie, że nie przyszła na głosowanie wotum nieufności, choć ich partia była w koalicji rządzącej oraz uśmiechniętych liberałów otoczonych wianuszkami dziennikarzy. A oni też zasiadali w tym rządzie. O czym to świadczyło? O głupocie polityków, którzy podcięli gałąź na której siedzieli, czy o fatalnych stosunkach wewnątrz koalicji?

Pewnie o jednym i drugim. Relacje w tamtej koalicji były bardzo skomplikowane i niechętne. Ale przede wszystkim politycy sądzili, że to nie jest koniec, tylko początek czegoś nowego. W dniu głosowania siedziałem na sali plenarnej obok

Jana Olszewskiego. Gdy rząd Suchockiej upadł, powiedziałem do niego: „chyba trzeba będzie odkręcić tabliczkę z nazwiskiem na pamiątkę”. Na to Olszewski: „Panie Andrzeju niech pan się nie martwi, gra polityczna dopiero się zaczyna”. Ja uważałem, że właśnie się kończy i nie pomyliłem się. Lech Wałęsa natychmiast rozwiązał parlament. Bał się tylko, że posłowie zechcą wrócić do Sejmu i nakazać założyć kłódki na drzwiach do sali plenarnej. Takie klimaty wtedy panowały.

A jaki były najostrzejsze konflikty w rządzie Olszewskiego?

Kluczowy był narastający konflikt między rządem, a prezydentem. W 1992 roku uchwalono tzw. małą konstytucję regulującą wzajemne relacje władz. Wtedy pojawiły się słynne resorty prezydenckie czyli MSZ, MSW i MON. Premier obsadzając te ministerstwa miał obowiązek uzyskania kontrasygnaty od prezydenta.

A prezydent uznał, że to są jego ministerstwa i chciał sam wyznaczać ich szefów.

Dokładnie tak. Mocno się rozpychał w tej sprawie m.in. użył PRL-owskich oficerów do rozgrywki przeciwko szefowi MON, podczas słynnego obiadu drawskiego, kiedy generałowie wypowiedzieli posłuszeństwo ministrowi obrony narodowej, admirałowi Piotrowi Kołodziejczykowi. W rządzie Jana Olszewskiego szefem MON był Jan Parys, pierwszy cywilny minister w tym resorcie od czasów PRL. I zderzył się z Wałęsą. A ponieważ prezydent miał bardzo silny mandat, pochodzący z powszechnych wyborów, to uważał, że ma pełne prawo się rozpychać. Przy czym można zrozumieć jego frustrację, bo został wybrany tak jak prezydent USA ale władzę sprawował parlament i rząd, a nie on. A że był to w naszej demokracji okres rozpychania się łokciami, ucierania się zwyczajów i zasad oraz precedensów, to Wałęsa się rozpychał. Bielecki jako premier był spolegliwy wobec prezydenta, a Olszewski nie, stąd te konflikty.

Czy koalicjanci dawali się rozgrywać prezydentowi? Wałęsa potrafił przeciągać ich na swoją stronę?

Były takie tendencje. Niektórzy współkoalicjanci byli bardziej prowałęsowski. Taką bardziej prowałęsowską formacją okazał się ZChN.

Jak się zachowały partie, które wspierały rząd, wobec wniosku o odwołanie Olszewskiego ze stanowiska premiera?

Twarda baza stała przy Olszewskim. Ale podczas głosowania tylko 119 posłów było przeciwko wotum nieufności. KPN poparła wotum nieufności, tak samo jak PSL. KPN to była partia wodzowska i w momencie gdy jej lider, Leszek Moczulski, znalazł się na liście tajnych agentów przedstawionej przez Antoniego Macierewicza, to przesądziło o odwróceniu się tej formacji od rządu. Tak czy inaczej rząd wielokoalicyjny i jeszcze mniejszościowy to była droga przez mękę. Tym bardziej, że zasiadali w nim ludzie z Solidarności, rozdyktowani i przywiązujący ogromną wagę do procedur.

W czasach rządów koalicji AWS–UW wyglądało to lepiej?

Oczywiście. AWS powstała rok przed wyborami parlamentarnymi w 1997 roku. Po wielkiej traumie prawicy z powodu przegranych wyborów w 1993 roku związek wziął na siebie trud zjednoczenia tego środowiska. A liderzy partyni się podporządkowali i przyznali związkowcom pakiet kontrolny w AWS. Zatem Solidarność miała większość w tej koalicji i to było stabilizujące. Po drugie mieliśmy gotowy program, który został zbudowany wokół obywatelskiego projektu konstytucji, alternatywnego dla konstytucji uchwalonej w 1997 roku. Ten projekt podpisało prawie 2 mln ludzi i był przedstawiany w Sejmie. A później stanowił dla nas ramę programową, bo został rozpisywany na konkretne projekty reform. Rzadko się o tym mówi, ale Unia Wolności de facto nie wniosła w tamtym rządzie żadnego pakietu reform. To obóz Solidarności był reformatorski.

Reforma administracyjna była autorstwa UW.

Była wspólna ale zgoda oni byli w tej kwestii bardziej aktywni. Zatem byliśmy zorganizowani i przygotowani do rządzenia.

Ale później partie polityczne wypowiedziały posłuszeństwo Marianowi Krzaklewskiemu.

Tak. A wynikało to z tego, że mieliśmy przeciwko sobie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, a nie posiadaliśmy większości, żeby odrzucać weto. Zatem

podejmowaliśmy trudne reformy, boksowaliśmy się wewnątrz rządu, czasami łamaliśmy posłom kręgosłupy, a apotem sprawa upadała z powodu weta prezydenta. To było niszczące. Największym naszym zderzeniem z prezydentem była ustawa o repriwatywacji. Została z trudem wypracowana i uchwalona, rozwiązałyby problem własności w Polsce, który do dzisiaj nie został rozwiązany, a Kwaśniewski nam to zawetował.

Aleksander Kwaśniewski twierdził, że kohabitacja z rządem Buzka była poprawna. Zresztą podpisał wszystkie wasze kluczowe reformy.

No podpisał ale w reformę administracyjną ingerował. Miało być 12 województw, a wyszło 16. A mało brakowało, żeby to w ogóle wyleciało w powietrze za sprawą Kwaśniewskiego. Nie powiem, że był prezydentem na „totalnie nie”. To były inne czasy. W polityce zagranicznej panowała powszechna zgoda, że zmierzamy do Unii Europejskiej i NATO. A ponieważ reformy rządu Buzka otwierały nam drogę do Wspólnoty, dlatego, że te Unia stawiała pewne warunki, chociażby w kwestii reformy administracyjnej, to prezydent nie miał powodu, żeby nam reformy wetować. Unia uwierzyła, że Polska jest w stanie spełnić jej warunki dopiero wtedy gdy podjęliśmy nasze wielkie reformy i gotowi byliśmy zapłacić za nie każdą cenę. Buzek otwarcie mówił, że zrobimy reformy nawet za cenę utraty władzy. Zatem w tych sprawach Kwaśniewski był za. Ale dla mnie repriwatywacja była fundamentalna.

Może popełniliście błąd wykluczając z repriwatywacji spadkobierców mienia żydowskiego mieszkających zagranicą. Tego argumentu używał Kwaśniewski.

To był tylko pretekst. Z Żydami wszystko było dogadane. Sprawa byłaby załatwiona systemowo, a tak do dzisiaj mamy problemy.

Ale nie tylko Kwaśniewski utrudniał wam życie. Mieliście też narastające spory wewnątrz własnego obozu.

Oczywiście. Wynikały ze zużycia władzą. Solidarność rozpostarła nad rządem parasol ochronny i zapłaciła za to wysoką cenę, bo reformy były społecznie

kosztowne. Inne nie mogły być. AWS cały czas balansowała między rolą związku i reformatora, który zmieniał państwo, co wywoływało napięcia.

Pamiętam Mariana Krzaklewskiego ówczesnego szefa NSZZ Solidarność i posła AWS, który szedł na czele demonstracji przeciwko reformom rządu Buzka.

No, takie rzeczy się zdarzały. Na dodatek Krzaklewski przegrał wybory prezydenckie i ten stabilizator związkowy bardzo został osłabiony. To wtedy mniejsze podmioty zaczęły rozgrywać własne gry, co m.in. doprowadziło do powstania PiS i PO.

Mieliście wtedy w klubie 21. posłów, tzw. oczko, którzy blokowali niemal wszystko, co rząd chciał zrobić.

Bo uważali, że rząd idzie za bardzo na rękę Unii Wolności w sprawie prywatyzacji. A czas był taki, że nie należeliśmy do Unii Europejskiej, nie mieliśmy europejskich funduszy, a musieliśmy sfinansować reformy. Zatem pieniądze z prywatyzacji ratowały budżet.

Co w takim razie myśleli politycy, którzy rozwalali AWS od środka. Zastanawiali się nad skutkami swojego postępowania? Bo m.in. z powodu takich zachowań AWS przepadła w następnych wyborach.

Element refleksji chyba nie był obecny. Wtedy w rządzie i klubie dominowali jeszcze ludzie z pierwszej Solidarności – ci sami, którzy mieli wpływ na wydarzenia w Sejmie I kadencji.

To jeszcze chciałam pana spytać o tzw. dziurę Bauca. Czy ona rzeczywiście istniała czy była tylko na papierze?

Tzw. dziura Bauca nie polegała na tym, że jakieś pieniądze zostały wydane i budżet świecił pustkami. To było pewne wyliczenie Jarosława Bauca, ministra finansów, ile kosztowałyby rząd wszystkie pomysły składane przez posłów AWS. On to ogłosił nie informując o tym premiera Jerzego Buzka. Moim zdaniem zachował się bardzo nielojalnie. Dziura Bauca była czymś w rodzaju hipotezy

ale brzmiała bardzo efektownie i media chętnie to nagłaśniały. Nota bene media publiczne też przyczyniły się do rozpadu AWS.

W jaki sposób?

TVP, której rola była wówczas dużo większa, niż obecnie pozostawała w rękach opozycji – była kierowana przez ludzi SLD i w niektórych obszarach przez Unię Wolności. Rząd nie miał żadnego wpływu na to jak TVP pokazuje reformy. Premier Jerzy Buzek po latach uznał, że jego największym błędem było to, iż nie przejął mediów, bo TVP nieustannie nas atakowała. Buzek nie dość, że nie był w stanie wyjaśnić obywatelom celów reform, to jeszcze został przez nie politycznie zniszczony. To, że Jarosław Kaczyński zrobił z mediami publicznymi, to co zrobił, to jest lekcja wyniesiona z czasów AWS. Uznał, iż nie może sobie pozwolić na to, żeby mając władzę i pewien program polityczny, który chce zrealizować, miał przeciwko sobie wszystkie media. Odrobił lekcję płynącą z rządów AWS.

Pytałem o dziurę Bauca bo ostatnio tu i ówdzie można usłyszeć o dziurze Morawieckiego. Czy te dwie sytuacje mają coś ze sobą wspólnego?

Moim zdaniem te głosy mają ułatwić obecnej opozycji przyszłe rządzenie. Jeżeli nie zechcą zrealizować obietnic, to winę będą zwać na PiS, mówiąc, iż „sytuacja finansów jest dużo gorsza niż myśmy sobie wyobrażali”. Tak samo było w 2001 roku gdy do władzy doszedł SLD. Wtedy wszyscy słyszeli o dziurze Buaca, a teraz wszyscy będą słyszeć o dziurze Morawieckiego.

Widzi pan inne analogie między tamtymi czasami, a obecnymi na scenie politycznej?

Tak. Po pierwsze nowa władza będzie miała prezydenta z innego obozu politycznego, który będzie stał na straży osiągnięć rządu PiS. Powiedział to już na zjeździe Solidarności. W związku z tym opozycja już wie, że z pewnych rzeczy będzie musiała zrezygnować przynajmniej na półtora roku. My mieliśmy tak samo przy Wałęsie, a później przy Kwaśniewskim.

Czego nie zrobią?

Nie zliberalizują ustawy aborcyjnej, nie zmienią zasad emerytalnych ani ustaw sądowych. Już dochodzą do nas informacje, że wszystkie sprawy o charakterze obyczajowym, światopoglądowym będą realizowane dopiero po wyborach prezydenckich, jeżeli wygra kandydat obecnej opozycji. Po drugie rozegra się krwawa wojna o media. Jeżeli nowa władza ją przegra to będzie miała przeciwko sobie wrogie media publiczne czyli będzie miała to samo, co my mieliśmy z mediami kierowanymi przez Roberta Kwiatkowskiego.

Dodajmy – dziś zasiadającego w Radzie Mediów Narodowych z rekomendacji opozycji.

Dokładnie. W związku z tym to będzie dokładnie to samo co myśmy przerabiali. Ale jest jeszcze poważniejsza sprawa – bo koalicja jest niejednolita, zatem będzie się zużywała w trakcie kadencji. Lewica będzie cały czas mówiła o projektach obyczajowych, a sytuacja, że przez półtora roku nie da się z nimi nic zrobić będzie ją potwornie frustrowała. Inne partie też mają takie sprawy. No i wreszcie rząd będzie miał bardzo silną opozycję w postaci PiS, tak jak AWS miała bardzo silną opozycję w postaci SLD. Swoją drogą mało brakowało, żeby Sojusz wygrał wybory w 1997 roku.

Jak to?

W 1997 roku SLD wspomógł powstanie Krajowej Partii Emerytów i Rencistów. Przed powodzią szliśmy z nimi w sondażach łeb w łeb. Powódź ich trochę osłabiła ale mieli tych emerytów, z którymi mogliby zawiązać koalicję. I wtedy my powołaliśmy Krajowe Porozumienie Emerytów i Rencistów. Zarejestrowaliśmy taką partię i ona nagle pojawia się w sondażach. Ludzie zwariowali, bo były dwie partie emeryckie, o takim samym skrótce. W rezultacie obie spadały pod próg i ostatecznie skończy na poziomie 1 proc. poparcia. To był jeden z naszych najlepszych ruchów politycznych, bo gdybyśmy tego nie zrobili to być może Sojusz rządziłby z emerytami kolejną kadencję. A wracając do nowej koalicji to będzie ona bardzo różnorodna. Z jednej strony mnie to cieszy, bo do Sejmu wróci polityka. Znowu trzeba będzie zawierać różne koalicje do określonych spraw. Czasami podziały będą przebiegać w poprzek klubów. Z drugiej strony do wyborów prezydenckich będziemy obserwowali wojnę pozycyjną.

Mając przeciwko sobie mocne PiS, zabetonowane instytucje konstytucyjne – NBP, Trybunał Konstytucyjny itd. – oraz prezydenta z przeciwnego obozu, rządzący będą mieli naprawdę trudno. Dlatego wybory prezydenckie zadecydują o wszystkim. Jeżeli wygra kandydat dzisiejszej opozycji to rząd będzie miał znacznie większe możliwości umacniania się w państwie.

Rozmowa ukazała się w dodatku do „Rzeczpospolitej” – „Plus minus”

MY JAKO NARÓD PRZEMÓWILIŚMY
Z DR. ANDRZEJEM ANUSZEM, SOCJOLOGIEM,
AUTOREM KSIĄŻEK „WOKÓŁ MARSZAŁKA”
I „NIELEGALNA POLITYKA”
ROZMAWIA ŁUKASZ PERZYNA

Łukasz Perzyna: Czy słusznie postrzegamy 11 listopada 1918 r. w ten sposób, że działania polskich polityków różnych obozów i orientacji w kończącej się wtedy wojnie światowej później nazwanej pierwszą, wtedy się uzupełniały? Nie było przecież tak, że zasiedli do Okrągłego Stołu i się dogadali, co dla Polski ważne. Nawet w pierwszych dniach listopada pozostawało to fizycznie niemożliwe. Józef Piłsudski przebywał jeszcze w twierdzy magdeburskiej, Roman Dmowski w Stanach Zjednoczonych, goszcząc m.in. u Woodrowa Wilsona w Białym Domu, a Ignacy Daszyński w Lublinie, gdzie zaraz rząd tymczasowy powołał. To raczej ich pojmowanie racji stanu okazało się wspólne? Sprawilo, że grali w jednej drużynie?

Dr Andrzej Anusz: Z tą drużyną... tak daleko bym nie szedł. Grali o jeden cel. Każdy z nich dojście do celu – wolnej Polski – widział inaczej. Paradoks historii polegał na tym, że obóz Romana Dmowskiego obstawiał Rosję w toczącej się wojnie, ale i jej sojusznika – Francję. A Józef Piłsudski – państwa centralne. Polska wykupiła całą gonitwę. Przegrali wszyscy zaborcy, za to Francja wygrała. Ale to Piłsudski dysponował siłą zbrojną i inicjatywą polityczną chociaż niby na przegranych postawił, to jednak wracał z Magdeburga jako uwolniony więzień. Niemcy go wypuścili, ponieważ chcieli z jego pomocą zatrzymać bolszewików. Byli w oczywisty sposób zainteresowani w tym, żeby rewolucja rosyjska i niemiecka nie połączyły się w jedną. I wojna światowa to gonitwa, w której biegły dwa konie. Oba zostały obstawione.

Czy ktoś przewidział taki rozwój sytuacji?

Piłsudski w wykładzie paryskim, wygłoszonym w Instytucie Geograficznym w 1914 roku ale jeszcze zanim wybuchła wojna, trafnie przewidział, że przegrają ją po kolei wszyscy zaborcy Polski: najpierw Rosja, potem państwa centralne. Jednak gdy wojna się już kończyła, najmocniejszą kartę miał w ręku Ignacy Paderewski, związany ze Stanami Zjednoczonymi, które dopiero w 1917 r., a więc najpóźniej z mocarstw do niej przystąpiły. Trzynasty punkt deklaracji amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona dotyczył niepodległości Polski. Wtedy doszło do geopolitycznego przesilenia. I dopiero w 1918 r. w listopadzie wszyscy wymienieni politycy stali się, jak Pan to ujął, jedną drużyną. To fenomen, że byli w stanie współdziałać. Na odległość i ponad podziałami, pomimo ówczesnych nikłych środków łączności, którą trwająca od czterech lat wojna dodatkowo utrudniała. Połączył ich wspólny cel: wolna i niepodległa Polska.

I tu dochodzimy – żeby nie szukać na siłę analogii tamtego przełomu do tej jesieni, do takiej, która nasuwa się sama. Co nas chyba nie martwi. W wyborach z 15 października 2023 r. zagłosowało ponad 74 proc z nas. Ale w tych do Sejmu Ustawodawczego ze stycznia 1919 r. – jeszcze więcej, bo prawie 78 proc? O cudzie frekwencji można mówić? Wtedy i teraz? Co je łączy?

Silne emocje. Wtedy, jak teraz, konkurowały co najmniej dwie wizje porządku w Polsce. Jednak dla obywateli, którzy dopiero co się nimi stali, więc byli z tego powodu szczególnie dumni i zobowiązani, żeby ze swoich praw czynić użytek – były to pierwsze wolne wybory. Dlatego tak masowo ruszyli do punktów głosowania, chociaż mróz był siarczysty, szalała jeszcze epidemia grypy hiszpanki, którą da się porównać tylko do COVID-19 a drogi i mosty zniszczone były przez wycofujące się niedawno wojska państw zaborczych. Szuka Pan analogii, potwierdzą jedną. Wtedy i teraz masowo zagłosowały kobiety. Panie w Polsce od razu bowiem po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. uzyskały pełnię praw wyborczych na co Francuzki musiały czekać aż do czasu wyzwolenia ich kraju przez gen. Charlesa de Gaulle’a i Amerykanów od hitlerowskiej okupacji, to była jakby premia za ich zasługi dla ruchu oporu, dla Resistance. Zaś w neutralnej Szwajcarii kobiety na prawo głosu czekać musiały aż do lat 70. Nie trze-

ba więc dodatkowo argumentować, dlaczego Polki masowo skorzystały z prawa do głosowania w 1919 r. co przyczyniło się do tego, jak Pan mówi, cudu wysokiej frekwencji. W tym roku też zagłosowała rekordowa liczba kobiet. I także młodzież. Podobnie było w 1919 r. wszystko jedno, czy wywodzili się ci młodzi z kręgów Sokoła czy Strzelca i POW, ich nastawienie nie zaskakuje, gdy weźmie się pod uwagę ich patriotyzm, udział w rozbrajaniu Niemców czy Austriaków.

Znajduję jeszcze jedną analogię. W tegorocznych październikowych wyborach imponującą frekwencję ponad 74 proc zawdzięczamy w znacznej mierze grupie wiekowej liczącej od 50 do 59 lat, której udział w wyborach określa niebywały wręcz wskaźnik 83 proc. To powód do dumy?

To pokolenie drugiej niepodległości. Przeżywające doświadczenie drugiej zwycięskiej Solidarności z lat 1988–1989 całkiem już świadomie, czasem w nim uczestniczące. Ale też pamiętające tę pierwszą Solidarność z lat 1980–1981 chociaż wtedy jeszcze w szkolnych ławach zasiadało, co nie przeszkadzało temu, żeby w stanie wojennym ganiać się z milicją, pamięta Pan, co wtedy powiedział Stefan Bratkowski w swojej gazecie mówionej: wystarczyło być młodym, żeby być bitym... O dumę Pan pyta, oczywiście, że jest do niej powód. I to ponad pokoleniami, bo przecież te różnice jeśli o udział w wyborach chodzi nie są między generacjami aż tak wielkie i znaczące. Polacy zdali egzamin. Zbudowani być powinniśmy tym, co stało się tej jesieni. Ponad podziałami możemy z tego być dumni.

Ale jest też wynik w sensie politycznym a nie społecznym tylko. I kłopot z utworzeniem rządu?

Znamy efekty. Za sprawą wzmoczonego udziału kobiet i młodszych wyborców w głosowaniu PiS nie uzyskał spodziewanej samodzielnej większości, chociaż wygrał.

Po wyborach z 1919 r. politycy po części tylko sprostali zadaniu, spełnili nadzieje głosujących tak masowo obywateli? Oczywiście zbudowali Gdyń i Centralny Okręg Przemysłowy, ale też niestety nie potrafili zapobiec już w grudniu 1922 r. zabójstwu prezydenta Gabriela Narutowicza ani

przewrotowi majowemu w cztery lata później? Był złoty medal olimpijski Haliny Konopackiej w rzucie dyskiem w Amsterdamie, zresztą także poetki a później żony ministra Ignacego Matuszewskiego, były filmowe kreacje Eugeniusza Bodo ale też rozczarowanie, które znamy z „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego, że zamiast szklanych domów mamy tępą i brutalną policję a później doszły do tego Brześć i Bereza Kartuska? Jak będzie teraz? Wchodzimy w fazę głębokiego podziału politycznego. Czeką nas twarda zimna wojna między politykami przez co najmniej dwa lata do wyborów prezydenckich. W praktyce oznacza to, że Prawo i Sprawiedliwość stanie się najmocniejszą opozycją, jaka kiedykolwiek była poczynając od 1989 r. Za to drugą stronę, tę dziś nie tyle jeszcze rządzącą co aspirującą na razie do przejęcia władzy i legitymującą się wynikiem wyborczym, który to umożliwia – tworzy wiele formacji, co nigdy nie staną się jednolite. Prezydent Andrzej Duda niczego ułatwiać nie będzie tym, którzy teraz do władzy zmierzają. Przez dwa lata potrwa gra na wyczerpanie.

Co obywatele na to?

Pytanie, jak ludzie, co tak niedawno na skalę rekordową skorzystali ze swoich praw wyborczych, są w stanie na taką sytuację, jaką przewidujemy, zareagować. To ciekawe. Odpowiedź zależy – w moim przekonaniu – od sytuacji międzynarodowej. Poza wojną na Ukrainie i zagrożeniem granicy ze strony Białorusi pojawiło się dodatkowo napięcie na Bliskim Wschodzie, które przerodzić się może w globalną wojnę z terroryzmem jak po ataku Al-Kaidy na Dwie Wieże World Trade Center w 2001 r. Polacy wiedzą o tych zagrożeniach i nie gorzej od polityków je rozpoznają. Być może ich postawa zmusi swarliwych nawet liderów do okazania roztropności.

Raz już tak było, że w 1990 r. Lech Wałęsa wypowiedział premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu zimną na szczęście „wojnę na górze” a potem w parę dni ich zwaśnione obozy musiały się pogodzić, bo do drugiej tury wyborów wszedł Stanisław Tymiński i obawiano się, że zostanie prezydentem, zresztą dostał 25 proc głosów?

Wtedy słyszało się bulwersujące słowa, że „społeczeństwo nie dorosło”...

...do demokracji, jak utrzymywali zwolennicy Mazowieckiego, który zresztą niebawem założył Unię Demokratyczną...

...teraz nikt już tak się powiedzieć nie waży. Nie dlatego, żeby komentatorzy nagle i masowo zmądrzeli, tylko sytuacja rysuje się w sposób poniekąd odwrotny niż wówczas. Wyborcy wydają się mądrzejsi od polityków. Frekwencja przy urnach w tę październikową niedzielę świadczy o silnym instynkcie obywatelskim. My jako Naród żeśmy przemówili... Teraz to politycy muszą dorosnąć do żarliwości i zaangażowania polskich wyborców, wziąć z nich przykład.

Rozmowa ukazała się w piśmie „Samorządność”

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ
O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”
Z KS. JACKIEM STRYCZKIEM ROZMAWIA
MARCIN MAKOWSKI

Marcin Makowski, „Wprost”: Jak to jest „przeżyć własną śmierć”? Tak określił ks. swój stan po tym, gdy przestał być prezesem Szlachetnej Paczki. To metafora?

Ks. Jacek „Wiosna” Stryczek: Nie, to prawda. A jakie to uczucie? Przyjemne. Dotychczas wszystkie kryzysy – od wieku dojrzewania, po kryzys wieku średniego – przechodziłem lega artis. Sądziłem, że w wieku 60 lat wycofam się z życia zawodowego, aby zająć się bardziej życiem duchowym, przygotowaniem do śmierci, ale u mnie myślenie o śmierci włączyło się dziesięć lat wcześniej. Miałem 50 lat i rozmyślanie o umieraniu miałem na co dzień. Jak ktoś w trakcie opieki paliatywnej. Mentalnie jestem już po tej drugiej stronie, mam duży dystans do życia.

Czym on się objawia?

Kiedy spadły na mnie pierwsze ataki w 2018 r., po opadnięciu początkowego stresu, pomyślałem: fajnie, już nie muszę robić Szlachetnej Paczki. Z poziomu duchowego to bardzo ciekawe doświadczenie, gorzej zareagowało jednak moje ciało. Dystans do siebie już jednak miałem.

Byłem gotowy umrzeć i z zasady było mi wszystko jedno, co po śmierci będą o mnie mówić. Nie umarłem, ale w zamian dosłownie byłem niszczone.

Ataki wymierzone we mnie działały według schematu opisanego w książce „Trolle Putina”. Chodziło o zniszczenie człowieka w wielu wymiarach. W mediach, poprzez wchodzenie w różne obszary jego życia – rodzinę, bliskich, duszpasterstwo. Celem takiego projektu jest wycieńczenie, złamanie. To się działo przez ostatnich pięć lat.

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

Ma książdz na to dowody?

Pokazuję to na moim Facebooku. To wciąż ok 1 proc. danych. Więcej dostała prokuratura. Nie zliczę ataków, nękania. Ci ludzie się nie ukrywali z tym, co mi zrobili. Dostawali obietnice, że i tak to będzie ukryte, że mają robić źle, ale są bezpieczni. Fizycznie czułem się coraz gorzej. Miałem koszmary. Budzę się, nie mam siły. Siedzę, nie mogę wstać. Mogę się położyć, ale to nic nie zmienia. I tak mija kolejny dzień, a było ich bardzo wiele. Przez pierwsze dwa lata prawie nie funkcjonowałem. Idiotyczna sytuacja, bo wiesz, że toczy się życie, chciałbyś nawet coś zrobić, ale ono mija, przecieka przez palce i nic się nie dzieje.

Czy to była depresja?

Nie. Po prostu duża ilość stresu zmienia chemię organizmu. Przez ten stres nie byłem w stanie funkcjonować, ale pod kątem myślenia byłem nastawiony pozytywnie. Niestety nie da się oddzielić tych dwóch światów. Były chwile, zwłaszcza jesienią 2021r., w których naprawdę przewidywałem, że umrę. Sądziłem, że są małe szanse, abym przeżył. Udało się to dzięki kilku zaprzyjaźnionym lekarzom, którzy o mnie walczyli w sposób nieprzeciętny. Oni mnie uratowali. Gdybym został sam, dzisiaj byśmy nie rozmawiali.

To było leczenie specjalistyczne?

Nie chcę epatować szczegółami, ale żeby komuś pomóc, trzeba do niego podejść holistycznie. Znalazły się osoby, które tak mnie wsparły, co wymagało dużego wysiłku, a potem krok po kroku zacząłem nabierać sił. Częściowo zacząłem mieszkać w górach, aby na co dzień nie mieć bodźców stresowych. Góry też bardzo mi pomogły. Zasada była prosta: im bardziej byłem chory, tym więcej było ataków. Gdy zamieszkałem w górach, mieli mniejszy dostęp do informacji i to mnie też uratowało.

Co się wtedy wydarzyło?

Manipulacje w moim świecie, w moich duszpasterstwach. Nie czas jeszcze o tym opowiadać. Plus kolejne publikacje. Zastanawiałem się wtedy, czy jestem rekonwalescentem czy weteranem? Co dalej ze mną będzie.

W jakim sensie?

U weterana będzie tylko gorzej, u rekonwalescenta będzie jeszcze lepiej. Nie wiedziałem, w którym miejscu jestem. Raczej to wszystko było zaprojektowane, żebym umarł. Gdy było wiadomo, że jestem chory, zwiększano liczbę działań, manipulacji, ataków. To nie pozwalało mi się zregenerować.

To wszystko układa się obraz zaplanowanej z góry misji zniszczenia człowieka. Kto księdza zdaniem za tym stał i dlaczego miał podejmować takie środki? Zaczęło się przecież o oskarżeń o mobbing w Szlachetnej Paczce.

Teraz już wiem więcej, dlatego 31 października złożyłem do prokuratury podejrzenie o popełnieniu przestępstwa o charakterze zorganizowanej grupy przestępczej.

To mocne oskarżenie.

To jest podejrzenie, więc nie zamierzam tego udowadniać w mediach. Mogę przedstawić jedynie fakty i dokumenty, które je uwiarygadniają. Długo nie mogłem zrozumieć o co chodzi, jakie są motywacje. Myślę, że było kilka, ale najważniejszy dotyczył tego, aby przejąć strukturę Szlachetnej Paczki i mieć wpływ społeczny w naszym kraju.

Kto chciał to zrobić?

Myślę, że niebawem pokażemy, co się dzieje w strukturach i będzie to lepiej widać. Do tej pory ujawniliśmy jeden przypadek – Rafała Wojtkiewicza ze Świebodzina. Rafał dostał telefon, że jest fajnym liderem i koordynatorem regionalnym, ale ktoś z góry, z zarządu powiedział, że powinien zostać usunięty „z powodów politycznych”. On jest człowiekiem kościelnym, twórcą „Paczki” w województwie lubuskim. Taki mamy fakt. Teraz wiemy, że w tajemnicy podmieniono go na osobę lewicującą. Mamy już sporo podobnych faktów. Atak medialny był jedynie przykrywką. Chyba do dzisiaj nikt nie wie, o co byłem oskarżony. Narrację narzucił Onet. Że jestem winny, ale nie wiadomo czego.

Zarzuty dotyczyły mobbingu.

Bez przesady. Nazywano mnie przebrzydłym mobberem, zrobiono ze mnie potwora. Ale nie przeprowadzono analizy prawnej, jaki miał być ten mobbing,

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

jaka miała być jego skala. Pięć lat szukania ofiar, których nie znaleziono. To był pretekst. Na pewno przełomem w życiu stowarzyszenia „Wiosna” było to, że 4 lutego 2019 r., walne zgromadzenie – czyli w większości moi wychowankowie z duszpasterstwa akademickiego, lekarze i prawnicy – odwołało Joannę Sądziak. Potem wydarzyły się cuda.

Czyli?

Ks. Grzegorz Babiarz wszedł do stowarzyszenia. Dobry, wykształcony człowiek, który wcześniej współpracował z nami jako wolontariusz. I nagle w mediach okazał się potworem. Widać było, że nie chodzi tylko o mnie, ale o coś więcej. Przez tydzień po objęciu funkcji prezesa był linczowany w mediach. Doświadcział szyszan. Przyszedł do niego człowiek z Onetu i naciskał na rozmowę, mimo, że ks. Babiarz nie chciał rozmawiać. To było złośliwe, zrobione w celu ośmieszenia. My, którzy odwołaliśmy Joannę Sądziak, a była z tego ponad pięćdziesięciostronnicowa dokumentacja, nie wiedzieliśmy, dlaczego ataki nie ustają.

Nagle pracownicy zaczęli widzieć w członkach walnego zgromadzenia wrogów. Domagają się, żebyśmy coś dla nich robili. A przecież my mieliśmy podejmować decyzję kluczowe dla organizacji... Tydzień później, 11 lutego, mieliśmy mieć walne zgromadzenie „pojednawcze”. Odwołaliśmy Joannę Sądziak, ale byliśmy ludźmi dobrej woli. Chcieliśmy się dogadać.

Nie wyszło?

Nie. Wtedy kluczowe było to, że ks. Grzegorz był w biurze, a pod koniec pracy weszła do jego pokoju Anna Wilczyńska i Dominika Langer Gniłka, które wcześniej złożyły rezygnację z bycia członkami zarządu. Przedstawiły prezesowi, że cofają swoją rezygnację, czyli nadal są członkami zarządu, a w związku z tym spotkanie zarządu z nimi jako wiceprezesami właśnie się rozpoczęło, następnie zaczęły przegłosowywać nowych członków. Ks. Grzegorz nie wiedział, co się dzieje, one siedziały koło niego i tak sobie głosowały. To była 15–16, a około 20 mieliśmy walne. Przychodzimy na nie, żeby dokończyć sprawę, porozmawiać i szukać porozumienia, a tam okazuje się, że na sali siedzą już nowi członkowie oraz prawnicy, w tym Grzegorz Abram. Wręczył mi swoją wizytówkę, to chyba miało zrobić na mnie wrażenie.

Jak wyglądało głosowanie?

Siedzieliśmy w jednym pokoju, a w drugim kilkadziesiąt osób – pracowników – którzy nagle zostali w nieważny sposób dokooptowani. Rozpoczęło się grillowanie. Usłyszeliśmy, że to oni są teraz „Wiosną“, oni mają władzę, a my mamy usankcjonować, że są członkami. Straszne. Mam z tego koszmary do dzisiaj.

Byłem się, że jak tego nie zapamiętam, to nikt się nie dowie. Pamiętam Sadzik, która nie była wtedy członkiem stowarzyszenia, bo zrezygnowała – jak wpada i krzyczy: „Kto doniósł do prawniczych mediów?”. Konrad Kruczkowski, który krzyczał: „To my jesteśmy walnym!”. Pełno awantur, napięta atmosfera. My też mieliśmy swojego prawnika, który twierdził, że tamto walne jest nielegalne... siedzieliśmy do północy, szukając kompromisu.

Zapytałem wtedy Grzegorza Abrama, co o tym sądzi. Przecież jako prawnik musi wiedzieć, że to wydarzenie jest niezgodne z prawem. Do dziś pamiętam, co dopowiedział. „Dziś młode pokolenie ma rację”. Czy to jest prawnik? Rozumiem, że w złej wierze, W efekcie nie poszliśmy na kompromis, strasznie zostaliśmy zmiażdżeni tą atmosferą, ale rzeczy działały się dalej.

Nieważne walne prowadziła Dominika Langer, która wiedziała, że tamci członkowie też nie są usankcjonowani. Na fotel prezesa przywrócono Joannę Sadzik. Ona potem oddała do sądu dokument z nieprawdziwego walnego z 11 lutego, ale – co ujawniłem – nie z ważnego. Sąd wezwał ją pod groźbą kary, aby pokazała również tamte dokumenty, ale to się nie wydarzyło. Cała ta historia została opisana w KRS.

Skoro sprawa jest tak oczywista i – zdaniem księdza – doszło do złamania prawa, dlaczego Joanna Sadzik od tego czasu jest prezesem Szlachetnej Paczki i nic się nie zmienia?

To nie jest pytanie do mnie. Próbowiałem mówić o tej sprawie, ale nikt się nią zainteresował. Każdy może sięgnąć do tych dokumentów. Raz jeszcze podkreślę, wszystko firmował Grzegorz Abram, a wiedza korytarzowa pracowników o tym, co się wydarzyło między 4 a 11 lutego 2019 r. mówi, że jedną z głównych doradczyń tego procesu była również Sylwia Gregorczyk-Abram.

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

Mecenas, obecnie z inicjatywy „Wolne Sady”. Jej mąż jest teraz członkiem Stowarzyszenia „Wiosna”.

Tu od początku nie chodziło o mnie, ale właśnie o Stowarzyszenie. Chciano je przejąć, nawet za cenę działań bezprawnych i niemoralnych. Dziennikarz Szymon Jadczał napisał na Twitterze wprost, że „prokuratura pomogła wyrzucić z „Paczki” ludzi ks. Stryczka”. To był cel, choć wydawało nam się niedorzeczne, że można to zrobić w biały dzień, przy braku reakcji innych ludzi. Widać w działaniach tych ludzi pełną koordynację.

Poza dokumentami złożonymi w prokuraturze, mówił ksiądz również o tym, że jego życie i zdrowie cały czas narażone jest na niebezpieczeństwo. Jakże są ku temu przesłanki?

Cały czas byłem poddawany presji i szantażowi. W 2019 r. dostałem nawet anonimowy telefon, w którym grozono mi śmiercią. Takich osób wokół mnie było więcej, ale nie wiedziałem, co mam wtedy z tym zrobić. Dzisiaj już wiem, że muszę o tym mówić, ale mam świadomość, że w ten sposób naruszyłem interesy wielu wpływowych osób, dlatego czuję się zagrożony. A paradoks polega na tym, że ja do tych ludzi nic nie mam, ale oni cały czas chcą mnie uciszyć, zniszczyć.

Cały czas jestem blokowany na Facebooku, widać ataki farm trolli. Co ciekawe, obecnie członkiem Stowarzyszenia jest Katarzyna Paliwoda, właśnie z Facebooka, więc to wszystko wygląda co najmniej dziwnie. Pisałem do niej wielokrotnie, że ogranicza się moje zasięgi, dostęp do informacji. Jesteśmy państwem prawa. Ujawnienie publicznych informacji na temat NGO jest konieczne i korzystne społecznie. Takie organizacje powinny być transparentne.

Facebook szczyty się tym, że zwalcza dyskryminację. A ja czuję się dyskryminowany, tłamszony.. Proszę powiedzieć: jak to jest, że nawet publikując na FB wciąż nie jestem wolnym człowiekiem, ale znaleziono sposoby na to, aby mnie „dobijać”? Jak to jest możliwe? Wystarczy wejść na mój profil i zobaczyć, ile razy piszę o tym, i jak ludzie na to reagują.

Po wypowiedziach księdza, dziennikarz Janusz Schwertner, który jako pierwszy opisał temat, wydał oświadczenie. „Ks. Jacek Stryczek (któremu

z całego serca życzę zdrowia i refleksji nt. sposobu traktowania pracowników) zapowiedział w Polsce, że mnie pozwie. To dobrze. W śledztwie (które się toczy) aż 51 osób (!) otrzymało status osoby pokrzywdzonej. To ogromna liczba. Wiele osób od dawna już jest gotowych zeznawać pod nazwiskiem. Prokuratura (o czym niestety Polsat dziś milczał) w swoim piśmie potwierdziła, że zeznania byłych pracowników były wiarygodne. Sąd nakazał prowadzić śledztwo, uznając początkowe umorzenie za – tu cytuję – „nielogiczne” w świetle zgromadzonych dowodów (to niestety także zostało przemilczane, choć nie zakładam tu żadnej złej woli). Czasy się zmieniają, przyzwolenie na mobbing maleje”. Jak ksiądz się do niego odnosi?

Ciekawe, bo co to są za informacje? Skąd Janusz Schwertner o nich wie? Bo jeżeli są to prawdziwe dane ze śledztwa, Ujawnienie tego jest ścigane z urzędu z Kodeksu Karnego. Być może doszło do ujawnienia tajemnicy śledztwa? Zgłosiłem to do prokuratury. Druga wersja, że znowu konfabuluje. Ja nie umiem zweryfikować tych informacji. Schwertner już tyle razy pokazał, że jest niewiarygodny. Swoją pierwszą wypowiedź rozpoczął od kobiety w ciąży, która miała zemdleć po spotkaniu ze mną. Do tej pory jej nie odnaleziono. Nie ma takiej osoby. Ten opis jest jak z powieści Conrada: mroczny, ciężki. Jest nieprawdopodobny. Ten tekst jest fikcją literacką. Osoby z tekstu, które mnie oskarżały, w śledztwie okazały się jedynie świadkami. Różnica? W tekście w Onecie „mogli” kłamać, a na policji można usłyszeć o karalności za składanie fałszywych zeznań.

Czy pozwie ksiądz dziennikarza, tak jak zapowiadał?

Już to zrobiłem. Pozew został złożony. Zostanie skrupulatnie rozliczony ze swojej publikacji.

Dlaczego dopiero po pięciu latach?

Też bym na pana miejscu o to zapytał. Nie dało się wcześniej. Podam przykład – używałem telefonu korporacyjnego. Gdy przyszedł atak, choć wydawało mi się, że nic nie mają, a sprawa ucichnie, zacząłem dzwonić do osób, które znam, z prośbą o wsparcie. Wiele z nich mówiło, że mi współczuje i coś zrobi, ale później kontakt się urywał. Potem okazało się, że parę osób mi się zwierzyło, że

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

chwilę później, po moim telefonie, dzwonił do nich Kuba Marczyński, z opowieścią, że jestem zły. Analizowano bilingi z danych korporacyjnych. To jest działanie operacyjne, służby posługują się czymś takim.

Skoro minęło tyle czasu na przemyślenia, czy ksiądz naprawdę nie ma sobie niczego do zarzucenia? Nikogo nie skrzywdził?

Przepraszam, że tak powiem, ale to głupie pytanie. Ja w Szlachetnej Paczce i „Wiośnie” nie pracowałem, nie pobierałem wynagrodzenia, ja tam poświęcałem swój czas, bo czułem misję. Miałbym chodzić tam po to, aby kogoś krzywdzić? Już nikt nie pyta, jak to zrobiłem, że powstała tak wielka i wspańska organizacja jak Szlachetna Paczka. Albo dlaczego tyle lat pracowałem za darmo. Albo jaką cenę zapłaciłem za ten trud. Jak widać, zapłaciłem wielką cenę.

Wolałbym, aby ksiądz nie odpowiadał pytaniem na pytanie.

Ale ono jest nieco obraźliwe. Po pięciu latach nie ma na mnie nic, a ja ciągle muszę się tłumaczyć. Owszem, jestem osobą wymagającą, ale nic ponad normę. Gdy kogoś zatrudniam, oczekuję, że będzie miał wyniki. Tego samego oczekuję od siebie – to tyle. Ja już nie chcę się tłumaczyć, bo wiem, że to wszystko wcześniej przygotowane.

Gdy byłem na wakacjach w 2018 roku, jeszcze przed tekstem Onetu, już szykowano grunt pod całą akcję. Gdy Joanna Sadzik przygotowywała nowe osoby do pracy ze mną, robiła to tak, że gdy się z nimi spotykałem, one już się mnie bały. Były uprzedzone i zastraszone.

Ja i ludzie? Zawsze ich było dużo wokół mnie. Cały czas pracuję z ludźmi, np. organizuję Ekstremalną Drogę Krzyżową. Gdy nie ma manipulacji, ludzie uwielbiają ze mną pracować. Oczywiście nie wszyscy. Ale nikt nie ma obowiązku być w moim środowisku, a ja nie z każdym chcę się kolegować.

Jak wygląda teraz życie księdza?

Po pierwsze jestem cały czas chory, nie mam siły. Koszmary niestety nie zniknęły. Mam w nich zapisane te wydarzenia, które wracają w snach. Chcę to pamiętać tak długo, aż wygramy. Pamiętam ze względu na skrzywdzonych,

nawet nie ze względu na siebie. Oprócz tego staram się pracować z ludźmi z top biznesu – wielu z nich to wolontariusze.

Czy kontekst religijny mógł mieć zdaniem księdza znaczenie przy całym procesie, który ksiądz opisał?

Ja patrzę na fakty. Ktoś przejął bardzo wpływową organizację, wykluczono z niej kapłanów. Religia mogła mieć znaczenie, ale wolę poczekać do końca śledztwa z ocenami. Ciekawy zbiegiem okoliczności jest fakt, że zaraz potem do prokuratury doniosła na mnie Partia Razem, do PIP Joanna Scheuring-Wielgus, oraz powstała partia „Wiosna” Roberta Biedronia. Pytano się Biedronia: dlaczego partia nazywa się „Wiosna”. To tak miła nazwa – odpowiedział.

Ma ksiądz siły, żeby dalej się modlić?

Oczywiście. Prowadzę życie duchowe, ale sporo się we mnie zmieniło. Nie jestem już w stanie po prostu zajmować się dobrymi rzeczami, wiedząc, że gdzieś obok są źli ludzie, gdy oni aktywnie weszli do mojego życia. Nie jestem już w stanie uniknąć kontaktu z nimi. Na szczęście jest wiedza ewangeliczna, która nas w takich sytuacjach chroni i mówi, co robić. Choćby: Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki. Owca to dobry człowiek, wilk zły. Tu nie chodzi o prowadzenie na rzeź, ale o walkę, aby zły człowiek stał się dobrym człowiekiem. Ewangelia opowiada dokładnie o tym, Jezus też był wpłątany w konfrontację ze złymi ludźmi – to DNA chrześcijaństwa.

Czuje ksiądz potrzebę zemsty?

Żeby było jasne – nie szukam sprawiedliwości ani zemsty. Nie mam złych emocji. Mam ten problem, że o ludziach myślę dobrze. Nawet o Schwertnerze ogólnie myślę dobrze, tylko on przyczepia się do mnie, więc muszę postawić mu granicę. Tą granicą jest prawo. Poza tym staram się zachowywać pogodę ducha. Przygotowując doniesienie do prokuratury nie spałem prawie 10 nocy, bo to wszystko ze mnie wychodziło. W Polsce nie planowałem, że będę w takich emocjach, ale wspomniany koszmar wtedy się we mnie otworzył. Na szczęście uwolniłem się od niego i już jest lepiej. Takie sytuacje są uzdrawiające.

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

Czy ksiądz nadal ufa ludziom?

A jaki mam wybór? Próbowałem żyć bez ludzi, ale się nie da. Dzisiaj, gdy nawiązuję relacje, znowu jestem otwarty. Część się udaje, część nie – trzeba próbować. Na ile sił wystarczy, chce mi się żyć pięknym życiem. A jeśli się uda – obronić i uzdrowić Szlachetną Paczkę. Innych motywacji nie mam.

Rozmowa ukazała się w internetowym wydaniu tygodnika „Wprost”

ks. Jacek WIOSNA Stryczek

Fakty, do których należy dopisać historię: Stowarzyszenie WIOSNA i SZLACHETNA PACZKA od 2018 roku. Wyimki.

Kwartalnik historyczny!? To idealne miejsce do publikacji dokumentów historycznych. A to, że historia dzieje się teraz? Tym lepiej.

Najciekawsze w tej historii jest to, że przywołane poniżej dokumenty są powszechnie dostępne, ale dziennikarze boją się kontaktu z nimi. Boją się „wiedzieć”. „Wiedzą” jedynie o tekście Janusza Schwertnera z 2018 roku i sprawie w prokuraturze. Cała reszta jest traktowana na zasadzie „słowo przeciwko słowu”. Rozumiem, że tak mogą postępować niektórzy dziennikarze. Ale wszyscy? Prawie wszyscy? To jakiś zbiorowy amok, nowa odsłona rzeczywistości.

Prawda, od 2018 roku czuję, jakbym żył w PRL-u – niby wolny kraj, ale wokoło mnie dzieje się tyle nieprawdopodobnych rzeczy! Na oczach milionów! I nikomu to nie przeszkadza. Traktuję więc moją publikację jako przekaz wiedzy w „drugim obiegu”. To idealne miejsce dla tych dokumentów. Dobrze, że jest „Opinia”!

Tekst Schwertnera z 20.09.2018 roku

„Zemdlała znowu. Odwieźli ją na SOR, bo upadając, uderzyła się w głowę. Dziękowała Bogu, że chociaż przez tydzień odpocznie od księdza. Skwitował: «Nie róbcie z tego afery. Pewnie znowu któraś jest w ciąży»” – tym zdaniem

rozpoczyna się nagradzany tekst. Problem polega na tym, że przez 5 lat nie znaleziono tej kobiety. Szukała jej prokuratura, szukał Schwertner, szukali moi wrogowie w Wiośnie. I nic. Dlaczego? Bo to fikcja literacka. Taki jest cały ten tekst.

750 przesłuchanych przez prokuraturę świadków i nic. Swoją drogą, jeśli prokuratura wkłada taki wysiłek, aby „wykryć” mobbing w Stowarzyszeniu WIOSNA, to chyba nie ma zasobów na inne, zapewne poważniejsze sprawy. Mam sporo materiałów odnośnie samego tekstu i jego kontekstów, ale nie wszystko od razu.

Szymon Jadczak

Jak to dobrze, że istniał Twitter, zawsze dostępny. Dzięki niemu możemy mieć dostęp do zakamarków świadomości np. właśnie wspomnianego Jadcza.



20.06.2020 roku

Okazało się, że Szymon Jadczak, oprócz wielu innych spraw, śledzi również mojego Facebooka. Wiedziałem o tym od kilku miesięcy. Nawet napisałem do niego, że jeśli potrzebuje, to chętnie udzielę mu informacji. Nie skorzystał.

Ten tweet mówi wszystko: dostał zlecenie od swojego przyjaciela – Schertnera, by mnie zaatakować, gdy opublikowałem książkę. Zapowiadałem, że ją piszę. Zapewne bali się, że opowiem w niej prawdziwe historie o ataku. Jadczak książki nie czytał, ale zgodnie ze zleceniem wykazał, że się w niej kompromituję jako wstrętny mobber. Wyjaśniam: książka jest o przebaczeniu, ale jak widać, współpraca kwitnie.

Metoda ataków z różnych źródeł była stosowana od początku. Wiadomo: wtedy nie ma się jak bronić, bo z wszystkimi nie można walczyć.



31.12.2021 roku

„Dziennik Polski” publikuje śledztwo dziennikarskie odnośnie tekstu Schwertnera. Pokazuje w nim, że żaden z bohaterów tekstu w dochodzeniu nie jest oskarżycielem, ale jedynie świadkiem. Wiadomo, w Onecie można mówić

i pisać wszystko, a w prokuraturze świadek jest pouczony o odpowiedzialności prawnej za składanie fałszywych zeznań. Dla Szymona Jadcza to musiał być kolejny „słaby” wieczór.

Krótką analizę tekstu:

„Prokuratura wykonała kupę roboty”. Warto podkreślić, że Jadcza jest dumny z pracy prokuratury. Podoba mu się, że na świadków powoływane są również osoby, które mnie nie znały osobiście, a nawet nigdy nie widziały. Byłe śledztwo trwało jak najdłużej. Chwalący Jadcza to wyjątkowy przypadek!

„Uratować Szlachetną Paczkę przed ludźmi ks. Stryczka” – a to ciekawe! To już nie tylko ja jestem zły, ale również inne osoby, które tworzyły Paczkę. 18 lat rozwoju projektu, bez żadnych zarzutów – a tu trach: trzeba ratować Paczkę przed jej twórcami. Wiadomo, już nie chodzi jedynie o usunięcie mnie ze Stowarzyszenia WIOSNA, ale po prostu o wymianę ludzi, czyli przejęcie organizacji.

„Przy załatwianiu wpisów do KRS” – znamienne słowa. Ciekawe, jak się załatwia wpisy? Jak to może zrobić prokuratura? Skąd Jadcza ma wiedzę o tym, co zostało załatwione przez prokuraturę w KRS-ie? Z kim o tym rozmawiał? Oj, to musiał być dla niego ciężki dzień.

Ten wpis pokazuje kilka ciekawych rzeczy: jest jakaś grupa, wrogiem jestem nie tylko ja, ale są nimi także osoby ze mną związane, twórcy Paczki (w domyśle: następuje wymiana „kadry”; ktoś załatwiał wpisy – cokolwiek to znaczy). No, sporo opowiedział w jednym wpisie.

„W tym kontekście zarzuty Dziennika Polskiego są jeszcze głupsze” – ciekawe zdanie. Upominające. Ktoś popełnił błąd, że taki tekst się pojawił. Głupi błąd.

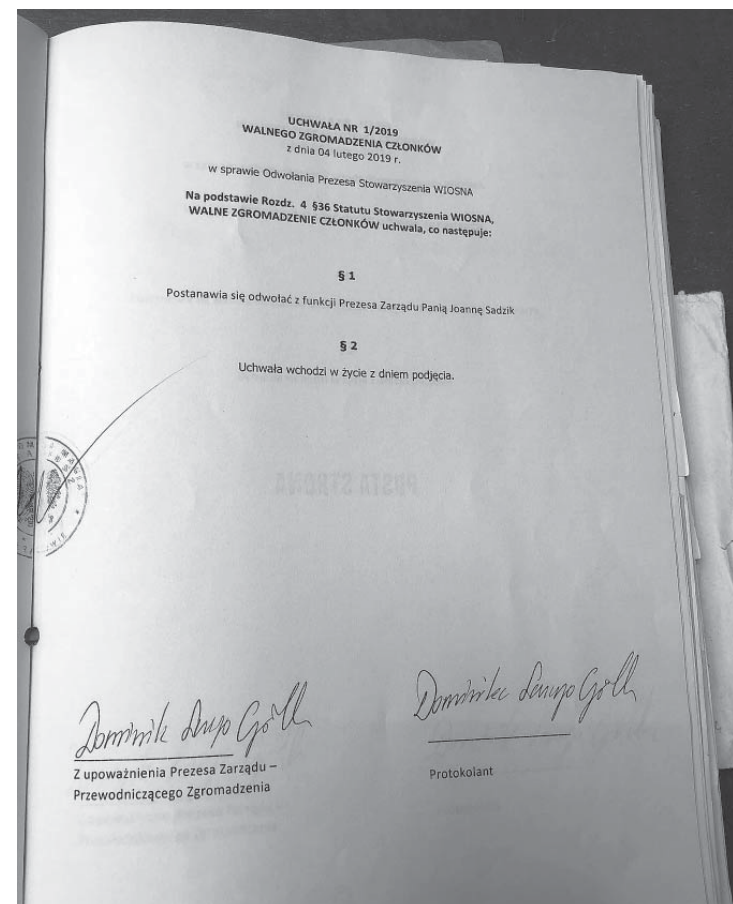
Warto sobie zadać pytanie, jaką Jadcza miał motywację, aby to napisać. Czy mu się „chlapnęło”? Czy to miał być szantaż, że ujawni, kto i co załatwiał? A może to miała być mobilizacja grup wewnętrznych?

Każdy może sobie sam na to odpowiedzieć. Kolejne dokumenty pokażą, jaki w praktyce był sens tych słów.

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

Swoją drogą, pewnie wiele osób wie, jakie dodatkowe funkcje społeczne pełnią takie osoby jak Schwertner i Jadcza.

Odwołanie Joanny Sadzik



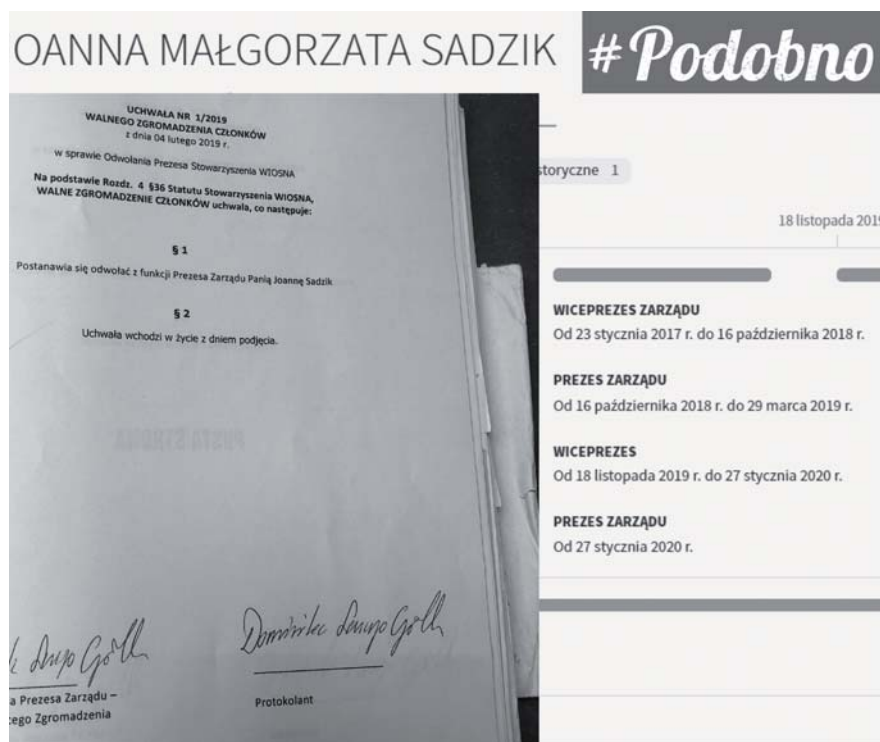
4 lutego 2019 roku Joanna Sadzik została odwołana. Walne było burzliwe. Mamy sporo dokumentów związanych z tym walnym, w tym szerokie uzasadnienie prawne (52 strony!), dlaczego nie może być prezesem. Odwołaliśmy ją. Równocześnie Sadzik zrezygnowała z bycia członkiem Stowarzyszenia WIOSNA. Z pełnienia funkcji w zarządzie zrezygnowali wtedy także Jakub

Marczyński, Anna Wilczyńska i Dominika Langer-Gniłka. Kuba – bo wszyscy byliśmy w przyjacielskich relacjach od lat (poza Sadzik) – zrezygnował też z członkostwa w stowarzyszeniu.

Na prezesa walne wybrało ks. Grzegorza Babiara. Okazało się, że przy wyborze ks. Grzegorza popełniliśmy błąd prawny: kandydat na prezesa według statutu powinien być członkiem Stowarzyszenia WIOSNA. Ks. Grzegorz było wolontariuszem, nawet pracował w biurze, ale członkiem stowarzyszenia nie był. To był błąd prawny – ryzyko walnego, wynikające z napiętej atmosfery panującej podczas obrad. Mieliśmy w razie wątpliwości uważać jego wybór za tydzień, 11 lutego. Jak się okazało, nigdy do tego nie doszło.

Co można na ten temat znaleźć w KRS-ie?

Oto zestawienie dokumentów.



A to zaskoczenie. Joanna Sadzik odwołana z funkcji prezesa, a w KRS-ie jednak nie została odwołana. „Podobno” to stworzony przeze mnie concept medialny. W świecie mediów „podobno”, gdzie publikuje się dla zasięgów i na wszelki wypadek nikt nikogo nie sprawdza, okazuje się, że ta marka pasuje również do KRS-u. Podobno odwołana, ale podobno nie.

Szymon Jadczak miał jednak rację, że ktoś coś załatwiał w KRS-ie. Okazuje się, że w wolnym kraju obywatele powołują stowarzyszenie, odwołują i powołują zarząd, a i tak można wszystko załatwić tak, „aby było dobrze”. Pytanie: dla kogo dobrze? Myśl jak detektyw – kto i jakie ma korzyści.

Za tym jednym zestawieniem kryje się cała historia. W tym dokumencie ujawnię jedynie jej fragmenty.

Kurator w Stowarzyszeniu WIOSNA

Notatki ze strony <https://publicystyka.ngo.pl/kurator-w-stowarzyszeniu-wiosna>

Oświadczenie kuratora Karola Tatary. Czytamy w nim: „Postanowieniem z dnia 20 maja 2019 r. Sąd Rejonowy dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, ustanowił radcę prawnego Karola Tatarę kuratorem Stowarzyszenia WIOSNA ze względu na nieposiadanie przez to Stowarzyszenie zarządu zdolnego do działań prawnych, to jest w oparciu o art. 30 ustawy – Prawo o stowarzyszeniach (sygn. akt: KR.XI.Ns-Rej KRS 11792/19/504). Kurator jest zobowiązany do zwołania w okresie nie dłuższym niż sześć miesięcy Walnego Zebrania (Zgromadzenia) Członków Stowarzyszenia WIOSNA w celu wyboru Zarządu. Jeżeli niezbędne czynności nie zostaną zakończone przed upływem tego okresu, Sąd może go przedłużyć nie dłużej niż o sześć miesięcy. Do czasu wyboru Zarządu kurator reprezentuje Stowarzyszenie WIOSNA w sprawach majątkowych wymagających bieżącego załatwienia.

W celu zrealizowania zadań, do których kurator został ustanowiony, w dniu 20 maja 2019 r. kurator rozpoczął zabezpieczanie majątku Stowarzyszenia WIOSNA oraz inwentaryzację dokumentacji. Kurator rozpoczął pracę w sie-

dzibie Stowarzyszenia sprawnie i bez przeszkód, m.in. spotkał się z dotychczasowym Zarządem, dyrektorami poszczególnych działów oraz pracownikami Stowarzyszenia. Po dokonaniu koniecznych analiz stanu faktycznego i prawnego (m.in. w zakresie ustalenia listy Członków Stowarzyszenia WIOSNA), kurator niezwłocznie podejmuje czynności zmierzające do wyboru Zarządu przez Walne Zgromadzenie Członków Stowarzyszenia”.

Tyle notatka. A efekty pracy kuratora? Widać we wpisie do KRS-u. Jedno jest pewne. Mieliśmy (my, czyli ludzie ks. Stryczka) wciąż większość na walnym. Jeśli kurator pracowałby zgodnie ze wskazanym zakresem kompetencji, wybralibyśmy zarząd zgodny z historyczną linią Wiosny. Opracowanie działań kuratora Karola Tatary wymaga osobnych działań. Być może ten tekst pobudzi kogoś do podjęcia się tej pracy. Jest dużo dokumentów, faktów. Ja jedynie zasignalizuję niektóre wydarzenia.

Poprosiliśmy KRS, aby uszczegółowił zakres zadań kuratora. Sprowadzał się on do przygotowania ważnego walnego i wybrania nowego zarządu. W tym czasie kurator:

1. Zwoływał konferencję prasową – w tym w jednym z filmów upominał mnie, choć nie byłem stroną w jego postępowaniu.
2. Przywrócił do pracy wcześniej zwolnioną dyscyplinarnie (nie odwołała się) Joannę Sadtik.
3. Podważył niektóre umowy podpisane przez ks. Grzegorza Babiara. Ks. Babiara podpisał w tym czasie wiele dokumentów, ale zakwestionowane zostały jedynie te, które dotyczyły umowy z osobami, które przez kuratora zostały uznane za wrogie. Co więcej, Tataara zwołał konferencję prasową, na której omawiał te umowy. I tu dwie ciekawostki. Ksiądz Grzegorz podpisał umowę np. z asystentem. Kurator podważył tę umowę i publicznie zganił ks. Babiara. Podważył też umowę z pewnym znanym publicystą, ale w tym przypadku nie podał do wiadomości publicznej jego nazwiska. Zresztą, z tego podważania przez niego umów nic nie wyniknęło.

4. Kurator forsował zarząd „dwa na dwa”, czyli dwie osoby z „mojego stronnictwa”, dwie z drugiej strony. Mimo wielu upomnień z mojej strony, aby szanował demokrację, „wygzekwował” właśnie taki zarząd.
5. Swoim postępowaniem doprowadził do takiego zamętu, że pracując w Stowarzyszeniu WIOSNA, potrzebował „wsparcia, a na zwołane przez siebie walne wezwał dwa samochody prewencji policji. Zresztą doszło do szturmowania pracowników Wiosny na budynek, w którym odbywało się walne.
6. Samo walne było pełne „złych emocji”. W tym choćby wystąpienia przedstawicieli sponsorów, którzy poinformowali walne, że jeżeli nie wybierze takiego zarządu, jaki oni sobie życzą, to koniec z „kasą”. Na razie nie upubliczniam nazwisk i reprezentowanych przez nich firm, spółek, ale są świadkowie.

Oto oświadczenie zarządu: <https://www.wiosna.org.pl/aktualnosci/oswiadczenie-zarządu-stowarzyszenia-wiosna-z-dnia-24-czerwca-2019-r/>

„Oświadczenie Zarządu Stowarzyszenia WIOSNA z dnia 24 czerwca 2019 r.

Realizując ustalenia przyjęte 19 i 20 czerwca 2019 roku podczas Walnego Zgromadzenia Członków Stowarzyszenia WIOSNA, jego nowo wybrany Zarząd w składzie Anna Wilczyńska (Prezes Zarządu), Dominika Langer-Gniłka (Wiceprezes Zarządu), Anna Korzycka (Wiceprezes Zarządu) oraz Łukasz Słoniowski (Wiceprezes Zarządu) podjął dziś, tj. 24 czerwca 2019 roku, uchwały, które formalizują zawarte w środę porozumienie.

Ich najważniejsze postanowienie to zapewnienie reprezentatywności poszczególnych grup prowadzących projekty WIOSNY – w taki sposób, aby formuła Stowarzyszenia w dojrzały sposób oddawała to, czym WIOSNA stała się przez ostatnie lata: ruchem społecznym współtworzonym przez setki tysięcy osób. By zrealizować ten cel do grona członków Stowarzyszenia dołączą reprezentanci pracowników, wolontariuszy, ekspertów i partnerów. Odbędzie się to w drodze odpowiednich uchwał Zarządu podjętych po konsultacjach z dotych-

czasowymi członkami Stowarzyszenia przed najbliższym zwyczajnym Walnym Zgromadzeniem, tj. w lipcu br.

Zarząd WIOSNY potwierdził też w uchwale, że nie będzie wyciągać konsekwencji w stosunku do sygnalistów – osób, które w ostatnich miesiącach informowały media o nieprawidłowościach w Stowarzyszeniu. Potwierdzono również, że Joanna Sadzik, do 4 lutego Prezes Zarządu WIOSNY, będzie pełniła w Stowarzyszeniu funkcję Dyrektora Zarządzającego”.

Kilka faktów:

1. Walne z dnia 19 i 20.06.2019 roku, czyli było długo, bardzo długo. I bardzo burzliwie. Co ciekawe, przed budynkiem stali dziennikarze, fotoreporterzy, mimo to w mediach nie pojawiły się zdjęcia z Joanną Sadzik na czele szturm na budynek, w którym odbywało się walne.
2. Zarząd był „dwa na dwa”. O tym, dlaczego, kto „zdradził”, mimo tego, że mieliśmy większość, oraz jakie „szły szantaże” zapewne już w innym dokumencie.
3. „Dojrzała formułą Stowarzyszenia Wiosna” to dotychczasowi członkowie i reszta. Takie wartości jak demokracja, prawa, własność, idea się nie liczą.
4. Jednak Joanna Sadzik jest ważna. Nic to, że walne ją odwołało. Nic to, że została zwolniona dyscyplinarnie. Ma być, to jest.

Jako ciekawostkę podam, że Karol Tatara jest prezesem Ars Legis – Stowarzyszenie im. św. Ivo Helory – Patrona Prawników. W mojej opinii „utopił” dwóch księży: mnie i ks. Grzegorza Babiara. W czasie jego kurateli ukazało się wiele atakujących nas artykułów, „sygnaliści” wynosili pod boki kuratora dokumenty, publicznie byliśmy niszczeni i szantażowani. Łącznie z tym, że tuż przed walnym „Gazeta Wyborcza” atakowała personalnie członków Stowarzyszenia. Że też tak duże medium zajmowało się tak przyziemnymi osobami, jak członkowie Stowarzyszenia!

Gdyby nie kuratela Karola Tatary, historia Stowarzyszenia Wiosna potoczyłaby się zupełnie inaczej. Osobiście „zawdzięczam” mu wiele złego – przepraszam za wtręt, ale to też jest prawda historyczna. Jest nią niszczenie mnie, lincz

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

medialny, wykorzystywanie zasobów organizacji, którą wykorzystują w niewłaściwych celach, jak również narażenie mnie na utratę zdrowia i życia.

Wracamy do wcześniejszych wydarzeń. Przypominam: na walnym 4.02.2019 roku odwołaliśmy Joannę Sadzik z funkcji prezesa Stowarzyszenia WIOSNA. Ponieważ na tym walnym było dużo negatywnych emocji, postanowiliśmy je dokończyć 11 lutego. To miało być spotkanie pojednawcze. Dla nas kluczowa była zmiana Sadzik. Reszta – do dogadania. Chcieliśmy wysłuchać „drugą stronę”. Piszę „drugą stronę”, choć do tej pory byliśmy jednością: wszyscy członkowie walnego, pracownicy. Swoją drogą, jedynym poniekąd „obcym” członkiem walnego była właśnie Sadzik – nie z naszego środowiska, nie ze świata naszych relacji. No tak, sam ją tam zaprosiłem. Jestem gotowy, aby opowiedzieć o tym szczegółowo. Z mojej strony to był pewien kompromis między idealizmem a funkcjonowaniem organizacji, ale wtedy jeszcze nikt z nas nie rozumiał, co się dzieje. Tak, popełnialiśmy błędy.

Oto kluczowy dokument z KRS-u. Taki piękny zapis historii...

„Sygn. akt KR XI NS Rej. KRS 5820/19/833

Kraków, dnia 28 marca 2019 r. Referendarz Sądowy Justyna Krawczyk-Rosiek

Wykonano przedłożenie dnia 29 mar 2019r. Protokolant sądowy Bożena Czopek

Sek./proszę:

1. przygotować projekt postanowienia o zmianie wpisu z urzędu – wpis na podstawie art.12 ust. 3, przy uczestnictwie: Stowarzyszenia Wiosna z siedzibą we Krakowie reprezentowanego przez prezesa zarządu Grzegorza Babiara i Stowarzyszenia Wiosna z siedzibą w Krakowie reprezentowanego przez prezesa zarządu Joannę Sadzik

I. wykreślić

dział 2 rubryka 1 wykreślić członków zarządu: Dominika Langer-Gniłka, Joanna Małgorzata Sadzik, Anna Kamila Wilczyńska, Jakub Jan Marczyński

Uzasadnienie

Pismem z dnia 25 lutego 2019 r. Stowarzyszenie Wiosna z siedzibą w Krakowie reprezentowane przez prezesa zarządu Grzegorza Babiara wniosło o wszczęcie postępowania w celu wykreślenia z Rejestru danych niedopuszczalnych na podstawie art. 12 ust. 3 ustawy z dnia 20 sierpnia 1997r. o Krajowym Rejestrze Sądowym (t.j. Dz.U. z 2018r., poz. 986) poprzez wykreślenie z Krajowego Rejestru Sądowego zarządu w składzie: Dominiki Langer-Gniłka, Joanny Sadzik, Anny Wilczyńskiej i Jakuba Jana Marczyńskiego oraz wpisanie Grzegorza Babiara jako prezesa zarządu oraz zobowiązanie Joanny Sadzik do złożenia protokołu z Walnego Zebrania Członków Stowarzyszenia, które odbyło się dnia 4 lutego 2019 r. W uzasadnieniu pisma wskazano, iż na Walnym zebraniu Członków Stowarzyszenia w dniu 4 lutego 2019 r., którego protokołu Stowarzyszenie Wiosna z siedzibą we Krakowie reprezentowane przez prezesa zarządu Grzegorza Babiara nie ma, a jest ono w posiadaniu Stowarzyszenia Wiosna z siedzibą w Krakowie reprezentowanego przez prezesa zarządu Joannę Sadzik, doszło do odwołania ówczesnego prezesa zarządu Joanny Sadzik, przyjęto rezygnacje złożone przez pozostałych członków zarządu oraz powołano nowego prezesa zarządu Grzegorza Babiara.

Postanowieniem z dnia 5 marca 2019 r. zostało wszczęte postępowanie w trybie art. 12 ust. 3 ustawy o Krajowym Rejestrze Sądowym (t. j. Dz. U. z 2018 r., poz. 986) o wykreślenie z Rejestru danych niedopuszczalnych i wezwano uczestnika Stowarzyszenia WIOSNA z siedzibą w Krakowie do złożenia pisemnego oświadczenia w trybie art. 12 ust. 3 ustawy o Krajowym Rejestrze Sądowym - w terminie 7 dni pod rygorem pominięcia stanowiska oraz wezwano p. Joannę Sadzik do przedłożenia protokołu z Walnego Zebrania Członków Stowarzyszenia, które odbyło się w dniu 4 lutego 2019 r. w oryginale lub urzędowo poświadczonym odpisie – w terminie 7 dni pod rygorem nałożenia grzywny w trybie art. 251 k.p.c.

W odpowiedzi na powyższe wezwania Stowarzyszenie Wiosna z siedzibą w Krakowie reprezentowane przez prezesa zarządu Joannę Sadzik podniosło, że członkowie zarządu Dominika Langer-Gniłka, Anna Wilczyńska i Jakub Jan Marczyński cofnęli w dniu 11 lutego 2019 r. swoje rezygnacje złożone

w dniu 4 lutego 2019 r., a na Walnym Zgromadzeniu Członków Stowarzyszenia w dniu 11 lutego 2019 r. potwierdzono ich mandaty oraz odwołano prezesa zarządu Grzegorza Babiara i powołano na tę funkcję Joannę Sadzik. Do pisma dołączono dokumenty poświadczone przez występującego w sprawie pełnomocnika, będącego adwokatem w postaci: odpisu protokołu z Walnego Zgromadzenia Członków z dnia 4 lutego 2019 r. oraz z dnia 11 lutego 2019 r. wraz z listami członków uprawnionych do głosowania, dokumentów rezygnacji członków zarządu: Dominiki Langer-Gniłka, Anny Wilczyńskiej i Jakuba Jana Marczyńskiego wraz z dowodem otrzymania przez prezesa zarządu Joannę Sadzik oraz wycofania rezygnacji przez powyższe osoby z dnia 11 marca 2019 r. Natomiast Joanna Sadzik przedłożyła urzędowo poświadczony odpis protokołu z dnia 4 lutego 2019 r. wraz z podjętymi na nim uchwałami.

Sąd zważył, co następuje:

Zgodnie z art. 12 ust. 3 ustawy z dnia 20 sierpnia 1997r. o Krajowym Rejestrze jeżeli w Rejestrze są zamieszczone dane niedopuszczalne ze względu na obowiązujące przepisy prawa, sąd rejestrowy, po wysłuchaniu zainteresowanych osób na posiedzeniu lub po wezwaniu do złożenia oświadczenia pisemnego, wykreśla je z urzędu.

Z analizy przedłożonych przez strony dokumentów wynika, że członkowie zarządu złożyli skuteczną pisemną rezygnację z zajmowanych funkcji w zarządzie na ręce prezesa zarządu, a utratę mandatów stwierdziło Walne Zgromadzenie Członków (par. 36 statutu stowarzyszenia) w dniu 4 lutego 2019 r.,

a

zatem w tym dniu wygasły mandaty w zarządzie Dominiki Langer-Gniłka, Anny Wilczyńskiej i Jakuba Jana Marczyńskiego, a prezes zarządu Joanna Sadzik została odwołana przez powyższe Walne Zgromadzenie Członków. Odnosnie zaś cofnięcia oświadczeń o rezygnacji Dominiki Langer-Gniłka, Anny Wilczyńskiej i Jakuba Jana Marczyńskiego należy uznać je za niedopuszczalne, albowiem doszły do adresata później niż oświadczenie o rezygnacji. Zgodnie bowiem z art. 61 par. 1 k.c. świadczenie woli, które ma być złożone innej osobie, jest złożone z chwilą, gdy doszło do niej w taki sposób, że mogła zapoznać się z jego treścią. Odwołanie takiego oświadczenia jest skuteczne, jeżeli doszło

jednocześnie z tym oświadczeniem lub wcześniej. Zatem nieskuteczne również było potwierdzenie mandatów członków zarządu dokonane przez Walne Zgromadzenie Członków Stowarzyszenia w dniu 11 lutego 2019 r. oraz ponowne powołanie prezesa zarządu Joanny Sadzik.

W związku z powyższym wpis do Rejestru danych prezesa zarządu Joanny Sadzik oraz członków zarządu Dominiki Langer-Gniłka, Anny Wilczyńskiej i Jakuba Jana Marczyńskiego jest niedopuszczalny, dlatego należało dane te wykreślić. Natomiast w ramach niniejszego postępowania sąd rejestrowy nie dokonał wpisu danych nowego prezesa zarządu, nie przesądzając jednocześnie o skuteczności jego powołania, albowiem nie służy tremu tryb art. 12 ust. 3 ustawy z dnia 20 sierpnia 1997r. o Krajowym Rejestrze Sądowym. Nowy prezes zarządu, w przypadku jego skutecznego powołania powinien złożyć wniosek o zmianę wpisu (załączając oświadczenie o adresie do doręczeń nowego prezesa zarządu) bądź wniosek o zmianę wpisu z urzędu w trybie art. 24 ust. 6 powyższej ustawy (mając na uwadze par. 30 ust. 2 statutu stowarzyszenia).

Z tych przyczyn na podstawie powołanych przepisów Sąd orzekł jak w sentencji postanowienia.

2. kal. 3 dni.

Podpis jak na początku”.

Co wynika z tego jednego tylko dokumentu. Fakty:

1. Joanna Sadzik została ważnie odwołana z funkcji prezesa Stowarzyszenia Wiosna.
2. Miała obowiązek dostarczyć do KRS-u protokół z walnego z 4.02.2019 roku.
3. Nie dostarczyła tego dokumentu, ale protokół z walnego z 11.02.2019 roku, który KRS uznał za nieważny.
4. 11.02.2019 roku doszło do incydentu: Anna Wilczyńska i Dominika Langer-Gniłka pisemnie cofnęły swoją rezygnację z członkostwa w zarządzie Stowarzyszenia Wiosna, po czym weszły do gabinetu ks. Grzegorza Babiara, pokazały „papiery” i stwierdziły, że jest zatem trzysobowy zarząd, a następnie rozpoczęły głosowanie dwa do jednego, dodając do walnego „swoich” członków.

5. Uzyskując większość, dzięki nowym członkom, jakoby zwołały walne 11.02.2019 roku. To pseudowalne poprowadziła Dominika Langer-Gniłka. „Walne” odwołało ks. Babiara z funkcji prezesa i ponownie powołało na tę funkcję Joannę Sadzik oraz dokooptowało do zarządu osoby, które wcześniej złożyły rezygnację.
6. W sprawie występował pełnomocnik – adwokat Grzegorz Abram. W czasie pseudowalnego wręczył mi wizytówkę kancelarii <https://www.cliffordchance.com/>
7. To on oficjalnie reprezentował 11.02.2019 roku Sadzik, Langer-Gniłek, Wilczyńską i dokooptowanych członków walnego, w tym niezwykle agresywnego Konrada Kruczkowskiego, który obecnie jest wiceprezesem Stowarzyszenia Wiosna. Są świadkowie.

Z nieoficjalnych informacji wiemy, że w przerwie między 4 a 11 lutego 2019 roku konsultantem i mentorem Joanny Sadzik była Sylwia Gregorczyk-Abram, żona Grzegorza Abrama. Być może brała również udział w walnym, ale zdalnie. Tego nie pamiętam, należy tę informację potwierdzić.

Historia

Oto notatka, którą sporządziłem i przesłałem do prokuratury już w dwóch różnych dokumentach. Pierwszy raz w roku 2021, a drugi obecnie, zgłaszając do prokuratury podejrzenie działania zorganizowanej grupy przestępczej.

„Złożyłem rezygnację. Walne wybrało nową Prezes. Sam na nią głosowałem. Wtedy wydawało mi się, że to jedyny wyjście. Oczywiście wielu rzeczy nie wiedziałem. Konsekwencje? Ludzie WIOSNY, w tym Joanna Sadzik, w rozmowach z różnymi osobami sugerowali, że zarzuty są prawdziwe. Ale to było za mało. Prawdopodobnie śledzili moje bilingi (miałem służbowy telefon). Mam potwierdzenie kilku przypadków, gdy do kogoś dzwoniłem, a zaraz potem odzywał się do tych osób Jakub Marczyński. Co więcej, podczas słynnego wejścia «gromowca» jedna z osób z zarządu pochwaliła się/przyznała, że śledzili moje bilingi, dzięki czemu wiedzieli, jak często ks. Grzegorz ze mną rozmawiał. To miało stworzyć efekt psychologiczny, aby go dobić i odciąć od konsultacji ze mną. Udało się.

4 lutego 2019 roku walne wybrało ks. Grzegorza na prezesa. Większość walnego była zdegradowana zachowaniem Joanny Sadzik. Z czasem okazało się, że sąd podważył tryb wyboru, ale wtedy nie byliśmy tego świadomi. Byliśmy gotowi uważać głosowanie. Ponieważ na walnym 4 lutego było dużo niepokoju, a członkowie walnego to idealisci, ludzie pokoju, postanowiono, że druga część rozmowy odbędzie się 11 lutego. Jednak 11 lutego najpierw nastąpiło cofnięcie rezygnacji z funkcji wiceprezesa Anny Wilczyńskiej i Dominiki Langer-Gniłki, a następnie stworzyły one „zarząd”, i większością głosów dokooptowały członków walnego, tak aby mieć większość. Gdy przyszliśmy na to walne, zastaliśmy zbuntowanych członków walnego i dodatkowo przedstawicieli wielkich korporacji prawniczych. Trwały wielogodzinne negocjacje. Nie chcieliśmy jednak zgodzić się na ten stan prawny (czyli zaakceptowanie dokooptowanych członków). Dominika Langer-Gniłka przeprowadziła walne z niezgodnie z prawem dokooptowanymi członkami i wybrano nowy zarząd. Dokumentacja jest w sądzie, który zresztą odniósł się krytycznie do całej tej sytuacji. Pokazuje to jednak strategię i siłę współdziałania. Prawnicy, którzy wspierali Joannę Sadzik, oczywiście wiedzieli o tym, że jest to działanie niezgodne z prawem. Ale liczyli na to, że popełnimy błędy, nie będziemy się bronili. Trwały też ataki na Krakowską Kurię, wymuszające na niej, by interweniowała. Wiadomo, że odsunięcie mnie, czy ks. Grzegorza, dyskredytacja, bardzo by im ułatwiła sprawę. Paula Wolecka, jedna z pracownic Działu PR w WIOŚNIE w tamtym czasie, w rozmowie przyznała: po odwołaniu Joanny zadzwoniliśmy do Janusza Schwertnera. Był wtedy na urlopie, ale obiecał pomoc. I tak się stało. Każdego dnia szły teksty o tym, jak ja i ks. Grzegorz jesteśmy złymi ludźmi. Ksiądz Grzegorz jeszcze nic nie zdążył zrobić, a już stał się złym człowiekiem”.

Joanna Sadzik i Bogdan Rymanowski – „Polsat News”, 23.11.2023 r.

Fragmenty wywiadu, transkrypcja AI (zachowany oryginalny, dosłowny zapis)

Bogdan Rymanowski:

Ale właśnie ksiądz mówi w wywiadzie, zresztą mówił to w „Polsat News” niedawno, że od początku, to jest jakby... cytat, cytuję księdza Stryczka: miała

„MIAŁEM UMRZEĆ. ŻYJĘ I BĘDĘ WALCZYĆ O PRAWDĘ O SZLACHETNEJ PACZCE”

istnieć grupa w organizacji, w której była również pani, która chciała przejąć struktury Paczki po to, żeby mieć władzę, w tej bardzo popularnej i wpływowej organizacji i – co więcej – uważa, że teraz już pozbyto się z tej organizacji, z tego stowarzyszenia, kapłanów.

Joanna Sadzik:

To nie jest prawda... To nie jest prawda, po prostu. Bardzo przykro tego słuchać, bo po ludzku to jest krzywdzące. Krzywdzące dla mnie osobiście, ale też dla zarządu, dla członków stowarzyszenia, którzy... Mamy wśród członków stowarzyszenia również osoby, które w Szlachetnej Paczce są od wielu, wielu lat i były przyjaciółmi księdza Stryczka. Ja zostałam wybrana przez stowarzyszenie na funkcję prezesa w 2018 roku. Wybrali mnie ci sami ludzie, przed którymi ksiądz Stryczek zrezygnował. Rzeczywiście nasze drogi się rozeszły. Mogę powiedzieć, że..

Bogdan Rymanowski:

On tutaj zastrzega, że... przepraszam, że przerwę..., że właśnie wtedy w 2019, podczas walnego zgromadzenia, wybrano panią w sposób nielegalny.

Joanna Sadzik:

To był drugi wybór już, ale.. okej... Potem... To było 5 lat temu. 5 lat temu pochyliła się nad tym prokuratura, pochylił się nad tym sąd. Wszystko zostało uporządkowane. Od 2019 roku, od czerwca sytuacja prawna stowarzyszenia jest jasna. Wypowiadały się kolejne instancje sądów, że tak, jesteśmy zupełnie w innym miejscu. Te wszystkie sprawy są zakończone. Mi jest bardzo przykro tak po ludzku też, bo to jest nasz założyciel i nie gumujemy go. Jest na naszej stronie internetowej informacja o księdzu, który założył i tak, bez niego nie byłibyśmy w tym miejscu, w którym jesteśmy.

Mój komentarz:

Ci sami ludzie wybrali Sadzik na prezesa, a potem ci sami ją odwołali. Takie małe kłamstwo.

„Mamy wśród członków osoby, które są od wielu lat”. Z tym, że wszystkie te osoby (poza jedną), które głosowały za odwołaniem Sądzik, zostały ze Stowarzyszenia usunięte – łącznie ze mną. Jak to mówią: Sądzik musi być.

„To był drugi wybór”. Był drugi i trzeci, i następne. Problem jest z tym, że Sądzik zapomniała dodać, że oszukała sąd, dostarczając mu dokument ze spreparowane walnego. Czy to jest mały, czy duży grzech?

Wypowiadały się kolejne instancje sądów. Jak to napisał Jadcza, prokuratura pomogła...

„Nie gumujemy go” – to jedno sformułowanie jest warte rozwinięcia. To taka mała dyskredytacja. Kto je wymyślił? Kto szkolił? Ale to już zupełnie inna opowieść.

To jedynie mały wycinek dokumentacji dotyczącej „eliminacji ludzi ks. Stryczka” ze Stowarzyszenia Wiosna. I chociaż ktoś załatwił to w KRS-ie, uważam, że tak niemoralne, a prawdopodobnie również niezgodne z prawem działanie powinno zostać ukarane, a do Wiosny powinni wrócić idealisci. Sam nie zamierzam wracać. Moja misja tam jest już zakończona.

Teraz, gdy coraz wyraźniej widać, że chodziło o przejęcie organizacji i jej potencjału, wpływu społecznego i widać owoce tych działań w postaci ujawnianych kolejnych nadużyć, tym bardziej powinniśmy my, ludzie dobrej woli, zawalczyć. Liczę na to, że dokumenty opublikowane w tym miejscu skłonią kolejne osoby: prawników, historyków, dziennikarzy i prokuratorów do zgłębienia faktografii.

Jednak PRL się skończył. Czas przywrócić wolność ideałom. Kłamstwo i nieprawość nie mogą zwyciężać.

DR WOJCIECH BŁASIAK

PRAWO DUVEREGERA CZYLI DLACZEGO JAROSŁAW KACZYŃSKI MUSIAŁ PRZEGRACĆ TE WYBORY

Polskie i polskojęzyczne media pełne są analiz przyczyn klęski wyborczej partii Jarosława Kaczyńskiego w wyborach AD 2023. Analiza tych przyczyn jest w większości mniej lub bardziej słuszna. Ale nie dotyka istoty przegranej.

Przyczyny porażki wyborczej

Te analizowane przyczyny to nade wszystko niezdolność do budowy narodowej siły państwa; siły jego oświaty, nauki, ochrony zdrowia i przede wszystkim siły jego narodowej gospodarki, z silnym prywatnym i państwowym polskim kapitałem. Ta niezdolność była wynikiem kunktatorskiej i kompradorskiej, acz i nieudolnej wobec Brukseli i Waszyngtonu polityki wewnętrznej i zagranicznej, maskowanej buńczuczna i prostacką propagandą pseudopatriotyczną. Aż po prozaiczne przyczyny drażniącego wyborców zadufania i arogancji rządowych polityków, z jawnym i ogromnym przekupywaniem świadczeniami pieniężnymi dużych grup społecznych, przy równoczesnej degradacji płacowej i społecznej służb publicznych, z nauczycielami w roli głównej. Szczególnie oburzająca była właśnie degradacja ekonomiczna 700 tys. nauczycieli: dla zobrazowania, nauczyciel dyplomowany zarabia obecnie 4 550 zł brutto, a pomoc kuchenna w stołówce w tej samej szkole blisko 5 700 zł brutto.

Ale te wszystkie przyczyny przy innej konfiguracji koniunktur na polskiej scenie politycznej mogły nie wystarczyć. Jarosław Kaczyński, bo to on jest bezpośrednią i personalną przyczyną porażki wyborczej PiS, musiał te wybory przegrać. Musiał, gdyż od lat jego strategia polityczna opiera się na założeniu, iż, jak to sam ongiś ujął – „na prawo (od nas – WB) ma być tylko ściana”.

A jest to strategia oparta na niezrozumieniu własnych interesów, co potocznie nazywa się głupotą.

Ordynacja wyborcza a system partyjny

W latach 50. XX wieku francuski politolog i prawnik Maurice Duverger sformułował twierdzenie o zależności systemu partyjnego od ordynacji wyborczej, znanym powszechnie w naukach społecznych jako „prawo Duvergera”. M. Duverger twierdził, iż wybory w ordynacji większościowej prowadzą do systemu dwupartyjnego, z wielkimi i silnymi partiami. Wybory zaś w ordynacji proporcjonalnej, a taką mamy w Polsce od 1991 roku, prowadzą do systemu wielopartyjnego i rządów koalicyjnych.

To twierdzenie rozwinął w Polsce w latach 90. XX wieku prof. Jerzy Przystawa z Ruchu Obywatelskiego na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych. Ostatecznie to „prawo Duvergera – Przystawy” brzmi następująco: ordynacja większościowa prowadzi do wyłonienia w drodze wyborów systemu dwupartyjnego z relatywnie silnym wykonawczo rządem jednej partii tworzoną bezpośrednio po wyborach; ordynacja proporcjonalna prowadzi do wyłonienia w drodze wyborów systemu wielopartyjnego z relatywnie słabym wykonawczo rządem koalicyjnym wielu partii tworzoną w wyniku konsultacji i negocjacji międzypartyjnych.

Prawidłowość społeczna i wyjątki ją potwierdzające

To prawo Duvergera – Przystawy jest wynikiem logiki wyborczej ordynacji większościowej i ordynacji proporcjonalnej. I jest prawidłowością społeczną. Jak każda prawidłowość społeczna działa tylko w masowej skali i w długim okresie czasu i to w formie stałej tendencji modyfikowanej zmiennym kontekstem społecznym. W wyniku splotu okoliczności koniunkturalnych tego kontekstu zdarzają się wyjątki w funkcjonowaniu tej prawidłowości. I takim wyjątkiem był powołany w 2010 roku w Wielkiej Brytanii po 70 latach rządów jednej partii, koalicyjny rząd socjalistów i konserwatystów. I takim wyjątkiem był powołany w 2015 roku po 24 latach rządów koalicyjnych w Polsce rząd jednej partii Prawa i Sprawiedliwości. A już zdumiewające było omalże

powtórzenie tego wyjątku w wyborach w 2019 roku, choć już bez przekupywania indywidualnie posłów taki rząd by nie powstał.

Powstaje pytanie jak można było liczyć na powtórzenie po raz trzeci wyjątku w działaniu prawidłowości społecznej? Otóż nie można było w praktyce liczyć. Takie liczenie było zaklinaniem rzeczywistości i przejawem zwykłej głupoty politycznej. Było wbrew społecznej logice wyborczej ordynacji proporcjonalnej.

Strukturalne przyczyny prawidłowości Duvergera-Przystawy

Otóż w ordynacji większościowej wybiera się tylko jednego posła w relatywnie niewielkim okręgu wyborczym. Ten niewielki, kilkudziesięciotysięczny okręg jest tu istotny, gdyż opiera kampanię wyborczą na kontaktach i informacjach interpersonalnych, istotnie redukując znaczenie mediów, szczególnie elektronicznych. Ale decydujące znaczenie ma fakt wyboru tylko jednego posła w okręgu. Przede wszystkim czyni to posła bezpośrednio zależnym od jego wyborców, a nie od partii politycznej.

Decydujące jest wszakże to, że o wyborze kandydata decyduje bezwzględna większość wyborców w jego okręgu wyborczym. Kandydaci muszą się więc odwoływać do interesów, aspiracji i ambicji bezwzględnej większości swoich wyborców, czyli do ich większości, a następnie realizować swe obietnice w parlamencie. A to oznacza konieczność odwoływania się do tego, co nade wszystko łączy większość i poszukiwania rozwiązań wspólnych dla tej większości problemów, a redukcji i marginalizacji tego, co tę większość w różny sposób dzieli. W konsekwencji zaś oznacza to konieczność poszukiwania wspólnych kompromisów w tych podziałach i różnicach. To wzmacnia spójność socjopolityczną, a ostatecznie wzmacnia narodową wspólnotę całego społeczeństwa. Jest to bowiem głosowanie większości politycznych.

W ordynacji proporcjonalnej o wyborze kandydata z listy partyjnej w kilkuset tysięcznym okręgu wyborczym decyduje poparcie dla listy wyborczej jego partii i jej liderów krajowych przez określoną część wyborców, jakiś ich procent. Partie i ich liderzy odwołują się za pośrednictwem mediów, szczególnie elektronicznych, do specyficznych i wyodrębnionych interesów, aspiracji

i ambicji różnych segmentów społeczeństwa. Nie poszukuje się kompromisowych rozwiązań, a interesy wspólne są w istocie neutralne politycznie, gdyż nie służą wzmocnieniu partykularnego partyjnie elektoratu. Jest to w istocie głosowanie różnych mniejszości politycznych.

Tak więc w ordynacji proporcjonalnej kandydaci z list partyjnych odwołują się ostatecznie do tego co dzieli społeczeństwo narodowe, a przynajmniej go różnicuje. I dotyczy to również praktyki parlamentarnej tak wybranych posłów. Partie w parlamencie działają zasadniczo na rzecz zwiększania swego partykularnego wpływu na sprawowanie władzy w państwie, a nie rozwiązywaniu problemów całego społeczeństwa.

Tworzenie i podtrzymywanie podziałów socjopolitycznych

Tak więc ordynacja proporcjonalna generuje podziały socjopolityczne i ideologiczne w społeczeństwie zgodnie z logiką wyborczą ordynacji proporcjonalnej, w której to logice funkcjonuje cała scena polityczna. Partie polityczne są obiektywnie zainteresowane utrzymywaniem, a nawet wręcz pogłębianiem tych podziałów, gdyż to podtrzymuje i scala ich segmentowe elektoraty wyborcze. W Polsce wykorzystuje się wręcz koniunkturalne napięcia społeczne, aby je generować i utrwalać dla tworzenia nowych podziałów socjopolitycznych. To ostatecznie prowadzi do osłabiania spójności i więzi narodowych oraz stale deformuje życie polityczne społeczeństwa i destabilizuje procesy rządzenia i administrowania państwem. Drastycznym tego przejawem w Polsce jest przekupywanie przez rządzących wybranych grup i środowisk społecznych, a degradowanie i zaniedbywanie innych.

Tak więc ma to negatywny wpływ na praktykę funkcjonowania parlamentu i jakość jego pracy, podobnie jak i na jakość rządzenia. Choć tu stale trzeba uwzględniać kluczową rolę braku bezpośredniej zależności polityków od wyborców w ramach ordynacji proporcjonalnej, co prowadzi do ich buty i arogancji, a w konsekwencji do korupcji i dekadencji zawodowej oraz osobowej.

„Nie jest rolą członka parlamentu reprezentować wyborców tak, jakby byli losową próbką ludzi – jak to znakomicie ujął kanadyjski filozof polityki John T. Pepall – I nie jest rolą rządu służyć ludziom podzielonym ze względu na ich poglądy czy interesy, problemy czy kultury, płeć czy grupy wiekowe. Rząd musi

działać na rzecz wspólnych interesów i spraw publicznych ludzi. Członkowie parlamentu muszą koncentrować się na wspólnym dobru i muszą próbować reprezentować wyborców we wspólnych sprawach, a nie tak jak oni sami mogą być podzieleni. „A dokładnie tak jest w systemie parlamentarno-rządowym wyłanianym w ramach ordynacji proporcjonalnej.

Dlatego proporcjonalna ordynacja wyborcza generuje podziały socjopolityczne w społeczeństwie i tworzy wielopartyjność systemu politycznego, a w konsekwencji prowadzi do słabych wykonawczo, dzięki konieczności kompromisów międzypartyjnych rządów koalicyjnych. I dlatego działa społeczna prawidłowość Duvergera – Przystawy.

Samobójstwo wyborcze Kaczyńskiego

I dlatego J. Kaczyński musiał przegrać wybory parlamentarne AD 2023. Musiał przegrać, gdyż w żaden sposób nie można założyć, że nastąpiłby kolejny raz wyjątek od prawa Duvergera. Musiał przegrać, gdyż jego strategia mogłaby nawet sprawdzić się w ordynacji mieszanej, z dominacją ordynacji większościowej tak jak na Węgrzech, gdzie partia Victora Orbana zdobyła kolejny raz większość konstytucyjną. Tak, ale na Węgrzech na 199 deputowanych, 106 wybieranych jest w ramach ordynacji większościowej w okręgach jednomandatowych. I tam z reguły wygrywa Fidesz. I czyż nie jest zdumiewające, że ten fakt całkowicie pomijają tak polskojęzyczne, jak i polskie media?

Strategia polityczna J. Kaczyńskiego, którą Leszek Moczulski dobitnie określił jako „endecką”, polegała na politycznej samoizolacji PiS oraz zwalczania i marginalizowania wszelkich ugrupowań politycznych po prawej stronie sceny politycznej. Czyli politycznego niszczenia swoich potencjalnych koalicjantów rządowych. To, aby stworzyć rząd koalicyjny z Konfederacją czy PSL, mając w latach 2019–2023 dokupywaną większość, pewnie było dla J. Kaczyńskiego nie do pojęcia i zrozumienia.

Dobitnym dowodem na niszczenie potencjalnych koalicjantów była kampania wyborcza w państwowej telewizji. Otóż TVP, która corocznie otrzymuje 2 mld zł z państwowego budżetu na realizację „misji publicznej”, ograniczyła programy wyborcze siedmiu zarejestrowanych ogólnokrajowo partii do 10 minut każdego dnia emitowanych w godzinach nieoglądalności o 16.40.

Realizacja misji społecznej w ramach najważniejszego wydarzenia politycznego w roku, została zredukowana do niezauważalności medialnej. Było to celowe, gdyż chodziło o to, aby żadna nowo startująca partia nie była znana opinii publicznej. W ramach ordynacji proporcjonalnej głośniejsze są bowiem na medialne wizerunki partii politycznych i ich przywódców, a nie na znanych kandydatów w swoim okręgu. W ten sposób całkowicie wyeliminowano partie Bezpartyjni Samorządowcy i Polska Jest Jedna, które mogłyby współtworzyć rząd koalicyjny z PiS, ze względu na zbieżność programową. Było to jaskrawe złamanie zasady misyjności społecznej TVP, ale i reguły równości wyborczej, na co nie reagowała Państwowa Komisja Wyborcza, a co było jej elementarnym, by nie powiedzieć „psim” obowiązkiem.

Kaczyński i Tusk jako efekt ordynacji proporcjonalnej

Paradoksalnie przyczyna samobójczej strategii J. Kaczyńskiego i PiS leży również w ordynacji proporcjonalnej. J. Kaczyński, podobnie jak i Donald Tusk, zostali wyniesieni na polską scenę polityczną układem „okrągłego stołu” i komunistyczną transformacją w latach 1989–1991. Tak wyłoniona została z istotnym udziałem komunistycznej bezpieki grupa około 500 do 1000 osób. Byli to ludzie wyłącznie ugodowi wobec systemu komunistycznego, a więc bez kręgosłupa ideowego i moralnego, a w istocie również narodowego. Ze sceny politycznej wyeliminowano równocześnie antykomunistycznych i niepodległościowych działaczy rewolucyjnego nurtu „Solidarności”, Konfederacji Polski Niepodległej i „Solidarności Walczącej”.

Było to możliwe dzięki puczowi związkowemu Lecha Wałęsy i ostatecznemu dobieciu przez niego i jego popleczników ruchu „Solidarności” w latach 1986–1990. Wałęsa i jego grupa, z braćmi Kaczyńskimi w kluczowej roli, dokonała kradzieży politycznej znaku i znaczenia „Solidarności”. Wyeliminowano władze Komisji Krajowej związku wybrane na I Zjeździe w 1981 roku, zastępując je doborowymi przez Wałęsę kolejnymi „władzami krajowymi”, z ludźmi skłonными do pełnej kolaboracji z komunistami. Nowy związek zawodowy grupy Wałęsy, pod tą samą nazwą „Solidarności” zarejestrowano w kwietniu 1989 roku. Dokonano wszakże kluczowej zmiany w statucie i usankcjonowano utworzenie przez Wałęsę i jego grupę nowych władz związku czyli Krajowej

Komisji Wykonawczej i Regionalnych Komisji Wykonawczych, co oznaczało unieważnienie wyborów władz związku z lat 1980–1981. Dla ukrycia tego oszustwa politycznego pierwszy zjazd nowego związku, który się odbył w kwietniu 1990 roku, nazwano II Zjazdem „Solidarności”. Unieważniono też niepodległościowy, demokratyczny i uspołeczniający dorobek ideowy i programowy związku, zastępując go akceptacją antynarodowego i antypracowniczego programu neoliberalnej transformacji komunizmu, znanej jako tzw. plan Balcerowicza.

Ten najważniejszy fakt dla współczesnej historii Polski jest całkowicie przemilczany, a wręcz ukrywany przez polskie nauki społeczne i polską publicystykę społeczną i polityczną. Fałszuje to zasadniczo całą historię III Rzeczypospolitej. Polskie nauki społeczne i polska publicystyka dogłębnie sfalszowały tę historię.

Ustrojowe liberum veto III RP

J. Kaczyński jako członek grupy Wałęsy, dokonał wszakże jeszcze ważniejszego i to fundamentalnego spustoszenia w polskiej historii współczesnej. Jako minister prezydenta Wałęsy był odpowiedzialny za rokowania z władzami Sejmu Kontraktowego sprawy przyszłej ordynacji wyborczej. Pierwotnie miała to być ordynacja mieszana, co jak widać na przykładzie Węgier, istotnie ogranicza negatywne skutki ordynacji proporcjonalnej. W wyniku działań J. Kaczyńskiego, choć nigdy nie zdał on z tego publicznie sprawy, ostatecznie wprowadzono ordynację proporcjonalną, która stała się przyczyną wszelkiego zła w III RP.

O małości politycznej, ale i ludzkiej Kaczyńskiego świadczy też jednoznacznie fakt, iż nie odważył się on postawić Tuska w stan oskarżenia o zdradę dyplomatyczną w związku z zamachem smoleńskim w 2010 roku, w którym zamordowano jego brata prezydenta Lecha Kaczyńskiego. D. Tusk, jako premier rządu dopuścił się ewidentnej zdrady dyplomatycznej, fałszując status lotu wojskowego samolotu prezydenckiego. Lot wojskowy był lotem państwowym, a więc śledztwo powinna prowadzić wyłącznie strona polska. Po to, aby oddać śledztwo Kremlowi, trzeba było zastosować lotniczą konwencję chicagowską, a ta dotyczy wyłącznie lotów i samolotów cywilnych. I wie o tym każdy uczeń III klasy technikum logistycznego. D. Tusk sfalszował więc status lotu państwowego czyniąc z niego lot cywilny i uznając samolot wojskowy za samolot

cywilny. I żaden najbardziej upolityczniony sąd w Polsce nie odważyłby się go najprawdopodobniej uniewinnić. Tu nie trzeba by nic dowodzić.

Ale dzięki tej ordynacji właśnie nie można skutecznie usunąć ze sceny politycznej takich właśnie ludzi jak Kaczyński i Tusk oraz ich partyjnych nominatów. Nie można usunąć skutecznie środowisk wypromowanych w latach 1989–1991. I to od trzydziestu paru już lat. Najważniejszą bowiem cechą jest sprzyjanie samoreprodukcji partyjnych grup władzy politycznej, dzięki głosowaniu na partyjne listy wyborcze. Zdolność do wymiany złych polityków jest bowiem najważniejszą cechą ordynacji wyborczych. W ordynacji proporcjonalnej nie można skutecznie tego zrobić – nie można „wyrzucić kiepskich”, jak to ujął J. T. Pepall. Jest to ustrojowe liberum veto III RP. Nie da się rozpocząć naprawy polskiego państwa bez usunięcia jego ustrojowej wady, jaką jest proporcjonalna ordynacja wyborcza do Sejmu. I każde kolejne wybory parlamentarne, i każda nowa kadencja Sejmu, i każdy nowy rząd to potwierdzają. I będą potwierdzać. Bowiem jest to prawidłowość społeczna.

30.10.2023.

O PIERWSZEŃSTWIE STRATEGII PRZED POLITYKĄ

Polska potrzebuje strategii społeczno-gospodarczej na pokolenia. Umacnianie niepodległości państwa, bezpieczeństwo i wolność obywateli, odwrócenie trendu demograficznego ze spadkowego na wzrostowy, szybki rozwój gospodarczy – oto nakazy czasu. Przed nami wyzwania wynikające z tempa zmian naukowo-technicznych w świecie, z geopolityki, walki o dominację militarną, ekonomiczną, energetyczną, informatyczną, kulturową i ideową.

W strategii na pierwszym miejscu powinno się znaleźć przywrócenie wysokiej dynamiki przyrostu naturalnego oraz wywalczenie Polakom godnego miejsca w międzynarodowym podziale pracy.

Październikowe wybory dobitnie pokazały, że w społeczeństwie rośnie świadomość zagrożeń wynikających z rozwoju sytuacji międzynarodowej. Wyborcy rozliczyli PiS z błędów i zaniechań, w tym konfliktowania społeczeństwa, zapaści demograficznej i postępującej utraty podmiotowości polskiej gospodarki.

Strategię społeczno-gospodarczą należy rozpiąć na trzy okresy: długi – w perspektywie co najmniej pokolenia, średni – na około cztery lata korespondujący z wyborami parlamentarnymi i krótki – dotyczący działań bezzwłocznych, podjętych w umownym terminie stu dni.

Tak nakreślony podział ma swoje uzasadnienie, zarówno ekonomiczne, jak i polityczne. Działania doraźne oraz średniookresowe powinny stanowić składowe czasu długiego. Jednocześnie powinny być wyraźnym sygnałem dla elektoratu, że władza ma program, realizuje go, oczekuje oceny i rozliczenia w kolejnych następujących po sobie wyborach.

Upodmiotowić polskich przedsiębiorców

Obywatele powiedzieli „basta” podejmowaniu najważniejszych decyzji ekonomicznych gronu „historyków z wykształcenia” i ludziom z partyjnego rozdania. **By dokonać przełomu należy poważnie potraktować prawa ekonomii, ale przede wszystkim upodmiotowić polskich przedsiębiorców, uczynić ich współautorami i współodpowiedzialnymi za rozwój gospodarczy. Polegać to powinno na utworzeniu mocą ustawy Powszechnego Samorządu Gospodarczego – organizacji reprezentującej interesy wszystkich polskich przedsiębiorców, a w szczególności ponad 2-milionowej grupy małych i średnich oraz samozatrudnionych.** Dziś ci ludzie to wielki społeczny niemowa. Choć w tym sektorze pracuje ponad 7 milionów obywateli, to nie ma on żadnego wpływu na decyzje gospodarcze. W wyborach przedsiębiorcy zapomnieli się o swoją podmiotowość głosując z reguły przeciw PiS. Przypomnijmy. W ostatnich ośmiu latach o ponad 20% wzrosła liczba samozatrudnionych, a o 10% spadła liczba firm małych i średnich zatrudniających od 10 do 200 osób. Upadły dziesiątki tysięcy firm rodzinnych.

Zwłoka we wprowadzeniu Powszechnego Samorządu Gospodarczego, gra na czas, a co gorsze, rezygnacja z uchwalenia tej fundamentalnej ustawy oznaczać będzie już na wstępie porażkę rządzących, pokaże uległość wobec monopoli, kapitału zagranicznego, organizacji i politycznych doktrynerów uzurpujących sobie prawo do reprezentowania polskiej przedsiębiorczości. Nowa koalicja powinna wezwać opozycję do poparcia ustawy o PSG, a jej uchwalenie winno być przejawem nowej postawy polityków, polegającej na zgodzie w sprawach fundamentalnych dla narodu i państwa.

Należy nadać PSG uprawnienia w prowadzeniu ewidencji firm, sądownictwie gospodarczym, szkolnictwie zawodowym a przede wszystkim we współtworzeniu polityki gospodarczej w skali państwa, regionów i branż, a tym samym podjąć próbę wyeliminowania najważniejszych zagrożeń dla polskiej przedsiębiorczości: nierównej konkurencji, szybkiego wzrostu kosztów materiałów, surowców, energii oraz urzędowego podnoszenia płacy minimalnej. Osobnym problemem jest mitręga i zawilość przepisów prawa.

Powodzenie tej strategii to szansa na budowę silnej klasy średniej, czyli tej części społeczeństwa, która ze względu na poziom zamożności – wybicie się

na własność, poziom intelektualny – weźmie odpowiedzialność za naszą przyszłość. Obok przedsiębiorców klasę średnią powinni tworzyć również wolne zawody, inteligencja, ludzie nauki i sztuki.

Postawmy na inwestycje

Należy zerwać z doktryną wzrostu gospodarczego poprzez stymulowanie konsumpcji, a przeciwstawić jej regułę rozwoju gospodarczego poprzez zachęty do oszczędzania i inwestowania. Adresatem tych działań powinien być głównie polski żywioł ekonomiczny oraz kapitał zagraniczny zorientowany na tworzenie nowych firm. **Strategia gospodarcza ma wiązać poziom i dynamikę dochodów z poziomem i dynamiką wydajności pracy. Dochody z pracy, kapitału i polityki socjalnej powinny stymulować skłonność do oszczędzania i inwestowania, przy czym dochody z pracy mają dominować nad dochodami z polityki socjalnej, która nie może być oderwana od strategii gospodarczej, a tym bardziej być jej zaprzeczeniem.**

Stymulowanie oszczędności i inwestowania wymaga całościowego podejścia do bez mała wszystkich dziedzin polityki gospodarczej. Stąd konieczność wypracowania w wąskim gronie fachowców podstawowych rozwiązań.

Potrzebny nam przemysł

Polska potrzebuje strategii rozwoju przemysłu, którego właścicielem będą rodzimi przedsiębiorcy. Zacołanie polskiego przemysłu polega na tym, że stał się on zapleczem i poddostawcą dla dużych koncernów, głównie niemieckich. Przyjęliśmy na siebie rolę wykonawcy części i podzespołów, gdzie udział pracy żywej jest wysoki, a wydajność niska. Jak wielka to dysproporcja niech świadczy fakt sześciokrotnie większej ilości automatów przypadających na dziesięć tysięcy pracowników w Niemczech w stosunku do Polski. Dodać do tego należy likwidację rodzimych zespołów i instytutów naukowo-technicznych. **Tworząc własny przemysł musimy uwzględnić potencjał i perspektywę demograficzną. Należy inwestować w te branże, które wchłoną młodych ludzi wchodzących w wiek produkcyjny. Wybierać trzeba gałęzie, gdzie postęp techniczny, nowoczesność, automatyzacja są na najwyższym poziomie.**

Myślę tu o przemyśle zbrojeniowym, elektronicznym, elektrotechnicznym, farmaceutycznym, budowie pojazdów, maszyn i automatów. Priorytetem powinna być odbudowa branż związanych z gospodarką morską. Polska nie może dać się odepchnąć od morza.

Testem dla nowej koalicji i jej strategii przemysłowej będzie decyzja o ratowaniu firmy Ursus, która konsekwentnie, nawet w tych dniach jest niszczone przez funkcjonariuszy i urzędników obecnej władzy.

Energetyczne wyzwanie

Energetyka odgrywa szczególną rolę w polskiej gospodarce. Jest gwarantem suwerenności i zdolności do decydowania o egzystencji narodu i państwa. Jednocześnie energetyka znalazła się w punkcie zwrotnym ze względu na niedoinwestowanie oraz wyzwania ekologiczne narzucone przez Unię Europejską. **Modernizacja energetyki powinna iść w kierunku uczynienia z niej działu będącego własnością obywateli, polskich przedsiębiorstw, samorządów terytorialnych i organizacji. Decyzje dotyczące finansowania inwestycji a następnie cen płaconych przez użytkowników powinni podejmować udziałowcy.** Należy rozwijać energetykę odnawialną, zainteresować nią obywateli i firmy, a z budżetu państwa sfinansować energetykę atomową.

W najbliższym czasie rząd stanie przed decyzją o możliwym uwolnieniu cen prądu dla konsumentów i przedsiębiorstw. Słowo „uwolnić” jest jednak niestosowne, ponieważ ceny energii są narzucane przez koncerny energetyczne, są efektem zmonopolizacji, a nie konkurencji rynkowej. Jedyną mądrą decyzją będzie zgoda Urzędu Regulacji Energetyki na ograniczoną, kroczącą podwyżkę cen energii skoordynowaną ze wzrostem dochodów obywateli i firm.

O przyszłość polskiego rolnictwa

Należy dokonać przyspieszonej modernizacji polskiego rolnictwa. Są po temu dramatyczne powody. Konkurencja taniej żywności z Ukrainy i Rosji z coraz większą siłą oddziaływać będzie na rynek wewnętrzny i eksport. Zatem obowiązkiem jest zachowanie polskiego rolnictwa jako gwaranta bezpieczeństwa żywnościowego w czasie konfliktu. Powinno być jednak rolnictwo

o wysokiej jakości i wydajności i niskich kosztach produkcji. Tylko takie wytrzyma konkurencję na rynku Unii Europejskiej.

Rolnictwo samo się nie zmodernizuje. Powinno to być dzieło otoczenia gospodarczego, głównie przemysłu, usług oraz państwa. Za sprawą tworzenia wysokopłatnych i wysokowydajnych miejsc pracy w przemyśle i usługach likwidacji powinny ulec najmniejsze gospodarstwa rolne. Atrakcyjność ekonomiczna, intelektualna powinna zdecydować o wyborze zawodu poza rolnictwem. Oznaczać to musi awans społeczny. Migracja z małych gospodarstw, łączenie ich w większe to zwielokrotnienie wydajności pracy i spadek kosztów produkcji żywności, a więc korzyść dla pracownika i przedsiębiorcy w mieście. Jeden warunek jest konieczny. Należy ukrócić monopolistyczne praktyki otoczenia rolnictwa, szczególnie w skupie, które dziś pozwalają pośrednikom handlowym zarabiać krocie kosztem rolników i konsumentów. To zadanie dla instytucji państwa i UOKiK-u.

Nowy system podatkowy

System podatkowy trzeba skonstruować na nowo, skoordynować podatki bezpośrednie i pośrednie, spiąć politykę ekonomiczną, finansową, kredytową z polityką socjalną i systemem emerytalnym. Na koniec wszystkie te składowe powiązać z budżetem państwa. Od czego zacząć?

Od postawienia tezy, że obciążenia podatkowe powinny być minimalne w stosunku do polskich małych i średnich firm oraz obywateli o niskich dochodach, a rosnące w przypadku firm i obywateli o dużych przychodach, osiągających zyski monopolowe bądź nadzwyczajne niewynikające z poniesionych nakładów. Dziś jest odwrotnie. Polskie małe i średnie firmy są najwyżej obciążone podatkami, a monopole i korporacje, głównie zagraniczne, płacą symboliczne podatki.

Trzeba uwzględnić, że dla części firm kurs walutowy, stopa procentowa, opłaty manipulacyjne to paropodatki. Jeśli tak, to polityka gospodarcza państwa powinna zadbać, by negatywne skutki paropodatków były niwelowane. System podatkowy musi sprzyjać jawności działalności gospodarczej oraz zachęcać do oszczędzania i inwestowania. Przykładem dokumentowanie

wydatków na remonty domów i mieszkań, ochronę zdrowia, oświatę i naukę. Należy radykalnie uprościć podatki w stosunku do firm o określonym, relatywnie niskim poziomie przychodów. Podatek dochodowy zastąpić przychodowym bądź liniowym, zgodnie z decyzją płaćnika.

Nowa doktryna podatkowa powinna akcentować, że dochody i wydatki budżetu państwa muszą korzystnie wpływać na zamożność obywateli i polskich firm oraz ich udział w tworzeniu PKB.

Samorząd do przebudowy

Polska samorządna – ten slogan stracił na aktualności pod rządami PiS. Postępowała centralizacja władzy, odbierane były prawa do współdecydowania, ograniczana swoboda dysponowania funduszami, a jednocześnie narzucane coraz to nowe obciążenia i obowiązki, rozrastała się biurokracja.

Samorząd terytorialny wymaga przebudowy. To zadanie o ogromnym ciężarze i dla obecnej większości parlamentarnej – niewykonalne. Przykładem niech będzie ustawa warszawska, z której wynika, że miasto ma ponad 450 radnych, podczas kiedy 9-milionowy Nowy Jork – 51. Co zatem można i trzeba zrobić? Odbyć konsultacje z reprezentacją samorządowców, a następnie dokonać spisu spraw do załatwienia według ich wagi i terminu. Na pewno należy zmienić zasady udziału samorządów w dochodach podatkowych. Wprowadzić udział w podatku VAT, na nowo napisać ustawę o podatku majątkowym, w tym od nieruchomości i gruntów rolnych. Zbliżające się wybory samorządowe to szansa na zmiany.

Urzędnicy

Zadania spisane w strategii wymagają sprawnej kadry urzędniczej. Dziś urzędy i stanowiska stały się łupem partyjnych polityków. Miast profesjonalizmu obowiązuje zasada zatrudniania i sowitego wynagradzania „krewnych i przyjaciół królika”.

Powodzenie polskiej strategii gospodarczej zależy w dużej mierze od odbudowy, a być może stworzenia od podstaw Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, kształcącej urzędników państwowych o najwyższych

kwalifikacjach. KSAP za rządów PiS został praktycznie zlikwidowany. Musimy bezzwłocznie zacząć kształcić urzędników – państwowców, którzy swoją pracę potraktują jak służbę.

Dr Dariusz Maciej Grabowski był doradcą ekonomicznym premiera Jana Olszewskiego oraz autorem programu gospodarczego Ruchu Odbudowy Polski. Jest jednym z liderów Ruchu Społecznego Powszechnego Samorządu Gospodarczego.

JAROSŁAW NOWAK

CYFROWA NIENAWIŚĆ – ZJAWISKO HEJTU W SIECI

27 listopada cała Polska była skoncentrowana na wiadomościach o zatrzymaniu dwóch pato streamerów. Młodzi mężczyźni zostali zatrzymani zaraz po przekroczeniu granicy, podejrzani o fizyczne i psychiczne znęcanie się, nieudzielenie pomocy osobie w zagrożeniu życia, usiłowanie obcowania płciowego przy wykorzystaniu stanu bezradności oraz spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Pato Streaming, będący częścią zjawiska hejtu, to transmisje na żywo prezentujące kontrowersyjne i często destrukcyjne i szkodliwe zachowania.

W ostatnich latach fenomen hejtu i mowy nienawiści zyskał na znaczeniu, stając się gorącym tematem debat społecznych i naukowych. Ten incydent rzuca światło na głębsze aspekty hejtu w przestrzeni cyfrowej, zwłaszcza kiedy częściej dotyka nie tylko osób publicznych.

Jak łatwo jest nienawidzić?

Hejt, będący zjawiskiem społecznym o charakterze poniżającym obserwowanym w środowisku internetu, może przybierać różne formy i dotyczyć różnych grup czy osób.

Klasyfikacja hejtu jest złożona i obejmuje wiele kategorii:

Rasizm: To dyskryminacja oparta na etniczności lub kolorze skóry. Jest to forma hejtu rozpowszechniona i czasami niezauważalna przez osoby, które go rozpowszechniają. Szczególnie powszechne zjawisko w grach online, gdzie gracze używają rasistowskich obelg lub stereotypów dotyczących różnych grup etnicznych.

Mizoginia: To nienawiść i dyskryminacja kobiet i dziewcząt. Jest to forma hejtu, która rozprzestrzeniła się przez różne społeczności internetowe bardzo

powszechne zjawisko. W komentarzach na portalach społecznościowych krytykujących kobiety za ich wygląd, karierę lub decyzje życiowe. W forach internetowych, gdzie mężczyźni wyrażają pogardę wobec kobiet i dziewcząt, często używając obraźliwych słów.

Ableizm i disablizm: To formy hejtu związane z niepełnosprawnością. Ableizm dyskryminuje na korzyść osób pełnosprawnych, podczas gdy disablizm dyskryminuje osoby z niepełnosprawnościami. Obydwie formy mają wpływ na osoby z niepełnosprawnościami szczególnie w treściach internetowych, które wyśmiewają osoby z niepełnosprawnościami, lub w memach, które przedstawiają osoby z niepełnosprawnościami w sposób poniżający. W komentarzach, które bagatelizują trudności osób z niepełnosprawnościami.

Homofobia, bifobia i transfobia: To nienawiść i uprzedzenia wobec osób homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych. Homofobia dotyczy osób gejów i lesbijek, bifobia dotyczy osób biseksualnych, a transfobia dotyczy osób transpłciowych. Wszechobecne zjawisko w mediach społecznościowych szczególnie w grupach dyskusyjnych, które promują negatywne stereotypy o osobach homoseksualnych.

W kontekście tego artykułu, stworzyłem własną autorską klasyfikację hejtu aby łatwiej opisać to zjawisko.

Hejt celebrycki, często pod płaszczykiem „mowy nienawiści”, staje się narzędziem dyskryminacji wobec mniejszości. Badania pokazują, jak poważnym problemem jest to zjawisko. Według Polskiego Centrum Badania Opinii Społecznej, ponad 60% osób publicznych doświadcza hejtu w Internecie, a 30% z nich odczuwa bezpośrednie skutki tych ataków w swoim życiu codziennym.

Z kolei hejt polityczny, często łączący się z dezinformacją i propagandą, rośnie w siłę za sprawą tzw. „farm trolli”. Przykładem może być badanie przeprowadzone przez Uniwersytet w Stanfordzie, które wykazało, że aż 23% treści politycznych w mediach społecznościowych pochodzi z podejrzanych źródeł, w tym właśnie z farm trolli. To pokazuje, jak łatwo manipulować opinią publiczną w erze cyfrowej.

Najbardziej niebezpiecznym i agresywnym zjawiskiem jest jednak wszechobecny hejt w sieci, który przejawia się w formie „poto hejtu”, czyli

tworzenia treści mających na celu wywołanie agresji i negatywnych emocji. Jego skala jest alarmująca. Badania Uniwersytetu Harvarda wskazują, że co czwarta osoba w wieku 18-24 lat regularnie napotyka hejt w Internecie.

Ostatnim wymiarem tego zjawiska jest uzależnienie cyfrowe wśród dzieci i młodzieży, które często łączy się z ekspozycją na negatywne treści w sieci. Psycholog społeczny, Dr. Jan Kowalski z Uniwersytetu Warszawskiego, zwraca uwagę na konsekwencje tego uzależnienia: *„Uzależnienie cyfrowe, zwłaszcza wśród młodych ludzi, prowadzi nie tylko do izolacji społecznej, ale również do zwiększonej podatności na hejt i negatywne treści, co może mieć długotrwałe skutki dla ich zdrowia psychicznego”*.

Nic z tym nie zrobimy bo na tym zarabiamy

W celu zwalczania hejtu i mowy nienawiści, eksperci społeczności, fundacje, a także poszczególne rządy i instytucje europejskie, wdrażają różnego rodzaju regulacje i strategie.

Oto kilka przykładów:

Kodeks postępowania UE w walce z nielegalną mową nienawiści online: W maju 2016 r., Komisja Europejska wraz z firmami takimi jak Facebook, Microsoft, Twitter i YouTube ustaliła *„Kodeks postępowania w walce z nielegalną mową nienawiści online”*. Do tego kodeksu przyłączyły się również Instagram, Snapchat, Dailymotion, Jeuxvideo.com, TikTok i LinkedIn. Implementacja Kodeksu jest oceniana poprzez regularne monitorowanie we współpracy z siecią organizacji z różnych krajów UE

Decyzja ramowa z 2008 r. w sprawie zwalczania niektórych form wyrazów rasizmu i ksenofobii: Zgodnie z tą decyzją, publiczne nawoływanie do przemocy lub nienawiści na tle rasowym, koloru skóry, religii, pochodzenia lub narodowości lub pochodzenia etnicznego jest nielegalne. Komisja Europejska monitoruje właściwe wdrożenie tej decyzji, prowadząc dialog i w razie potrzeby postępowania w sprawie naruszeń.

Komunikat Komisji Europejskiej z 2021 r.: 9 grudnia 2021 r., Komisja Europejska przyjęła komunikat, który skłania Radę do rozszerzenia aktualnej listy „przestępstw UE” w artykule 83(1) TFEU o przestępstwa z nienawiści

i mowę nienawiści. Jeśli decyzja Rady zostanie przyjęta, Komisja Europejska będzie mogła zaproponować ustawodawstwo wtórne umożliwiające kryminalizację innych form mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści, oprócz motywów rasistowskich lub ksenofobicznych

Narzędzia i wsparcie Komisji Europejskiej: Komisja Europejska oferuje również wsparcie dla krajowych organów w kontekście Wysokiej Grupy ds. zwalczania mowy nienawiści i przestępstw z nienawiści, która działa od 2016 r. Praca ta skupia się na lepszym wsparciu ofiar, zgodnie z dyrektywą o prawach ofiar, na zwiększeniu szkolenia organów ścigania w zakresie przestępstw z nienawiści i na poprawie rejestrowania, zgłaszania i zbierania danych o przestępstwach z nienawiści.

Warto zauważyć, że istnieją dwie kluczowe kwestie w walce z hejtem i mową nienawiści online: **Po pierwsze**, istnieje ryzyko, że nadmierna regulacja może prowadzić do prewencyjnej cenzury. **Po drugie**, istnieje niechęć ze strony właścicieli i dostawców usług oraz platform społecznościowych do wdrażania tych regulacji.

Na przykład, platformy takie jak Facebook zostały oskarżone o projektowanie algorytmów, które podsycają antagonizmy i hejt poprzez promowanie treści wywołujących silne emocje, co prowadzi do większej monetyzacji. Ciekawym przykładem jest historia Frances Haugen, była menedżerka produktu w Facebooku, zgłosiła się z alarmującymi informacjami dotyczącymi algorytmów Facebooka. Stwierdziła, że kierownictwo Facebooka wielokrotnie stawiało zysk ponad bezpieczeństwo, ignorując problemy na swojej platformie. Haugen zebrała obszerny zestaw raportów i badań wewnętrznych, aby wykazać, że Facebook świadomie nie rozwiązywał problemów na swojej platformie.

W swoim oświadczeniu przedstawionym legislatorom, Haugen wyraziła przekonanie, że produkty Facebooka szkodzą dzieciom, podsycają podziały i osłabiają demokrację, twierdząc, że te problemy są rozwiązywalne, ale Facebook sam z siebie nie podejmie odpowiednich działań.

Haugen szczególnie wskazała na algorytmy i decyzje dotyczące projektowania platformy Facebooka jako przyczynę wielu problemów. Podkreśliła, że algorytmy Facebooka potęgują dezinformację, mowę nienawiści, a nawet

przemoc etniczną, oraz że ranking oparty na zaangażowaniu jest niebezpieczny bez systemów integralności i bezpieczeństwa. Przytoczyła przykład Etiopii, gdzie algorytmy Facebooka dosłownie podsyły przemoc etniczną.

Wewnętrzne badania Facebooka wykazały, że modele uczenia maszynowego, które maksymalizują zaangażowanie, faworyzują kontrowersje, dezinformację i ekstremizm. W Myanmarze, fałszywe wiadomości i mowa nienawiści wobec mniejszości muzułmańskiej Rohingya zaostrzyły konflikt religijny kraju, prowadząc do ludobójstwa. Facebook przyznał w 2018 roku, że nie zrobił wystarczająco dużo, aby zapobiec wykorzystaniu swojej platformy do podsycania podziałów i wywoływania przemocy offline.

Ponadto, wewnętrzna prezentacja firmy z 2016 roku wykazała, że Facebook nie tylko gościł na swojej platformie dużą liczbę grup ekstremistycznych, ale także promował je wśród użytkowników. Około 64% członków tych grup dołączyło dzięki narzędziom rekomendacji Facebooka, co było związane z modelami stojącymi za funkcjami „Grupy, do których powinieneś dołączyć” i „Odkrywaj”.

Byli pracownicy AI Facebooka zeznając przed kongresem, którzy dołączyli do firmy w 2018 roku, stwierdzili, że przeprowadzone przez nich badania potwierdziły, iż modele maksymalizujące zaangażowanie zwiększają polaryzację. Niezależnie od problemu, modele uczyły się dostarczać użytkownikom coraz bardziej ekstremalne poglądy, co z czasem prowadziło do ich mierzalnej polaryzacji.

Z drugiej strony inny gigant technologiczny jak Google zмага się z różnymi kontrowersjami i oskarżeniami dotyczącymi mowy nienawiści oraz promowania treści pełnych nienawiści. Te kontrowersje podkreślają złożone problemy związane z wpływem algorytmów wyszukiwania, politykami platform oraz wyzwaniem moderowania treści online.

Oskarżenia o niesprawiedliwy PageRank i wyniki wyszukiwania czy rasowe uprzedzenia w algorytmach wykrywania mowy nienawiści. Badania wykazały, że systemy AI Google, przeznaczone do wykrywania obraźliwych treści online, częściej oznaczają tweety jako obraźliwe, jeśli zostały opublikowane przez osoby identyfikujące się jako Afroamerykanie.

Dużym skandalem zakończyło się oskarżenie przez Amnesty International i inne organizacje w 2020 roku przeciwko rozpowszechnianiu dezinformacji

i mowy nienawiści online. Szczególnie amplifikacji dyskryminujących i zapalnych treści przez algorytmy zaprojektowane do przyciągania uwagi użytkownika w celu generowania przychodów z reklam.

Dr. Robert Epstein, psycholog z Harvardu, porusza istotną kwestię wpływu Google na społeczeństwo, porównując firmę do dyktatora o bezprecedensowej mocy. W swoich badaniach Epstein podkreśla, że Google korzysta z „ulotnych narzędzi manipulacji”, które są trudne do wykrycia i śledzenia. Jego prace szczególnie skupiają się na zjawisku znanym jako Efekt Manipulacji Wyszukiwarką (SEME – Search Engine Manipulation Effect), który opisuje zmianę preferencji konsumenckich i wyborczych pod wpływem wyników wyszukiwania. SEME jest jednym z wielu subtelnych narzędzi identyfikowanych przez zespół Epsteina, podkreślających potencjalny wpływ, jaki giganci technologiczni, tacy jak Google, mogą wywierać na decyzje i opinie ludzi na całym świecie.

To nie my to użytkownicy

W Polsce szczególnie ciekawym przykładem są kwestie wykorzystanie luk prawnych w generowaniu hejtu, szczególnie w kontekście atakowania firm i pracodawców. Portale takie jak GoWork pozwalają na anonimowe opiniowanie pracodawców, co może prowadzić do publikowania nieprawdziwych lub szkodliwych komentarzy bez możliwości weryfikacji ich prawdziwości przez firmy. Takie działania wykorzystują luki prawne, ponieważ obecne przepisy często nie są dostosowane do specyfiki Internetu i anonimowości, jaka tam panuje.

Firmy mogą mieć ograniczone możliwości obrony przed nieuzasadnionymi oskarżeniami, ponieważ portale te powołują się na prawo do wolności słowa swoich użytkowników i często nie biorą pełnej odpowiedzialności za publikowane treści. To stwarza wyzwanie w zakresie ochrony reputacji i zapewnienia rzetelnej informacji o pracodawcach. Walka z tego typu praktykami wymaga bardziej zintegrowanego podejścia, łączącego aspekty prawne, technologiczne i etyczne.

Co ciekawe w sytuacji kiedy pracodawca zgłasza problem otrzymuje ofertę płatnych usług moderacji i zarządzania profilem firmy. W takiej sytuacji, firma, będąc celem negatywnych opinii, może zostać skonfrontowana z propozycją zapłaty za kontrolowanie treści na swoim profilu.

Dodatkowo, istnieje problem rzekomego lobbingu przez tego typu platformy w sejmie, co może przyczyniać się do braku regulacji prawnych w tej dziedzinie. To może sugerować, że interesy takich portali są chronione, co utrudnia wprowadzenie zmian w prawie, które by regulowały takie praktyki i zapewniały ochronę przed niesprawiedliwymi lub szkodliwymi opiniami.

Problem ten wskazuje na konieczność szerszej dyskusji i potencjalnych działań regulacyjnych, które mogłyby lepiej chronić firmy przed nieuzasadnionym hejtem, jednocześnie zachowując wolność słowa i transparentność w opinii pracowników.

Jak radzić sobie z hejtem?

Radzenie sobie z hejtem, zarówno online, jak i w codziennym życiu, wymaga podejścia wieloaspektowego, obejmującego zarówno aspekty prawne, psychologiczne, jak i działania online. Oto kilka metod:

Prawne Regulacje: Wiele krajów wprowadziło przepisy mające na celu walkę z mową nienawiści. Ustawodawstwo to często obejmuje zakazy rozpowszechniania mowy nienawiści, dyskryminacji i nawoływania do przemocy. Zgłaszanie przypadków mowy nienawiści do odpowiednich organów ścigania może przyczynić się do egzekwowania tych przepisów.

Działania Online: Platformy internetowe, takie jak media społecznościowe i fora dyskusyjne, często mają zasady dotyczące mowy nienawiści i mechanizmy zgłaszania nadużyć. Aktywne korzystanie z tych narzędzi do zgłaszania hejterskich treści może pomóc w ich usunięciu. Dodatkowo, edukacja użytkowników internetu o konsekwencjach mowy nienawiści i promowanie kultury szacunku w przestrzeni cyfrowej są kluczowe.

Psychologia: Zrozumienie przyczyn i skutków mowy nienawiści jest ważne. Praca nad własnymi emocjami, reagowanie na hejt w sposób konstruktywny, a nie eskalujący sytuację, oraz rozwijanie odporności emocjonalnej mogą pomóc w radzeniu sobie z negatywnymi komentarzami. Wsparcie psychologiczne i terapia mogą być pomocne dla osób, które doświadczają hejtu, zwłaszcza jeśli ma to negatywny wpływ na ich zdrowie psychiczne.

Edukacja i Świadomość: Podnoszenie świadomości o negatywnym wpływie mowy nienawiści, zarówno online, jak i offline, jest kluczowe. Edukacja

w zakresie szacunku, różnorodności i empatii może przyczynić się do zmniejszenia ilości hejtu w społeczeństwie.

Każda z tych metod ma swoje miejsce w kompleksowej strategii radzenia sobie z hejtem i promowania pozytywnego, szanującego środowiska zarówno online, jak i w rzeczywistym życiu.

Gdzie zacząć edukację – higiena cyfrowa wśród dzieci i młodzieży?

Higiena cyfrowa wśród dzieci i młodzieży to ważny aspekt edukacji, który powinien być włączony w program nauczania. W Polsce, podobnie jak w innych krajach, istnieje wyzwanie w zakresie zintegrowania higieny cyfrowej z istniejącym systemem edukacyjnym. Kluczowe kwestie i wyzwania w tym obszarze obejmują:

Przestarzałe podejścia w edukacji: Wielu nauczycieli w Polsce wciąż stosuje metody nauczania, które mają swoje korzenie w XIX-wiecznych paradygmatach. Takie podejście często nie odpowiada współczesnym wymaganiom i realiom technologicznym, które są nieodłącznym elementem życia młodych ludzi.

Przepaść pokoleniowa i technologiczna: Uczniowie, którzy codziennie korzystają z nowoczesnych technologii i posługują się językiem cyfrowym, mogą napotykać na niezrozumienie ze strony nauczycieli. Ta przepaść wynika często z braku odpowiedniego szkolenia i zrozumienia nowych technologii przez nauczycieli.

Potrzeba szkolenia nauczycieli: Aby przezwyciężyć te wyzwania, kluczowe jest zapewnienie nauczycielom dostępu do ciągłego szkolenia i edukacji w zakresie nowych technologii. To pozwoli im lepiej zrozumieć środowisko cyfrowe, w którym żyją ich uczniowie.

Zintegrowanie higieny cyfrowej z programem nauczania: Higiena cyfrowa powinna być traktowana jako integralna część edukacji, obejmująca takie aspekty jak bezpieczeństwo online, etyka cyfrowa, zarządzanie prywatnością, a także świadome i odpowiedzialne korzystanie z mediów społecznościowych.

Modernizacja systemu edukacji: Aby sprostać wyzwaniom cyfrowego świata, system edukacji musi się modernizować, co obejmuje zarówno aktualizację programów nauczania, jak i infrastruktury technologicznej w szkołach.

Wspieranie krytycznego myślenia i analizy: Edukacja w zakresie higieny cyfrowej powinna również koncentrować się na rozwijaniu umiejętności krytycznego myślenia i analizy informacji w kontekście cyfrowym, aby młodzi ludzie mogli efektywnie nawigować w świecie pełnym dezinformacji i manipulacji.

Podsumowując, integracja higieny cyfrowej w systemie edukacyjnym Polski wymaga zmian zarówno w metodach nauczania, jak i w zakresie treści. To nie tylko kwestia przekazania wiedzy technicznej, ale także kształtowania postaw i umiejętności niezbędnych do bezpiecznego i odpowiedzialnego korzystania z technologii.

HISTORIA

ROZMOWY O ZMIERZCHU
Z KSIĘDZEM INFULATEM JANEM SIKORSKIM –
W RAMACH NOTACJI – ROZMAWIAŁ
MIROSŁAW LEWANDOWSKI



Dzieciństwo, okupacja, szkoła

Moi rodzice poznali się w Warszawie, gdzie zawarli związek małżeński. Mama była warszawianką od lat. Potem tak się złożyło, że ojciec założył firmę i przeniósł się do Kalisza. Moje siostry urodziły się jeszcze w Warszawie, a ja już w Kaliszu – kilkadziesiąt metrów od bazyliki pw. świętego Józefa. Tak stałem się kaliszaninem i to pod opieką świętego Józefa. Teraz jestem proboszczem kościoła pw. Świętego Józefa w Warszawie. Tak się zamknęło koło pod opieką tego wspaniałego patrona.

Przed wojną żyliśmy w dosyć dobrych warunkach. Tak się złożyło, że Niemcom spодobało się nasze mieszkanie... Pamiętam, kiedy w czasie obiadu przyszli obejrzeć nasze mieszkanie, rozmawiając, gdzie co postawią itd. Wywnioskowaliśmy, że zapewne zostaniemy wkrótce wysiedleni. Tak też się stało. Przyszli w nocy, dali nam pół godziny czasu na to, żeby się spakować i uciekać. Siostrze kazali jeszcze grać na pianinie, czego oczywiście nie uczyniła. Ja jeszcze byłem bardzo mały, miałem 5 lat. Po różnych przygodach ostatecznie zostaliśmy wyrzuceni w pole, gdzieś w kieleckim.

– Proszę bardzo, radźcie sobie, jak chcecie!

Ponieważ rodzina mamy znajdowała się w Warszawie, wróciliśmy do Warszawy. Wpakowaliśmy się mojemu wujowi – który był kawalerem i okropnym pedantem – do niewielkiego pokoiku na Ochocie w kolonii Staszica. Okolica była piękna, ale pokoiu maleńki, a tu troje dzieci, tata, mama oraz babcia. Zamieszkaliśmy w tym jednym pokoiku. Warunki były straszne. Szybko jednak pokój się rozluźnił, gdyż zaraz po kilkunastu dniach ojciec został zabrany do Oświęcimia. Dowiedzieliśmy się o tym potem, po drodze. To była ciekawa przygoda. Przez szparę w bydlęcym wagonie ojciec wyrzucił wiadomość, że jedzie gdzieś na południe, sam nie wie dokąd. Dołożył do tego złotówkę. Jakiś pastuszek to podniósł i przesłał tę wiadomość w liście. Dowiedzieliśmy się, że ojciec gdzieś jest, ale nie wiedzieliśmy, gdzie. Później otrzymywaliśmy już listy z Oświęcimia i wiedzieliśmy, że ojciec tam przebywa jako jeden z pierwszych więźniów tego obozu. Warunki były tragiczne. Mama nie pracowała, toteż szukała jakiegoś zajęcia, żeby nas utrzymać. Trzeba było chodzić do szkoły, więc przyjęli nas do bardzo dobrej szkoły prywatnej, to była tajna szkoła, a oficjalnie – przedszkole. Doświadczyłem tam swego rodzaju cudu, który był szczególnie cenny dla mnie jako syna, a potem księdza. Moja mama razem z moją starszą siostrą akurat zaczęła nowennę (wtedy nowenna kojarzyła mi się z rynną). Mama była osobą zdecydowaną. Poszła w al. Szucha, weszła do centrum Gestapo, do pierwszego lepszego pokoju. Nie znając języka niemieckiego (umiała tylko: „Hitler kaputt”), napotkała gestapowca, który mówił po polsku. Zwróciła się do niego:

– Zabraliście mi męża. On nic nie zrobił! Nie wiem, co się z nim dzieje. Wiem, że przebywa w jakimś obozie. Co to znaczy?

Zrobiła taki raban, że Niemiec odpowiedział:

– Dobrze, akurat jadę do Berlina, spróbuję coś zrobić.

Ojciec siedział w Oświęcimiu półtora roku. Jako jeden z niewielu został z tego obozu zwolniony i po półtora roku pojawił się. Jak go zobaczyłem, nie wiedziałem, jak się mam do niego zwracać. „Tatusiu” nie przeszło mi nawet przez usta, tak się odzwyczaiłem od ojca. Potem getto było zmniejszane. Zostały mieszkania pożydowskie. Jedno z takich mieszkań nam przydzielili. Mieściło się tuż przy murze getta, przy ul. Franciszkańskiej. Widziałem powstanie w getcie. Widziałem, jak Polacy z narażeniem życia przerzucali przez mur getta paczki żywnościowe. Wszystko działało się na moich oczach. I ta Warszawa..., piękne Stare Miasto – bardzo je wtedy pokochałem. Byliśmy bardzo związani z tym miastem. Dwa, może trzy dni tuż przed samym powstaniem wyjechałem do Choszczówki. W Choszczówce zastało nas powstanie, które właśnie wybuchło. Moja ciotka miała tu willę, w której zamieszkaliśmy. Widzieliśmy, jak przez tę miejscowość bez przerwy przechodziły wojska. Stąd też obserwowaliśmy, jak jest ostrzeliwana płonąca Warszawa...

Niemcy przepędzili nas z Choszczówki:

– Jazda, uciekajcie gdzieś na zachód!

Popędzili nas w stronę Kalisza. Po drodze nas zatrzymali pod Łodzią i na krótko wsadzili do jakiegoś obozu, a potem wywieźli do Niemiec, do obozu pracy. Ojca zaprowadzili na rozstrzelanie, ponieważ partyzanci zabili jakiegoś Niemca. Niemcy zatem wyprowadzili mężczyzn w nieznanym kierunku. Tak się zbiegło, że kiedy wysłaliśmy list do naszej ciotki, tego samego dnia ona otrzymała list od naszego ojca. Okazało się, że ojca nie rozstrzelali, tylko wywieźli do Niemiec i przebywa tam w innym obozie. Mama wznowiła nowennę i poszła do Lagerführera, tłumacząc mu, że jej mąż przebywa teraz w innym miejscu i ona chce z rodziną do niego dołączyć. Tak go omotała, że się zgodził. Mało tego, jeszcze własną bryczką odwiózł nas na dworzec, gdzie spotkaliśmy się z ojcem! Ojciec był w Pile, która wówczas nazywała się Schneidemuhl. W tym obozie, w Niemczech przetrwaliśmy już razem. Tymczasem zbliżał się front. Niemcy kazali nam uciekać. Popędzili nas w straszną zimę. Do dziś mam odmrożone ręce. Jest to moja pamiątka po niemieckich „pieszczotkach”. Prowadzili nas kolumną nie wiadomo dokąd, czy na zabicie, czy co, trudno

powiedzieć. Ale my urwaliśmy się. Wpadliśmy w głęboki śnieg i uciekliśmy. Strzelały armaty, stąd było wiadomo, że front się zbliża. Weszliśmy do piwnicy jakiegoś domu, tam spędziliśmy parę dni i stamtąd „wyzwolili” nas już Rosjanie. Cud, że nas nie pozabijali, gdyż sądzili, że jesteśmy ukrywającymi się Niemcami. Ten dom wielokrotnie przechodził z rąk do rąk, raz przejmowali go Niemcy, innym razem Rosjanie. Pieszko wróciliśmy do Polski, do Kalisza.

Nasze mieszkanie było puste. W Kaliszu skończyłem szkołę podstawową, następnie chodziłem do bardzo dobrego liceum im. Adama Asnyka. Kalisz to tradycyjne miasto, najstarsze w Polsce, taka duma. Ale mnie ciągnęła Warszawa. Tęskniłem do niej, ciągle chodziła mi po głowie, czułem się silnie z nią związany. Kiedy skończyłem szkołę, trzeba było podjąć jakieś studia. Oficjalnie zgłosiłem się na medycynę. To był czas stalinowski – rok 1952. Moja siostra już studiowała medycynę i mnie zachęciła do tego wyboru. Złożyłem papiery dla kamuflażu, bo oczywiście wiedziałem, że nie pójdę na żadną medycynę, lecz do seminarium. Kiedy miałem maturę w garści, powiedziałem:

– Bardzo dziękuję.

Przyjechałem do Warszawy i złożyłem dokumenty do seminarium.

Powołanie do kapłaństwa

Urodziłem się właśnie w Kaliszu, gdzie w 1935 roku mój ojciec prowadził firmę krawiecką. Jakoś mu zaczęło to dobrze iść, ale największy kłopot miała moja mama. Urodziła już dwie córki, ale wymarzyła sobie, że będzie miała syna Jasia. Szykuje się nadejście kolejnego dziecka. Mama w te pędy pojechała do Częstochowy, zwracając się do Matki Bożej Częstochowskiej:

– Matko Boża, rób, co chcesz, ale ja muszę mieć syna i to Jasia. Jeśli chcesz, to go potem weź, zrób z nim, co chcesz, bylebym miała syna!

Syn rzeczywiście się urodził. Ja to gdzieś słyszałem, w każdym razie ułożyłem sobie w głowie, że będę księdzem. Kiedyś, jeszcze jako przedszkolak się zgubiłem. Spotkała mnie siostra zakonna i zaprowadziła mnie do mamy. Wyznałem jej wówczas, że będę księdzem. Było to powołanie wyproszone w Częstochowie przez moją matkę. Chodziło mi to potem po głowie, że ja mam zostać kapłanem. Przed maturą jeszcze tego nie mogłem powiedzieć, ale wiedziałem, że już tym księdzem będę. Po maturze zaraz złożyłem papiery do seminarium

duchownego. Cały czas rosłem w tej świadomości, że moim zadaniem będzie kapłaństwo. W dzieciństwie odprawiałem w domu Mszę Świętą przy kieliszku, na stoliku nakrytym serwetką, recytując „Dominus vobiscum” itd. W szkole też nie ukrywałem, że będę szedł do seminarium. Dopiero tuż przed maturą trochę inaczej, nie oficjalnie.

Czasy stalinowskie w warszawskim seminarium

Jak postanowiłem, tak się stało. Zgłosiłem się do seminarium. Przyjęli mnie. Nawet nie wiedziałem, gdzie to seminarium jest. Było na Krakowskim Przedmieściu. Zobaczyłem prawie 300 kleryków w sutannach. Pamiętam modlitwę w refektarzu. Kiedy wszyscy huknęli swoje modlitwy na głos, pomyślałem: „Boże, gdzie ja jestem?!” – tak byłem tym wszystkim przestraszony. Szybko jednak wtopiłem się w tę społeczność. Koledzy byli bardzo sympatyczni, profesorowie – wymagający, jak na seminarium przystało. Ale to był czas stalinowski, bardzo niebezpieczny. Ciągłe mówiono, że to seminarium zostanie rozwiązane. Mnie akurat nie przesłuchiwali, ale kolegów nagabywali:

– Gdzie ty idziesz, do seminarium? Przecież za chwilę nie będzie Kościoła, ani księży. Może ci pomóc dostać się na studia? Gdybyś chciał – proszę bardzo, my ci pomożemy.

Na ogół takie rozmowy prowadzone przez komunistów były bezowocne. Nikt nie występował z seminarium, ale niebezpieczeństwo istniało. Pamiętam, że w seminarium było kółko introligatorskie. Pomyślałem, że wejdę do tego kółka, nauczę się oprawiać książki i będę księdzem tajnym. Oficjalnie będę introligatorem, będę oprawiał książki (nawet jedną swoją książkę już oprawiłem). Sądziłem, że rzeczywiście księża będą wyeliminowani z życia społecznego.

Przychodzi ksiądz kardynał Wyszyński. Słyszałem o nim od swojego szkolnego prefekta, który był jego uczniem. Kiedy został wybrany na warszawską stolicę arcybiskupią, mój prefekt mówił, że on jest bardzo chory i słaby i długo nie pożyje. Taka była pierwsza informacja o kardynale Wyszyńskim. Nagle spotykam go w seminarium, we własnej osobie. Majestatyczna, wspaniała postać. Staje wśród nas rozradowany, uśmiechnięty, a czasy okropne... Czuło się, że to jest człowiek zupełnie inny, wyjątkowy, ktoś, na kogo można postawić. Mimo, że byłem z natury bardzo krytyczny i w nikim się nie zakochiwałem i nie

miałem w życiu idoli ani wśród aktorów, ani wśród innych sławnych ludzi, bo wiedziałem, że ludzie, to tylko ludzie – kardynał od razu stał się moim idolem. Tak się złożyło, że kiedy na pierwszym roku (byłem bardzo młodziutki, ledwo po maturze, więc miałem 16 lat z groszami, właściwie byłem jeszcze dzieckiem) otrzymałem sutannę, piękną, bogatą kapę oraz komżę i podczas procesji Bożego Ciała niosłem przed kardynałem pastorał. Byłem straszliwie dumny, czułem się z tym pastorałem jak arcybiskup. Maszerowałem z tym pastorałem, wszyscy mnie widzieli, robili zdjęcia. Kiedy przyszedł moment ogłoszenia homilii, kardynał postawił Najświętszy Sakrament na stole, a ode mnie odebrał swój pastorał. Stałem od niego w odległości jakieś półtora metra. W czasie jego przemówienia widziałem z wysokości ołtarza ogromne tłumy ludzi na Krakowskim Przedmieściu. Zapamiętałem zwłaszcza słowa przemówienia, kiedy mówił:

– *Nie pozwolimy siadać carom na ołtarzu!*

Pomyślałem: „*Ale to jest potęga! Tu wielka komuna, niebezpiecznie, a tu prymas z takim przekonaniem, z taką mocą!*” Kiedy wróciłem do seminarium, dochodziły do nas hiobowe wieści, a to, że w Czechach już rozwiązali seminarium, a to inne. Chłopcy stali zatrwożeni, pytając jeden drugiego:

– Co z nami będzie?

Ja jeszcze wtedy nieśmiało zacząłem przekonywać:

– My mamy kardynała Wyszyńskiego, nam nic nie grozi!

Sam się zdziwiłem takim swoim nagłym wystąpieniem. A potem nadeszła dramatyczna wieść, że kardynał został uwięziony. Absolutnie nie chciało się nam w to wierzyć. Człowiek miał wiarę, że nie może się to skończyć źle, chociaż wyglądało źle, bo tuż za ścianą mieliśmy Prezydium Rady Ministrów, czyli pałac prezydencki. Tam zebrani księża biskupi, poza jednym – ks. Cynkiem z Olsztyna, podpisali zgodę na to, by na jego miejsce został wybrany biskup Klepacz z Łodzi i został przewodniczącym episkopatu, a na księdza prymasa będziemy czekać, aż wróci. Nam, młodym klerykom bardzo się to wtedy nie podobało. Wydawało się nam, że biskupi za łatwo ustąpili. Potem okazało się, że powiedzieli im wyraźnie:

– Jeżeli prymas został aresztowany, to za chwilę każdy z was znajdzie się w więzieniu i nie będzie biskupów w Polsce. Jak chcecie: albo Kościół będzie z nami współdziałał, albo pójdziecie wszyscy w odставку.

Ksiądz kardynał powiedział potem, że podczas jego aresztowania bronił go tylko pies i Niemiec. Ksiądz Cynk może nie był Niemcem, ale autochtonem, a pies rzeczywiście skoczył na jednego aresztanta i potem ks. kardynał nawet go własnoręcznie opatrywał. Wiedzieliśmy o tym i jako klerycy byliśmy bardzo zniesmaczeni. Nawet utarło się między nami popularne powiedzenie: „nie klepaczuj się”, chociaż rola bpa Klepacza i w ogóle rola biskupów była wtedy rzeczywiście bardzo trudna. Na wykładach panowała żałoba. Kiedy przychodzili profesorowie, nasłuchiwaaliśmy, co nam powiedzą, czy już ten świat się kończy, czy jeszcze nie. Ale oni uspokajali:

– Opatrzność Boża czuwa ponad wszystkim. W imię Ojca i Syna... Słuchajcie wykładów, przygotowujcie się do egzaminów.

I wszystko toczyło się dalej, w starym porządku. Byliśmy tym zniesmaczeni, bo naszym prorektorem był biskup Pawłowski, który był wyznaczony do Włocławka. Wiedzieliśmy o tym. Tytułowało się go „biskup nominat”, bo państwo nie pozwoliło mu przyjąć święceń biskupich, ale po pewnych gestach liturgicznych można było poznać, że zachowuje się jak biskup. Domyślaliśmy się, że został wyświęcony w sposób tajny i rzeczywiście tak było. Nasza władza ludowa, żeby pokazać, że nie jest taka zła, pozwoliła mu objąć stolicę we Włocławku. Odbył się nawet uroczysty ingres, co też nam się nie podobało, uważaliśmy, że rektor Pawłowski powinien przejąć swoją katedrę po cichutku, żeby nie było specjalnych uroczystości. Ale liturgia wymaga pewnych ceremonii, ale myśmy jeszcze tego nie rozumieli. Nasłuchiwaaliśmy dalej. Radio Wolna Europa podawało, swoje audycje, rozpoczynając od podania kolejnego dnia od aresztowania prymasa kardynała Wyszyńskiego. Pamiętam, że w Paryżu umieszczono ogromny, kilkumetrowy portret księdza kardynała, pod którym się zbierali ludzie na znak protestu. Były to piękne gesty solidarności płynące z całego świata, ale rzeczywistość była taka, jaka była.

Wyprawa do Komańczy – wizyta u więzionego Prymasa

Na kolejnym roku w seminarium wyjechaliśmy do Murzasichla. My, klerycy z naszym prefektem, późniejszym biskupem Kazimierzem Romaniukiem wyjechaliśmy na obóz – dzisiaj powiedzielibyśmy – integracyjny. Organizowaliśmy wycieczki, było bardzo pięknie. W tym czasie miałem takiego bardzo

dobrego kolegę, przyjaciela, ks. Jerzego Chowańczaka. Dużo chodziliśmy po górach, nie raz jeździliśmy razem na wakacje. Nie pamiętam, czy to był jego pomysł...

– Może tak poszlibyśmy odwiedzić kardynała?

Wiedzieliśmy, że jest w Komańczy i, że jest internowany oraz, że w Komańczy prawdopodobnie będzie nasz kolega, którego siostrzeniec Władysław Sułek był w naszym seminarium. Postanowiliśmy, że spróbujemy dostać się do kardynała. Było wiadomo, że trzeba mieć przepustki, bo to była strefa przygraniczna, że tam zatrzymują, wysyłają do Warszawy, że pilnuje wojsko itd. Mimo tego, nikomu nic nie mówiąc, wzięliśmy chlebaczki z brewiarzem w środku. W tamtym czasie nie było jeszcze żadnych folii, ortalionów, więc poszliśmy w krótkich spodniach, tenisówkach i czapeczkach ze złotu młodzieży komunistycznej oraz w polskich koszulach kupionych w sklepie sportowym.

– A dokąd idziecie?

– A, na spacer, na Wschód.

Nie poszliśmy do Warszawy, tylko do Komańczy. Pieszo przez Bieszczady (wtedy pierwszy raz usłyszałem tę nazwę) szliśmy niecały tydzień. Przechodziliśmy przez Szczawnicę, Krynicę, Rytró. Po drodze chodziliśmy do kościoła, nie mówiąc, że jesteśmy klerykami, ani – broń Boże – że idziemy do prymasa. W Krynicy służyliśmy do Mszy Świętej. Kiedy pytali nas:

– Dokąd idziecie?

Odpowiadaliśmy:

– A my tak..., na wschód.

– Ale tam są Bieszczady. Tam może iść tylko 20 osób, trzeba mieć lekarza i surowicę przy sobie, bo grasują żmije.

Przyznam szczerze, że trochę się wystraszyłem, kolega mniej i zaordynował:

– Idziemy!

Nie mieliśmy żadnych map. Ja miałem przy sobie jedynie ogólną mapę województwa. Nie znaleźliśmy żadnych szlaków. Był jeden szlak prowadzący w tamtą stronę, ale zaraz go zgubiliśmy i przedzieraliśmy się przez tę dżunglę zupełnie bez orientacji. Po słońcu odgadywaliśmy, że idziemy na wschód. Rzeczywiście spotkaliśmy wygrzewającą się żmiję. Obeszliśmy ją dookoła

i niebezpieczeństwo okazało się nie takie chimeryczne. Zawsze też udało się gdzieś zatrzymać po drodze. Albo przy kościele, albo gdzie indziej. Pamiętam, że na mojej mapie województwa znalazłem miejscowość Polany. Szukaliśmy jej, żeby złapać orientację, gdzie jesteśmy i czy idziemy w dobrą stronę. Ale nikogo nie było. Było zupełnie pusto. Mijaliśmy prześliczne stare cerkiewki z cudnymi malowidłami, w których hulał wiatr, poruszając stare chorągwie. Były zupełnie zarośnięte, tak w gołym polu. Wszyscy Ukraińcy byli już dawno stamtąd wyrzuceni, ich domy już nie istniały, zostały tylko cerkiewki. Wchodziliśmy do nich, żeby odmówić brewiarz. W końcu pokazał się jakiś człowiek. Podbiegliśmy do niego, ja pokazałem mu moją mapę, pytając, czy wie, gdzie jest miejscowość Polany.

– Tak, wiem! Tu jest bardzo dużo polan: tu są polany i tam są polany...

Okazało się, że on w ogóle nie słyszał o tej miejscowości. Nadal więc zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Była to taka nasza przygoda. Kiedy byliśmy po drodze głodni, Opatrzność Boża sprawiła, że w środku lasu znaleźliśmy krzak agrestu. Objedliśmy go doszczętnie i nieco umocnieni ruszyliśmy dalej. Tak udało się nam dotrzeć do Jaślisk, skąd do Komańczy było już niecałe 30 kilometrów. W Jaśliskach przyjął nas ksiądz na plebanii i jemu powiedzieliśmy, że idziemy do prymasa. Ostrzegł nas:

– Wiecie, że tam nie wolno...

– Ale jak tam dojść, w którą stronę iść? – zapytaliśmy.

– A, to ja was wyprowadzę na drogę.

Mam nawet zdjęcie pod drogowskazem „Komańcza 20 km”. Wiedzieliśmy już, że Komańcza leży w zasięgu naszych możliwości. Idziemy i widzimy, że stoją żołnierze, blokując drogę. Tylko my szliśmy od strony góry, a żołnierze pilnowali od strony kraju. Zauważywszy żołnierzy, czym prędzej umknęliśmy w las, żeby nas nie zobaczyli. Musieliśmy przeskoczyć przez tor kolejowy. Zastanawialiśmy się, co robić dalej. Przecież nie będziemy wypytawać, gdzie jest kardynał i gdzie jest klasztor. Nie wiedzieliśmy, co robić, ale mieliśmy dużo szczęścia. Zauważyliśmy, że żołnierze przepuścili siostrę zakonną, która idzie akurat w kierunku lasu, w którym byliśmy ukryci, niosąc jakieś paczki. Odczekaliśmy trochę, aż żołnierze zniknęli i podeszliśmy do niej:

– Siostró, my siostrze pomożemy.

Wiedzieliśmy, że jeżeli idzie lasem siostra zakonna, niosąc paczki, to na pewno nie idzie na grzyby, tylko do klasztoru. Istotnie. Tuż przed klasztorem zatrzymała nas:

- Już, chłopcy zostawcie to, dalej pójdę sama. A dokąd wy idziecie?
- Chcieliśmy odwiedzić kolegę.
- O, cwaniaki!

I poszła. Oczekaliśmy chwilę i dzwonimy do drzwi. Czekamy i czekamy, nikt się nie odzywa. Wreszcie drzwi się otworzyły i wyszedł nasz kolega, a siostrzeniec księdza prymasa, Włodek Sułek: – A, jesteście? A czemu tak długo czekaliście? Siostra powiedziała, że jakiś Sikora przyszedł do Władka. Poszedłem do wuja (księdza kardynała), a on do mnie: „Nie schodź, nie wiadomo, kto to jest”.

A, że Włodzio był ciekawy to zszedł i zobaczył, że to nie Sikora, tylko Sikorski razem z ks. Jerzym. Zaprosił nas:

- Wejdźcie, wejdźcie! Za chwilę powiem wujowi, że jesteście.

Serca nam zabiły. Utyłtani, w tenisówkach, z chlebakami, patrzymy – schodzi ksiądz kardynał. Serdecznie nas przywitał. Przedstawiliśmy się, że tu klerycy z warszawskiego seminarium. Zaprosił nas na obiad i powiedział, że możemy zatrzymać się na trochę dłużej. My na to jak na lato. Po obiedzie kardynał zwrócił się do nas:

- *Musicie uciekać, bo ubowcy już o was wiedzą, już się roją.*

Nie wiem, skąd to wiedział, ale na pierwszym piętrze mieszkali już ubowcy.

– Niedługo odchodzi jedyny pociąg do Warszawy. Na stacji Komańcza Letnisko nie ma kasy, więc możecie wsiąść bez biletów.

Skończyliśmy obiad. Było bardzo miło, a jeszcze w trakcie zadałem mu inteligentne pytanie, jak długo zamierza tu jeszcze zostać. Śmiał się:

– *Tak mnie tu kochają, że prędko do was nie wrócę, chociaż już pozwolili mi nawet pójść na pocztę.* Dlatego odprowadzę was w kierunku tej stacji.

Cała ekipa: kardynał, jego siostrzenica Danusia i Włodek, udała się z nami na skraj lasu, skąd w dole widoczna była stacja kolejowa. Lokomotywa już pracowała, pociąg stał. Puściliśmy się w jego kierunku. Kardynał dał nam dwie czekolady, co w tamtym czasie było rzadkością. Skądś to miał i podzielił się

z nami. Potem uczynił nad nami wielki znak krzyża i w ostatniej chwili wskoczyliśmy do pociągu od strony lokomotywy. Pociąg ruszył. Po drodze minęliśmy tabliczkę z napisem: „Strefa nadgraniczna”. Pomyślałem, że jesteśmy już w bezpieczni, bo jesteśmy w kraju. I dopiero wtedy doszli do nas wopiści, żeby nas wylegitymować. Obojętnie podałem im przez ramię studencką legitymację, podobnie ksiądz Jerzy. Nie interesowało mnie, co mi wypisali. Przejęci i podbudowani patrzyliśmy na piękną panoramę roztaczającą się za oknem... Naszą troską było teraz to, kiedy zjeść czekoladę.

Jednak ksiądz kardynał się pomylił. Zapowiedział, że będą go długo trzymać – a był wtedy sierpień – a już w październiku przyjechali do niego na klęczkach wiceminister sprawiedliwości Zenon Kliszko i poseł Władysław Bieńkowski, żeby szybko wracał do Warszawy, bo zaczęły się przewroty i ruchy za Gomułki. I ksiądz kardynał wrócił. Od Władka dostaliśmy obrazki na pamiątkę tej wizyty z podpisem księdza kardynała, które trzymaliśmy jak wielką świętość. Niestety gdzieś mi ten obrazek zginął, czego bardzo żałuję, bo byłby jakiś dokument. Ksiądz kardynał nigdy tego nie wspominał. Ale mieliśmy już z nim bliski kontakt. Odkąd w październiku kardynał wrócił, był traktowany i honorowany jak król. Zmieniło się to, kiedy Gomułka zaczął znowu na niego czekać i wymyślać.

Święcenia kapłańskie i praca na parafii w Skierniewicach

Już w innym nastroju, bo już po Gomułce i po nadziejach związanych z tym przewrotem w Polsce, siedzieliśmy w seminarium, czekając na święcenia kapłańskie. Ja nie mogłem przyjąć święceń kapłańskich, ponieważ byłem za młody. Trzeba było mieć 26 lat, a dyspensa papieska odejmowała od tego półtora roku. Ja nie doszedłem nawet do wieku dyspensy papieskiej. Dlatego ksiądz kardynał nie mógł mnie wyświęcić. Moi koledzy byli już kapłanami, a ja objąłem chyba jedyne w diecezji warszawskiej stanowisko subdiakona wikariusza (bo nawet diakonatu nie mogłem jeszcze przyjąć). W takiej funkcji zostałem wysłany do parafii Skierniewice. Moja sytuacja była dziwna: pozwolono mi wygłaszać kazania, a w drodze wyjątku jako subdiakoniowi pozwolono mi prowadzić pogrzeby. Pogrzeby mogli prowadzić diakoni, a ja prowadziłem jako subdiakon. Moi koledzy, kiedy pojawiłem się na nowej

parafii, interesowali się, czy będę mógł prowadzić pogrzeby jako subdiakon. Mówiłem im, że chyba tak. Bardzo się ucieszyli. Myślałem sobie o nich, że są dobrymi kolegami, skoro się tak ucieszyli, że będę miał jakieś prawa w parafii. Okazało się, że na cmentarz było bardzo daleko i na pogrzeb nieraz trzeba było poświęcić pół dnia.

Prócz tego dostałem bardzo dużo lekcji religii w szkołach. Miałem chyba 30 godzin, ponadto zajmowałem się ministrantami – byłem tak zajęty od rana do wieczora, że zapomniałem, jak się nazywam. Jedyny wolny dzień, który z tego powodu do dziś sobie bardzo cenię – trudno byłoby to zgadnąć – to był dzień 1 maja. Wtedy jeden raz w roku miałem taką wolną niedzielę. Takie były te nasze skierniewickie zajęcia i tyle było wtedy pracy. Po przemianach trzeba było przygotowywać dzieci do Komunii Świętej, setki dzieci było zaniedbanych pod tym względem, ponieważ były dzieci partyjne, a to wojskowe itd., więc trzeba było szybko nauczyć je katechizmu. Była to bardzo ciekawa praca. Proboszcz był twardy, ale znaczący i moi koledzy też.

Na początku miałem szczęście, bo kiedy ksiądz kardynał jechał do Rzymu, moi skierniewiccy parafianie zatrzymali pociąg w Skierniewicach. Nie wolno było tego oczywiście robić. Pociąg miał przejechać bez zatrzymania, a tymczasem zawiadowca stacji zatrzymał pociąg. Kolejarze oddali kardynałowi hołd, pokazali przygotowany sztandar i prosili, by po powrocie z Rzymu go poświęcił. Wzruszony kardynał obiecał, że po powrocie na pewno to uczyni. Rzeczywiście pamiętał o tym. Dzięki temu, że kolejarze się tego domagali, na początku mojej działalności znowu mogłem spotkać księdza kardynała Wyszyńskiego w Skierniewicach, witanego z wielkim szacunkiem przez kolejarzy. Partia zrobiła z tego straszną aferę, były przesłuchiwanie w sprawie nielegalnego zatrzymania pociągu, który w dodatku wiozł kardynała. Pomyślałem z zadowoleniem, że mam takich dzielnych parafian.

Po roku pracy zostałem wyświęcony z następnym rocznikiem jako pierwszy. Parafianie przyjechali do katedry bardzo dumni, że ja byłem pierwszy święcony (co było dodatkową atrakcją), przed moimi kolegami, którzy przyszli normalnym trybem. Do Skierniewic wróciłem już jako ksiądz. Przed święceniami odbyła się krótka, sympatyczna rozmowa z księdzem kardynałem. Czynił tak wobec każdego kandydata przed święceniami. Podczas święceń kardynał

włożył na mnie ręce, a ja przyrzekłem mu posłuszeństwo. Było to w dzień jego imienin i w rocznicę jego święceń, 3 sierpnia. On miał taki zwyczaj, że święcenia odbywały się właśnie 3 sierpnia. Stało się tak w przypadku poprzedniego kursu, mojego i następnego po mnie. Byłem bardzo dumny, że zostałem wyświęcony na kapłana z rąk kardynała Wyszyńskiego. Obserwowaliśmy jego zmagania i kolejne podróże do Rzymu, gdzie był bardzo fetowany, gdy honorował go kard. Roncalli (późniejszy papież) jeszcze jako patriarcha Wenecji. Obserwowaliśmy to wszystko, bo informacja była już wtedy łatwiejsza, żyliśmy tym duchem kardynała. Pamiętam kolejne procesje Bożego Ciała, które on prowadził jako taki zwycięski kardynał.

Obchody Millenium

Bardzo ciekawą sprawą było wprowadzenie przez księdza kardynała tak zwanych czuwań soborowych w parafiach. Do Częstochowy jeździły pielgrzymki z książkami czynów soborowych i w ten sposób wspieraliśmy sobór – czynami i modlitwą. Bardzo się te sprawy przeżywało. Organizowane były czuwania nocne w związku z soborem i jednocześnie Millenium. Kiedy w 1957 roku, jeszcze przed święceniami ksiądz kardynał mówił do nas: „*wy będziecie kapłanami Millenium*”, to dla mnie był tak odległy czas, że zastanawiałem się, czy ja w ogóle dożyję tych czasów. Okazało się, że bardzo to szybko minęło. Praca duszpasterska, którą ksiądz kardynał wtedy przeprowadził, zwłaszcza przez nawiedzenie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, ogromnie scalała cały naród. Te uroczystości były rzeczywiście przepiękne. W samo Millenium roku 1966 przyjechałem do Warszawy i zobaczyłem surrealistyczny krajobraz. Tłumy ludzi zebranych na pl. Zamkowym – bo akurat tam się znalazłem – a obok pełno zomowców w mundurach. Kiedy przechodziłem przez ulicę Daniłowiczowską, zobaczyłem całą ulicę wypełnioną mężczyznami w jednakowych płaszczach ortalionowych – wtedy po raz pierwszy pojawiły się tzw. ortaliony. Zdziwiony zastanawiałem się, co się tam dzieje. Jakaś kobieta akurat przechodziła obok mnie i rzuciła w moją stronę:

– To, proszę księdza zjazd filatelistów.

To byli „filateliści”, którzy mieli wejść w tłum, żeby go potem od środka rozwalać.

Kiedy biskupi zaczęli wychodzić z katedry, wszystkie wyjścia zostały zablokowane. Zaczęli dreptać w kółko, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Ludzie zaczęli się denerwować. Jakaś pani niedaleko mnie wyjęła parasolkę i łała tych zomowców tą parasolką. Oni byli z pałkami, ludzie z parasolami – rzecz niemal nie do wiary. Biskupi cofnęli się do katedry i tylnym wyjściem udało im się wrócić na ul. Miodową. Bez tej reakcji nie wiadomo, co w ogóle by się zdarzyło. Wszystkie te wydarzenia jednakże tym bardziej zagrzewały zapal uczczenia Matki Bożej i modlitwy milenijnej. Oprócz pracy zewnętrznej przygotowywane były wtedy kazania tematyczne, trochę katechizmowe. My je przygotowywaliśmy. Tematy w całej Polsce były jednakowe – mówiło się o znaczeniu Kościoła, wiary, o Matce Bożej. Praca była bardzo zsynchronizowana.

Potem nastąpiła napaść na obraz Matki Bożej i porwanie obrazu. Byłem już wówczas wikariuszem w parafii na Mokotowie w Warszawie, a przez to byłem bliżej wydarzeń warszawskich. Ksiądz proboszcz prałat Piotrowski brał udział w ekipie, która przewoziła ten obraz, więc opowiadał bezpośrednio, jak się to stało. Piękną akcją było nawiedzenie obrazu Matki Bożej w poszczególnych parafiach, poprzedzone rekolekcjami i modlitewnymi przygotowaniem. Parafie jedna po drugiej przekazywały sobie obraz, a spotkanie z piękną kopią obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej stanowiło specjalne uroczystości. Władzom oczywiście ogromnie się nie podobała ta mobilizacja parafii. Zdecydowali, że trzeba coś z tym zrobić. Napadli w lesie. Milicja podjechała i po prostu zabrała obraz. W ekipie księdza kardynała jechał akurat mój ówczesny proboszcz, ks. prałat Piotrowski. Jako bezpośredni świadek opowiadał, że nawet helikopter leciał nad nimi, gotowy na wszelki wypadek. Milicja brutalnie odebrała obraz i zostawiła wszystkich w tym lesie. Nic nikomu nie zrobili, ale obraz porwali. Nie wiem, czy to księża biskupi, czy sam kardynał wpadł na świetny pomysł: zabrali obraz, ale ramy zostały! W takim razie nawiedzenie tego obrazu będzie symbolicznie w pustych ramach. Obraz został wywieziony do katedry warszawskiej, a później pojechał do Częstochowy, gdzie bardzo dzielny ksiądz zorganizował „kradzież” tego obrazu z Częstochowy i po pewnym czasie po prostu go wywiózł. To osobna, ciekawa historia. W każdym razie same ramy wędrowały po parafiach i w ten sposób ludzie oddawali cześć Matce Najświętszej, przyglądając się jednocześnie, jak się zachowuje nasza

rzeczywistość rządowa. W każdym razie przez ten niemądry pomysł oni przegrali z kretesem.

– Jak odbywały się uroczystości milenijne?

Kiedy miały się odbywać, miejscowe władze partyjne były zmobilizowane, żeby urządzić coś alternatywnego. Odbywały się atrakcje, wyścigi, wycieczki, spotkania, wszystko po to, żeby rozbić te główne uroczystości. Najbardziej ewidentne wypadło to w Poznaniu, gdzie mimo urządzonych specjalnych festynów, ludzie w większości przychodzili na uroczystości milenijne. Chwilami gra robiła się śmieszna, niczym zabawa w kotka i myszkę, jednak poruszenie duszpasterskie w parafiach było ogromne, ludzie byli przygotowywani, słuchali nauk, spowiadali się. Akcja była bardzo dobrze przemyślana.

Listy biskupów polskich i niemieckich o pojednaniu

Kiedy millenium było w zenicie i cała Polska poruszona, nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszedł list biskupów polskich do biskupów niemieckich, napisany jeszcze w czasie soboru. Rozpętała się nieprawdopodobna burza, tak silne było uderzenie propagandowe. Mnożyły się artykuły, największy z nich, umieszczony w „Trybunie Ludu” nosił tytuł: „W czym imieniu”?! Przeciwnicy oburzali się, jak nasi biskupi mogli się odezwać do Niemców, jaką władzę sobie usurpują? Gomułka szalał. Nawet ludzie bliscy Kościołowi zaczęli się zastanawiać, czy to dobrze, że ten list został wysłany, czy to było potrzebne. Słowa, które ich ugodziły najbardziej: „przebaczamy”, ale też „prosimy o przebaczenie”, nieustannie były powtarzane na wiele sposobów jako bluźniercze. List rzeczywiście wywołał zamęt. Sam pamiętam okres okupacji w Warszawie, byłem niemal świadkiem rozstrzeliwania ludzi, egzekucji wykonywanych na ulicach, Niemców którzy chodzili uzbrojeni i nie było wiadomo, co się za chwilę stanie. Sam to widziałem. Pamiętam, jak Niemiec bił kobietę na pl. Narutowicza za to, że sprzedawała bułki. Przeżyłem wywiezienie do Niemiec. Sam dźwięk języka niemieckiego już dla mnie brzmiał dramatycznie. I tu nagle słowa: „prosimy o przebaczenie”. To było napisane w duchu głęboko chrześcijańskim i mówiło się, że dopiero w przyszłości przyniesie dobre owoce. Rzeczywiście tak się stało. Potem do tego listu odwoływali się Niemcy i Polacy. Był to gest przyszłościowy dla jedności, którą potem miała stanowić Europa. Do dzisiaj ten list jest

proroczym znakiem, początkiem jakieś współpracy i wzajemnego pojednania. Niemcy odpowiedzieli potem na ten list, ale w takim troszkę spokojniejszym tonie. Oczywiście przyzwali się w nim do zbrodni, których dokonali, ale my jako Polacy spodziewaliśmy się, że ten list będzie bardziej pokorny. Ale to już było później.

U boku księdza Stefana Piotrowskiego w parafii na Mokotowie

W Skierniewicach byłem aż 7 lat, co jak na wikariusza to było bardzo długo. Bardzo mi się dobrze tam pracowało, proboszcz nie chciał, żebym opuszczał tę parafię. W końcu przeniesiono mnie do Warszawy, do parafii pw. Świętego Michała na Mokotów. Była to bardzo eksponowana parafia, a jej proboszczem był ks. prałat Piotrowski – prawa ręka księdza kardynała Wyszyńskiego. W czasie powstania warszawskiego ksiądz prałat miał pseudonim „Jan” i był w randze majora. Był kapelanem odpowiedzialnym za jedną z warszawskich dzielnic.

Ksiądz kardynał Wyszyński miał dwie diecezje pod opieką: warszawską i jako prymas – gnieźnieńską. Musiał dzielić swoje obowiązki i tu i tu, poza tym cała polska pragnęła dotknąć księdza kardynała, zapraszała go, więc nie mógł tak dużo czasu poświęcić diecezji. I właściwie praktycznie w tym czasie rządził diecezją mój proboszcz – wspaniały ksiądz prałat Piotrowski. Dlatego doskonale czułem się w nowej parafii. Zajmowałem się katechezą dla młodych oraz katechezą dla studentów. Wychowywaliśmy całe grupy maturalne, przecież religia była wtedy na terenie kościoła. A parafia była duża, więc kościół żył, był stale otwarty, ludzie bez przerwy przychodzili, modlili się, zarówno dzieci, jak i młodzież, tak, że ruch był zawsze ogromny.

Mówiliśmy z radością:

– O, widać, jak się Królestwo Boże rozwija i kwitnie w parafii!

Ponieważ to był Mokotów, gdzie mieszkało wielu działaczy z PAX-u, oni też przychodzili do kościoła, dając asumpt do rozmów pobudzających do myślenia, jak to wszystko należy traktować, jak ta cała polityka się toczy, o kontrowersjach między rządem a Kościołem i roli PAX-u w tym wszystkim. Mieliśmy okazję rozmawiać na te tematy i je przemyśleć, spotykając się z różnymi ludźmi i różnymi poglądami. Parafia była pod tym względem bardzo ciekawa.

Piasecki przychodził do naszego kościoła i był bardzo zaprzyjaźniony ze wspomnianym przeze mnie księdzem proboszczem, ponieważ jego żona była uczennicą z liceum tego księdza Piotrowskiego. Ksiądz prałat jako prefekt był uwielbiany przez swoich uczniów, którzy często u niego bywali, przychodziła też m.in. żona Piaseckiego. Kiedyś nawet w tej parafii ksiądz kardynał Wyszyński spotkał się z Piaseckim na tzw. terenie neutralnym. Rozmowa odbyła się na plebanii, gdzie mieszkałem. Kardynał nie bardzo miłym okiem patrzył na Piaseckiego. Nie znam treści rozmowy, ale później ksiądz proboszcz w miejscu rozmowy na plebanii znalazł zamontowany podsłuch. Zupełnie przypadkowo potrafił coś szcztoką podczas zamiatania. Okazało się, że była to stacyjka produkcji japońskiej. Widać było, że mieli podsłuch, a ponieważ stanowisko księdza prymasa było bardzo eksponowane, więc, jeżeli tylko coś usłyszeli, mieli okazję od razu przekazać to z pierwszej ręki. Te same podsłuchy odkryto zresztą później na ul. Miodowej. Mieszkanie księdza prymasa i kuria też okazała się być naszpikowana podsłuchami. Po znalezieniu sprzętu, proboszcz zaniósł urządzenie podsłuchowe na milicję. Milicjanci byli bardzo „zdziwieni”, biedactwa pytali, co ksiądz na ten temat sądzi, zastanawiali się, kto to podłożył itd. Takie to były wtedy dodatkowe „atrakcje”.

Służba w charakterze ojca duchownego w warszawskim seminarium

Przez wiele lat byłem wikariuszem w parafii pw. Świętego Michała Archanioła na Mokotowie. Po drodze polecono mi zrobić doktorat na KUL-u, więc przez 3 lata tylko dojeżdżałem do parafii, właściwie mieszkałem w Lublinie. Męczyłem się z tym doktoratem, w końcu udało mi się go napisać i obronić. I wtedy przyszedł do mnie ksiądz prałat Piotrowski:

– Ksiądz kanonik chciałby, żeby ksiądz objął stanowisko ojca duchownego w seminarium jako wychowawca kleryków.

Ojciec duchowny to jest taki ksiądz, który odpowiada za życie wewnętrzne kleryków. W seminarium jest rektor, który zajmuje się sprawami naukowymi i organizacyjnymi, a ojcu duchownemu oddana jest cała działka życia duchowego, a więc: odprawia Mszę Świętą, głosi homilie, prelekcje do kleryków, wygłasza konferencje z dziedziny życia duchowego. Co ważne, dla tych, którzy chcą, staje się spowiednikiem, prowadzi z nimi rozmowy duchowe, które

przed święceniami kończą się tym, że ojciec duchowny wyraża swoją zgodę na wyświęcenie takiego kleryka, ale nie na forum zewnętrznym, tylko wewnętrznym. Może takiemu klerykowi powiedzieć: „Tak, błogosławię ci, bądź dobrym kapłanem”, albo: „Uważam, że ty, z twoją duchowością nie powinienes przyjmować święceń kapłańskich”. Czasami jest taki dramat. Oczywiście taki kleryk może wziąć pod uwagę to, co powiedział mu ojciec duchowny i np. nie przystępować do święceń, jeżeli są jakieś przeszkody różnej natury, ale może to pominąć. Dla rektora jest w porządku, bo nic złego nie zrobił w seminarium, więc te święcenia przyjmuje. Jest to trochę bolesne dla ojca duchownego, który widzi, że on idzie do kapłaństwa, a nie do końca jest do tego przygotowany. To jest jego bolesna i trudna rola.

Ksiądz kardynał Wyszyński zaproponował mi rolę ojca duchownego w seminarium. Ja się bardzo broniłem, bo w mojej mentalności nie znośm żadnych murów, płotów, zamknięć, drzwi, kluczy itd. Byłem człowiekiem otwartym na świat bez przegród, a tu nagle trzeba jak w zakonie być zamkniętym – seminarium jest takim zakładem zamkniętym – i trzeba siedzieć z klerykami w tym zamknięciu jak w takiej specyficznej parafii. Zupełnie mi to nie odpowiadało. Oczywiście więc powiedziałem księdzu proboszczowi, że się nie zgadzam. Raz, potem drugi. Znowu przyszedł do mnie zapowiadając, że ksiądz kardynał chce ze mną porozmawiać na temat objęcia tego stanowiska w seminarium. To bardzo szczytne i ważne stanowisko, tym trudniej było mi podjąć decyzję. Oczywiście ksiądz kardynał mógł po prostu mi to wyznaczyć i następnego dnia musiałbym się zameldować w seminarium. Ale zaprosił mnie do siebie na rozmowę. Rozmawiał ze mną bardzo długo. Podczas rozmowy zaglądał ksiądz Piasecki, pukał, że czekają już następni, ale kardynał go odsuwał, rozmawiając ze mną dalej. Rozmawialiśmy praktycznie o wszystkim, o wakacjach, o górskich wędrownkach, okazało się, że wędrowaliśmy podobnymi szlakami. Bardzo mnie to ociepliło, czułem się dowartościowany. W końcu zapytał, jak to będzie, czy zgodzę się zostać tym ojcem duchownym. Odpowiedziałem, że się zgadzam, ale na bardzo krótko, na 5 lat, nie więcej. Ale się zgodziłem, ksiądz kardynał mnie pobłogosławił i objąłem to stanowisko. Pozostałem na nim trochę więcej niż te 5 lat. Kiedy przyszedł potem ksiądz kardynał Glemp, powiedziałem mu, że ja się zgodziłem tylko na 5 lat, a te 5 lat już minęło.

Odpowiedział, że zobaczymy. Tak się złożyło, że w parafii pw. Świętego Józefa zmarł chory na białaczkę ksiądz proboszcz. Parafia na Kole została zwolniona. Swoją pracę doktorską pisałem właśnie o duszpasterstwie parafii i całe moje życie miałem to marzenie i widziałem siebie jako księdza proboszcza w parafii. Kiedy więc miejsce w parafii się zwolniło, w niespełna rok zaproponowano mi, że mogę zostać tu proboszczem. Oczywiście bardzo chętnie się zgodziłem. Mojemu przyjacielowi, ks. Jerzemu Chowańczakowi (z którym byłem w Komańczy u księdza prymasa), który był w tym czasie proboszczem w parafii pw. św. Michała Archaniola po księdzu Piotrowskim, zaproponowano, żeby został ojcem duchownym w seminarium. On przyjął to stanowisko i został na tym stanowisku moim następcą. A ja przyszedłem do nowej parafii jako proboszcz.

Prymas Wyszyński

Ksiądz kardynał Wyszyński był bardzo otwarty. Któregoś razu powiedział, że w nocy przyśnił mu się Bierut. Wspominał to. I się za niego modlił, dopiero później dowiedział się, że nie żyje. Potem napadł na niego Gomułka. W bezpośredniej rozmowie Gomułka zapytał, dlaczego ksiądz kardynał tak na mnie napada. Kardynał odpowiedział:

– Proszę powiedzieć, kiedy i zacytować chociaż jedno zdanie.

Ten się zawstydził, bo rzeczywiście nie było żadnego agresywnego zdania w kierunku pierwszego sekretarza. Tym niemniej pierwszy sekretarz tym swoim „dziamganiem” w swoistym stylu ciągle narzekał, jak to Przewodniczący Episkopatu Polski jest agresywny, że go nienawidzi itd. Tymczasem kardynał był bardzo łagodny. Znałem go jeszcze w czasie mojego seminarium. Pamiętam, jaki był serdeczny podczas spotkania w Komańczy. Pamiętam też, kiedy przychodził do kościoła Świętego Michała, gdzie zapraszał go ksiądz proboszcz, z którym był zaprzyjaźniony. Potem był wspólny obiad, podczas którego był serdeczny i dowcipny. Co ciekawe, kiedy miał zazwyczaj mówić bardzo długie kazania, ludzie słuchali cierpliwie i z uwagą, a kiedy po Mszy św. szedł na obiad, to ludzie nie wracali do domów, tylko czekali, aż skończy obiad, żeby chociaż spojrzeć na niego i żeby im pobłogosławił. Stali i czekali. Byłem zdumiony, bo obiad trwał dosyć długo, a oni czekali. Byłem też

świadkiem, gdy został zaproszony do Murzasichla, gdzie nielegalnie został zbudowany piękny, góralski kościół. Ksiądz kardynał jeszcze z arcybiskupem Karolem Wojtyłą przyjechali poświęcić ten kościół. Kardynał miał ogromny samochód, Forda. Ludzie dobiegli i cały samochód podnieśli do góry. Podobnie, gdy przychodzili studenci na spotkanie, zdarzało się, że potrafili nieść ten samochód, co było bardzo niebezpieczne tak dla samochodu, jak i dla kardynała. Był postacią, która ogromnie elektryzowała ludzi i która stała się prawdziwym symbolem. Świadczy o tym wieniec pogrzebowy, na szarfie którego napisano: „*Interrexowi – Niekoronowanemu Królowi Polski*”. I tak było. On jako jedyny reprezentował prawdziwego ducha narodu, bo przecież to była – może nie okupacja – ale zależność od Sowietów i od tej ich partii, która była już strasznie nienawiedzona. Nie tylko w Polsce, również w Europie Wschodniej on był jedynym reprezentantem nieugiętej opozycji wobec komunistów i ludzie to czuli, dlatego pokładali w nim tak wielką nadzieję.

Od mojego pierwszego spotkania miałem wrażenie, że to jest na prawdę człowiek wyjątkowy. Z jednej strony wielki majestat, zwłaszcza w tych purpurowych szatach, w których zachowywał się w sposób naturalny. To nie było sztuczne, ten majestat z niego bił. Z drugiej strony był bardzo bliski Panu Bogu. Kiedy do nas przemawiał w seminarium, wtedy jeszcze brewiarz odmawiało się po łacinie, całe frazy z brewiarza, które prawdopodobnie odmawiał rano, cytował po łacinie z pamięci. Psalm, którymi się modlił. Nie było to tylko przygotowane przemówienie do kleryków. On mówił to, czym żył. Bardzo mi to imponowało, ponieważ gdy ja odmawiam brewiarz, nie bardzo pamiętam, co przeczytałem, a on cytował całe psalmy i dostosowywał do bieżącej sytuacji. Widać było, że on tą modlitwą żył. Podobnie było podczas celebracji. On bardzo pięknie celebrował liturgię świętą. Przy jego celebrach tzw. Mszy Pontyfikalnych było bardzo wielu uczestników liturgicznych. Bardzo wiele osób asystowało do Mszy św., był duży ruch, ale on przy tym wszystkim zachowywał ogromne skupienie, powagę i autentyczną pobożność.

Kardynał miał autentyczny kontakt z ludźmi. To się widzi, czy człowiek dostrzega ludzi, czy jest ponad nimi. On był zawsze blisko. W kazaniach też nieraz aktualizował różne swoje powiedzenia. Raz pamiętam, że była akurat Ewangelia o połowie ryb. Święty Piotr zwraca się do Jezusa: „Mistrzu, całą

noc pracowaliśmy i niceśmy nie ułowili. Lecz na Twoje słowo zarzucę sieci” (Łk 5, 4), po czym złowili tyle ryb, aż się sieci rwały. Nawiązując do tego w homilii, ksiądz kardynał użył słowa „towarzysz”. W tamtych stalinowskich czasach było to „święte” słowo. Wszyscy byli towarzyszami, więc to słowo było powtarzane do znudzenia wszędzie, w pracy, odmieniane przez wszystkie przypadki, wraz z tytułami itp. itd. Więc było to słowo-symbol. A ksiądz kardynał ciągnął w homilii, że tych ryb wystarczyło dla wszystkich: i dla Apostołów, i dla ich towarzyszy. Trudno było o to, żeby słysząc takie słowo, ludzie odebrali to obojętnie. Zestawienie Ewangelii z tym słowem „towarzysz” było dowcipne i ogromnie trafne. Takich wystąpień i ujęć miał ksiądz kardynał więcej. Rozmawiałem kiedyś z jego kapelanem księdzem prałatem Padaczem, który wszędzie za nim chodził, nagrywał jego kazania, zawsze obok niego stał. Kiedy wyznał nam klerykom szczerze:

– Sam się dziwię, że ksiądz kardynał jakoś tak z Ducha Świętego ma natchnienie, że zawsze powie coś takiego bardzo aktualnego, co szczególnie przemawia do ludzi.

To była opinia jego najbliższego współpracownika. Rzeczywiście, sam to zauważyłem. Choćby ta wypowiedź ze słowem „towarzysz” świadczy o tym, że on zawsze był blisko ludzi. Potem jeszcze słuchałem ze zdziwieniem – nie dorosłem jeszcze, by dobrze go zrozumieć – jedno z kazań podczas uroczystości Bożego Ciała. Akurat poszerzano (bardzo mądrze) teren Kampinowskiego Parku Narodowego. Były tam zamieszkałe osiedla, z których oni kazali się ludziom wynosić, bo jak park, to park. Ksiądz kardynał w czasie wielkiego kazania na Boże Ciało przypomniał o tym i ujął się za tymi ludźmi. Kiedy tego słuchałem, zastanawiałem się nad tym, że tu wielkie sprawy się dzieją, a ksiądz kardynał w tak ważnym kazaniu wspomina o kilku osobach. Dopiero potem zorientowałem się, jakie to było ważne. On pokazał, jak ważny jest każdy człowiek. Nie system, nie jakieś ważne plany, tylko człowiek, którego nie wolno wykorzeniać, bo będzie to uderzeniem w jego osobowość, tradycję, rodzinę. On był tak bardzo wrażliwy – czego ja w pierwszej chwili jeszcze nie pojąłem. Publiczne upomnienie się na ogromnym forum o biedaków spod Puszczy Kampinowskiej świadczyło o tym, jak bardzo był bliski ludziom i każdemu człowiekowi. Jak można było nie kochać takiego kardynała i takiego człowieka!

Byłem jeszcze zbyt młody, żeby wchodzić w to towarzystwo, ale w kurii pracowali księża jak np. ksiądz prałat Goździewicz, który prowadził kancelarię i dla swoich współpracowników był bardzo życzliwy. Wspomnę tu swojego proboszcza księdza prałata Piotrowskiego. Był ksiądz Paszkiewicz – proboszcz w katedrze i ksiądz Padacz, uczestnik powstania warszawskiego (proboszcz Jan Piotrowski też był kapłanem powstania) oraz wychowawca młodzieży. Jeszcze przed wojną miał duży wpływ na młodzież. Później był już starszy i trochę nieźborny, ale ksiądz kardynał zawsze go bardzo cenił. Ksiądz Padacz był wykształconym prawnikiem. Pamiętam jego wykłady w seminarium, wykladał nam prawo kanoniczne. Wszyscy ci kapłani byli bardzo szanowani przez księdza kardynała.

Kiedy w październiku ksiądz kardynał Wyszyński wrócił, byli kapłani, którym można było postawić jakieś zarzuty, np. głównemu kapłanowi wojskowemu. Pamiętam, że wisiał jego płaszcz wojskowy, gdy był na audiencji u kardynała. Na funkcję kapłanów wojskowych można było różnie spojrzeć, bo z jednej strony musieli być posłuszni rządowi, a z drugiej strony byli to przecież ludzie Kościoła. Ich rola była bardzo trudna i starali się manewrować między jednymi a drugimi. Ksiądz kardynał mógł mieć do nich pewne zarzuty, co się trochę łączyło z tymi księżmi patriotami. Pamiętam jednak, że z tego spotkania wyszedł uspokojony, a nie jakoś bardzo przejęty czy pognębiony. Miał dużo dobrego serca i łagodności nawet wobec tych księży tzw. patriotów, którzy wtedy odgrywali bardzo wątpliwą rolę. Pamiętam, że jednym z wykładców w seminarium był ksiądz prof. Czuj, patrolog. On przychodził do nas na wykłady, mimo że wszyscy wiedzieliśmy, jaka jest jego przeszłość. Inny to ksiądz Stanisław Huet, dosyć znany moralista, też ksiądz patriota. Ukuliśmy wówczas powiedzenie: „Jak jest ksiądz patriota po chińsku? Huet-Jan-Czuj”. Mimo tego, ci kapłani byli w seminarium, jakoś ich ksiądz kardynał tolerował. W tym przejawiała się jego łagodność, bo przecież w każdej chwili mógł każdego z nich usunąć.

Wszyscy byliśmy tak zafascynowani postacią księdza kardynała Wyszyńskiego, że ksiądz kardynał Wojtyła pozostawał w cieniu. Bywało, że ksiądz prymas Wyszyński miał prowadzić jakąś działalność i zapowiadali, że nie może, ale zastąpi go kardynał Wojtyła, to ludzie mówili:

– Kardynał Wojtyła? A, to szkoda.

Był zupełnie w cieniu. Pamiętam, że na koronację cudownej figury Matki Boskiej w Nowym Targu w 1963 r. też oddelegowano kardynała Wojtyłę. Widzieliśmy, że komuniści próbują skłócić czy przeciwstawić sobie obu kardynałów. Jednocześnie władze widziały, że to się nie udaje, bo oni tworzą dobry tandem. Tym niemniej kardynał Wojtyła dla nas, tu w centralnej Polsce nie był postacią specjalnie pociągającą. Cieszyliśmy się, że jest, bardzo ładnie, bardzo dobrze, że zgadza się z kardynałem Wyszyńskim, ale na pierwszym miejscu był zawsze ksiądz kardynał Wyszyński. Kiedy mówiono, że na konklawe rozważany jest papież Polak, co oczywiście nam do głowy nie przychodził Wojtyła, raczej obstawialiśmy, że mógłby to być kardynał Wyszyński, chociaż brało się pod uwagę, że już był leciwy. Zaskoczenie wyborem kardynała Wojtyły było ogromne. Później przyszedł zachwyt nad jego postawą i odkryciem, kim on naprawdę jest. Ale i on sam się trochę zmienił. To był naukowiec, pisał dość ciężko, nie miałem okazji Go słuchać, jak mówi, ale nie porywał. Jakby gościł w cieniu kardynała Wyszyńskiego. Potem rozkwitł i cały kult kardynała Wyszyńskiego został przesunięty na kardynała Wojtyłę, już Papieża.

Stosunek prymasa Glempa do Solidarności

Po zgonie kardynała Wyszyńskiego bardzo oczekiwaliśmy, kto zostanie jego następcą. Rola była bardzo trudna i bardzo ważna. Dowiedzieliśmy się, że arcybiskupem Warszawy zostanie arcybiskup warmiński ksiądz Józef Glemp. Nie bardzo go znaliśmy, nie był żadnym oczywistym kandydatem. Różnie mówiono, nawet wymieniano księdza Tischnera, z czym związana jest pewna anegdota. Kiedy odbywał się pogrzeb księdza kardynała Wyszyńskiego, w seminarium poproszono mnie, żebym przyjmował gości, którzy przyjeżdżają z kraju i z zagranicy, żeby seminarium ich jakoś zagospodarować, pokazać gdzie co jest. Odprawialiśmy wspólną Mszę Św. Przyjechał też ksiądz Tischner. Zwróciłem się do niego:

– Witam może przyszłego prymasa – na co odpowiedział:

– Tak tak, jestem na drugim miejscu zaraz po pani Bortnowskiej.

Pani Bortnowska to była redaktor „Tygodnika Powszechnego”. Bardzo mnie tym rozbawił. Wyraźnych kandydatów na tę funkcję nie było, więc dla

nas wybór księdza Glempa był zaskoczeniem. On nie był znany na terenie kraju, natomiast był sekretarzem księdza kardynała Wyszyńskiego w kurii warszawskiej. Kilka lat był bliskim współpracownikiem kardynała, więc troszeczkę był zorientowany w tym, co się dzieje, ale Warmia była daleko, więc nie bardzo orientowaliśmy się, jakim on jest. Z wykształcenia był prawnikiem, więc był bardzo rzetelny. Wychowany na Pomorzu na północy. Mentalność tamtejszych księży była troszkę inna, być może pod wpływem Prus, bardzo taka formalna. Biskup Glemp nie miał otwartości, kontaktu i takiej charyzmy do ludzi, jaką miał kardynał Wyszyński. W tym zestawie był zupełnie inny. Natomiast od strony administracyjnej i rzetelności prawnej, to był jego zawód. Prawo zawsze pozostawia na człowieku ślad. Kiedyś w rozmowie z księdzem kardynałem Glempe opowiadałem mu o fenomenie Grobów Pańskich na Starym Mieście – w katedrze, a jeszcze bardziej w kościele pw. Świętej Anny, które odwiedzałem jeszcze podczas wojny z rodzicami. Te groby zwykle miały jakiś akcent patriotyczny. Pięknym zwyczajem warszawiacy tłumnie wyruszali już w Wielki Piątek i Wielką Sobotę nawiedzać te groby. Pomyślałem, że ksiądz kardynał Glemp jest mało emocjonalny, a na pewno będzie przemawiał, więc mu podsunąłem:

– Eminencjo, tu jest piękny warszawski zwyczaj, który jeszcze pamiętam, że ludzie tak tłumnie przychodzą i czekają przy tych grobach – na co kardynał odparł:

– No tak, ale niektórzy nawet nie uklęką.

Pomyślałem: „Tak to jest rozmawiać z prawnikiem”. Zobaczyłem, że jest odporny na to, co chciałem mu przekazać. Taka była jego mentalność. Jego rola była bardzo trudna – pośredniczenia i uspokojenia. W czasach „Solidarności” pragnęliśmy, żeby on bardziej podtrzymał ludzi na duchu, a on jako prawnik trochę wygasał, natomiast bardzo się przejmował. Sam widziałem, że bardzo był przejęty jakąkolwiek krzywdą ludzką. Ogromnie był wrażliwy na tę krzywdę. I rzeczywiście mocno i twardo upominał się o ludzi, którzy byli krzywdzeni przez stan wojenny. W tym celu założył Komitet Prymasowski. Był naprawdę dobrym pasterzem, ale zupełnie w innym stylu niż kardynał Wyszyński. Od znajomych księdza kardynała Glempa słyszałem, że w prywatnej rozmowie miał się wyrazić, jak on widzi swoją przyszłość:

– Słuchajcie, pod dębem to już tylko rzodkiewka może wyrosnąć.

Tak sam siebie oceniał jako następcę księdza kardynała Wyszyńskiego.

Kardynał Wyszyński był wizjonerem. On miał głęboko przemyślane to, czym jest komunizm i socjalizm – jeszcze przez swoje przedwojenne studia, przez to co pisał, a także przez własne obserwacje był bardzo bogaty w doświadczenie – oczywiście cała okupacja. Miał szerokie horyzonty myślenia, również w stosunku do krajów ościennych, które były podporządkowane sowieciom. Miał szerokie wizje oraz bezpośredni kontakt z ludźmi i ich problemami. U księdza kardynała Glempa nie było tego tak widać, przynajmniej to się tak nie rzucało w oczy. Ale musiał rozmawiać z władzami i był politykiem ad hoc, z konieczności. Z jednej strony musiał dbać o Kościół i robił to bardzo gorliwie i mądrze, z drugiej strony musiał wyjść naprzeciw ludziom. On nie okazywał tego, co przeżywa ani swoich sympatii, które miał, choć był trochę zdystansowany. Przypuszczam, że bał się, żeby wpływ kościoła nie był trochę zmanipulowany. Bardzo się bał, żeby broń Boże nie przelała się w narodzie krew. Dlatego troszczył się o to, żeby nie zaostrić tego konfliktu, powtarzając, że dość już było tej krwi. Z drugiej strony nie miał do końca dobrej opinii o ludziach „Solidarności”. Miał przecież swoje źródła informacji. Potem okazało się, że ci ludzie na zewnątrz byli oddani Kościołowi, a w rzeczywistości mieli poglądy bardzo lewackie, prawie, że zbliżone do rządu. Później to się ujawniło i do dzisiaj możemy to obserwować. Ojciec Święty w czasach „Solidarności” był bardzo poruszony tym ruchem w Polsce. Z resztą miał z nim bezpośredni kontakt przez zaufanych ludzi, księży i biskupów, którzy do niego przyjeżdżali. Dość jednoznacznie wypowiadał się na korzyść „Solidarności”. Wprowadził taką piękną formułę modlitwy do Matki Bożej w intencji tego, co się dzieje w Polsce. Wsłuchiwałem się w każde jego przemówienie, które często było nawiązywaniem do wydarzeń, które się działy w Polsce. Widać było jego ogromne zaangażowanie w „Solidarność”. Dlatego dla nas, uczestników życia kościelnego postawa księdza kardynała Glempa była trochę niewystarczająca. Uważaliśmy, że on za mało tę „Solidarność” promuje. Stąd potem zrodziły się podejrzenia – sam to słyszałem – że ksiądz kardynał Glemp nie lubi „Solidarności”. Trudno było to potwierdzić, to chyba nie było tak, ale rzeczywiście, w porównaniu z tym, co robił Ojciec Święty, kardynał Glemp jak gdyby

tego nie doganiał. I było takie odczucie – nie wiem, na ile prawdziwe – że ks. kardynał Glemp dystansuje się wobec „Solidarności”. Ale, jak wspomniałem, przypuszczam, że miał rozeznanie na temat infiltracji „Solidarności” przez dwa środowiska. Jedno to było środowisko szpicli, na co mamy dokumenty. Wprowadzali odpowiednich ludzi i kazali im wchodzić w struktury „Solidarności”. Drugie to było lewicowe środowisko postkomunistów, bardzo mocne, domagających się „komunizmu z ludzką twarzą”. Ci ludzie pozostali komunistami i socjalistami, chociaż na gruncie „Solidarności” chcieli wprowadzić nowe oblicze, ale socjalistyczne. Im nie było po drodze z Kościołem, chociaż Kościół był im bardzo na rękę, bo utwierdzał w ludziach przekonanie, że te zmiany są konieczne i potrzebne. Tu zachodziła obawa, że oni wykorzystają Kościół dla swoich celów nie do końca polskich, chrześcijańskich, tradycyjnych, tylko dla swoich celów lewicowych. Przypuszczam, że ksiądz kardynał był w tym zorientowany i dlatego nie brał „Solidarności” tak en bloc, jak my wszyscy, uważając, że to jest nowa świeża rewolucja i że to jest coś wspianalego. On widział pewne rzeczy inaczej, miał obiektywy i pewne zastrzeżenia nie tyle do samego ruchu, który był niekwestionowany, ale do ludzi, którzy w ten ruch wchodził i usiłowali nim kierować. To się odczuwało i stąd krążyła taka opinia wśród ludu czy księży, którzy otaczali księdza kardynała, że on jest mocno zdystansowany do „Solidarności”.

O sekretarzach generalnych Episkopatu: księdzu biskupie Zygmuncie Choromańskim i księdzu arcybiskupie Bronisławie Dąbrowskim

Nie brałem udziału w żadnych rozmowach, byłem tylko obserwatorem, więc trudno mi powiedzieć, jakie to były wówczas relacje z władzami państwa. Nie chciałem za dużo interpretować. Z tego, co widziałem, ksiądz arcybiskup Dąbrowski był bardzo żywo zaangażowany w sprawy, zwłaszcza w rozmowy z władzami PRL. Podobnie zresztą za czasów księdza kardynała Wyszyńskiego, rozmowy z rządem prowadził ksiądz biskup Choromański. Bardzo często kardynał Wyszyński zlecał biskupowi Choromańskiemu konkretne rozmowy dotyczące administracji diecezji, powstawania parafii itd. Władza dużo sobie uzurpowała. Był zwyczaj rekolekcji stanowych, promowanych w Kościele, a więc osobnych spotkań dla służby zdrowia, dla lekarzy, dla pielęgniarek, dla

prawników, dla bankowców. Takie rekolekcje stanowe: kobiety, mężczyźni itd. Im się to nie podobało. Pamiętam takie reminiscencje z rozmów. Nie brałem w nich udziału, ale słyszałem o tym, jak atakowano księdza biskupa Choromańskiego. W imieniu księdza kardynała Wyszyńskiego atakowano go, że Kościół tu urządza jakieś grupowe rekolekcje, że wpływa na grupy zawodowe i to jest niemożliwe, bo nie ma do tego prawa. Tu jest władza, a tu partia. Tak napadali na biskupa Choromańskiego, który był człowiekiem dosyć stanowczym i mocnym. Wiem, że na jednej takiej rozmowie w pewnym momencie huknął pięścią w stół i zwołał:

– Będą rekolekcje stanowe!

Po czym wstał i wyszedł. Rozmawiał bardzo stanowczo i miał prerogatywy ze strony kardynała Wyszyńskiego.

Podobną rolę przejął potem arcybiskup Dąbrowski. Nie wykluczone, że przy kardynale Glempie miał jeszcze większe prerogatywy niż za kardynała Wyszyńskiego, który chciał wszystko trzymać w ręku i dobrze się orientował w tych sprawach. Ksiądz kardynał Glemp był młodszy, z mniejszą wizją jak kardynał Wyszyński. Poza tym sytuacja się zmieniła, była inna. Glemp już nie był tym jedynym, który wszystkiego broni, było już pewne rozluźnienie, to już nie były czasy stalinowskie. Na zasadzie pomocniczości mógł się kardynał Glemp posługiwać wiedzą, mądrością – doświadczonego w kwestii rozmów z rządem biskupem Dąbrowskim. Pamiętam, że za czasów kardynała, kiedy były te spotkania z księżmi, to kardynał mówił:

– Proszę bardzo, sprawy Kościoła i państwa omówi ksiądz arcybiskup Dąbrowski.

I zwykle on mówił, ale mówił nie o sprawach wielkiej polityki, tylko o pewnych ustaleniach, jakie zapadły między Kościołem a rządem. Relacjonował kwestie formalne, finansowe itd.

Służba w charakterze kapelana internowanych

W seminarium, w tym zamkniętym gronie, które miało dużo własnych problemów, w zasadzie sprawy polityczne były gdzieś z boku. Mnie zostało to jeszcze z czasów wojny, że wolność, Polska, tradycja narodowa była bardzo bliska mojemu sercu. Wstyd się przyznać, ale pamiętam, że miałem nawet

trochę pretensji do Pana Boga: Panie Boże, dlaczego ta Polska i ja również, żyje w takim paskudnym wymiarze pseudo wolności, kłamstwa, partyjniactwa, które jest tak przebrzydłe? Dlaczego nie możemy żyć tak jak inne kraje, które już miałem okazję odwiedzić? Po cichu miałem taką pretensję. Jednak czynnie nie byłem zaangażowany w żadną opozycję. Od rana do wieczora musiałem pilnować kleryków. Taka była wtedy moja rola.

Wybuchł stan wojenny. Z moich okien widziałem plecy pomnika Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu, a teraz pod moim oknem zaczęły jeździć skoty. Wydawało mi się to strasznie niemądre i dziwne. Pamiętałem Krakowskie Przedmieście z czasów wojny, po którym chodzili żołnierze niemieccy, których jako dziecko specjalnie się nie bałem. Więc myślę: co mnie będą straszyć jacyś Polacy spod Warszawy czy skądś, z pałami przy bokach? Nie tylko nie umiałem wewnątrznie zdobyć się wobec nich na szacunek, ale nawet na strach.

Miałem przygotowane oszukane papiery do wyjazdu na święta. Normalnie każdy ksiądz zostaje na święta w parafii, ale klerycy wyjeżdżają na wakacje i ja miałem święta nietypowo wolne. Zaplanowałem zatem wyjazd i spotkanie z rodziną we Wrocławiu. Nastawiłem się na to, chociaż wyjazdy były mocno ograniczone. Powiedzieli nam w kurii, że jest szansa, że może puszcza nas, księży do internowanych z „Solidarności” i zapytali, czy ja bym nie poszedł. W ułamku sekundy podjąłem decyzję, choć przez moment się zawahałem, ale tu „Solidarność”, coś się w Polsce dzieje, jest nadzieja. Więc zrezygnowałem ze swoich świątecznych planów. Byłem gotów. Rozdali nam przepustki. Dostałem przepustkę od Kiszczaka, ale nie było wiadomo, jak to będzie, czy nas do więzienia wpuszczą, czy nie. Poradzili mi, żebym razem z księdzem Dembowskim (późniejszym biskupem i członkiem Okrągłego Stołu) z parafii przy ul. Piwnej, pojechał do Białoleki, bo ktoś nas zawiezie. Otrzymałem dokument, że mnie tam wpuszczą i że, mogę się poruszać mimo stanu wojennego. Trochę z ciekawością, pojechaliśmy raniutko w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Wpuścili nas. Drzwi więzienia się otworzyły. Nigdy nie byłem w więzieniu w Białolece. Pierwszy raz w życiu. Zaprowadzili nas do komendanta tego więzienia, ale idąc, usłyszałem, że jest głośnik nastawiony na Mszę Św. z kościoła

pw. Świętego Krzyża w Warszawie. Już Msze Święte były transmitowane. Komendant miał otwarty głośnik i słuchał Mszy. Pomyślałem sobie:

„O, to nie jest tak źle”!

Przyjął nas rzeczywiście życzliwie, z kawką, pokazał, gdzie są internowani. Powiedzieliśmy, że chcemy odprawić dla nich Mszę Św. Odpowiedział, że oczywiście, proszę bardzo, że funkcjonariusze nas zaprowadzą. Rzeczywiście otworzyli drzwi. Pamiętam, że moje pierwsze wrażenie było ogromne naszpikowane wspomnieniami historii naszych Sybiraków. Ten obraz jakby się teraz powtórzył, jakby wrócił... Zarośnięci, z brodami, ukryci w mroku, korytarz nabity ludźmi. Byliśmy chyba pierwszymi ludźmi z zewnątrz, których oni w ogóle zobaczyli. Niektóre twarze nawet rozpoznałem, wydały mi się znajome. Wzruszenie było ogromne. Przywitaliśmy się z nimi serdecznie z obustronnym wzruszeniem i patrzę, a na końcu pomieszczenia przygotowany ołtarz. Z krzyżem na obrusie czy na prześcieradle, ze znaczkiem „Solidarności”. Zachwyciłem się, jakie to piękne. Ogarnęła nas nadzieja. Włożyliśmy szaty liturgiczne, ale ważne było, żeby internowani mogli przyjąć Komunię Świętą, było przecież Boże Narodzenie. Wymyśliliśmy, że zrobimy tak jak na wojnie: spowiedź (może nie ogólna, bo nie mieliśmy na to takich praw) ale taka, żeby każdy się wypowiadał. Nie będziemy jednak dawać nauk (żeby nie przedłużać), tylko udzielimy rozgrzeszenia zbiorowo dla wszystkich, którzy podeszli. Zgłosił się pan Śliwiński, późniejszy polski dyplomata i minister. Był wykształcony technicznie, miał także skończoną teologię. Zaproponował, że poprowadzi dla innych rachunek sumienia. Internowani podchodzili do nas w dwóch rzędach, by się wypowiadać, a on stał z boku i robił im rachunek sumienia według przykazań Bożych. Wszystko to trwało bardzo długo, bo wielu przystąpiło do sakramentu spowiedzi. Następnie odprawiliśmy Mszę Świętą z homilią. Po skończonej Mszy oni mieli potrzebę rozmowy, więc zdecydowaliśmy, że będziemy ich odwiedzać w celach. Wchodziliśmy do poszczególnych celi. Wytworzył się rytuał, że każdy się przedstawiał. Nazwiska niewiele mi mówiły. Dawali nam oczywiście „wiadomości”, czyli tzw. grypsy do przekazania, których mieliśmy pełne, wypchane kieszenie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Michnika, który też przekazał wiadomość dla Jacka Federowicza. Zapytałem, od kogo, bo nie podpisane.

– On będzie wiedział od kogo – odpowiedział. Dopisałem „jaka się”, żeby wiedział, od kogo, bo ja nie znałem Michnika. To były w ogóle takie sztandarowe nazwiska, tam była cała elita „Solidarności”. Jak się okazało, to była też Komisja Krajowa z całej Polski, więc to byli ludzie bardzo znaczący. Siedzieliśmy tam do późnego wieczora, dokąd tylko się dało, odwiedzając cele. Zastanawialiśmy się, co teraz zrobić z tymi uzbieranymi wiadomościami. Nie dostałem żadnej instrukcji. Był stan wojenny, który według mojej oceny był kompletnym bezprawiem, więc nie miałem zamiaru słyhać żadnych przepisów w tym układzie. Włożyłem je do torby z przyborami liturgicznymi. Kiedy wyszedłem z tą torbą, byłem ciekawy, czy będą mnie rewidować. Jeden z funkcjonariuszy zaoferował, że chętnie mi pomoże. Zgodziłem się, więc wziął moją torbę i niósł ją aż do bramy wyjściowej. Żadnej rewizji nie było. Wziąłem torbę i pojechaliśmy prosto do kościoła pw. Świętego Marcina. Przeżywałem tych pseudo Sybiraków, spotkanie z nimi, ich opowiadania i różne historie, które od nich usłyszałem (np. opowiadali, że jak ich wieźli, to strażnicy rozmawiali ze sobą po rosyjsku i oni myśleli, że zostali wywiezieni do Rosji sowieckiej). Myśląc o ich pobożności, o tylu spowiedziach, poczułem się dumny i spełniony w roli kapłana. Zobaczyłem, jak bardzo potrzebny jest ksiądz, żeby podtrzymać na duchu i podtrzymać kontakt zewnętrzny. Drugim zaskoczeniem był tłum ludzi, w tym znanych artystów jak Jacek Federowicz, czekających przy specjalnie przygotowanym stole, na który wysypaliśmy te wszystkie „wiadomości”. Wolontariusze od razu je segregowali, pod kątem, do kogo to wysłać. Mieli już przygotowane adresy, słowem organizacja wspaniała, zupełnie jak w czasie okupacji. Wzięli i od razu zaczęli roznosić. Bardzo mi to zaimponowało organizacyjnie. W każdą kolejną niedzielę coraz śmielej odwiedzaliśmy internowanych. Przychodzili też do nas ludzie z zewnątrz, żeby przekazać im od nich jakieś wiadomości lub drobne przedmioty. Był wzajemny kontakt. Ksiądz Dembowski startował od siebie, ja jechałem z seminarium na Krakowskim Przedmieściu, potem razem wsiadaliśmy do samochodu i jakiś wolontariusz wiozł nas na miejsce. Natychmiast został utworzony charytatywny Komitet Prymasowski, który od tamtej pory nieustannie pracował. Systematycznie spisywano w nim, kto na co jest chory, kogo trzeba ratować komu pomóc itd. Ksiądz kardynał Glemp wspaniale się w to zaangażował,

to był Komitet pod jego egidą. Później zaangażowali się aktorzy, m.in. Maja Komorowska i zaczęli jeździć do więzień i też przekazywać „wiadomości”. My przychodziliśmy co niedziela ze Mszą Świętą oraz po to, żeby internowanym dodać otuchy. Powtarzałem im, to samo zresztą, co swoim uczniom, że „Solidarność” zwycięży, a to, co jest głupie i złe, nie może długo trwać. Niektórzy pytali:

– Ale czy tak ksiądz mówi tylko po to żeby nas pocieszyć, czy też rzeczywiście tak ksiądz myśli? Odpowiadałem, że ja w to święcie wierzę i jestem o tym przekonany. Nawet klawiszów ostrzegałem:

– Uważajcie, nie traktujcie tych ludzi źle, bo przyjdzie czas, że jeszcze będziecie im stawiać pomniki.

Było to bardzo ciekawe pole pracy duszpasterskiej. Wielu z nich rzeczywiście powracało do Pana Boga. Wielu miało bardzo głęboko przeżywane religijne problemy. Pamiętam jedną rozmowę z jednym z przywódców „Solidarności”, prostym człowiekiem.

– Mam takie zmartwienie – mówi.

– Jakie? – zapytałem.

– Żeby moje dzieci nie zaczęły mnie nienawidzić. Ja je wychowywałem w duchu otwartości, a one widziały, jak mnie – ich ojca – policjanci wyprowadzają w nocy do więzienia.

Pomyślałem: „Człowieku, jesteś wielki! Nie martwisz się o siebie, o swój byt, tylko o postawę swoich dzieci”. Tacy to byli ludzie. Bardzo mi imponowali. Zawsze starałem się w swoich homiliach – ksiądz Bronisław również – dodawać im otuchy. Raz nawet zaszła zabawna sytuacja. Odprawialiśmy po kilka Mszy Świętych, bo na jednej wszyscy by się nie zmieścili. Zdawało mi się, że przychodzą wszyscy, nie słyszałem, żeby ktoś został w celi. Może ktoś zostawał, ale bardzo niewielu, zazwyczaj przychodzili wszyscy. Raz zrobiło się jakoś ciasno, zauważyłem nowe twarze, których wcześniej nie kojarzyłem. Okazało się, że przywieźli nową falę internowanych. Myślę sobie:

Co im powiem? Każdy proboszcz, jak mu parafia rośnie, to się ogromnie cieszy, więc zwróciłem się do nich:

– Jak ja się cieszę, że was widzę! Ty nowych! Witam was w swojej parafii!

Potem niektórzy wyznali mi:

– Proszę księdza, jakie to były dla nas ważne słowa, bo byliśmy tak ogromnie przybici tym wszystkim, co się dzieje!

Ci „starzy” już zdążyli się trochę przyzwyczaić, a nowi byli zupełnie oszołomieni.

Przyznali:

– Tak nas ksiądz rozbawił, że bardzo dodało nam to otuchy.

Wielu z nich naprawdę nawracało się do Pana Boga po wielu latach, bo w tych politycznych biegach może nawet nie mieli czasu na sprawę Bożą. A tu nagle okazja. Mówiłem do nich:

– Panowie, to są rekolekcje zamknięte.

Jeszcze Ojciec Święty podarował im Pismo Święte. Każdy z nich dostał nowe Pismo Święte. Zadawaliśmy im czytanie Pisma Świętego po fragmencie, zapowiadając, że będziemy ich odpytywać z przeczytanych fragmentów. Wytworzyła się bardzo ciekawa atmosfera duszpasterska. Antoś Zambrowski, syn słynnego Zambrowskiego, członka Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR, którego ulice do dziś są w Warszawie, tak bardzo się zaktywizował, że walił o 21.00 w kaloryfer na Apel Jasnogórski, wołając:

– Apel Jasnogórski! Do Apelu!

Głośno śpiewali i modlili się. W jednym przypadku udzieliłem tam nawet ślubu. Znany działacz „Solidarności” miał wyrzuty, bo nie miał ślubu z żoną. Ja mówię:

– Jak się żona zgodzi.

Pojechałem do żony, rozmawialiśmy i ona bardzo chętnie się zgodziła na ślub. Zaaranżowaliśmy ten ślub w więzieniu i w gabinecie „Pod Palmą” celebrowaliśmy ślub. Świadkowie mieli okazję wejść do więzienia i zobaczyć się z nimi.

Niedawno pochowałem Janka Lityńskiego. On był Żydem, ale oświadczył, że chce przyjąć chrzest i bardzo poważnie przygotowywał się do chrztu przez poszczególne niedziele, ja z nim wtedy rozmawiałem. I potem przyjął sakrament chrztu niezwykle świadomie i z głębokim przekonaniem. Po wypuszczeniu z więzienia, szybko znowu go zamknęli, więc potem się ukrywał. Przysłał do mnie swoich ludzi z zapytaniem, czy mogę do nich przyjść, bo zbliżała się Wielkanoc, a on chce przystąpić do sakramentu pokuty. Chrześcijan

w okresie Wielkanocnym mają przecież obowiązek przystąpić do tego sakramentu. Z pewnym ryzykiem dla niego, jak również niewielkim dla mnie, udałem się do jego kryjówki. Wypowiadał się i udzieliłem mu Komunii Świętej. Bardzo konsekwentnie potraktował swoją wiarę. Z niektórymi z nich utrzymywałem potem kontakty, zwłaszcza gdy próbowali naprostować sprawy religijne. Oczywiście zaraz powiedziałem o tym księdzu prymasowi Glempowi, który zapowiedział, że do nich dojedzie. Rzeczywiście, wkrótce akurat miał Mszę Świętą z kazaniem w kościele pw. Świętego Krzyża, skąd przyjechał prosto do Białoleki. Internowani słyszeli go przez radio podczas transmisji Mszy, a potem zobaczyli go bezpośrednio, gdy ich odwiedził. Są nawet zrobione zdjęcia z tego spotkania. Ksiądz kardynał obchodził poszczególne cele. Ktoś starszy w celi przedstawiał poszczególnych osadzonych, ksiądz kardynał siadał, rozmawiał, po czym szedł do następnej celi. Było to piękne i bardzo znaczące spotkanie. Tak się złożyło, że zza granicy przyjechała jakaś międzynarodowa komisja z pułkownikiem Romanowskim. Mieliśmy spotkanie z nimi: ksiądz kardynał Glemp, ksiądz Dembowski i ja, pułkownik który ich przywiózł, delegaci – nie wiem, czy z ONZ, czy z innej organizacji międzynarodowej, oraz miejscowi.

Dowiedziałem się wtedy, że mnie nie chcą wpuścić do Komisji Krajowej „S”, gdzie była zgarnięta cała świta: Kuroń, Rulewski, Seweryn Jaworski, Pal-ka itp. Michnika akurat tam nie było, on był razem ze wszystkimi pozostałymi, natomiast przywódcy regionów byli właśnie tu umieszczeni. Zauważyłem głośno, że są jeszcze inni internowani, do których mnie nie dopuszczają, na co oni, chcąc nie chcąc, musieli przyrzec, że w następną niedzielę będę do nich dopuszczony. Tak, korzystając z obecności kardynała Glempa i władz oficjalnych, wygrałem z nimi tę partię. Później próbowali wszystko zatuszować, wmawiając mi, że to już za późno, na co ja zapowiedziałem, że nie pójdę do domu, dopóki się z nimi nie zobaczę. Udało się sprowadzić uwięzionych. Każdy z osobna był sprowadzany pod specjalnym rygorem. W szklanej budce przypominającej budkę telefoniczną siedzieli wojskowi, bacznie przyglądając się, co się dzieje. Internowanym pozwolono stać z daleka i nakazano zachowywać między sobą wyznaczoną odległość. Powiedziałem, że muszę ich wypowiadać, a nie mogę tego uczynić tak publicznie. Wydzielili mi odosobnione miejsce zasłonięte parawanem, gdzie ustawili krzeselka. Kto pierwszy przeszedł

do spowiedzi? Kuroń. Podczas tej spowiedzi-nie-spowiedzi rozmawialiśmy, a on, jak wytrawny konspirator przekazał mi tajną informację na małej bibułce, którą natychmiast spalił. Musiałem zapamiętać jej treść. Następnie kolejno, kto chciał, przychodził się wyspowiadać, a kto chciał porozmawiać. Nie pozwolili mi już odprawić Mszy Świętej, uznając, że jest zbyt późno. Bronilem się, że muszę, że przywiozłem specjalnie przygotowane dla nich komunikanty, więc mam Komunię Świętą i co mam z tym zrobić. Zapytałem, czy mogę zostać, na co usłyszałem:

– Nie, to się nie da.

Nasze przetargi przedłużały się, robiło się strasznie zimno i zacząłem brać pod uwagę, że na prawdę zostanę tu na noc. Trochę się wystraszyłem swojego pomysłu, w końcu jednak władze więzienne obiecały że w następną niedzielę wszystko zorganizują, ale dziś muszę już pojechać do domu ze względu na zmiany organizacyjne. Przyszedł ksiądz Opiela – on nastał po księdzu Dembowski. Zaproponowałem mu, żeby przyjął Komunię Świętą, którą przygotowałem dla tych, którzy się spowiadali, ale którym już nie pozwolili przyjąć Komunii. Ksiądz uklęknął i przyjął Komunię Św., a oni zrobili z tego donos, że ksiądz Sikorski dał księdzu Opieli grypsy do połknięcia!

Kiedy internowanie się skończyło, wszystkich zaprosiliśmy na Mszę Świętą do Kościoła pw. Świętego Marcina, gdzie żył, pulsował i pracował Komitet Prymasowski dla internowanych i dla ich rodzin. To było wielkie wydarzenie. Kościół był napchany. Msza Święta dobiegała końca i po błogosławieństwie któryś z internowanych zapytał:

– Proszę księdza, to już nasz kontakt się kończy i nie będzie żadnego duszpasterstwa?

Mnie coś wtedy natchnęło, wskoczyłem na ławkę i zawołałem:

– Zapraszam wszystkich do kościoła seminaryjnego, w którym mieszkałem.

– Kiedy? – zapytali mnie.

– W pierwszą niedzielę po trzynastym – wymyśliłem na poczekaniu – Zapraszam na Mszę, a potem przegadamy, co dalej z tego wszystkiego wyjdzie.

Wszyscy wyszli z kościoła, a ja, który naprędce wymyśliłem termin, musiałem się teraz rozpatrzyć, czy będzie miejsce w kościele tego dnia i jak to zorganizować? Nadszedł dzień – niedziela po trzynastym dniu miesiąca.

Spekulowałem, że może pojawi się kilkudziesięciu działaczy, z którymi sobie pogadamy. Patrząc, a kościół nabity! Przyszli nie tylko byli internowani, ale też ich rodziny. Zrobiło się ciasno, czuło się bardzo podniosły nastrój. W tym czasie już pojawiły się Msze Święte za Ojczyznę na Żoliborzu. Ludzie skojarzyli, że tu będzie taka Msza jak na Żoliborzu, więc przed rozpoczęciem Mszy Świętej podeszli do mnie, zapowiadając, jakie delegacje mam powitać. Zdziwiony zapytałem, z jakiej racji i po co te delegacje. W końcu zaprosiłem wszystkich na kolejną Mszę. Znowu przyszły tłumy, ale już w obstawie zomowców, ponieważ kościół seminaryjny sąsiadował siedzibą Jaruzelskiego. Na tę Mszę Świętą przyszedł ksiądz Jerzy Popiełuszko, co wywołało ogromną sensację. Bardzo serdecznie go przywitani. Kolejny raz zobaczyłem, jak wielkim cieszy się on uznaniem w oczach ludzi. Wystąpił Seweryn Jaworski i ogłosił go oficjalnie kapłanem NSZZ „Solidarność” Mazowsze. Rozległy się brawa. To już był inny nastrój, bo było po wizycie papieża Jana Pawła II, więc uroczystości i liturgia już wyglądała inaczej. W każdą niedzielę po trzynastym dniu miesiąca odprawiałem Mszę dla tych ludzi. Utworzyła się grupa liturgiczna, która przygotowywała czytania, modlitwy powszechne itd. oraz wydawała oświadczenia. To było jedyne miejsce w Warszawie, gdzie oficjalnie „Solidarność” występowała jako „Solidarność” poprzez te oświadczenia (informacje), które oni sobie przedtem układali (sam to sprawdzałem) i ogłaszali, co się w Polsce dzieje. Mikrofony, media zagraniczne, BBC – to były źródła informacji, co się dzieje na Mszy Świętej za Ojczyznę. Zastanawialiśmy się, jak nazwać tę grupę. Zaproponowałem, żeby nazwać ją Rada Parafialna. Tak uczyniliśmy. W skład Rady wszedł także bardzo zaprzyjaźniony ze mną Anatol Lawina, Żyd, który bardzo się tym interesował. Spotykaliśmy się przed Mszą Świętą, ustalaliśmy jej porządek. Modlitwy powszechne pięknie pisał i przygotowywał Krzysio Mordziński, ujmując w nich wszystko, o co chcieliśmy Pana Boga prosić, szczególnie w danym miesiącu. W ten sposób tworzył się niepowtarzalny klimat tych Mszy Świętych.

Pogrzeb Grzegorza Przemyka

Na Msze Święte za Ojczyznę przychodziła pani Barbara Sadowska. Miałem okazję poznać ją bliżej, po czym dowiedziałem się, że jej syn Grzegorz, maturzysta, został okrutnie pobity, co spowodowało jego śmierć. Oczywiście

wziąłem udział w jego pogrzebie. Nie było wiadomo, kto będzie uczestniczył, więc wziąłem to w swoje ręce. Naturalnie obecny był ksiądz Jerzy Popiełuszko, ksiądz Dembowski i inni księża, z którymi koncelebowaliśmy pogrzeb. Tłumy były nieprawdopodobne. Wzruszyła mnie zwłaszcza postawa młodzieży. Byli niewiarygodnie poważni i głęboko wzruszeni. Ksiądz Popiełuszko poprosił ich przez mikrofon, żeby szli w milczeniu. Zastanawiałem się, czy im się uda zachować ciszę – byli młodzi, a trasa od kościoła Świętego Stanisława Kostki na Powązki jest długa. Tymczasem wszyscy zachowali grobowe milczenie. Przypomniała mi się historia pięciu rozstrzelanych w Warszawie, którym też towarzyszyło owe niespotykane milczenie... Ale tam to była historia, a tu – autentyczne doświadczenie. Całą drogę szliśmy w marszu pełnym bólu i zupełnej ciszy. Pani Sadowska bardzo płacząca, ksiądz Popiełuszko szczególnie się nią zajmował i jej towarzyszył. Panowała modlitewna powaga i ogromny ból. Otrzymywaliśmy potem różne wiadomości. Kiedyś oprowadzałem jakichś gości zza granicy ulicą Jezuicką i pokazywałem im miejsce, w którym zamordowali Grzegorza. Mili-cjanci patrzyli na to krzywo, ale ja pomyślałem: „Niech się wstydzą za to, co się stało”. Było to bowiem straszne przeżycie. W czasie drugiej, słynnej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski miało miejsce nieoficjalne spotkanie w kościele oo. kapucynów, na które została zaproszona także Barbara Sadowska. Byłem akurat blisko niej i widziałem, z jaką czułą serdecznością i bólem papież ją przytulił. Przedstawili mu panią Sadowską, a on mówił:

– Tak, tak, wiem, wiem...

Podszedłem do Ojca Świętego i wspominałem mu o internowanych, na co odpowiedział:

– Powiedz im, że jutro będę szczególnie o nich mówił.

Następnego dnia została odprawiona Msza Święta na Stadionie Dziesięciolecia i rzeczywiście Ojciec Święty wspomniął o internowanych, a ludzie jakimś cudem rozwinęli ogromny transparent z napisem „Internowani”.

Ksiądz Jerzy Popiełuszko

W czasach gdy opiekowałem się internowanymi miałem okazję poznać bliżej księdza Popiełuszko. Wiedząc, że chodzę do więźniów, przyszedł do mnie, mówiąc:

– Ja mam takie wiadomości, chciałbym wiedzieć, co się dzieje z tym, a co z tamtym...

Ponieważ było wielu internowanych, których ja nie znałem, nie byłem w stanie wszystkiego mu przekazać. A on prosił:

– Przekaż temu taką wiadomość, a tamtemu taką.

Zgodziłem się i obiecałem, że przekażę. Po tym pierwszym z nim spotkaniu pojechałem do więzienia. Jeszcze wtedy ksiądz Popiełuszko był dla mnie po prostu młodszym kolegą, o którym jego kolega mówił: „Popiełuch”. Kiedy jednak powiedziałem więźniom o księdzu Popiełuszcze i przekazałem od niego wiadomości, byłem zdumiony ich reakcją. Okazało się, że jest im dobrze znany. Wiadomości od księdza Popiełuszki słuchali z zaciekawieniem. Opowiedziałem o tym księdzu Popiełuszcze, na co odparł:

– Tak, bo ja tam mam dużo znajomych.

Zrozumiałem, że oni mieli z nim nawiązany kontakt. To było moje pierwsze spotkanie z księdzem Jerzym, o którym jeszcze wtedy niewiele wiedziałem, ale ta wspólna sprawa nas połączyła.

Opozycjoniści zapraszali mnie na Msze Święte za Ojczyznę na Żoliborz, ale ja niestety uległem propagandzie i krytykowałem dwa paluszki uniesione w górę, krzyki, politykę – wszystko to mnie zniechęcało. W końcu kiedyś w wakacje miałem wolne i zdecydowałem się pójść na tę Mszę Świętą i zobaczyć, co się tam dzieje. Byłem olśniony. Tłumy ludzi tak wsłuchanych w słowa księdza Jerzego, że jego słowa dosłownie wsiąkały w nich jak w gąbkę. On nie mówił ani wybitnie po kaznodziejsku, ani atrakcyjnie pod względem retorycznym czy krasomówczym, ale bardzo zwyczajnie. Natomiast odbiór był nieprawdopodobny. Nasi najlepsi aktorzy, których znałem z nazwiska, prowadzili dziękczynienie po Komunii Świętej, przytaczając głęboko religijne i bardzo patriotyczne teksty. Podszedłem do ks. Jerzego:

– Słuchaj Jerzy, ty jesteś jak mały papież! Ten plac będzie kiedyś nazwany twoim imieniem! Zrozumiałem wtedy – sam sobie to ułożyłem, ale i kursowało takie powiedzenie – że to były „dwie godziny wolnej Polski”. Od tej pory starałem się uczestniczyć w tych Mszach Świętych, jeżeli tylko mogłem i za każdym razem było to dla mnie ogromnym przeżyciem. To nie była polityka, jak wcześniej sądziłem. Oczywiście krzyczeli: „Solidarność”, „Solidarność”,

ale jednocześnie było to głębokie religijne przeżycie ze strony tych ludzi i nas wszystkich.

I przychodzi tragedia – śmierć księdza Jerzego. Dowiedziałem się o tym dopiero wieczorem. Prędko przyleciałem do kościoła pw. Świętego Stanisława. Było już przed północą. Cały czas trwało czuwanie, nie było wiadomo, co się z księdzem Jerzym dzieje. Czuło się przez skórę, że coś bardzo niedobrego, ale nie było wiadomo. Może gdzieś zaginął, może się gdzieś zgubił. Wpadłem na pomysł, żebyśmy odprawili czuwającą Pasterkę o północy. Sam odprawiałem tę Mszę Świętą i miałem wielkie problemy, co powiedzieć. Czuło się, że może być niedobrze. Nie mogłem więc budzić nadziei, że on na pewno wróci i wszystko będzie jak dawniej. Ta homilia przyszła mi z wielkim trudem, ale coś powiedziałem, po czym czuwaliśmy i modliliśmy się. Później przyszła najgorsza wiadomość. Mnie wtedy nie było na Żoliborzu. Był ksiądz Przekaziński, który zainicjował modlitwę o przebaczenie. To były wielkie wydarzenia.

Ksiądz kardynał Glemp zaprosił mnie do siebie i poprosił, żebym uczestniczył jako przewodniczący w komisji ludzi odpowiedzialnych za Msze Święte księdza Jerzego. W ten sposób jak gdyby w pewnym stopniu nominował mnie na jego miejsce. Ksiądz proboszcz prałat Bogucki był wtedy w szpitalu i w parafii pw. Świętego Stanisława Kostki nie było proboszcza. A tłumy ludzi ciągle przychodziły i sytuacja była wyjątkowa. Przyjąłem wyznaczoną funkcję i co miesiąc przychodziłem na Żoliborz i jak u siebie w parafii przygotowywałem Mszę Świętą za Ojczyznę. Wyznaczaliśmy, kto będzie wygłaszał homilię, na zakończenie czytałem ogłoszenia. Duch Święty mną kierował, bo potrafiłem na tych ogłoszeniach powiedzieć coś takiego, co poruszało ludzi. Raz wspominałem o delegacji i użyłem zakazanego słowa „Solidarność”, na co ludzie odkrzyknęli:

– „Solidarność”! „Solidarność”! „Solidarność”! – grzmiał cały ogromny tłum.

Kiedy wreszcie ucichli, przyszło mi do głowy i zacytowałem pieśń: „Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud”. Pomyślałem, że Pan Bóg musi się zmiłować, słysząc to wołanie tysiąca ludzi w niebo. Odtąd zawsze w ogłoszeniach starałem się jakoś załagodzić sytuację. Kiedyś padał straszny śnieg na ludzi. Dookoła stało mnóstwo zomowców i było niebezpieczeństwo, że zaczną się tam jakieś jatki.

Nie chciałem dopuścić, żeby takie rzeczy działały się po Mszy Świętej, więc na ogłoszeniach powiedziałem:

– Pada taki gęsty śnieg, uważajcie na bałwanki z pałeczkami, które stoją na obrzeżach, żeby któryś nie zrobił wam krzywdy.

Oczywiście wszyscy ludzie w śmiech. Śmiali się jeszcze w drodze powrotnej. Takie ciekawe wydarzenia zdarzały się na Mszy Świętej, ale klimat i nastrój był podniosły. Kiedy już ksiądz Bogucki wrócił ze szpitala, poszedłem do niego, oświadczając, że już ustępuję miejsca.

– Niech ksiądz dalej to prowadzi – odparł.

I tak przekomarzaliśmy się. Za jakiś czas wycofałem się, a wszystkim pokierował proboszcz Bogucki.

Służba w charakterze naczelnego kapelana więziennictwa

Byłem rozpoznawalny jako kapelan internowanych. Tak się złożyło, że rozpoczął się kongres światowy kapelanów więziennych w Wiedniu. Zdaje się, że miał jechać na to biskup Miziołek, który był odpowiedzialny za duszpasterstwo w Polsce, ale nie mógł, więc zaproponowano mnie, żebym pojechał i w Wiedniu reprezentował duszpasterstwo więzienne w Polsce. Nigdy nie byłem kapelanem więźniów kryminalnych, chociaż stykałem się z nimi w czasie internowania – miałem różne przygody. Pojechałem. Kiedy pytali się mnie, kim jestem, odpowiadałem, że reprezentuję polskie więziennictwo. Tam była taka nomenklatura, że był tam naczelnny kapelan. Trochę sam siebie, a trochę oni nazwali mnie reprezentantem więziennych kapelanów polskich. Słuchałem bardzo ciekawych referatów, były też ciekawe spotkania, na które zjechali się delegaci z całego świata, po jednej osobie z każdego kraju. Ja byłem jedynym Polakiem, który brał udział w kongresie. Dopiero tam się dowiedziałem i usłyszałem, co to jest duszpasterstwo więzienne. Jeden Peruwiańczyk zetknął mnie ponadto z organizacją ludzi świeckich, którzy odwiedzali więźniów. Ja byłem pod wrażeniem naszych aktorów i ludzi, którzy odwiedzali internowanych w więzieniu. Okazało się, że na Zachodzie to jest normalnie przyjęte. Istniała chrześcijańska międzynarodowa organizacja Prison Fellowship International, zrzeszająca wolontariuszy więziennych z różnych krajów. Kiedy wracałem do Polski, już mi zaświtało w głowie, że w Polsce to duszpasterstwo więzienne

prawie nie istnieje. Prawnie było tak, że proboszczowie powinni się zająć więzieniami na terenie swoich parafii, ale wszystko dopiero się zaczynało i nie było jeszcze zorganizowane. Pomyślałem sobie, że skoro już pojechałem na kongres, na którym przedstawiłem się jako delegat i reprezentant polskiego więziennictwa, to muszę teraz coś zrobić w tym temacie. Pomyślałem o moich znajomych z bractwa więziennego. W Wersalu poznałem wolontariuszy francuskich, którzy chodzą do więzień i zobaczyłem, jak to jest. W Wersalu przemawiali byli więźni jako prezes jakiegoś stowarzyszenia. Bardzo mi to imponowało. Zrozumiałem, jak bardzo my jesteśmy opóźnieni w tym temacie i postanowiłem zorganizować międzynarodowy zjazd kapelanów więziennych w Polsce, żeby poruszyć zarówno władze państwowe, jak i kościelne, ponieważ biskupi też nie byli w to duszpasterstwo jakoś wciągnięci. Na własny koszt i na własną rękę zwołałem międzynarodowy kongres dotyczący służby więziennej. Zaprosiłem na niego państwowego ministra i niektórych księży biskupów, żeby wzięli udział i zobaczyli, jak to wszystko wygląda. Dowiedziałem się, że jest w Polsce specjalista od spraw więziennych dr Paweł Moczydłowski, którego zaprosiłem do wygłoszenia referatu wprowadzającego ze strony naszego kraju. Zaproponowałem, żeby kongres odbył się na terenie seminarium w którym pracowałem. Akurat były wakacje, więc seminarium było wolne. Były kłopoty z tłumaczeniami, potrzebne były kabiny i ogromne pieniądze. Pomyślałem, że może ściągnę jakieś pieniądze od przybyłych delegatów, którzy wymieniają w Polsce dolary i uda się to wszystko opłacić. Parę tysięcy dał mi biskup Orszulik, resztę zorganizowałem sam. Miałem przesympatycznych parafian, do których zwróciłem się o wolontarną pomoc w obsłudze gości. Wysłałem także zaproszenia do krajów demokracji ludowej, bo mi zależało na tym, żeby to duszpasterstwo – jak już ja jeden z naszej strefy byłem w Wiedniu – przekazać też innym krajom. Dostałem list z odpowiedzią bodajże od Węgrów, że „nie mamy takiego duszpasterstwa i w ogóle go nie przewidujemy”. Pomyślałem: „O, małoduszni! To ja, Polak już mam plany na przyszłość, a wy tego w ogóle nie przewidujecie”!

To był 1987 rok. Szumu się trochę narobiło, bo informacja przedostała się do mediów i biskupi się dowiedzieli, że coś takiego jest, i sam minister przemawiał – historyczny moment, jedyny w swoim rodzaju. Zacząłem chodzić koło

tego, żeby to duszpasterstwo więzienne trochę rozkręcić. Przedstawiałem się wszystkim jako naczelny kapelan więziennictwa. Dwa tygodnie po tym zjeździe szefem więziennictwa, dyrektorem generalnym w ministerstwie sprawiedliwości został pan Paweł Moczydłowski! Natychmiast zgłosił się do mnie:

– Proszę księdza, robimy duszpasterstwo więzienne!

Ponieważ był na zjeździe, słyszał i dowiedział się, jak to wszystko wygląda za granicą. Ja na to jak na lato. Wziął mnie do ministerstwa, dał mi pokój obok siebie i nagle zacząłem być postrzegany przez tych więźniaków niemalże jako zastępca pierwszego sekretarza komórki partyjnej! Oczywiście, nie o to chodziło.

Myślałem teraz nad tym, jak tu zorganizować kapelanów więziennych. Usiłowałem nawiązać kontakt bezpośredni z biskupami poszczególnych diecezji, organizowałem zjazdy. Opracowałem w głowie taką strukturę, że będą to kapelani ogólnopolscy tak jak ja, a następnie diecezjalni. Tak z własnej inicjatywy, nawet bez mandatu biskupiego, za co potem dostałem w skórę i słusznie, zacząłem organizować duszpasterstwo więzienne i razem z dyrektorem Moczydłowskim jeździliśmy do poszczególnych rejonów Polski. On zawsze oddawał mi głos, więc ja też mówiłem do tych ludzi jeszcze mundurowych – w tamtym czasie. Jeden z nich wziął mnie kiedyś na bok:

– Proszę księdza, czy z tego, co ksiądz mówi, w ogóle coś będzie, czy to jest tylko taka lipa?

Bo im się taki projekt w głowie nie mieścił. Nawet ja, stojąc w sutannie między tymi mundurami, nie wierzyłem, że tak się stanie. Nie tak dużo wcześniej to byłby skandal, że ksiądz staje obok munduru. To była rzecz nie do pomyślenia. Zacząłem się starać o to, żeby były kaplice więzienne i organizować kapelanów, którzy nie byli kapelanami nominowanymi, ale byli proboszczami albo wikariuszami miejsca, gdzie były więzienia. Ministerstwo umożliwiło mi zorganizowane zjazdy tych kapelanów, co ja połączyłem z rekolekcjami. W pięknych ośrodkach ministerstwa sprawiedliwości (niegdyś ubekich) mieliśmy 3-dniowe rekolekcje ze Mszą Świętą. Zaczynało się w Popowie pod Warszawą. Zaprosiłem odpowiedzialnego w Episkopacie Polski arcybiskupa Zimonia, żeby się przyjrzał, jak wygląda to duszpasterstwo, rekolekcje i spotkania, i aby docelowo stworzyć grupę „zawodową” kapelanów więziennych.

W taki sposób niechcący stałem się protoplastą duszpasterstwa więziennego na terenie naszego kraju. Ciekawa rzecz, że Rada Europy też zaczęła coś robić w tej dziedzinie i urządziła zjazd przedstawicieli więziennictwa z krajów Europy Wschodniej, tej naszej dawnej postkomunistycznej. Z Bułgarii przyjechał młody ksiądz prawosławny. Słuchał i zobaczył, jak to wygląda, przedstawialiśmy mu to wszystko, bo w Polsce już to duszpasterstwo było rozwinięte. On nawet sam wystąpił i wyznał, że jego marzeniem jest stworzyć coś takiego w Bułgarii. Przyjemnie mnie to podrapało, bo moim marzeniem było wciągnąć te kraje w dokonujące się przemiany. Rada Europy poparła to, że to właśnie tak powinno być, że kapłani powinni chodzić do więzień i ludzie świeccy również. Udało się nam stworzyć Bractwo Więzienne, które otrzymało status stowarzyszenia, żeby ludzie świeccy mogli odwiedzać więźniów. W Warszawie i innych miastach polskich stworzono grupy wolontariuszy, którzy odwiedzali więźniów, bo cóż może zrobić jeden kapłan na kilkuset więźniów? Przecież trzeba z tymi ludźmi porozmawiać, przygotować ich, udzielić im sakramentów. W tym właśnie celu powstała służba więzienna, do której zgłosiło się wielu ludzi. Bractwo zaczęło funkcjonować na terenie kraju i działa do dzisiaj. Jeżeli jest to możliwe – tj. jeżeli ksiądz jest na etacie i ma możliwości czasowe – co jest problemem – znaleźć księdza, który będzie miał czas – i przychodził albo w sobotę, albo daj Boże w niedzielę i odprawia Mszę Świętą w więzieniu. Są dwa rodzaje więzień: areszty śledcze i zakłady karne. W zakładach karnych ksiądz może mieć więcej osób na Mszy Świętej (choć ze względów bezpieczeństwa też niewielu), natomiast w aresztach śledczych to jest dosyć trudne, bo tych osób z zasady przychodzi trochę mniej. Kapłan odprawia jedną, dwie lub trzy Msze na tyle, na ile go stać i na ile to jest możliwe oraz organizuje dla nich pogadanki. Często przychodzą ludzie świeccy, nawróceni więźniowie czy byli alkoholicy i opowiadają o swoim nawróceniu, przekonując, że z Panem Bogiem można wiele w życiu zdziałać. Co więcej, wpadłem na pomysł, żeby z mojej parafii wyruszyła pielgrzymka niepełnosprawnych na Jasną Górę, bo przecież wśród więźniów byli także niepełnosprawni psychicznie. Wystarałem się o to, żeby wybranych więźniów wypuścili na pielgrzymkę do Częstochowy. Myśl ta mnie natchnęła podczas mojego pobytu w Santiago de Compostela, w momencie, gdy przewodnik tłumaczył, że kiedy więzień (mówił akurat

o więźniu z Holandii) odbył pielgrzymkę do Santiago de Compostela, to pomniejszali mu karę. Obruszyłem się w duchu: czym oni będą nam imponować? Pielgrzymki to polska specjalność! Starałem się walczyć o to, żeby można było tych więźniów brać z całej Polski. Trudności formalne były dosyć duże, bo to był dość długi okres czasu, zwłaszcza pielgrzymka warszawska była długa, ale jakoś się udało. Na pierwszą pielgrzymkę sam się udałem. Szło w niej kilku więźniów. Trochę się bałem, bo ksiądz, który organizował pielgrzymkę dla niepełnosprawnych, zaprosił na nią także policjantów. Szła cała grupa policjantów. Obawiałem się, że będą jatki w drodze, bo wiadomo, jak jedni z drugimi żyją. Okazało się jednak, że szli jak baranki. Nikomu nie mówiłem, że to są więźniowie. Nawet donieśli mi treść podsłuchanej rozmowy:

- Co to, jacyś młodzi ludzie, którzy się kręcą koło księdza Sikorskiego?
- Nie wie pani? To klerycy!

Taką ci więźniowie cieszyli się dobrą opinią. Jako czerstwe chłopy całą drogę pchali wózki, w ten sposób zetknęli się z cierpieniem ludzkim i bardzo ładnie to przeżyli. W czasie pielgrzymki praktycznie nie było z nimi problemów, może jakieś niewielkie. Były problemy z alkoholem. Ja tego nie doświadczyłem, ale w kolejnych pielgrzymkach zdarzało się, że któryś się urwał, bo nie wytrzymał, ale natychmiast był odsyłany z powrotem. Były to jednak wypadki incydentalne. A przecież oni byli prawie jak na wolności, mogli uciec z tej pielgrzymki. Jeden z tych, który wtedy siedział ze mną, zgłosił się ponownie w następnym roku. Mimo że już został zwolniony z więzienia, bo skończył odsiadkę, ze względu na ten nastrój i to wszystko, co tam przeżył, chciał powtórzyć pielgrzymkę, idąc razem z więźniami, będąc już na wolności. Dobrze, że ona przynosiła takie pozytywne owoce. Do tej chwili, pomijając pandemię, cały czas wielu kapłanów organizowało takie grupy w różnych parafiach już nie tylko z Warszawy. Wielu także świeckich z Fundacji Sławek zajmuje się odwiedzaniem więźniów. Zetknąłem się z założycielem tej fundacji właśnie na pielgrzymce i od tej pory zaczęliśmy współpracować. On też zbiera i organizuje więźniów z różnych więzień i pielgrzymka nadal funkcjonuje. Mój następca ksiądz Paweł Wojtas chodził i do tej pory chodzi na te pielgrzymki jako opiekun duchowy. Ale tak naprawdę przywożą ich funkcjonariusze, dają im jedzenie na drogę, po czym wyjeżdżają i pojawiają się dopiero na końcu w Częstochowie, skąd rozwożą

ich do zakładów. Także gdyby oni chcieli, mogliby stamtąd uciec, bo ta pielgrzymka trwa aż dziesięć dni, a to jest bardzo długo. To jest historia anegdotyczna, która mnie osobiście nie spotkała, ale innego księdza, który szedł z tymi więźniami. Wieczorem grupa młodych ludzi przyszła do bardzo ładnej willi. Gospodarze poszli spać do piwnicy, a dom oddali pielgrzymom. Wszyscy się dobrze zachowywali, na zakończenie podziękowali gospodarzom za nocleg, wspólnie się pomodlili. Ale księdza coś podkusiło i zapytał gospodynię:

– A pani wie, kogo pani gościła?

– Wiem, pielgrzymów.

A ksiądz na to:

– Proszę pani, to byli więźniowie!

Kobieta załamała ręce:

– Jezus Maria! Proszę księdza, to my w zaufaniu oddaliśmy pielgrzymom cały dom, wszystko było pootwierane. Jak to można było? Przecież ci więźniowie mogli wszystko zabrać!

A ksiądz na to:

– Niech się pani nie martwi, to nie byli złodzieje, to byli mordercy!

Taka pielgrzymka więcej znaczy niż cała roczna resocjalizacja. Więźniowie przebywają na co dzień z niepełnosprawnymi, widzą ich cierpienie, rozumieją, że muszą im pomagać. On nie może sobie odejść, bo musi się nimi zajmować i w nocy, i w dzień, prowadzić wózek, dać jedzenie itd. Poza tym jest Msza Święta, modlitwa i wspaniała atmosfera uwieńczona uroczystym wejściem do Częstochowy. Warto dopowiedzieć, że tuż przed Częstochową ksiądz biskup Zawitkowski, nota bene mój dawny uczeń, odprawiał Mszę Świętą dla więźniów, na której przedstawił im policjantów:

– Patrzcie, idzie tu z wami grupa policjantów.

Oni stanęli przy ołtarzu i pięknie się zaprezentowali. A ja pomyślałem: „A gdyby tak pod koniec zaprezentować tych więźniów”? Zapytałem ich:

– Zgodzicie się stanąć i zaprezentować tak jak ci policjanci?

– Tak! – zawołali.

I to by było pod koniec pielgrzymki. Poprosiłem biskupa, żeby ich przywitał, zgodził się:

– Dobrze, proszę bardzo.

Stanęli bliżej ołtarza i biskup zaczął:

– Nie wiem, czy wiecie – bo ludzie nie wiedzieli – że idą z wami również więźniowie.

Wszyscy ludzie spontanicznie zaczęli bić brawo... Proszę sobie wyobrazić, jak ci więźniowie byli wzruszeni! Zobaczyli, że społeczeństwo nie tylko ich nie potępia i nie odrzuca, ale jeszcze obdarza brawami. To na pewno miało duże znaczenie.

Spojrzenie na drogę życia z perspektywy lat

Decyzja, żeby pójść za głosem powołania – który nie jest jakimś głosem z nieba, ale stwierdzeniem, że może bym się na coś przydał Panu Bogu i Kościołowi – nie jest wcale taka łatwa. Ale ja nie miałem z tym jakichś specjalnych trudności. Wstąpiłem do seminarium, chociaż nie wiedziałem, jak wygląda życie kapłańskie. Dzisiaj z perspektywy wielu, wielu lat, od kiedy jestem kapłanem, widzę, że to był wybór najlepszy z możliwych. Zawsze byłem bardzo dumny z tego, że jestem kapłanem i że mogę innym służyć jako ksiądz. Od swoich pierwszych lat kapłaństwa bardzo pokochałem tę swoją służbę. Zarówno w pierwszej swojej parafii, gdzie było bardzo dużo pracy i gdzie zetknąłem się z młodzieżą, z katechizacją. Widziałem, jakie wielkie znaczenie ma postawa i obecność kapłana w życiu ludzi. Moje duszpasterstwo dostarczało mi dużo satysfakcji, tak jakbym się urodził pod szczęśliwą gwiazdą. Księża niekiedy często są przenoszeni z parafii do parafii. Ja miałem to szczęście, że byłem długo na każdej parafii. Moja druga parafia była na Mokotowie. Do dzisiaj spotykam się z ludźmi, moimi wychowankami, a dzisiaj z ich wnukami, którzy przychodzą i bardzo miło wspominają czasy naszego duszpasterstwa, zwłaszcza pracy z młodzieżą. Był taki etap, że stworzyłem tam zespół młodzieżowy. To były czasy Beatlesów, więc muzyka była specyficzna. Bardzo się to przyjęło, zwłaszcza w dolnym kościele na Mokotowie. Ta grupa była bardzo ciekawa i bardzo rozwinięta. To były takie eksperymenty.

Potem moje studia doktoranckie, na których zająłem się parafią od strony teoretycznej i znalazłem potwierdzenie dla niektórych swoich duszpasterskich działań, a także inspiracje dla innych. Kiedy zostałem proboszczem, mogłem z tej wiedzy i teoretycznej i praktycznej którą posiadam, skorzystać. Zacząłem

pracować w parafii pw. Józefa Oblubieńca Najświętszej Maryi Panny na Kole, gdzie spotkałem się z bardzo dobrym przyjęciem. Nasz kościół stał się wyjątkowy, bo jako jedyny w Warszawie wprowadził adoracje Najświętszego Sakramentu trwającą dzień i noc. Jest to moja duma i moje wielkie szczęście, że do tej pory to jest jedyny kościół w Warszawie otwarty dzień i noc od trzydziestu paru lat! Nigdy nie był zamknięty. Zawsze, jak mnie pytali o to dziennikarze mediów, odpowiadałem że, zgubiłem klucze do tego kościoła. I to jest prawda. Jak przyjechał biskup, nie wiedziałem, gdzie są klucze do kościoła. Zawołałem na pana kościelnego:

– Trzeba biskupowi wręczyć klucze!

No to przyniósł jakieś klucze, do dzisiaj nie wiem, czy to były klucze do kościoła, czy nie. Bo one były niepotrzebne. Kościół był otwarty na oścież dzień i noc. I ludzie przychodzą i są za to bardzo wdzięczni. Zwłaszcza, w czasie pandemii wiele osób adorowało Pana Jezusa. Oczywiście są też przykrości. Wszystko, co się dzieje w tej chwili – niektóre wady, bardzo poważne grzechy moich kolegów kapłanów, jak również ataki skierowane na biskupów, którzy często są Bogu ducha winni, a zostają posądzeni o ukrywanie nie wiadomo czego – bardzo mnie boją. Trudno przecież, żeby biskup w swojej diecezji z radością witał, kiedy się okazało, że on coś narozrabiał i wszystkim ludziom pokazywał:

– Patrzcie, jaki on jest niegodziwy – i cieszył się z tego, jakby to chciały media.

To bardzo boli. Wiem, że niektórzy ludzie mogą nieco podejrzliwie patrzeć na sutannę, w której staram się zawsze chodzić i po ulicy, i w domu, i wszędzie. Ja ich rozumiem. To propaganda rozdmuchuje te grzechy, wady księży, a przecież jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, którzy są wzięci ze swoich rodzin takich, jakie one są. Ja miałem szczęście być w bardzo dobrej rodzinie, ale nie wszyscy mieli takie zaplecze domowe i kulturowe, żeby tak w pełni odpowiadać na swoje powołanie. Mówię tak od siebie, że Pan Bóg łaskaw, że postawił mnie w różnych sytuacjach, zupełnie dla mnie niespodziewanych. Na przykład cały obszar więziennictwa. Najpierw sam byłem więźniem, bo byłem wywieziony do Niemiec, ale to była zupełnie inna sytuacja. Cieszę się, że miałem okazję przyłożyć się do rozwoju duszpasterstwa więziennego w Polsce, że pewne rzeczy zostały

szczęśliwie przeprowadzone i że na co dzień spotykam się z wdzięcznością za ciłą pracę duszpasterską. Trudno opowiedzieć, opisać to wszystko co się działo wśród internowanych. Sam byłem bardzo podbudowany, kiedy spotykałem się z ludźmi, którzy wtedy byli więzieni i widziałem, jak bardzo była im potrzebna postawa i osoba kapłana.

Mimo trudności, które są w tej chwili, tych najazdów na Kościół... Widzimy, że dla całej tej lewicy i całego tego ruchu genderyzmu oraz wszystkich niegodziwości, które próbuje się stawiać na piedestale, Kościół nie jest po drodze. Oni są bardzo zawzięci. Są przeciwko Kościołowi. Ale cóż, trzeba patrzeć na to z miłością. Pan Bóg kocha wszystkich. Nikt z nas nie pojawiłby się na tym świecie bez miłości Bożej, więc wiem, że to są ludzie grzeszni i czekam, kiedy wrócą do Kościoła. Tak samo jak moi koledzy kapłani, którzy nie byli w stanie dźwigać swojego powołania i ciężaru służby i nieraz odstępowali od zasad. Bardzo to przykre, ale oni też są dziećmi Bożymi i Serce Jezusa bardzo boleje nad tym wszystkim, co się dzieje. Pan Jezus miał dwunastu uczniów. Jeden z nich był Judaszem – łajdakiem. Myślę sobie, że w Kościele jest lepsza sytuacja, niż miał Pan Jezus, bo trudno byłoby powiedzieć, że co dwunasty ksiądz jest niegodziwy. To są tylko nieliczne jednostki a ich sprawy próbuje się rozdmuchać, a przecież pozostali księża służyli Polsce, dla jej istnienia, dla ducha narodu. Tylu przecież było męczenników kapłanów! Od wojny, gdzie w KL Dachau oddawali życie, aż po – mogę tak powiedzieć – mojego przyjaciela księdza Jerzego Popiełuszkę, który przelał swoją krew za Kościół. Myślę, że te fale takiego nieraz niezrozumienia, podejrzliwości miną. I jakoś trudno mi mieć o to pretensje i do ludzi, i do Pana Boga. Cieszę się, że jestem kapłanem i bardzo bym pragnął, żebym w swojej służbie kapłańskiej znalazł młodych ludzi, którzy poszliby tą drogą kapłańskiej służby. Jest to naprawdę droga piękna, niezwykle wartościowa i w swym uroku niepowtarzalna.

Płyte DVD z nagraniem rozmowy z infułatem Janem Sikorskim (którą – w ramach notacji – przeprowadził Mirosław Lewandowski) można otrzymać składając zamówienie na email ihoo@o2.pl bądź na adres pocztowy Instytutu

i wpłacając 15 zł za koszty wysyłki na konto 54 1440 1231 0000 0000 1075 6251.

Fragmenty można znaleźć na <https://www.facebook.com/instytut.historyczny.nn>



ŁUKASZ PERZYNA

PRZYWÓDCA NARODU, SYMBOL CHŁOPSKIEGO LOSU NA 150 ROCZNICĘ URODZIN WINCENTEGO WITOSA (21 STYCZNIA 1874 – 31 PAŹDZIERNIKA 1945)

Wincenty Witos nie tylko pozostawał zwolennikiem demokracji, co zaświadczyl również więzieniem – ale jak nikt przed nim pokazał możliwości, jakie ona stwarza. Nawet największy po Janie Pawle II Polak XX wieku, Józef Piłsudski, jego rząd był w stanie obalić wyłącznie przemocą. Bo polityka pozostała domeną chłopskiego lidera.

Spod jego pomnika przy pl. Trzech Krzyży wciąż wyruszają marsze w obronie polskiej wsi: nie tak dawno za rządów PiS przeciwko słynnej „piątce Kaczyńskiego” ograniczającej pod pozorem ochrony praw zwierząt prawa hodowców i rolników. Protest zresztą okazał się zwycięski. Prowadził go Dariusz Grabowski, lider Komitetu Obrony Polskiego Rolnictwa i Hodowców Zwierząt. Regularnie swoje mityngi organizują „pod Witosem” pamiętający o korzeniach działacze Polskiego Stronnictwa Ludowego. Niedawno składał tam kwiaty Marek Sawicki jako marszałek senior wybranego przy rekordowej frekwencji Sejmu. Często występuje w tym miejscu Władysław Kosiniak-Kamysz, następca Witosy i Stanisława Mikołajczyka w fotelu prezesa PSL. Pojawia się też zawsze w nieskazitelnie białej koszuli Michał Kołodziejczak. Kiedyś schodzili się tam na wiece politycy Porozumienia Centrum, poprzedniej partii Kaczyńskiego. Podobnie żywego zakorzenienia w stolicy nie znajduje nawet sam Józef Piłsudski, którego jeden monument przy placu jego imienia przewano „dziadkiem parkingowym”, bo Marszałka ustawiono tam tak, jakby pilnował samochodów, zaś drugi, przy Belwederze, pozostaje co najwyżej tłem przeróżnych oficjałek. Kto zaś pamięta, poza zawodowymi warsawianistami, gdzie znajdują się upamiętnienia innych wielkich polityków XX wieku: Ignacego Paderewskiego, Romana Dmowskiego czy Ignacego Daszyńskiego? Paradoks polega

również na tym, że Wincenty Witos postacią pomnikową nie był: tylko bohaterem historii z krwi i kości.

Pierwszy w Europie chłopski premier, skuteczny obrońca Ojczyzny przed bolszewikami, wreszcie brzeski więzień sanacji, na kilkadziesiąt lat przed Lechem Wałęsą zrealizował polskie marzenie o wolności, godności i niepodległości. Samouk z ubogiego domu stał się symbolem kariery i możliwości, jakie daje demokratyczna polityka. Ale tylko tym, którzy gotowi są zmierzyć się z marzeniami.

Zabiegali o niego nawet Niemcy łudząc się, że podczas okupacji utworzy rząd kolaboracyjny, przez jakiś czas przetrzymując go za kratami, żeby go zmiękczyć – i komuniści już po zakończeniu wojny w podobnym celu: w obu wypadkach odmawiał tyleż przykładnie, co stanowczo, zaślanając się złym stanem zdrowia. Ironią historii pozostaje, że to ci drudzy, w 1985 r. wystawili mu wspomniany pomnik w stolicy (autorstwa Mariana Koniecznego, twórcy pięknej i dumnej warszawskiej Nike, ale też i nowohuckiego Lenina z powodu rozmiarów przezwanego King-Kongiem), gdy gen. Wojciech Jaruzelski starał się z różnym skutkiem poszerzać tradycje, do których odwoływała się coraz wyraźniej pozbawiona społecznego poparcia władza.

Biografia Witos, prawda epoki, zaczyna się w nieco ponad ćwierć wieku po rabacji galicyjskiej a kończy już w Polsce lubelskiej zwanej wprawdzie ludową, ale posyłającej PSL-owców do więzień lub – jak w wypadku jego następcy Stanisława Mikołajczyka – na wygnanie. Pomiędzy czasem zaborów i komunizacji kraju znajduje się jednak okres najważniejszy, Polski niepodległej przez trzykrotność jej premiera współtworzonej. Nie ulega wątpliwości, że Witos nie tylko pozostawał zwolennikiem demokracji ale pokazywał możliwości, jakie ona stwarza. Przecierał szlak.

Mróz od wschodu i pogoda na Kołymie

To Wincenty Witos pozostawał do śmierci w październiku 1945 r. prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego. A nadzieją Polaków stał się kolejny jego działacz, owacyjnie witany po powrocie do kraju Stanisław Mikołajczyk.

Powszechnie uznawano go za alternatywę dla ustanowienia komunistycznych rządów. Zaś Witos, choć chory, aktywny był do końca.

„Przyjaciele wspominają, że w ostatnich miesiącach życia, kiedy leżał w krakowskim szpitalu bonifratrów, nie miał czasu na leczenie. Stale ktoś chciał z prezesem rozmawiać, raportować, co dzieje się w kraju, co u kogo słysząc, jak działają ludowcy w nowej sytuacji. Witos wydawał polecenia, komenderował, radził, udzielał wskazówek. Pisał ostatnią odezwę do braci chłopów” – relacjonuje we wnikliwej choć zwięzłej biografii lidera Małgorzata Olejniczak¹.

Jego brat Andrzej Witos, zesłany od odległego łagru sowieckiego, zwolniony został stamtąd po interwencji samej Wandy Wasilewskiej u Josifa Wissarionowicza Stalina. Później podjęła z nim próbę rozmowy zachęcającej do poparcia rządów lubelskich. Jednak Andrzej Witos w imieniu brata i swoim wykluczył podobną ewentualność.

– Ciekawe, jaka jest teraz pogoda na Kołymie – odpowiedzieć miała Wasilewska, znacząco spoglądając na wschód.

Pasał krowy? Nieprawda, w domu mieli tylko jedną

Więcej jednak anegdot opowiadano oczywiście o Wincentym Witosie, niż o jego bracie. Chociażby o rozmowie, jaką w kuluarach parlamentu austriackiego (gdzie zasiadał w latach 1911–18) odbył z jednym z arystokratycznych deputowanych. Kiedy ten go spytał, czy to prawda, że kiedyś krowy pasał, Witos odpowiedział:

- Panie, pasałem, pasałem, ale jak to dobrze, że pan nie pasałeś...
- Dlaczego?
- Bo pan byś je pasał do końca życia – podsumował chłopski poseł w Wiedniu.

Dla ścisłości: krowę do pasania niepiśmienni, choć pracowici i prawi, rodzice Witosy mieli tylko jedną. I nią właśnie zajmował się od piątego roku życia Wicek, któremu imię nadano na część świętego męczennika z Saragossy. I po przyjściu na świat 21 stycznia 1874 r. już następnego dnia go ochrzczono, bo

¹ Małgorzata Olejniczak, *Witos*, Buchmann, Warszawa 2012, s. 8–9.

wiadomo, jak wtedy działo się z chłopskimi dziećmi w Galicji, której nędza stała się przysłowiowa za sprawą wnikliwego studium Stanisława Szczepanowskiego: nikt nie mógł zagwarantować, że długo przeżyją².

Do szkoły mały Wincenty bardzo chciał chodzić, jednak trafił tam z opóźnieniem i uczęszczał głównie zimą, kiedy nie było tyle pracy w gospodarstwie. Książki pożyczał mu Jan Głowacki, gajowy w dobrach Sanguszków – podobno na złość miejscowemu proboszczowi, który większość z nich uznawał za bezbożne. Z autorem tych, co największy wpływ na niego wywarły, Henrykiem Sienkiewiczem, przyjdzie się Witosowi spotkać już w roli posła do wiedeńskiej Rady Państwa w neutralnej Szwajcarii podczas I wojny światowej, kiedy zastanawiać się będą wspólnie nad pomocą dla chłopów, których gospodarstwa spłonęły i szansami odzyskania przez Polskę niepodległości. To jednak przyszłość.

Na razie dzięki ciężkiej pracy, bo wynajmuje się do każdej roboty, w której tylko go chcą, Wincenty Witos – chociaż do szkół nie wyjedzie, bo wiecznie braknie na to pieniędzy – z czasem wzbogaci się i zostanie wójtem w rodzinnych Wierchosławicach pod Tarnowem. Czytuje „Przyjaciela Ludu” a w 1895 r. przystąpi do Polskiego Stronnictwa Ludowego, założonego przez jego redaktora naczelnego Bolesława Wysłoucha.

Do pańskiego pałacu wejdziemy, gdy księcia pana rozparcelujemy

To czas znany z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Witos tam nie zaproszono, a szkoda, bo mógłby stać się jednym z jego bohaterów a i Tadeusz Boy-Żeleński miałby dodatkowo o czym pisać. Młodemu chłopskiemu radykałowi Witosowi zdarzały się wypowiedzi, że Jakub Szela powinien ćwierć wieku wcześniej wyróżnić całą szlachtę nie tylko w Tarnowskiem. Jednak gdy po latach temu samemu Witosowi przyjdzie zostać premierem i to aż trzykrotnie, pierwszy jego rząd skupi szeroką koalicję na rzecz obrony państwa przed inwazją bolszewicką w 1920 r., dwa kolejne gabinety uzyskają format konserwatywny, przy czym ostatni z nich padnie ofiarą majowego zamachu stanu w 1926 r.

² Por. Stanisław Szczepanowski, *Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego*, Wyd. Drukarnia Pillerów i Spółki, Lwów 1888.

Stanie się za to Witos pierwowzorem bohatera dramatu Stanisława Ignacego Witkiewicza „Jan Maciej Karol Wścieklica”, chłopskiego polityka o rozlicznych talentach i rozmaitych przywarach. Poza kierowaniem państwem prowadzi on gospodarstwo we wsi Niewyrypy Dolne, a w wojsku dorobił się stopnia porucznika: sam Witos nie awansował nigdy powyżej kanoniera. Rolę witkacowego prezydenta Wścieklicy, jeśli trzeba kopiącego w stół aż się przewraca, zjawiskowo odegrał w spektaklu Zdzisław Wardejna w Teatrze Narodowym Tadeusz Janczar. Gdy sztukę grano tuż po Sierpniu, aplauz okazał się powszechny, niezależnie od podziałów: część publiczności widziała w bohaterze odpowiednika ówczesnych prominentów komunistycznych, reszta zaś innego „z-chłopa-króla” Lecha Wałęsę³. Zaśmiewali się jednak i klaskali zgodnie wszyscy.

Nie Witkacy jednak ale współpracownicy zachowali dla nas anegdotę o tym, że kiedy skarżyli się Witosowi na jednego z jego podwładnych o niskiej etyce i niewybrednych zachowaniach, lider miał im odpowiedzieć twardo:

– Świnia w gospodarstwie potrzebna.

Z kolei Radziwiłłowi, gdy chłopski lider wyczekiwał na naprawę samochodu nieopodal jego pałacu, w odpowiedzi na zaproszenie do środka miał Witos odrzec:

– Do pańskiego pałacu wejdziemy, gdy księcia pana rozparcelujemy.

Jak rzecz ujmuje znakomita biografka Małgorzata Olejniczak: „Był przecież jednym z tysięcy chłopskich dzieci, urodzonych i wychowanych w skrajnej nędzy polskiej wsi, zapychających brzuchy kapustą i ziemniakami, które w XIX-wiecznej Galicji uratowały miliony biedoty od śmierci głodowej. Był jednak jednym z niewielu, którzy z takiej nędzy potrafili się wydobyć, a o tym, zdaniem [prof. Stanisława] Pigonia, zdecydowały jego indywidualne cechy – mocny charakter, wysokie poczucie godności, odwaga, nieugiętość. Jego siła przejawiała się zarówno wtedy, gdy sprawował władzę i gdy był poniżony – jako prezes Rządu Obrony Narodowej w 1920 roku, jak i za sanacji, gdy siedział na ławie oskarżonych”⁴. Chłopom nigdy nie pozwalał całować się po rękach. Gdy próbowali, zawstydział ich, że minęły czasy niewolnicze.

³ Teatr Narodowy, Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Jan Maciej Karol Wścieklica*, reż. Zdzisław Wardejna, premiera 9 maja 1979.

⁴ Małgorzata Olejniczak, *Witos*, op. cit, s. 30–31.

Kiedy jako premier w 1920 r. pojawił się w województwie tarnopolskim, na spotkaniu w Buczaczu nie podał ręki miejscowym ziemianom. Zamiast tego oparł o fotel nogę w wysokim bucie i podpierając się rzucił suche:

– Słucham panów.

Nie chamstwo wtedy przez niego przemówiło, lecz godność chłopska.

Pierwszy piśmienny w rodzinie, z doświadczeniem z parlamentów dwóch państw

Doświadczeniem parlamentarnym dysponował już wtedy Witos znacznym: wybrany do sejmu galicyjskiego we Lwowie w 1908 r, długo w noc przesiadywał w archiwum, gdzie studiował stenogramy cudzych wystąpień. Gdy spytał starszego kolegę z PSL Jakuba Bojkę, jak pisze się interpelacje, ten odparował, że... skoro jest głupi, to po co do Sejmu wchodził. Zapamiętał tę nauczki. Zaciął się w sobie. Zmotywowała go do dalszej pracy.

Do austriackiego parlamentu został wybrany w 1911 r. Jak oceniali jeszcze w 1939 r. lwowscy wydawcy pism Witos Stanisław Kubica i Stefan Kora: „Wtedy rozszerza on swoją działalność na teren szerszy, dotyczący wsi, a tuż przed wojną podejmuje się obrony interesów całego narodu, zaczyna się zapowiadać jako mąż stanu”⁵.

Austro-Węgry kończyły się jednak wraz z przegraną wojną światową, później nazwaną pierwszą. Na gruzach państw zaborczych powstać miała Polska. Zanim wojna wybuchła bądź w pierwszych jej dniach przewidziało to dwóch ludzi: Józef Piłsudski w słynnym wykładzie w paryskim Towarzystwie Geograficznym oraz Wincenty Witos w artykule dla „Piasta” w sierpniu 1914 r., pisma, które dało nazwę – po podziale w PSL – jego kolejnemu ugrupowaniu.

Na tych nieprzypadkowych łamach, w artykule pod równie starannie dobranym tytułem „Kilka słów do braci”, Witos dzieli się z czytelnikami nadzieją, którą dostrzega w fakcie, że „Do śmiertelnych zapasów, do walki, na śmierć

⁵ Stanisław Kubica, Stefan Kora [Przedmowa do:] *Wincenty Witos. Wybór pism i mów*, Spółdzielnia Wydawnicza „Wies”, Lwów 1939, s. V.

lub życie, stają (...) mocarstwa, które Polskę rozebrały, ażeby ze sobą załatwić krwawy porachunek. Przyszła i dla narodu polskiego owa długo oczekiwana i wymarzona chwila, że mamy sposobność i możność pomścić się za straszne krzywdy na caracie i nadzieję odzyskania wolności dla naszej kochanej Ojczyzny. Chwila ta została przez naród należycie zrozumiana. Oprócz pełniących służbę w armii austriackiej rodaków, mnóstwo chętnej młodzieży a często i starszych, pospieszyło na plac boju, by na ołtarzu dobra Ojczyzny złożyć to, co najlepszego. Zapal jest taki, że każde słowo zachęty byłoby tu niepotrzebne”⁶. Dostrzec tu można oczywiste poparcie dla Legionów Józefa Piłsudskiego, na tyle jasne, na jakie pozwolić mogła wojenna już cenzura austriacka nieskora do zgody na podsycanie polskich koncepcji patriotycznych a tym bardziej uniesień. Ostatnie słowa Witos o zapale wydają się jednak bardziej chwytem retorycznym, bo euforii nie było. Stąd niecenzuralne słowa w pierwotnym tekście „Pierwszej Brygady”, wyraz zawodu i poczucia niesprawiedliwości.

Pamiętamy z serialu Andrzeja Wajdy „Z biegiem lat, z biegiem dni”, jak krakowska służąca pełna jest dumy z ukochanego, służącego w mundurze armii austro-węgierskiej i z lekceważeniem wyraża się o „pańskim wojsku” za jakie uznaje Legiony. Aż w kolejnej sekwencji zanoszą się płaczem rozgłosnie i po chłopsku, bo właśnie otrzymała wiadomość o śmierci narzeczonego na jednym z licznych frontów. W obcym mundurze. Chociaż w Legionach chłopi stanowili zaledwie jedną czternastą składu osobowego (szczegółowe statystyki prezentuje w „Budowaniu Niepodległej” Wojciech Giełżyński, zresztą powołując się na... Henryka Jabłońskiego, wprawdzie przewodniczącego Rady Państwa, która wprowadziła stan wojenny, ale historyka skrupulatnego pomimo marksistowskiego sztafażu) – Witos rozumiał jako ich przywódca, czym po latach niewoli są polska komenda i barwa. Warto wyliczenia Giełżyńskiego przywołać, żeby zobaczyć, że sam Witos nie kierował się tym, co na seminariach prof. Jabłońskiego nazywano egoizmem klasowym: „Na 11.480 legionistów, będących w ewidencji, robotników było 2.128, rzemieślników 2.642, rolników

⁶ Wincenty Witos, *Kilka słów do Braci*, Tygodnik „Piast” z 30 sierpnia 1914, nr 35.

825, inteligentów różnego typu – 5.885. Jeszcze wyższa była „inteligencność” I Brygady”⁷.

Jeszcze w 1917 r. wygłosi Wincenty Witos jedyne swoje wystąpienie w parlamencie wiedeńskim w trakcie siedmiu lat sprawowania tam mandatu. Domaga się przyznania Polsce niepodległości i piętnuje dotychczasową politykę zaborcy. Już w październiku 1918 r. stanie na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej przejmującej władzę w Krakowie.

Nie potwierdzi za to udziału w powołanym w Lublinie 7 listopada rządzie Ignacego Daszyńskiego zdominowanym przez socjalistów i konkurencyjne wobec Piasta PSL-Wyzwolenie, chociaż uczestniczy w towarzyszących jego powołaniu negocjacjach, ukażą się nawet odezwy tegoż Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej podpisane m.in. nazwiskiem Wincentego Witosa. Wyszedł jednak w trakcie decydującego posiedzenia. Instynkt go nie zawiódł. Rząd przetrwa bowiem cztery dni. Podporządkuje się w historycznym dniu 11 listopada Józefowi Piłsudskiemu, który poprzedniego dnia rano powrócił z twierdzy magdeburskiej, gdzie Niemcy więzili go za odmowę złożenia przysięgi przez Legiony. Wprawdzie misję utworzenia rządu otrzyma najpierw Daszyński, ale go nie powoła. Uda się to innemu, bardziej umiarkowanemu socjaliście Jędrzejowi Moraczewskiemu. A Witos i tak premierem zostanie.

Przywódca na trudne czasy

Paradoks historii sprawi, że za każdym razem będzie obejmował tę funkcję w najtrudniejszym dla Polski momencie.

Jak 24 lipca 1920 r. kiedy hordy wojsk bolszewickich zmierzają na Warszawę. Andrzej Paczkowski podkreśla: „Inicjatywa wyszła tym razem z Rady Obrony Państwa, która 20 lipca omawiała konieczność zmiany gabinetu i postawienia na jego czele osoby cieszącej się zaufaniem nie tylko – i nie tyle – polityków, ile „mas ludowych”. Trzy dni później na podtarnowskiej wsi rozegrała się scena (złośliwi twierdzili, że inspirowana) jak w antycznym dramacie: do pracującego na własnym polu polskiego Cincinnatusa zameldował się przybyły

⁷ Wojciech Giełżyński, *Budowanie Niepodległej*, Instytut Literacki, Paryż 1985, s. 258.

z Warszawy oficer. W kilka godzin po przyjeździe do stolicy śmiertelnie zagrożonego państwa Witos uzgodnił skład gabinetu i 24 lipca Naczelnik Państwa wystawił nominacje. Rząd poparły wszystkie kluby poselskie i zyskał on nazwę Rządu Obrony Narodowej (...)”⁸.

W Poznaniu, gdzie przeważają wtedy nastroje wobec Piłsudskiego co najmniej sceptyczne, Witos wypowie 13 sierpnia, a więc jeszcze przed przełomem w walkach, znamienne słowa: „Obozy i stronnictwa muszą istnieć, ale nie czas, aby stronnictwa myślały o swoich programach, zapominając o interesach Polski”⁹.

Wkrótce premier Witos schowa do sejfu zamiast przyjąć rezygnację złożoną przez Józefa Piłsudskiego. Nie uczyni z niej później użytku, kiedy zostaną wrogami. Wtedy jednak w sierpniu 1920 r. okazały się głównymi twórcami zwycięstwa: Witos z sensie politycznym, Piłsudski militarnym. Manewr znad Wieprza autorstwa Marszałka rozstrzygnie o losach bitwy warszawskiej. Ale wygra ją chłopski żołnierz z poboru, przez Witosa przekonany, że walczy o swoje państwo, dom i pole, prawo do własnej szkoły i wiary. Kończą się „dezercje do żniw”, z którymi nie umiały sobie poradzić wojskowe sądy. Premier objawia w tych gorących dniach niespożytą energię.

„Rząd nie chce być despotyczny, jest i będzie rządem demokratycznym (...)” – zapewni Witos przemawiający 23 sierpnia z balkonu w Tarnowie. „Krew przełana w walkach z bolszewickim najazdem, cementuje trwałość i jedność państwa. Przeżywamy chwile wielkie. Na czele rządu postawiono chłopą, przez co stwierdzono, że państwo się opiera na ludzie” – wywodził z nieodpartą logiką premier¹⁰. Jeżdżąc po kraju, jak opisuje Małgorzata Olejniczak, Witos „wyrażnie ożywał się podczas rozmów o sytuacji na wsi, prowadzonych z chłopami (...). Wyczulony był na każde wspomnienie o krzywdach, stronnictwości administracji, dworu czy plebanii. Swoją postawą wzbudzał szacunek”¹¹.

⁸ Andrzej Paczkowski, *Wincenty Witos, premier rządu polskiego* [w książce zbiorowej:] *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1992, s. 136.

⁹ Cyt. wg Antoni Anusz, *O Wincentym Witosie* [w:] *Pisma polityczne*, Akces, Warszawa 2022, s. 293.

¹⁰ „Monitor Polski” nr 191 z 24.08.1920.

¹¹ Małgorzata Olejniczak, *Witos*, op. cit, s. 67.

Drugi rząd Witosy sprawował władzę od maja do grudnia 1923 r. Powołany na mocy Paktu Lanckorońskiego (Witos z PSL „Piast” i endeck Stanisław Głąbiński rozmawiali tam w dobrach senatora ludowców Ludwika Hammerlinga), zyskał miano rządu Chjeno-Piasta – ironicznie od nazwy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej. W gronie ministrów znaleźli się Władysław Kiernik (sprawy wewnętrzne) oraz Władysław Grabski (skarby). Potem Głąbińskiego w roli wicepremiera zastąpił Wojciech Korfanty a szefem dyplomacji został Roman Dmowski. Nazwiska wielkie, ale drugi gabinet Witosy ma na sumieniu krwawe zajścia w Krakowie, w jakie przerodziła się antyrządowa akcja strajkowa. Kosztowały życie kilkudziesięciu osób i sprawiły, że odchodził w niesławie. Z wyraźnym niesmakiem oddaje te okoliczności Stanisław Mackiewicz-Cat: „Gabinet Witosy upadł tak jak powstał: skutkiem gry parlamentarnej, nie mającej głębszego odpowiednika w grze idei politycznych. Od Witosy odłączyła się grupa Bryła, składająca się z posłów nieszczerzej konduity i reputacji, i to obaliło gabinet”¹².

O ile pierwszy rząd Witosy kojarzył się szczytnie i pięknie z walką Polaków w tym chłopów w obronie niepodległości – to krótki czas trzeciego przypadł na walkę między samymi Polakami. 10 maja 1926 r. Witos stanął na czele drugiego rządu Chjeno-Piasta. Powtórka koalicji sprzed trzech lat, kojarzonej z wydarzeniami krakowskimi, sprawiła, że popierająca Józefa Piłsudskiego Polska Partia Socjalistyczna przestrzegła przed zagrożeniem faszyzmem. Samemu Marszałkowi powołanie rządu Witosy posłużyło za pretekst do przyspieszenia działań i wyprowadzenia wojsk z Rembertowa. Piłsudskiego poparła nawet Komunistyczna Partia Polski, co później uznano za „błąd majowy”. W krańcowo trudnej sytuacji Witos wykazał się wyobraźnią i odpowiedzialnością. Rząd wycofał się do Wilanowa, a on nie trzymał się kurczowo posady.

Premierem nie było już nigdy mu dane zostać. Więźniem politycznym – tak.

Po rozwiązaniu przez sanację parlamentu, wcześniej zaangażowany w opozycyjne działania Centrolewu, który w Krakowie zorganizował w Teatrze

¹² Stanisław Mackiewicz-Cat, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Pokolenie, Warszawa 1986, cz. I, s. 164.

Starym „Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu”, trafił do twierdzy brzeskiej w 1930 r.

Stanisław Mackiewicz-Cat zauważał, jak „dość dziwnie wyglądało to aresztowanie Witosy, który reprezentował, jako chłop-gospodarz, co najmniej centrum a nie lewicę. Ale też wobec Witosy zastosowano dziwną taktykę. Oto aresztowano go wraz z innymi, ale jednocześnie Piłsudski w ogłoszonym w prasie wywiadzie komplementował Witosy. I oświadczył, że jeden Witos zachował się z godnością itd; również w samym więzieniu Witosy traktowano ze specjalnymi względami i inaczej niż innych więźniów. Niektórzy twierdzili, że Piłsudski miał koncepcję zjednania Witosy przez więzienie – ale to się nie udało”¹³.

Skazany na półtora roku więzienia w procesie również brzeskim nazywanym, przed uprawomocnieniem się wyroku wyjechał do Czechosłowacji. Nigdy na wygnaniu w czasach, gdy Polska pozostawała pod zaborami, teraz stał się emigrantem, gdy rządili nią sami. Powrócił w 1939 r., żeby jej bronić. Pierwszą noc po przekroczeniu granicy spędził w areszcie. Zanim zasnął, podano mu herbatę o dziwnym smaku. W nocy miał po niej straszne wizje, że oblażą go węże. Od tej nocy w areszcie pozostającym w gestii państwa, które współtworzył i gdzie trzy razy był premierem, zaczynać mógłby się film o Wincentym Witosie.

Ale równie dobrze od innej sceny: kiedy pracuje w polu, gdy podjeżdża wysłannik Marszałka, że w Warszawie chcą, by został premierem, w związku z koniecznością ratowania Polski od inwazji bolszewickiej. Okazał się po rzymskim Cyncynacie drugim przywódcą w historii, którego racja stanu oderwała od osobiście wykonywanych zajęć rolnika.

Inny możliwy początek, ten tragiczny: wrzesień 1939 r. Znękany Wincenty Witos chowa żonę, zmarłą w ostatnim dniu pokoju Katarzynę Tracz, z którą zgodnie przeżyli kilkadziesiąt lat. Wali się w gruzy dotychczasowe życie ale i Polska, której przywódcy wprawdzie wypuścili go z aresztu, ale nie chcieli wysłuchać jego rad, chociaż przed tym, co się stało, zawczasu przestrzegał. Strasznie smutno i pusto bez mądrej i gospodarnej Katarzyny, której ani razu nie zdradził, jak Witkacowski Wścieklica swoją połowicę z nauczycielką wiejską.

¹³ Ibidem, cz. II, s. 218.

Ale to fikcja literacka tylko, wymysł geniusza. W realu działa się wprost przeciwnie, gdy zafascynowane prezesem działaczki próbowały gramolić mu się na kolana w trakcie partyjnych imprez gdzieś po gospodach, niemal dosłownie je z nich zrzucał, mówiąc, że musi natychmiast wyjść za potrzebą. Zawiedzione, znajdowały zarazem potwierdzenie bezpośredniości jego manier.

Film o Witosie zacząć można też optymistycznie: dawny parlamentarzysta ze Lwowa z Sejmu Galicyjskiego i z Rady Państwa Austro-Węgier, który do nauki niemieckiego przyłożył się dopiero – jak na self-made mana przystało – po tym, gdy już zdobył mandat, teraz wybiera się na inaugurację Sejmu Ustawodawczego. Wybranego 26 stycznia 1919 r. pomimo trzaskającego mrozu, szalejącej epidemii śmiertelnej grypy hiszpanki, ówczesnego odpowiednika COVID-19 czy wreszcie świeżych wojennych zniszczeń dróg i mostów – przy frekwencji 77 proc, jeszcze wyższej niż w niedawnych wyborach październikowych, chociaż i z tej słusznie jesteśmy dumni. Wtedy w lutym 1919 r. Witos, chociaż już stary polityczny wyga ale jeszcze przed pięćdziesiątką jest wzruszony i tego nie ukrywa. Przecież to pierwszy za ludzkiej pamięci Sejm wolnej Polski. A o poprzednich tyle czytał w ulubionych książkach historycznych... Atmosferę, towarzyszącą inauguracji Sejmu Ustawodawczego Andrzej Zakrzewski oddawał, posiłkując się przykładem Witosa: „Czułem, że zbliża się dzień jeszcze w życiu moim nie widziany” – notował Wincenty Witos, „wójt w Wierzchosławic”, zwany niebawem „włodarzem Sejmu”. „Przed naszymi oczyma ma się dokonać cud” – dodawał (...). Choć już blisko sto dni trwała radość z odzyskanej niepodległości, którą wypełniły pierwsze prace państwowe, zaostrzające się – zwłaszcza na wsi – konflikty społeczne oraz toczona na wschodnich i zachodnich kresach walka zbrojna – zwołanie Sejmu Ustawodawczego tej niepodległości nadawało inny wymiar. Tak upragnioną przez wszystkich ustrojowo-prawną sankcję” – konkludował Andrzej Zakrzewski¹⁴. Sam zaś Witos też nie unikał patosu, chociaż zawsze tak trzymał się konkretów: „Bo z jednej strony staje do życia państwowego na nowo, owa rozebrana, podeptana, skaleczona i przez wrogie potęgi na zagładę skazana Ojczyzna, z drugiej

my potomkowie niedawnych jeszcze niewolników szlacheckich stajemy do pracy nad jej budową, odrodzeniem”¹⁵.

Każde, jak mówią filmowcy, z tych „wejść w temat” okaże się prawdziwe. Odda wielkość i dramat tej postaci. Chociaż sam – autor jednego raptem tylko, godzinnego filmu o Aleksandrze Kwaśniewskim, nie chciałbym się wyrażać, jako najlepszy początek widzi mi się całkiem współczesny. Pokazałbym młodych ludzi w wielkim blokowisku, grubo po godz. 21 w kolejce do głosowania, w pamiętną październikową niedzielę przedłużonego z powodu liczby chętnych. Jak ci, którzy od dawna nie nazywają siebie chłopskimi synami, bo słowa „chłop” w znaczeniu „rolnik” nie używa w żywej polszczyźnie już nikt, co najwyżej o tych, co ze wsi przyjechali mówi się „słoiki” – w długiej kolejce, dla zabicia czasu, na wrocławskim Jagodnie czy stołecznej Białolecie, częstują się nawzajem jedzeniem z tych właśnie słoików, przygotowanym zawczasu przez ich zapobiegliwych rodziców gdzieś w interiorze. I wypytują siebie nawzajem skąd są, całkiem jak ich pradziadkowie w okopach wojny z bolszewikami w 1920 r. To także dowód, że Wincenty Witos nie przegrał życia, chociaż do więzienia wsadzali go zarówno swoi jak Niemcy, że demokracja, której służył, święci dziś w jego Ojczyźnie triumfy, tak jak sobie wyobrażał, ponad podziałami na miasto i wieś. A każdy z nas ma jeden głos, o co on walczył w latach sporów o ordynację w rodzinnej Galicji.

Na kontrze do Marszałka... Ale Polskę obronili razem

Dawny zesłaniec syberyjski, bojowiec Polskiej Partii Socjalistycznej, wieloletni towarzysz drogi Józefa Piłsudskiego, twórca kluczowego dla sanacji pojęcia „imponderabiliów” i poseł w wolnej Polsce Antoni Anusz, w niedługim czasie – a pióro miał lekkie – dał współczesnym dwie charakterystyki Witosa. Pierwsza okazuje się pochlebna, wskazuje na charyzmę lidera jako uosobienie chłopskiego patriotyzmu. Druga krańcowo krytyczna, prezentuje go jako uczestnika parlamentarnych gier zaangażowanego w handel stanowiskami, niczym – takie porównanie pada – na końskim jarmarku. Obie są szczere, podobnie jak przekonania pos. Anusza przeświadczonego, że co dobre dla

¹⁴ Andrzej Zakrzewski, *Sejm – kluby – posłowie* [w książce zbiorowej]: *Sejmy Drugiej Rzeczypospolitej*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1990, s. 166.

¹⁵ Wincenty Witos, *Moje wspomnienia*, Instytut Literacki Paryż 1964, t. II, s. 239.

Polski, o tym wie Piłsudski a nie Witos. Gdy chłopski lider wzmacniał Naczelnika Państwa, zasłużył na pochwałę, zganiony został, gdy przyczynił się do jego odsunięcia. Nie da się przecież ukryć, że to za drugiego rządu Witosy w Sali Malinowej Hotelu Bristol Józef Piłsudski wygłosił słynne wystąpienie do współpracowników, które nie okazało się ostatecznym pożegnaniem: w trzy lata później nastąpił przewrót majowy¹⁶. Pamiętać jednak warto, że z kolei trzy lata wcześniej Piłsudski wspólnie z Witosem obronili Polskę przed bolszewikami, co pozostaje bez porównania donioślejszym wydarzeniem naszej historii. Zaś w majowych dniach 1926 r. Komendant napotkał opór nie tylko ze strony premiera Witosy, ale również prezydenta Stanisława Wojciechowskiego – dawnego kolegi z PPS, z którym kiedyś wspólnie konspirowali w warszawskim mieszkaniu pisarza Stefana Żeromskiego.

Oddajmy jednak głos posłowi konkurencyjnego wobec Witosowego „Piaśta” Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” i piłsudczykowskiemu intelektualście Antoniemu Anuszowi, zwłaszcza, że fama głosiła, że był tak krystalicznie uczciwy, że już za sanacji z tego właśnie powodu nie chcieli go zrobić prezesem Najwyższej Izby Kontroli. W wydanej niedługo po ustaniu działań wojennych, bo w listopadzie 1920 r, nakładem Biura Propagandy Wewnętrznej broszurze „Z wiary waszej wola wasza – Z woli waszej czyn wasz będzie” poseł Anusz chwali premiera Witosy za słowa wypowiedziane w Sejmie 22 października 1920 r: „(..) bez pracy zorganizowanej, oszczędności, bez świadomości, że każdy dzień powinien przynosić wzmożenie się narodowych bogactw, owoce zwycięskiej wojny mogą pójść na marne. Nie pójdą na marne, jeśli chwila zakończenia walki będzie zarazem dla całego społeczeństwa chwilą ślubowania, że podejmie ono z wytężeniem wszystkich sił trud pracy twórczej i że ta praca w tym celu będzie, aby zabezpieczyć zdrową i szczęśliwą przyszłość Narodu”. „Tak brzmią te spiżowe słowa, wydzwanające narodowi podniosły hymn pracy” – pisze dalej we własnym już imieniu Anusz. (..) Wygłosił je człowiek, który własną pracą i zasługą osiągnął stanowisko Kierownika Rządu w Rzeczypospolitej Polskiej, Wincenty Witos, chłop małopolski, dorabiający niegdyś na swoje utrzymanie ciesielką w lasach księcia Sanguszkii,

¹⁶ Por. „Kurier Poranny” z 4 lipca 1923.

dzięki wytrwałej pracy i niespożytej energii osiągnął tak wybitne stanowisko w narodzie. Byстрыm umysłem i doświadczoną ręką kieruje on dzisiaj losami państwa¹⁷.

Zaledwie pięć lat później ten sam autor odmiennie już postrzega chłopskiego przywódcę w innej broszurze, opublikowanej w 1925 r. nakładem miesięcznika „Droga” („O Wincentym Witosie”). Zawczasu zaznacza, że „(..) obowiązkiem jest przestrzec ogół przed tem spustoszeniem moralnem, jakie szerzy w społeczeństwie polityk pozbawiony dostatecznej wrażliwości na momenty moralne”¹⁸. Uznaje, że w znacznej mierze pod wpływem niesprawiedliwych ataków przeciwników, deprecjonujących nawet jego wkład w zwycięstwo z 1920 r. Witos „(..) nabrał przekonania, że jedynie przebiegłość wężowa popłaca i niezawodnie prowadzi do celu i że celem tym powinien być nie „rząd dusz”, lecz panowanie nad ciałami. Wyobraziwszy sobie, że świat jest sceną intryg, wytężył swój niepospolity spryt, aby za pomocą całego systemu intryg osiągnąć i zapewnić sobie władzę. Powziął decyzję, że na złość wrogom nie kto inny, a on będzie w Polsce czynnikiem rozstrzygającym i bez niego nic nie może się dziać w Polsce. Doraźne powodzenie, możliwość postawienia na swoim i odgrywania się na przeciwnikach politycznych stały się dlań najsilniejszą podniętą działania”¹⁹. Nawet entuzjaści Witosy przyznać muszą, że to zręczny polityczny pamflet. Bezinteresowność autora ma tu zasadnicze znaczenie, bo pos. Anusz pozostaje święcie przekonany, że to nie on sam się zmienił – ani Broń Boże uwielbiany Komendant Piłsudski – tylko wyłącznie Witos. Na gorsze, stąd konflikt z Marszałkiem, któremu za jego rządów przyszło pożegnać się z polityką, na szczęście – co trzeba przyznać pomimo krwi w maju 1926 r, przelanej, Brześcia i Berezy Kartuskiej, najgorszych sanacyjnych błędów – nie na zawsze... Z pewnością nie ma też jednej prawdy o Wincentym Witosie. Nie tylko Anusz miał kłopot z jednoznaczną oceną chłopskiego przywódcy.

¹⁷ Antoni Anusz, „Z wiary waszej wola wasza – Z woli waszej czyn wasz będzie” [w:] *Pisma polityczne*, Akces, Warszawa 2022, s. 194–195.

¹⁸ Antoni Anusz, *O Wincentym Witosie* [w:] *Pisma polityczne...*, op. cit., s. 283.

¹⁹ Ibidem, s. 299.

Podobnie prawdziwy jest wizerunek Witosy strojem demonstrującego przekonania, dziś byśmy je nazwali populistycznymi: bez krawata, ale w białej koszuli, w wysokich butach. Bez rękawic nawet w siarczasty mróz. Bo przecież chłop rękawiczek nie nosi, co najwyżej „zabija” ręce czyli je zamaszyście zaciera, jak czyni to pod koniec pierwszego tomu „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza przewodnik rycerza Juranda do zamku w Szczytnie „przywykły bardziej do razów niż do datków”.

Ale bliski prawdzie historycznej okazuje się również Witos z pomnika: skuteczny obrońca Polski w 1920 r. organizator ostatniego w naszej historii udanego pospolitego ruszenia w formie zbrojnej. Kolejne okazały się już pokojowe, jak fenomen pierwszej Solidarności i to świeże, równie masowe przy urnach w pamiętną październikową niedzielę.

PRÓBY ZORGANIZOWANIA NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU FUNKCJONARIUSZY MILICJI OBYWATELSKIEJ

Szanowni państwo, postaram się krótko przedstawić historię pewnego meteoru, który przeleciał w 1981 roku po nieboskłonie ówczesnej Solidarności, czyli próby zorganizowania (bo do rejestracji nigdy nie doszło) Niezależnego Samorządnego Związku Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Byłem uczestnikiem tego ruchu i w pewnym sensie rośłem w nim – z nic nie znaczącej osoby jakiegoś delegata zakończyłem jako jeden z przywódców i sekretarz Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego.

Pojawią się moje osobiste odniesienia, ale przede wszystkim postaram się zreferować samo wydarzenie. Dotychczas nikt nie napisał na ten temat żadnej poważnej pracy. Są to tylko prace natury wspomnieniowej osób z natury zaangażowanych. Przewód doktorski na Ignatianum w Krakowie pod kierunkiem prof. Filipa Nowaka, szefa krakowskiego IPN, otworzył stosunkowo młody, czterdziestoparoletni, a już emerytowany policjant, który do służby przystąpił w 1993 roku, więc jest nadzieja, że za kilka lat dowiemy się prawdy. Na razie proszę przyjąć mój punkt widzenia.

Organizatorzy ruchu związkowego nie mogli się odwoływać do żadnych tradycji, bo taka nie istniała. W okresie międzywojennym nie istniały związki zawodowe policjantów. Istniały w innych krajach i ustawa o policji państwowej z 24 lipca 1919 roku pozwalała za zgodą przełożonych przynależeć do organizacji społecznych, ale ponieważ policja była zorganizowana na wzór wojskowy, nigdy ze strony policjantów tego rodzaju inicjatywa nie wystąpiła. W PRL dekret powołujący Milicję Obywatelską w 1944 roku, wykluczył to, aby funkcjonariusze pozostający w stosunku służbowym mogli należeć do jakiejkolwiek organizacji i stowarzyszeń działających poza służbą. Dopiero zmiana ustawy,

na co nikt nie zwrócił uwagi, nastąpiła 16 grudnia 1972 roku. Wtedy pozwolono, podobnie jak w okresie przedwojennym, funkcjonariuszom pełniącym służbę, za wiedzą przełożonych, przynależeć do organizacji. Ale też zaznaczono, że funkcjonariusz jest zobowiązany wykonywać zalecenia, rozkazy, polecenia i przestrzegać dyscypliny służbowej. Nikomu w PRL nie przyszedł do głowy pomysł o próbie założenia związków zawodowych.

Chciałbym pokazać sytuację i atmosferę, która spowodowała, że w ogóle można było mówić o prawie do związków. Po dojściu do władzy Edwarda Gierka, sytuacja w organach MO zaczęła się zmieniać. Nastąpiła ogólna liberalizacja, reforma województw oraz zmiana ustawy o służbie. Ustawa o służbie z 1973 roku wprowadziła obowiązek wyższego wykształcenia dla oficerów oraz średniego dla podoficerów, co spowodowało, że część musiała odejść od służby, a część próbowała uzupełnić swoje wykształcenie. Wreszcie odstąpiono od klasowego naboru kadr. Do 1980 roku odsetek funkcjonariuszy pochodzenia inteligenckiego zwiększył się trzykrotnie z 6 procent do prawie 18 procent i kształtował się mniej więcej w ten sposób, że pochodzenie robotnicze deklarowało 56 procent, chłopskie 25 procent, inteligenckie 17,6 procent. W dekadzie lat 1971–1980 liczba oficerów z wyższym wykształceniem wzrosła z 14 procent do 67 procent, a podoficerów z wykształceniem średnim z 18 procent do 70 procent. To spowodowało, że nastąpiły zmiany w środowisku milicyjnym, szczególnie w miastach akademickich, bo nabór absolwentów powodował, że to byli ludzie już zupełnie inni. Ba! Wcześniejsze przepisy powodowały, że absolwentom w zasadzie nie opłacało się przychodzić do służby, bo szkoła oficerska była jednorodna. Trwała 5 lat i obojętnie, czy to był człowiek po maturze, czy absolwent wydziału prawa, musiał na 5 lat trafić do Szczytna, gdzie go formowano w warunkach koczowniczych. Później skrócono to do 3 lat, co też było bardzo długo. Dopiero zmiany gierkowskie spowodowały, że wprowadzono szkoły oficerskie dla absolwentów wyższych uczelni, podobnie zresztą jak w wojsku (ci, którzy w tym czasie kończyli studia pamiętają, że trafialiśmy do SOR, gdzie po roku stawali się oficerami). Funkcjonariusze po części się zmienili, co nie znaczy, że stara kadra odeszła całkowicie, bo dalej pełniła funkcje kierownicze, ale już w komendach dzielnicowych, w wydziałach do walki z Przestępczością

Gospodarczą (PG), dochodzeniowych byli absolwenci wyższych uczelni, którzy mieli kontakt z ludźmi z okresu studiów.

W momencie powstania Solidarności w 1980 roku, rozpoczęto przygotowywanie MO. Pierwsze nastąpiły jeszcze przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych, kiedy wszystkie jednostki na terenie całego kraju zostały wprowadzone w stan alarmu z tej racji, że nie było wiadomo, jak się wszystko skończy. W Milicji Obywatelskiej istniała pamięć o poprzednich wydarzeniach, tzn. o grudniu, za które MO ponosiła odpowiedzialność, choć brało w tym udział wojsko. Była pamięć o Radomiu, gdzie użyto tylko i wyłącznie MO do tłumienia rozruchów. Po powstaniu Solidarności, w czasie Karnawału Solidarności, zaczęła się zmieniać sytuacja wewnątrz resortu. Ludzie mieli już kontakt z tymi osobami, często rodzinny, kiedy żona lub ktoś inny należał do Solidarności. Proste indoktrynowanie, że to są elementy antysocjalistyczne nie dawało rezultatu.

Po ukończeniu studiów na wydziale prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1977 roku, rozpocząłem pracę w Wydziale Dochodzeniowym w Komendzie Dzielnicowej Kraków-Śródmieście. Startowałem jako referent dochodzeniowy, później awansowałem z posterunkowego na starszego posterunkowego. Prowadziłem postępowania przygotowawcze w tych drobniejszych i mniej ważnych sprawach, wyłączając zabójstwa, kradzieże, znęcania, pobicia itp. Kiedy wszedłem do służby, byłem czwartą osobą na 30, która była absolwentem wyższej uczelni. W ciągu 2 lat to się tak zmieniło. Odsetek osób z wyższym wykształceniem wzrósł do 60 procent – było 17 osób nowo przyjętych, a pozostali rozpoczęli studia zaoczne, więc też starali się rozwijać. Wydaje mi się, że wielkie wrażenie na milicji w Krakowie wywarła pielgrzymka Jana Pawła II. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy, jaki jest stopień samoorganizacji społeczeństwa. Był to 1979 rok, nawet pochody pierwszomajowe trzeba było obstawiać, żeby nie dochodziło do wybryków (ktoś popił, ktoś kogoś pobił itp.), a tu przez jedną noc wchodzi do Krakowa 1,5 mln ludzi. Oni się samoorganizują, bo milicji na Błoniach nie było, i nie dochodzi do żadnego incydentu. Nie ma przypadków losowych, zaśląbnięć itp. To robiło ogromne wrażenie. Oglądaliśmy to po części od środka. Ta olbrzymia samodyscyplina i samoorganizacja społeczna do tej pory jest niewyobrażalna.

Problem w milicji zaczął narastać mniej więcej we wrześniu-październiku 1980 roku. Prawdopodobnie rozpoczęto już wtedy przygotowania do jakiegoś stanu wyjątkowego i wybrano formułę, która bardzo im zaszkodziła – rozmowy w jednostkach z całością osób pełniących służbę w postaci otwartych zebrań partyjnych. Wbrew pozorom w dużych miastach to upartyjnienie nie było takie wysokie. Ja do końca nie należałem do PZPR i tam, gdzie pracowałem, mniej więcej 56–70 procent milicjantów należało do partii. Reszta była bezpartyjna. Nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Nakłaniało ludzi, żeby wstąpili, ale odpowiadali, że są jeszcze nie dojrzały i przechodzono nad tym do porządku dziennego. Inaczej to wyglądało w jednostkach organizacyjnych wyższego szczebla, np. w komendzie wojewódzkiej. Z resztą nawet i w komendzie dzielnicowej, gdybym chciał iść na szkołę oficerską, musiałbym się stać członkiem partii, bo innych nie posyłano. Słyszałem, ale nie znam przypadku, że jakiś sprytny kolega wstąpił do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (bo przecież zakazu nie było). ZSL interweniowało i natychmiast go wysłali na szkołę oficerską. Ale to był jeden jedyny taki przypadek i nikomu już się tego nie udało powtórzyć. Rozpoczęły się otwarte zebrania partyjne. Pamiętam, że spędzili nas na dużą salę. Jednostka, w której służyłem liczyła 350 osób. Przybył znany nam prokurator, instruktor, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego i wystąpił z tezami należnymi w takiej sytuacji, że istnieje zagrożenie:

– „Zagrożony jest wasz byt i waszych rodzin. Być może będziecie się musieli na to przygotować i będziecie musieli strzelać w obronie własnej”.

Dwa dni wcześniej przeżyłem pewnego rodzaju traumę. Zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie służę. Mieliśmy pistolety P64 sześciopistołowe. Wchodząc do pracy zawsze przechodziłem koło dyżurki, czyli koło zamkniętych, żelaznych drzwi, obitych blachą. Te drzwi były otwarte, w środku znajdowała się masa broni, wyglądającej jak demobil z II wojny światowej. Widać było stare pepesze i kałasznikowy, ale między nimi były erkaemy i ciężki karabin maszynowy. Jak zdałem sobie sprawę, że za chwilę ta broń może zostać użyta, zrobiło to na mnie wrażenie. Co innego strzelać do bandyty z pistoletu, a co innego użyć karabin maszynowy. Widziałem też osoby zastrzelone, ale to byli samobójcy. Odważyłem się i wystąpiłem:

– „My wcale nie czujemy się zagrożeni, a nie wiadomo, w którą stronę będziemy strzelać”.

Zgodziłem się w duchu, że już popłynę. Tymczasem stała się rzecz dziwna, jakby nastąpiło pęknięcie i to wśród milicjantów starszych wiekiem, z których znaczna część to byli chłopomilicjanci. Ulały im się ich własne żale. Chłopomilicjanci służyli najczęściej w kompanii patrolowej. Cierpieli z tego powodu, że z całej rodziny było trzech synów: jeden poszedł do wojska, drugi do straży pożarnej, trzeci do milicji. Wszyscy byli ludźmi wierzącymi. Ten w straży pożarnej stał przy Grobie Pańskim, więc go czciła i honorowała. A temu nie wolno było nawet iść do kościoła, bo zaraz był wzywany na rozmowę i dostawał służby. Wbrew pozorom wśród tych prostych milicjantów był problem. Kolejny problem był taki, że prawo było równe, ale nie dla wszystkich jednakowo. Jeżeli któryś był po wielokroć nagradzany za to, że zatrzymał wywrotkę z materiałami budowlanymi, to uważał, że tak powinno być, ale miał pecha i zatrzymał wywrotkę należącą do sekretarza Komitetu Wojewódzkiego. Tu, o dziwo, nie nagrodzono go, tylko ściągnięto do kompanii patrolowej. W każdym razie skończyło się na użalaniu na praworządność itp. Niektórzy pamiętali jeszcze czasy interwencji w sprawie krzyża nowohuckiego. Pojawiło się pierwsze hasło, że partia nie może rozwiązywać problemów społecznych za pomocą milicji.

Mniej więcej na wiosnę 1981 roku zacząłem się dowiadywać, że milicjanci z Nowej Huty (którzy mieli najbliższy kontakt z robotnikami, jeden z sekretariatu mieścił się prawie na terenie Nowej Huty) organizują się w jakąś formułę związków zawodowych. Coś przygotowują. Dalej jednak na ten temat było cicho. Raptem dostajemy informację, że milicja ma się przygotować w ramach operacji „Lato” do ćwiczeń alarmowych. Zaczęli umacniać budynki, zapoznawać nas z planami obrony, wyznaczać stanowiska ogniowe, wydobywano broń palną. Uzasadniano to wtedy zagrożeniem ze strony Solidarności, która miała by się szykować na atak na jednostki MO, ale również na funkcjonariuszy i ich rodziny. Ludzie tego nie zaakceptowali. Z tego, co zdołałem ustalić, pierwsze zebrania, na których milicjanci postanowili się zorganizować, zaczęły się wiosną 1981 roku.

Jak to czasami bywa, stało się to pod wpływem wydarzenia w jednej z komend na Śląsku, bodajże w Szopienicach, gdzie dzielnicowi zatrzymali

górnika pracującego w hotelu robotniczym, sprowadzili do aresztu i pobili go na śmierć. Solidarność zareagowała, zażądała podjęcia czynności w tej sprawie i ci milicjanci zostali aresztowani. Reszta poczuła się zagrożona i odbyło się spotkanie. Zjechali się milicjanci z wielu jednostek z kraju, głównie z południa i postanowili powołać ruch związkowy w obronie swoich interesów. Był marzec 1981 roku.

Drugim impulsem do wprowadzenia próby organizacyjnej był tzw. ruch partyjnych „poziomek”. Upartyjnienie było dość wysokie, więc pojawiła się odmiana „poziomek” milicyjnych, m.in. w Bydgoszczy, w Łodzi (gdzie jeden z przyszłych organizatorów związków zawodowych pełnił bardzo wysoką funkcję członka komisji rewizyjnej Komitetu Wojewódzkiego partii). To był młody oficer. Kiedy wszystkich nas zwalniali, jego nie mogli zwolnić z przyczyn proceduralnych i on jeszcze w naszych protestach brał udział w mundurze.

Z początkiem maja 1981 roku poinformowano mnie, pracującego w gabinecie, że będzie zebranie partyjne i że muszę na nim być. Otwarte zebrania partyjne nie odbywały się częściej niż raz na 2 lata. Poprzednie było we wrześniu 1980 roku, więc krótko wcześniej. Zaszedłem na miejsce. Wszyscy już się zebrali. Okazało się, że na apel kolegów z Nowej Huty, chcą wybrać delegatów na zjazd założycielski związków zawodowych w sposób formalny, zorganizowany. Ma być 5 delegatów. Pasowałoby opracować jakieś postulaty. Jako prawnik miałem łatwość formułowania na piśmie oczekiwań od osób, które się tam zebrały. Pomogłem im spisać te postulaty. Pierwszy postulat zaczynał się od słowa: „Żądamy niewykorzystywania milicji do rozwiązywania konfliktów społecznych”, za którym szły dalsze oczekiwania z socjalnymi włącznie. Wszystko działo się na wzór postulatów ze Stoczni Gdańskiej. Mając 3 lata i 6 miesięcy służby zostałem wybrany przez starszą kadrę jako jeden z pięciu delegatów na zjazd wojewódzki.

Po tygodniu pojechaliśmy do Nowej Huty. Nie było jasne, czy ten zjazd jest akceptowany przez kierownictwo służbowe, czy nie. Ale obywateli się pod egidą komitetu zakładowego partii. Wtedy się okazało, że województwo jest świetnie zorganizowane, bo na zjeździe są delegaci z wszystkich jednostek. Formalnie wybrani, z listami obecności, ilością zebranych głosów, mandatami. Dokumentacyjnie wyglądało to w ten sposób, że była to reprezentacja całego

garnizonu krakowskiego. Jak się o tym dowiedział Komendant Wojewódzki, przybył na miejsce i zjazd toczył się dalej za aprobatą przełożonych. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o tym (dowiedziałem się dopiero po 30 latach z archiwów), że zrobił się bardzo poważny problem w skali kraju, który był dyskutowany w Komitecie Wojewódzkim partii w Krakowie. Tam były też osoby o zapędach reformatorskich, a poza tym cała Polska czytała słynną „Gazetę Krakowską”, której naczelnym był członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Zaowocowało to tym, że do Krakowa przybył ówczesny Minister Spraw Wewnętrznych Generał Pożoga – bardzo wysokiej rangi i do specjalnych poruczeń. Teraz dopiero okazuje się, bo są protokoły wskazujące na to, że doszło do bardzo poważnego sporu. Komitet Wojewódzki zaakceptował tę inicjatywę partyjnych milicjantów krakowskich, podczas gdy Pożoga żądał rozpręczenia go i likwidacji.

W Warszawie w sposób zorganizowany wybrano władze, 17 osób z terenu województwa z różnych jednostek. Przewagę mieli milicjanci ze służby patrołowej i służby prewencji, a więc nie z tych intelektualnych wydziałów. Mielismy poczucie – na czym się przejechaliśmy – że na przewodniczącego trzeba wybrać człowieka z ludu. Został wybrany sierżant z kompanii patrołowej z Nowej Huty. Ale w tej grupie 17 osób większość stanowili absolwenci studiów dziennych, nawet było 2 oficerów, którzy ukończyli Akademię Ekonomiczną (jeden z nich był asystentem, a drugi jego uczniem). Było też kilku prawników i 3 oficerów z dłuższym stażem służby, około 20 lat – w kategorii „upadłych naczelników”. Jeden z nich (kpt. Edward Szybka) pełnił funkcję zastępcy Naczelnika Wydziału Komendy Wojewódzkiej i był odpowiedzialny za odbiór żony Edwarda Gierka z lotniska, ale spóźnili się 5 minut, za co został odwołany i skierowany jako inspektor do spraw nieletnich do jakiejś jednostki. On był bardzo cenny, bo ja, będąc nikiem, tj. referentem dochodzeniowym, starszym szeregowym, nie miałem zielonego pojęcia, jak ta instytucja tak naprawdę działa. Miałem trochę doświadczenia i kontaktów, bo mieszkalem w hotelu milicyjnym i miałem kontakt z bardzo różnymi ludźmi różnych jednostek.

Zaczęliśmy się organizować. Praca u podstaw, postulaty, świadczenia socjalne... Przynależność do tych wszystkich organizacji spowodowała, że staliśmy się partnerem dla komendanta. W pewnym momencie usiłowano przerwać

kontakt między województwami i wstrzymano wszystkie przesyłane przez nas informacje. Ale ponieważ przynależał do nas również wydział łączności, natychmiast te informacje były radiowozami przerzucane na taśmy perforowane do granicy województwa. Z granicy odbierało tamto województwo. Poczuliśmy siłę, bo przeszło 60 procent zadeklarowało gotowość do przystąpienia do związku. Część nawet zapłaciła składki i milicjanci nie tylko wykonywali rozkazy komendanta, ale również ustalenia Komitetu Założycielskiego, co dawało nam pewną siłę.

Wtedy otrzymaliśmy 2 komunikaty, że szykuje się ogólnopolski zjazd założycielski związków zawodowych. Jeden – 1 czerwca w Warszawie, a drugi – 1 czerwca w Katowicach. Ponieważ nie mieliśmy jasności, który z nich jest Komitetem realnym, a który próbą rozłamu, nasz Komitet ustalił, że do Katowic pojedzie ja z kolegą jako delegaci naszego województwa, a trzyosobowa delegacja bardziej doświadczonych funkcjonariuszy wyjedzie do Warszawy.

Moja przygoda w Katowicach napęłniła mnie butą. W wyznaczonym terminie wsiedliśmy do pociągu, przyjechaliśmy. Jako miejsce zjazdu założycielskiego ustalono jednostkę PO-ZOMO – bo tak się to nazywało – w Katowicach. Problem polegał na tym, że te jednostki tworzyli ci milicjanci, którzy odslużywali służbę wojskową. One nie podlegały nawet komendantowi wojewódzkiemu, tylko bezpośrednio ministrowi spraw wewnętrznych. Były traktowane w trybie wojskowym. Wejście tam wydawało mi się mało prawdopodobne. W owym czasie zastępcą komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach był płk Marian Okrutny. Pułkownik stanął przed tym garnizonem, w którym było przeszło 2,5 tys. młodych ludzi z PO-ZOMO, mówiąc, że on nie wyraża zgody. Odpowiedziałem, że sprawa nie podlega negocjacjom i oczywiście idziemy. Nie weszlibyśmy, gdyby nie to, że tamci się zbuntowali, otworzyli bramę, mówiąc, że nas zapraszają i odstępują nam swój obiad, byśmy mogli spokojnie przeprowadzić obrady. Tak zebrało się 168 delegatów.

Obrady były gorące. Ustalono, że zakładamy związki i nie pozwolimy się wykorzystywać do tłumienia konfliktów społecznych. Ja byłem przewodniczącym tych obrad i na szczęście zachowało się nagranie magnetofonowe z tego zjazdu. Różni ludzie to nagrywali, my nie stosowaliśmy technik audiowizualnych, tylko dokumentowaliśmy na piśmie. Oczywiście SB to stosowała...

Ja jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że agenci SB znajdują się również wśród milicjantów. Tak, jak było ograniczenie, co do możliwości werbunku w stosunku do członków partii, to wydawało mi się w ogóle niepotrzebne, aby werbować milicjanta, bo my z urzędu mieliśmy obowiązek współpracy. Najczęściej byli to agenci bezpieki, którzy gdzieś służyli jako studenci, a potem podejmowali pracę w milicji. Oni ich formalnie wyrejestrowywali, ale dalej utrzymywali z nimi kontakt.

Co innego oburzyło mnie już w wolnej Polsce. W komunie trzymali ich za pysk i żaden kapuś nie awansował powyżej kapitana. Taka była zasada. Choćby nie wiem jak się starał, w papierach był maksimum kapitanem na stanowisku kierownika sekcji. Nie został nawet zastępcą naczelnika. I dopiero gdy po PRL nastąpiła wolna Polska, bardzo wielu z nich zrobiło błyskotliwe kariery. Tak to jest, kiedy upada jedna kultura, a druga nie wypracuje jeszcze modeli, które umożliwiłyby blokowanie pewnych rzeczy.

Zjazd w Katowicach zakończył się sukcesem, aplauzem. Uchwaliliśmy założenie związków, postulaty i rejestracje. Ale zrobiliśmy to warunkowo – jeżeli zjazd warszawski nie wyjdzie. Moim przewodniczącym był Florek Wiedera (powstała bardzo mocna organizacja w Dąbrowie Górniczej. Ówczesny komendant wyleciał, bo w czasie akcji protestacyjnej budynek komendy był najbardziej oklejony transparentami i hasłami protestu). Rozmawiałem kiedyś z Florkiem, jakimi byliśmy nieudacznikami, jeśli chodzi o zasoby archiwalne bezpieki. Zasoby archiwalne bezpieki Huty Katowice zostały przecież w tej komendzie. Florek wyznał, że gdyby to wiedział, wszystko by zabezpieczył.

Uzyskujemy informację, że odbywa się zjazd w Warszawie. Komenda Główna i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nawiązały kontakt ze związkowcami w Warszawie i zaproponowało im rozmowy. Rozwiązaliśmy zjazd katowicki i delegacja udała się na zjazd warszawski. Zajechałem do Warszawy po godzinie 1.00. Oni byli już po podstawowych obradach, to znaczy wybrali władze, uchwalili powołanie związku, konieczność rejestracji, Komitet Założycielski. Byli po pierwszych rozmowach z komisją rządową. Z tego, co mi opowiadano, osobiście przyjechał Komendant Główny i kilku dyrektorów Departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ten zjazd odbywał się w hali garażowej Batalionu Patrolowego. Oni wchodzili po tym podjeździe, gdzie wjeżdżają

samochody. Pech chciał, że akurat przemawiający kolejny delegat – a delegaci milicyjni nie byli inni niż delegaci Solidarności i też mówili w sposób porywający – akurat ryczał: – „Dłużej nie damy się manipulować i rządzić tym leśnym dziadkom!”. W tym momencie oni wchodzi. – „...I nie pozwolimy, żeby wysyłano przeciw nam...”. Podobno delegacja zawróciła z powrotem. Przysłano delegata. Było już po 2 rozmowach. Byli z delegacją przedstawiciele tego komitetu, do którego ja zostałem dołączony jako delegat katowicki. Ale te rozmowy jeszcze nie dały rezultatu.

Działy się wtedy już różne dziwne rzeczy, m.in. padło hasło: „Skoro z nami nie rozmawiają, idziemy na Belweder”! Zastanawiałem się, jak gruba to była prowokacja. Było tam ok. 800 milicjantów i być może 200 sztuk broni P64, bo niektórzy przyjechali ze służby. Wyprowadzenie tego na ulice i próba marszu na Belweder z czterema karabinami maszynowymi, jedną tankietką, to byłaby nieprawdopodobna afera. Ja się wtedy sprzeciwiłem temu pomysłowi, który na szczęście nie był forsowany większością głosów.

Jednostkę zaczęły natomiast mocno oblegać media, głównie międzynarodowe. Ale ktoś wpadł na pomysł, że dopóki nie rozmawiają z nami, my też nie będziemy się pokazywać, bo już te delegacje jeżdżące straszono (być może słusznie), że Związek Radziecki nigdy się na coś takiego nie zgodzi, bo w żadnym „demoludzie” nigdy do takiej sytuacji nie doszło.

Przypominało to trochę sytuację z Pragi z 1944 roku, kiedy wojska amerykańskie, które wyzwały Pragę czeską, dostały pomoc od czeskich policjantów w służbie niemieckiej, którzy posiadali broń, zbuntowali się i rozwalili Niemców od środka.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem nazwisko – jeszcze całkiem nieznane – Ministra Spraw Wewnętrznych Milewskiego. Nastąpiła zmiana po Kowalczyku – sekretarzu partii. A to był stary ubek, co to zaczynał karierę od obierania ziemniaków przy jednostkach NKWD, znany jako twardogłowy. Ja w Krakowie za bardzo o nim nie słyszałem, bo on był od Służby Bezpieczeństwa, ale ci z dłuższym stażem już coś o nim wiedzieli.

Dowiedzieliśmy się, że zostaną podjęte z nami rozmowy. Zostaliśmy zaproszeni na rozmowy rano na godzinę 9.00 na ul. Oczki, gdzie mieścił się Zarząd II Kontrwywiadu Wojskowego, ponieważ miała z nami rozmawiać komisja

parlamentarno-rządowa. Przewodniczącym Komisji był wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Ładu i Praworządności gen. Czesław Kiszcza.

Wytrwaliśmy do rana bez jedzenia i picia. Miałem pieniądze związkowe, bo zebraliśmy składki. Rano poszliśmy na Dworzec Centralny na jajecznicę, skąd pomaszzerowaliśmy na Oczki.

Zastanawialiśmy się, czemu nas tam w ogóle wpuszczają, bo był to obiekt objęty systemem tajemnicy. Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Widocznie zaczęła się już wtedy gra pozbywania się Milewskiego i wprowadzenia Kiszcza. Publicznie pierwszy raz padło wtedy nazwisko Kiszcza.

Mieliśmy 7-osobową delegację, ja byłem sekretarzem tej delegacji i miałem sporządzać dokumenty. Przewodniczącym był porucznik, też prawnik z Warszawy Wiktor Mikusiński. Jego zastępcą był kpt. Edward Szybka, z wykształcenia pedagog z Krakowa i 2 oficerów: Leszek Marcinek z Krakowa – prawnik zaoczny i Julian Sekuła z Lublina, który potem blisko współpracował z lubelską KPN. Był plutonowy Żmudziak i ja o najbardziej nikczemnym stopniu starszego szeregowego, co burzyło pewną hierarchię, bo np. sekretarka była w stopniu majora.

Siadamy przy prostokątnym, długim stole. Wchodzi minister Kiszcza (którego nazwisko pierwszy raz w życiu usłyszałem, podobnie jak wielu Polaków) i jego delegacja, składająca się z: wiceministra sprawiedliwości Tadeusza Skóry, wiceprokuratora generalnego Żyty, Komendanta Głównego MO Stanisława Zaczekowskiego, Dyrektora Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych generała Ciastonia i Komendanta Wojewódzkiego MO Ćwieka, który potem został szefem Głównego Urzędu Cel i to on był najbardziej pryncypialny.

Zaczynamy być poważnie traktowani. Komisja wysłuchuje naszych postulatów. Jedne uznają za słuszne, inne mniej. Spór zaczyna się od jednego i to jest warunek brzegowy: nie może powstać struktura o nazwie związku. Z tego jeszcze byliśmy skłonni ustąpić. Miały być rady milicyjne. Po drugie chcieliśmy struktury ogólnokrajowej, od posterunku komisariatu po komendę główną. Tymczasem oni nauczani doświadczeniem Solidarności powiedzieli, że to absolutnie nie wchodzi w rachubę i można tylko do szczebla komendy wojewódzkiej, bardzo proszę i wszystkie wasze postulaty realizujemy. Zaczęły

się rozmowy, przepychanki. Kiszczak prowadził to w bardzo surowy sposób, ale w naszym odczuciu uczciwy. Agresywny w stosunku do nas był komendant stołeczny. W przerwie w kuluarach mówił do nas, że powinno się nas pozamykać, straszył, że nas wywiozą itp. Zarówno Kiszczak, Ciastoń, jak i obaj ministrowie zachowywali się w sposób przyzwoity i kompetentny.

W trakcie rozmów wyszedł problem, że poza wspomnianą jajecznicą od 2 dni nic nie jedliśmy. Kiszczak zaordynował przerwę i żołnierski obiad, odbyło się typowe skracanie dystansu. Kiedy chciałem zadzwonić do żony do Krakowa, Kiszczak zaprowadził mnie do własnego gabinetu i osobiście połączył mnie z zakładem pracy, gdzie żona była referentem. Te drobne przysługi wytworzyły więź i szacunek.

Niestety miałem przygodę innego rodzaju, co też mi zostało wybaczone. Było to związane z generałem Zaczekowskim – potężnym, wysokim chłopem z kryminalnej, który występuje w filmie „Rozmowy kontrolowane”; potem trafił jako ambasador do Mongolii, gdzie wywołał skandal, gdyż polecił zastrzelić psa, który mu był pod oknem – niestety okazało się, że to był święty pies dla Mongołów. Ponieważ mi, jako sekretarzowi, przypadło przeczytanie tych postulatów, z których każdy zaczynał się od słowa „żądamy”, więc zacząłem odczytywać z dykcją i emfazą. On nie wytrzymał. Kiedy poszedłem do toalety, on bez pardonu wpadł za mną, w generalskim mundurze i zaczął się na mnie drzeć:

– Towarzyszu Durek, tylko nie: „żądamy!”.

Z zimnym, oszczędnym spokojem, a może trochę z głupotą odparłem:

– Bardzo pana przepraszam, ale po pierwsze nie towarzyszu, bo jestem bezpartyjny, po drugie nie zwykłem prowadzić rozmów oddając moc.

Patrzę, a facet się osuwa. Zabrała go karetka na sygnale. Na następne spotkanie przyszedł jego zastępca. Bardzo to mądrze wymyślili, bo to był facet po doktoracie. Nas było trzech z delegacji z Krakowa. On mnie nie znał, bo byłem za nisko, ale dwaj koledzy byli wyżej w hierarchii i znał ich, a on był zastępcą komendanta wojewódzkiego w Krakowie. Mieli już miękkie miejsce. Pierwsze rozmowy zakończyły się podpisaniem wspólnego komunikatu, w którym przyjęliśmy do wiadomości, że oni się nie zgadzają na powołanie związków, tylko mają być rady i do szczebla komendy wojewódzkiej. My byliśmy reprezentantami opcji związkowej.

Termin następnego spotkania przełożono na czwartego lub piątego. Byliśmy więc traktowani poważnie. Wtedy zaczęły się pierwsze przecieki prasowe. Zaczęło być o nas głośno. Wróciliśmy do jednostek. Zdali relacje, zaczęli udawać, że pracujemy, bo zobowiązaliśmy się wykonywać dalej czynności służbowe. Ja wykonywałem 70 postępowań kwartalnie. Wiadomo, że koledzy podzielili się moją robotą, ale co przyjechałem, to coś trzeba było odrobić.

Wpadliśmy wtedy na pomysł, może nieco dziwny, ale wynikał z zapału młodości. Podjęliśmy uchwałę, że my, członkowie Komitetu Założycielskiego, żeby być *au courant*, nie działamy we własnym interesie i nie będziemy pełnić żadnych funkcji w przyszłych związkach, jeżeli takie powstaną. To się potem odbiło, bo spowodowało, że część w ogóle zaprzestała działalności. Na zasadzie: skoro nic mi to nie da, po co się będę narażał? Zdaję sobie sprawę, że z naszej strony to był błąd.

Mieliśmy już rozeznanie, na ile jesteśmy mocni, więc ruch związkowy wystąpił w 40 garnizonach (na 49) i objął 439 jednostek, w 15 komendach wojewódzkich (mam na myśli jednostkę, nie komendę wojewódzką jako województwo, tylko komendę wojewódzką jako organ tejże), w 89 komendach miejskich, w 18 komendach dzielnicowych, w 146 komisariatach, w 37 komisariatach specjalistycznych, w 104 posterunkach, w 17 jednostkach ZOMO i w 4 jednostkach szkoleniowych. Najbardziej zaangażowane były załogi średniego szczebla, czyli komend miejskich i dzielnicowych (gdzie wstąpienie do związku deklarowało 55 procent załogi) oraz komisariatów (40 procent). O dziwo, wysoki stopień w owym czasie był w jednostkach ZOMO – 30 procent.

Pierwszy postulat: rozdzielenie milicji od bezpieczeństwa. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa na nasz zjazd przysłali delegację do Krakowa. To było raczej naturalne, nie wynikało z niechęci do nich, tylko oni po prostu mieli prawo wydawania poleceń. Oprócz własnej roboty, musiałeś jeszcze coś robić dla bezpieczeństwa, bo zlecili. To był odruch obronny.

Podobno w bezpieczeństwie też pojawił się postulat organizacji związkowej, ale chyba trochę źle zaczęli, bo jednym z pierwszych postulatów było to, żeby przestał obowiązywać przepis wewnętrzny, że na zwerbowanie członka partii trzeba mieć zgodę komitetu. To było duże utrudnienie w ich pracy przy tym

masowym upartyjnieniu. Najczęściej omijali to w stosunku do zwykłych ludzi w ten sposób, że nie przypisywali im przynależności do PZPR, ale jak się ujawniło, to mieli kłopoty.

Już wtedy czuliśmy się obserwowani przez Służbę Bezpieczeństwa i dla związkowców SB to był wróg. Było to jasne i zrozumiałe, bo było to narzędzie powołane do tych celów. Nie wpadliśmy na to, że oni użyją przeciwko nam wojskówki, co byłoby dużo prostsze i bezpieczniejsze, bo oni byli dla nas nie-rozpoznawalni. Bezpieczniaków znaleźliśmy ze wspólnej stołówki.

Na zachowanych dokumentach komitetów założycielskich widnieją podpisy 7602 milicjantów z imienia i nazwiska, a deklaracje przystąpienia złożyło około 30–40 tysięcy osób. Ale to była deklaracja. Dalej wydawało się nam, że jesteśmy silni. Oceniliśmy, że było około 800 aktywnych działaczy. MSW oceniało ich liczbę na około 400–500 osób.

A oto charakterystyczne postulaty.

„Uchwała delegatów krakowskich z 28 maja. Wydarzenia 1956–1958, 1970. dochodziło do konfliktów społecznych, w których Milicja Obywatelska była używana do tłumienia słusznych wystąpień narodu przeciwstawiającego się narastającym deformacjom. Występowanie przeciwko społeczeństwu, dla ochrony interesów którego zostaliśmy powołani, stanowi dramat dla nas samych”.

Ocena związku zawodowego: „Uchwała. Związek włączy się czynnie w nurt posierpniowej odnowy, podejmuje inicjatywy zmierzające do poprawy ładu, porządku, bezpieczeństwa publicznego”.

Po zarejestrowaniu Solidarności władza stała się bardzo ostrożna w powoływaniu normalnych związków. Związki mieli już rolnicy. My liczyliśmy na kontynuację rozmów, które odbyły się 4 czerwca na ul. Oczki. Tym razem atmosfera była już dużo bardziej surowa. Zaczęło się od tego, że generał Beim, który zastąpił Zaczekowskiego, odczytał nam list od towarzyszy radzieckich, ostrzegając, że nasze działanie może spowodować, że będziemy mieli krew ludzi na rękach, jeśli z naszej przyczyny wjadą do Polski czołgi radzieckie. My jednak nadal upieraliśmy się przy swoim. Rozmowy toczyły się dalej. Po 3 godzinach Kiszczak opuścił rozmowy i faktycznie pojawiła się radziecka delegacja: jeden radziecki generał wyższej rangi, dwóch niższej rangi, pięciu pułkowników.

Wprowadził ich do gabinetu. Teoretycznie nie ma to żadnego związku z nami, bo on wykonywał zupełnie inne czynności, ale kolejne pokazanie listu i obecność tych generałów spowodowało, że zaczęliśmy odczuwać dyskomfort. Ponieważ zostaliśmy zobowiązani do tego, żeby nie ustąpić i żeby wyegzekwować związku o szczeblu ogólnokrajowym, nastąpiła przepychanka.

Po tej przerwie z generałami ja z kolei zobaczyłem ludzką twarz generała Kiszczaka. To był przypadek. Wpada osiemnastolatka w zwiewnej sukience. On wychodzi, a ona go zaczyna tak opieprzać na tym korytarzu przy mnie, jak każdego z nas córka by opieprzyła. Ona była przed jakąś uroczystością matu-ralną, a on miał jej kupić sukienkę, ale nie kupił.

– Obiecałeś! – krzyczała.

On się jej tłumaczył za zamkniętymi drzwiami. Widzisz sfinksa z betonu, który okazuje się być też człowiekiem. I zaczynasz go inaczej odbierać.

Te rozmowy skończyły się niczym i kolejny zjazd delegatów do Warszawy zwołaliśmy na 8 czerwca, żeby delegaci podjęli decyzję, czy godzimy się na te warunki rządowe, czy nie.

W międzyczasie pierwszy raz w życiu byłem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji na ul. Rakowieckiej, ponieważ przygotowywa-łismy projekt statutu związków zawodowych. Razem z delegacją Departamentu Prawnego zostaliśmy przyjęci, ale tylko w sekretariacie ministra Milewskiego. Charakterystyczne, że drzwi się otwarły dla karłów w służbie. On miał niesamo-wicie długie podłużne biurko, co najmniej długości obszernego pomieszczenia, do przyjmowania gości, a swoje stanowisko na podwyższeniu. Jako facet sporo niski, podczas spotkania górował nad resztą. Nie zostałem dopuszczony do konfidencji. Postaliśmy tam około godziny, dostaliśmy pokreślone dokumenty z jego własnymi adnotacjami i podpisami. O tyle się potem to przydało, że jak oglądałem w IPN dyspozycje odnośnie mojej osoby, to było napisane tą samą ręką i rozpoznałem ten sam charakter pisma. Prawdopodobnie ministerstwo do tej pory prowadziło z nami rozmowy, policzyło siły.

Na zjazd przygotowaliśmy statut do zarejestrowania. W międzyczasie zmie-nił się u nas przewodniczący. I dokładnie na termin zjazdu 8–9 Komenda Główna ogłosiła stan podniesionej gotowości. Miało być dziewiątego, a oni ogłosili ósmego. Stan podniesionej gotowości oznacza, że wszyscy milicjanci

muszą być do dyspozycji w miejscu zamieszkania albo w miejscu pracy. Automatycznie ci, którzy by przyjechali, złamali dyscyplinę służbową.

Zaczyna się dzień zjazdu. Jednostki się zjeżdżają i pojawia się hamletowskie pytanie: „Co robić”? Zaczkowski był chory, więc nasza delegacja postanowiła dogadać się tylko z Komendą Główną. Jednak na wiadomość, że grozi za to wydalenie ze służby, część zniknęła, zwłaszcza ci z Warszawy. Wybrano mnie i porucznika Marcinka. W Komendzie Głównej przyjął nas generał Beim. Zapewnił, że rozumie, jaka jest sytuacja itp. Mówimy:

– Generale, ogłosiliście ten stan ósmego o 8.00 rano. Część ludzi, chcąc tu dojechać wcześniej i nawiązać kontakt, już była w pociągach, bo np. z Jeleniej Góry jechało się 14 godzin.

On niby się zgodził z porucznikiem Marcinkiem (z którym się znali), zawarli oficerską umowę, że my odwołujemy ten zjazd jako formalny, ale osoby, które tam przybędą nie będą pociągane do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Został podpisany stosowny dokument o odwołaniu zjazdu w tym terminie. Wtedy właśnie sekretariat nie mógł się pogodzić, że jestem starszym szeregowym, bo na dokumencie widnieje jako sierżant. Stało się to później przedmiotem domysłów i manipulacji, że mnie awansowali od razu o 5 stopni itp. Ale ja nie byłem sierżantem...

Wróciliśmy nieco zdesperowani, podjęliśmy decyzję, że nie prowadzimy dalszych rozmów, rejestrujemy związki. Mieliśmy przygotowany statut. Okazało się, że nie mamy dostatecznej liczby ludzi do zebrania podpisów, to znaczy zebranych podpisów spośród członków władz związku. Część nie dojechała. W 48 godzin objechaliśmy fiatem całą Polskę wzdłuż i wszerz, zebraliśmy podpisy, złożyliśmy statut i udaliśmy się do swoich własnych jednostek. W międzyczasie składaliśmy protesty do profesora Szczepańskiego, do Sejmu, podejmowaliśmy różne próby wywierania nacisku. Niektórzy proponowali, żeby się zwrócić do Solidarności, ale z badań sondażowych wynikało, że ta współpraca, która jest, czyli Huta im. Lenina na poziomie KRH (Komisja Robotnicza Hutników), na tym etapie jest absolutnie wystarczająca i o żadnych kontaktach wyżej nie może być mowy.

Wróciliśmy do swoich jednostek. Podjęto decyzję o akcji protestacyjnej przeciwko brakowi zgody na rejestrację związków, w postaci założenia opasek. Ta

akcja się odbyła i to też pozwoliło policzyć, ilu te opaski założyło. Okazało się, że mniej więcej połowa, więc poczuli się bezpieczniejsi.

W pewnym momencie ktoś podjął decyzję o zwolnieniach, dla dobra służby (nie dyscyplinarnie). Był taki artykuł, który dawał prawo ministrowi bez uzasadnienia zwolnić najbardziej aktywnych działaczy na rzecz związku, dla dobra służby.

Ja również zostałem „uhonorowany”. Naczelnik wysłał mnie na jakieś oględziny powieszonego w zakładzie karnym na Montelupich. Kiedy pojechałem na miejsce, okazało się, że nie ma żadnego powieszonego, gdyż od razu go odratowali. Takie rzeczy się zdarzały. Zaczęło się siedzenie, gadanie, spisywanie dokumentów. Przyjechał po mnie zastępca komendanta. Zrobiło się już ciemno. Wieczorem około godziny 22.00 ja i pięciu innych działaczy związkowych spotkaliśmy się przed drzwiami gabinetu komendanta wojewódzkiego. Okazało się, że przyjechała delegacja rządowa z ministrem Pożogą, generałem Bonifacym Jedynakiem (ten, który dwadzieścia parę lat wcześniej osławił się przywleczeniem do Wrocławia czarnej ospy) i przedstawicielami kadr. Po kolei zaczęli nas wzywać po dwóch na rozmowy, żądając złożenia deklaracji. Sam Bonifacy Jedynak z Departamentu Kadr z nami rozmawiał. Bo zazwyczaj ze mną rozmawiał zastępca naczelnika dzielnicy, bo Komendanta Wojewódzkiego człowiek widywał teoretycznie. Kiedy wszedłem z kolegą, była już 24.00 w nocy. Byłem już bardzo zmęczony. Zdawałem sobie sprawę, jak się to skończy. Tymczasem ten skurwiel wziął statut i zaczął dyskutować z Jedynakiem o słuszności bądź niesłuszności poszczególnych punktów zapisu. Doszli nawet do części socjalnej w sprawie kolonii, mieszkań itp. Zeszło prawie 2 godziny. Wyprosil nas. Za chwilę wyszedł Komendant Wojewódzki i wygłosił formułkę:

– Proszę oddać legitymacje, z dniem dzisiejszym jesteście zwolnieni na podstawie art...

Zwolnili nas sześciu. Była już 2.00 w nocy. Pojechaliśmy do mnie, do hotelu obalić jakąś flaszkę. Ktoś poszedł na melinę (nie będę ukrywać, że wiedzieliśmy, gdzie te meliny były) i za chwilę dołączył siódmy.

Natychmiast po zwolnieniu ukazał się szyfrogram wysłany do wszystkich, że „zostali zwolnieni działacze i komitet został rozwiązany”, na co pomocnik

oficera dyżurnego w Nowej Hucie usiadł i wysłał do wszystkich telegram: „W związku ze zwolnieniem tych sześciu, ja, plutonowy Leszek Posyniak przejmuję obowiązki Komitetu”. Nie upłynęło 20 minut, jak podjechał pod niego radiowóz. Długo nie rozmawiali. O godzinie 3.15 dołączył do naszej grupy.

Zostaliśmy wydaleny ze służby, ale uważaliśmy, że dalej mamy obowiązek działać na rzecz utworzenia związku, bo nikt nam mandatu nie odebrał.

Znalazłem się w sytuacji dyskomfortowej. Okazało się bowiem, że w komitecie dzielnicowym partii zaczęli mieć wyrzuty sumienia. Ja byłem bezpartyjny. Byłem ich delegatem, oni mnie wytypowali, abym utworzył związki, a potem mnie wywalili. Komitet dzielnicowy partii w jednostce Śródmieście podjął uchwałę o złożeniu legitymacji partyjnych, jeżeli nie zostaną przywrócony do służby. Zrobił się poważny problem polityczny. Ponieważ byłem jedynym delegatem z tej jednostki, a inni byli z innych jednostek, więc oni nie stanęli w obronie innych, tylko mnie. Zadzwoił do mnie naczelnik kadr. Zapytałem go, jakie będą konsekwencje dla tych ludzi, jeśli złożę legitymację. Odpowiedział, że decyzja jest już podjęta. Pokazał mi rozkaz rozwiązania jednostki. Zapytałem, co to oznacza. Odpowiedział, że każdy funkcjonariusz rozwiązanej jednostki musi podjąć przydział w jednostce, do której zostanie skierowany, albo zostaje zwolniony ze służby. Mechanizm miał być prosty. Szczecin, Przemysł itp. Poszedłem na to otwarte zebranie partyjne, tym razem otwarte dla mnie. Bardzo podziękowałem za tę postawę, ale poprosiłem, aby odstąpili od tej uchwały, co też zrobili. Sprawa się zamknęła. Trudno mi powiedzieć, czy zrobiłem dobrze. Trup by się nie posypał, tylko byłby skandal. Dlatego może należało zrobić inaczej.

Potem podejmowaliśmy kolejne czynności, ale było już coraz trudniej. Brakowało środków finansowych. Te były składkowe. Byliśmy zwolnieni, trzeba się było zakręcić za robotą. Dostaliśmy odprawę, która starczyła na jakiś czas.

Dalej działaliśmy na rzecz utworzenia związków, spotykaliśmy się. Kraków został oklejony plakatem „Milicja ze społeczeństwem”. Wydrukowało nam to KRH. Oplakatowaliśmy to radiowozami, bo milicjanci dalej utrzymywali z nami kontakt i nam pomagali. Później były akcje w Warszawie.

Dosyć głośna była okupacja Hali Gwardii z udziałem Zarządu Regionu, gdzie jeszcze ci zwolnieni oraz część jeszcze nie wyłapani i nie zwolniona

z przyczyn formalnych, tak jak nie mogli zwolnić tego członka egzekutywy, tj. Komisji Rewizyjnej Komitetu Wojewódzkiego. Oni wtedy dobrowolnie wyszli z tej Hali, ale już był skandal, bo przyszły media, milicjanci byli w mundurach, a część cywili była otoczona przez dwie kompanie ZOMO. To się rzucało w oczy.

Nawiązaliśmy kontakty z Zarządem Regionu, do czego wydelegowany został Stefan Jurczak. A Stefciu, jak to Stefciu i tak, i nie. Szkaradek załatwił nam wizytę u Lecha Wałęsy. Nakombinowaliśmy się, trzech z Krakowa, jeden z Nowego Sącza. Nie urwiemy się pociągiem, ani samochodem, bo byliśmy obserwowani, zostało najprostsze rozwiązanie: samolot. Mieliśmy jeszcze układy na lotnisku. Powsadzali nas w samoloty. Leciałem do Poznania, w Poznaniu przesiadłem się do Gdańska. Zasłaliśmy do Lecha. Spotkanie było w cztery oczy. Miał być Lechu, Celiński i nas czterech. Szkaradka nie było. Próbowaliśmy przedstawić sytuację, a Lechu zaczyna od tego:

– Składki płacicie?

Rozumiem go, prawdopodobnie była to 17. delegacja, którą przyjmował. Celiński wyglądał na przytomnego, ale on też potem powiedział:

– Nie za bardzo możemy wam po cichu pomóc.

Zadzwoiłem w jakiejś sprawie do kolegi do Warszawy, a ten do mnie:

– Głupi, po coś ty do tego Gdańska pojechał?

Tak nasza tajemnica się utrzymała, że po 30 minutach już wszystko wiedział średniej rangi funkcjonariusz. Czy zawiodła technika, która była na miejscu, czy cokolwiek innego, trudno powiedzieć. Wróciliśmy spokojnie pociągiem.

Potem były apele do Sejmu, spotkania, ale już zaczęło pachnieć stanem wojennym. Już była akcja „Pierścień I”, „Pierścień II” – w zasadzie ćwiczenia, czyli zatrzymywanie w przypadku zagrożenia społecznego niebezpiecznych kryminalistów, ale to już była operacja dokonywana na 30 tys. policjantów i 5-6 tys. osób do zatrzymania. Zaczęło się to rzucać w oczy. Próbowaliśmy przekazywać te informacje bezpośrednio przyjaciółom z Solidarności. Ostatni raz 4 grudnia 1981 roku w kopalni Rozbark nasz przewodniczący oficjalnie zaproszony przez prymasa Glempa rozmawiał z nim. Rozmawialiśmy z tą częścią wierchuszki Solidarności, która przyjechała wtedy z Radomia, co się skończyło, jak to u górników bywa, wielkim piciem i jedzeniem kaszanki.

Nie wspomniałem, że wcześniej nasz wniosek trafił do sądu. Sławny sędzia Kościelniak jeszcze przed stanem wojennym zawiesił postępowanie. Nie mogli nam odmówić tej rejestracji, bo mieliśmy mandat – to zwrócił się do ministerstwa pracy o ustalenie, czy funkcjonariusz to jest pracownik. Pod tym pretekstem było zawieszenie i pod tym pretekstem była cała nasza działalność.

* * *

Między 4 a 13 grudnia i poza Krakowem nie miałem już żadnych kontaktów ogólnopolskich. 12 grudnia 1981 roku pojechałem do mamy do Kielc, bo były imieniny Otylii. Zaczął padać śnieg i szły pociągi z wojskiem. Rano na imieninach okazało się, że jest stan wojenny. Szybko się spakowałem i wróciłem do Krakowa. Na dworcu spotkał mnie kumpel z Komisariatu Kolejowego i mówi:

- Krzysiek, ale uważaj, bo byli po ciebie.
- Gdzie byli? – pytam.

Musiało to być przygotowane wcześniej, bo do momentu zwolnienia mieszkałem w hotelu milicyjnym w pokoju 2-osobowym nad komendą. 13 grudnia wjechali do tego pokoju, gdzie mieszkał dzielnicowy w Huty z ciężarna żoną, bo ja już tam nie mieszkalem od 6 miesięcy. Być może to była inercja w celu ukrycia danych.

Wróciłem do domu. Dnia 16 grudnia dzwonek do drzwi. Otwieram, a tu moja mama, prawie się osuwa z pytaniem:

- To ty jesteś?
- No, jestem, a co się stało?
- To ja musiałam brać zaświadczenie z pracy na wyjazd!

Rodzice mieszkali w domu jednorodzinnym. W nocy z 14 na 15 ojciec był w pracy, bo chyba Iskra Kielce wtedy nie strajkowała, a siostra z matką „zostały dojechane” około godziny 24.00. Obstawili drzwi, okna:

- Gdzie syn?
- No to szukajcie. Nie ma, przecież pojechał do Krakowa.

Uspokoili się, a przerażona mama przyjechała. Tam były trzy kolejne ulice: Mieszka, Bolesława Chrobrego i Działkowa z jednakowymi domami. Okazało

się, że oni przyjechali później niż o 22.00, bo wcześniej wjechali na ulicę do takiego samego domu. Tamta kobieta miała trzech synów. Zanim się wyjaśniło, że to nie ich szukali, upłynęło trochę czasu. Takie rzeczy się działy.

Po wizycie mamy już faktycznie się zmydliłem do początku lutego 1982 roku, ponieważ miałem do odebrania wynagrodzenie w kasie, a wezwanie przyszło do komendy do wydziału administrującego budynkami mieszkalnymi, tylko że pieczętka miała inny numer. Numer pieczętki był kadrowy, a wezwanie było do działu gospodarki materiałowo-technicznej. Wziąłem tę resztę pieniędzy z kasy i 4 września wstawiłem się na wezwanie. Okazało się, że byłem tylko ja i jeden kolega. Wszyscy pozostali zostali zatrzymani. Jeden Genek Koł został internowany, reszta po podpisaniu tego oświadczenia, że nie będą działać na rzecz... została wypuszczona.

Po odwołaniu poprzedniego Komendanta Wojewódzkiego był już nowy – Trybiński z Poznania. Kazał mi usiąść, sam miał zdjętego buta i trzymał nogę w kolorowej skarpetce na krześle. To był stary ubek słynący z takich głupich, niekonwencjonalnych działań. Kiedy został Komendantem Wojewódzkim, pierwszą rzeczą, jaką zarządził to zauważył, że mnóstwo ludzi przychodzi do komendy, szczególnie do Wydziału Ruchu Drogowego i Dochodzeniowo-Śledczego. Zawezwał zastępców, pytając, co to za ludzie kręcą się po komendzie.

- Świadkowie.
- Nie, kochani. Ze świadkami spotykamy się na mieście.

Żaden zastępca nie śmiał mu powiedzieć, że taka jest procedura. Facet był tego poziomu aczkolwiek zasłużony. Ta noga na krześle okazała się potem nie tyle znakiem lekceważenia, ale był to początek Buergera. Ja o tym nie wiedziałem, ale to spowodowało, że atmosfera nie była sztywna. Podał mi wydrukowaną lojalkę do podpisania. Odpowiedziałem na to:

– Panie komendancie pułkowniku, pan mnie obraża! Ja jestem prawnikiem z wykształcenia, wiem, że prawo trzeba przestrzegać, znam przepisy i je przestrzegam. Gdybym ja to podpisał, to daję panu dowód na to, że ja nie przestrzegam przepisów.

No to wezwał Naczelnika Kadr i do mnie:

- Zostaniecie internowani.
- Z jakiego tytułu?

- Bo się ukrywaliście.
- Ale co pan opowiada? Przecież pierwszego byłem w kasie, brałem pieniądze! Naczelnik Kadr polecił, przyniósł listę:
- Rzeczywiście, był!
- Zostało to skomentowane w ten sposób, że Naczelnik Kadr powiedział:
- No wie pan oni go tak szukali, to on się ukrywał.

Myślę, że odpuścili mi dlatego, że to, czego potrzebowali, to już mieli. Być może nie chcieli wywoływać, być może mieli jakieś inne plany. Byłem zatrzymany jeszcze 3-4 razy przy okolicznościach 30 kwietnia, 28 sierpnia i tylko raz złożono mi propozycję współpracy. To zresztą z mojej własnej winy, bo dałem wtedy dupy, ale ponieważ zdecydowanie odmówiłem, więcej mi tych propozycji nie składali.

Po latach okazało się, że nas, czynnych dalej w stanie wojennym z siedmiu zostało trzech. Dwóch, czyli Kocha i Zborowskiego zdążyli uagenturnić. Mieć organizację składającą się z trzech agentów, to lekka przesada. Eugeniusz Koch, późniejszy TW „Biały” w tej grupie był przewodniczącym naszego związku. Myśmy go wybrali jako sierżanta z ludu, a on potrafił bardzo łatwo opętywać ludzi. Ja ograniczyłem z nim kontakty, bo nie wierzę w cuda.

A wyglądało to w ten sposób, że jest manifestacja, jesteśmy na manifestacji, kordon ZOMO, Geniu mówi:

- Idziemy tędy.

Idziemy, a oni lecą za nami. Mur, ale jest drabina. Przechodzimy po drabinie przez ten mur. Nie może być za dużo takiego ciągłego szczęścia.

Idę do pracy, spotykam dzielnicowego, który mówi:

- Uważaj, Genek przed chwilą zgarnął już 5000 egzemplarzy „Montinowca”.

On to wszystko robił ostentacyjnie, oficjalnie i bezkarnie. Nie wydawało mi się to możliwe i prawdopodobne. On potrafił oszukać nawet najbliższą osobę, nawet kobietę.

Skutek naszej działalności był taki, że 13 grudnia trzy osoby z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Głównej Wojewódzkiej, w tym dwóch moich kolegów z roku, oficerów, odmówiło wykonania poleceń. Trzecia osoba była trochę starsza, też prawniczka (Baśka Wilczak), którą zwolnili dyscyplinarnie, bo gdy się zwalniało sierżanta, nie trzeba było powiadamiać ministra.

Oni byli oficerami i trzeba było powiadomić ministra, że miał miejsce taki fakt. Jeden z nich był ułożony partyjnie, bo ojciec był wpływowym działaczem partyjnym w Hucie, więc on poszedł do psychiatry i po roku został zwolniony z uwagi na stan zdrowia. Drugiego przekonali, żeby się wycofał, z tym że przenieśli go na komisariat i tam go dopiero zwolnili pod jakimś pretekstem, ale umowę z nim mieli taką, że po 3 latach przyjęli go z powrotem do służby. Jak wróciłem, on był już z powrotem.

Większych protestów ze strony milicjantów biorących udział w stanie wojennym niewątpliwie nie było. Na pewno część tych kolegów, którzy byli aktywnymi działaczami związku protestowała, potem jakby próbowała się wykazać wobec kierownictwa. Część była bierna, współpracowała z nami, ale w sposób niesłychanie ostrożny. Może to i lepiej.

Posiadam dokument, na którym widnieje mój podpis i podpis Kiszczaka, Nic mi ta znajomość nie pomogła. Myślę też, że nie zaszkodziła, bo to jednak była osobista znajomość. Myślę, że po wielokroć nie dochodziło do pewnych brutalności z tego względu.

Miałem kiedyś taką sytuację przy zatrzymaniu, że jeden uderzył mnie w twarz. Na komendach były popielniczki na dziesiątkach, tj. na grubym, że-browanym drucie. Złapałem jedną i mówię:

- Zaraz ci zapierdolę. Wiem, że wy mnie zatłuczecie, ale nikt wam nie pomoże, jak będziecie kalekami, pójdziecie na rentę. Renta ci się zdewaluuje i będziesz dziadem.

No i się uspokoił. Tak podejrzewam, że nie doszło do pewnych brutalności działań.

Ciekawą sytuację mieli ci z Pomorza Zachodniego, bo w trakcie internowania zostali pobici łącznie z połamaniem żeber, rąk. To była głośna sprawa. Kiedy wróciłem do służby, oczywiście sprawę umorzono. Pierwszą rzecz, jaką zrobiłem, to ściągnąłem postanowienie o umorzeniu. To było przepiękne, bo prokurator to umorzył z takim uzasadnieniem, że co prawda doszło do naruszenia – tu wymienione zostały wszystkie części ciała, które są ściągane z urzędu powyżej 7 dni (były połamane żebra, złamany obojczyk, jednemu prawie wypłynęło oko) – ale było to wynikiem „różnicy zdań” na tematy polityczne, jaka występowała między funkcjonariuszami straży więziennej a byłymi

zwolnionymi funkcjonariuszami. Czegoś takiego nie widziałem nigdy w życiu! Proces został wznowiony, ale skończył się na niczym, bo zastosowano przedawnienie, ktoś zmarł itd.

Po tych internowaniach praca zamarła. Mieliśmy osobiste kontakty z ludźmi podziemia, gdzie interweniowaliśmy. Kiedy wyszli z internatu, zaczęło się wydawnictwo, ale to już nie było nasze wydawnictwo, my tylko dostarczaliśmy artykuły.

Jeszcze spotykaliśmy się w czynnych ośrodkach: Warszawa, Katowice, Śląsk, Kraków.

Szczecin nie spotykał się z nami, był osobno. Tam zdarzyła się inna historia związana ze stanem wojennym. Tam, przed ogłoszeniem stanu wojennego nawiązali kontakt i rozpoczęli głodówkę protestacyjną przeciwko odmowie rejestracji związku. W trakcie tej głodówki w stoczni Warszawskiego, w której brali udział ludzie z Lublina, Katowic i z Pomorza, wzięli udział w zjeździe Solidarności. Zachowały się przemówienia naszych związkowców, bardzo przychylnie przyjęte. Już Solidarność zaczęła z nami rozmawiać, zaczęła nas akceptować i zauważała, że warto współpracować. Wrócili do stoczni i w trakcie głodówki zastał ich stan wojenny. Pierwsza propozycja była taka, że przerzucą ich na szwedzkie trawlerzy itp., ale to nie przeszło. Wkracza ZOMO do stoczni i kolega porucznik Julian Sekuła w momencie, gdy szli zomowcy (jeszcze Milczanowski się nim opiekował), wyszedł i stanął naprzeciwko tego kordonu, który siedł na stocznicy, mówiąc:

– Ja jestem zwolniony funkcjonariusz MO, por. Julian Sekuła, wasz kolegą. Jak możecie, jak będziecie...

Kordon się zatrzymał. To się cofnęło. Potem były rozmowy. Skończyło się też dziwnie, bo po zakończeniu strajku w stoczni ich wszystkich wypuszczono. Żaden nie został zatrzymany. Wrócili do miejsc zamieszkania i dopiero tam ich wyłapali i część trafiła do internatu.

Nasza działalność związkowa wygasła około 1985 roku z powodu wyjazdu części osób internowanych za granicę. Większość z nich wyjechała do Szwecji, Kanady, Niemiec. My *de facto* utraciliśmy kontakt z tymi ostatnimi milicjantami, z którymi jeszcze mieliśmy kontakty. Byliśmy bardzo ostrożni, bo za kontakty z nami zwalniali czy prowadzili dyscyplinarki. Przestaliśmy rozwozić

gazetki „Godność”, pisać artykuły, bo tak naprawdę to na tym to już tylko polegało. Ci, co pozostali, prowadzili osobiste kontakty z podziemiem i mieli różny w tym udział. Były organizacje, do których nie wstąpiłem, np. w Krakowie była taka organizacja, gdzie trzeba było złożyć ślubowanie w nocy i przypieczętować własną krwią z serdecznego palca.

* * *

Przywrócono nas do służby. Każdy musiał złożyć wniosek indywidualny. Po roku rządów Mazowieckiego zmieniono ogólnie obowiązującą ustawę, która nas wykluczała, co dało nam prawo powrotu do służby. Wróciłem do służby jako starszy szeregowy (nie jako sierżant) i skończyłem w stopniu młodszego aspiranta. W stosunku do mojej osoby zastosowali bardzo prostą blokadę. Ja byłem z wykształcenia prawnikiem, pozostali mieli wykształcenie średnie i mimo że niektórzy byli po zawałach, zostali przyjęci bezwarunkowo. Mnie natomiast przyjęto do służby z ograniczeniami. Wyłączało mnie to z możliwości pójścia na służbę oficerską. Ale nie przeszkodziło – a służyłem jeszcze 18 lat – być przez 9 lat kierownikiem Wydziału Zabójstw i Napadów. Tę funkcję mogłem pełnić, ale już szkoły oficerskiej nie mogłem skończyć. Prowadziło to do patologii, bo wśród podwładnych miałem 2 majorów, 5 kapitanów na 16 osób. Odszedłem na emeryturę w 2009 roku.

KS. DR STANISŁAW TYLUS SAC

PALLOTYNI WOBEC STANU WOJENNEGO

Wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku w Polsce stanu wojennego ograniczyło w sposób poważny swobody obywatelskie, a co za tym idzie także Kościoła, w tym Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (pallotyńów). Wówczas poddano kontroli połączenia telefoniczne, wprowadzono cenzurę listów, zablokowano międzynarodowe połączenia transportowe, zmilitaryzowano radio i telewizję, wprowadzono godzinę policyjną.

W kronice pallotyńskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Ołtarzewie kronikarz pod 13 grudnia 1981 roku zanotował: „Od północy trwa w Polsce stan wojenny, ogłoszony przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, na czele której stanął gen. armii W. Jaruzelski. W Seminarium rozpoczęła się nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu w intencji Ojczyzny”¹. W klerycznym piśmie „Nasz Prąd” zapisano wtedy: „Wczesnym rankiem na terytorium całej Polski został ogłoszony stan wojenny. Przy użyciu siły zostały pogwałcone podstawowe prawa człowieka. W odpowiedzi na tę sytuację wspólnota seminarystyczna podjęła w kaplicy Krzyża nieustanną adorację Najświętszego Sakramentu, która rozpoczęła się wieczorem tegoż dnia i trwała do wieczora 22 XII. Do czuwań adoracyjnych dołączyła wspólnota siostr”².

Papież Jan Paweł II podczas modlitwy Anioł Pański powiedział wtedy: „Wydarzenia ostatnich godzin przemawiają za tym, abym raz jeszcze zwrócił się do wszystkich w sprawach naszej wspólnej Ojczyzny z prośbą o modlitwę. Przypominam to, co powiedziałem we wrześniu: Nie może być przelewana

polska krew, bo zbyt wiele jej wylano, zwłaszcza czasu ostatniej wojny. Trzeba uczynić wszystko, aby w pokoju budować przyszłość Ojczyzny. W obliczu zbliżającego się 600-lecia Jasnej Góry, polecam Polskę i wszystkich Polaków Tej, która dana jest Narodowi ku obronie”.

Dla Rady Prowincjalnej Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (dalej: SAC), obok innych utrudnień, pojawił się problem kontaktów z Zarządem Generalnym w Rzymie, a w licznych wypadkach było to konieczne ze względów prawnych. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom Rady Prowincjalnej Polskiej Prowincji Chrystusa Króla, Rada Generalna SAC na sesji z 11 stycznia 1982 roku udzieliła nadzwyczajnych uprawnień Polskiej Prowincji na czas stanu wojennego, o czym poinformował Radę Prowincjalną ks. prowincjał Henryk Kietliński SAC na zebraniu z 6 lutego 1982 roku³.

Wielu pallotyńów było zaangażowanych w Ruchu „Solidarność”. Spośród nich wymienię tu najbardziej oddanych tej sprawie. Ks. Eugeniusz Dutkiewicz SAC (†2002), rektor domu pallotyńskiego przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie, był zaangażowany w sprawy „Solidarności”, działając pod pseudonimem „Chudy” w Gdańsku. W okresie stanu wojennego udzielał pomocy i schronienia prześladowanym i internowanym działaczom związkowym i ich rodzinom. Pallotyński dom przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie w Gdańsku był miejscem spotkań opozycji, centrum wydarzeń kulturalnych i spotkań modlitewnych. To dzięki jego zaangażowaniu powstał tam ośrodek telewizji niezależnej, który działał jako Video Studio Gdańsk⁴. W tym środowisku działał ks. Eugeniusz Klimiński SAC (†2012), który po 13 grudnia 1981 roku zaangażował się w pomoc dla aresztowanych (prawną, medyczną i żywnościową), ukrywanie poszukiwanych działaczy „Solidarności” oraz przewóz z zagranicy sprzętu do reprodukcji taśm wideo⁵.

Warto tu przypomnieć postać ks. Jerzego Błaszczaka SAC (†2021), który w Gdańsku, w domu przy ul. Elżbietańskiej 1, ukrywał członków „Solidarności”. Wśród wielu jego inicjatyw należy podkreślić aktywną działalność

¹ *Kronika domu w Ołtarzewie*, 13 grudnia 1981.

² *Kronika grudnia 1981*, „Nasz Prąd”, nr 12 z 1981, s. 4.

³ J. Dyl, *Pallotyńi w Polsce 1947–1993*, Ząbki 1993, wydanie studyjne, passim.

⁴ S. Tylus, *Leksykon polskich pallotyńów 1915–2012*, Ząbki 2013, s. 161.

⁵ S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. E. Klimińskiego, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

duszpasterską i społeczną na rzecz robotników w sierpniu 1980 roku i w czasie stanu wojennego 1981 roku, kiedy świadczył o prawdzie swoją chrześcijańską postawą, m.in. rozmawiając z członkami oddziałów ZOMO i Milicji Obywatelskiej starał się poruszyć ich sumienia, tłumacząc im postawę społeczeństwa. Wygłosił wtedy mocno komentowane w gdańskim środowisku kazanie: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. W 1981 roku ks. Jerzy został mianowany pierwszym redaktorem (przewodniczącym redakcji) Mszy św. „dla tych, co na morzu” (Msza radiowa dla Ludzi Morza), transmitowanej bezpośrednio z kościoła św. Elżbiety przez Polskie Radio. Trud dwukrotnego w ciągu jednej doby prowadzenia Mszy dla marynarzy i rybaków podjął przy współpracy z ks. Stefanem Potońcem SAC. Msza objęła swym zasięgiem ogromną liczbę Polaków poza granicami, szczególnie w ZSRR, dając im możliwość uczestnictwa we Mszy i kontakt z polskim językiem i kulturą ojczystą. To wydarzenie zrodziło kolejne inicjatywy: tj. duszpasterstwo poprzez liczną korespondencję z uczestnikami radiowych Mszy św. na świecie, dla funkcjonowania której ks. Jerzy powołał zespół osób, oraz ideę modlitewnego czuwania, podjętego w gdańskim kościele przez gromadzące się tu wspólnoty (w soboty od godz. 21.00 do 24.00). Ks. Jerzy Romanowicz SAC ze wspólnoty przy ul. Elżbietańskiej w Gdańsku spowiadał ludzi gromadzących się na Mszach za Ojczyznę w kościele św. Brygidy⁶. Ze środowiskiem gdańskim związany był też ks. Jan Papkała (†2009), aktywnie współpracujący z ruchem „Solidarność”.

Inną istotną postacią pallotyńską jest ks. Feliks Folejewski SAC (†2015), zasłużony kapłan w duszpasterstwie „Solidarności”. Przebywał on wtedy w domach sióstr urszulanek, spełniając równocześnie obowiązki kapelana sióstr, najpierw od 1980 roku w Nałęczowie (urszulanki Unii Rzymskiej), a następnie od 1 września 1982 roku w Milanówku (urszulanki szare). W czasie stanu wojennego jego homilie stały się dramatycznym głosem w obronie wolności człowieka zdeptanego przez system totalitarny⁷. W okresie stanu wojennego i po

jego odwołaniu kolportował wydawnictwa podziemne, a w latach 1982–1989 współorganizował patriotyczne uroczystości. Pełnił obowiązki duszpasterza akademickiego w kościele św. Anny.

Ks. Mirosław Drozdek SAC (†2007) był kapłanem i przewodnikiem „Solidarności Podhala”, szczególnie służby zdrowia i nauczycieli. W 1995 roku otrzymał odznakę Zasłużonego Działacza Kultury za działalność kulturalną w stanie wojennym oraz medal za zasługi dla „Solidarności” Regionu Małopolska z okazji 20. rocznicy powstania NSZZ „Solidarność”. Dzieło ks. Drozdka kontynuował ks. Franciszek Mąkinia SAC (†2014). W pallotyńskim domu na Krzeptówkach w Zakopanem organizował szkolenia członków „Solidarności”, dni skupienia, konferencje, wykłady z nauki społecznej Kościoła oraz rekolekcje⁸.

Ks. Stanisław Janik SAC (†2010), jeszcze przed wstąpieniem do pallotyńów (we wrześniu 1982), włączył się do ruchu Solidarności i był inicjatorem powstania lokalnych oddziałów NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych i NSZZ „Solidarność Nauczycielska”. Przez swą aktywną działalność naraził się władzom PRL i musiał wycofać się z czynnej działalności, poświęcając się wyłącznie pracy edukacyjnej w szkole⁹.

Należałoby tu wspomnieć ks. Jerzego Kopcia SAC (†2016) z domu ołtarzewskiego, który w czasie stanu wojennego zaopatrywał drukarnie w papier, co wiązało się z wielkim ryzykiem kontroli¹⁰, a także ks. Floriana Kniotka SAC (†2012), wspierającego opozycję solidarnościową w Poznaniu¹¹ oraz ks. Wendelina Rysia (†2015), działającego na terenie Częstochowy w okresie komunistycznego zniewolenia i agresywnego ataku na Kościół w czasie stanu wojennego jak i w czasach transformacji ustrojowej Polski¹².

Wydarzenia stanu wojennego w Polsce stały się motywem do organizowania przez pallotyńską Regię Miłosierdzia Bożego wielkiej pomocy materialnej

⁶ S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. J. Błaszczyka, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

⁷ Maria Przybyłko, *Dramatyczny głos w obronie wolności*, w: „Na nitce Bożego Miłosierdzia. Ksiądz Feliks Folejewski SAC w oczach przyjaciół”, zebrali i opracowali Piotr Kordyasz, Grzegorz Polak, Ząbki 2016, s. 418.

⁸ S. Tylus, *Leksykon*, s. 151.

⁹ Tamże, s. 231.

¹⁰ S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. J. Kopcia, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

¹¹ Tamże, *Leksykon*, s. 272.

¹² S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. W.M. Rysia, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

dla uciemnionego narodu. W geście solidarności powstał Comité d'aide pour la Pologne, zorganizowany przez ks. Tadeusza Tomasińskiego SAC (†2022). Na prośbę abpa Bronisława Dąbrowskiego wysłał on do Ożarowa Mazowieckiego tir z żywnością i pokarmem dla niemowląt. Wysłał też do Polski wiele innych tirów z żywnością. Za te działania został uhonorowany później przyznaniem mu m.in. Krzyża Armii Krajowej i Orderu Odrodzenia Polski¹³.

Na rzecz pomocy dla działaczy Solidarności włączali się też pallotyńscy nowicjusze w Ząbkowicach Śląskich i klerycy w Seminarium w Ołtarzewie. Na terenie Seminarium, w rocznice upamiętnienia smutnej daty wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, alumni przygotowywali artystyczny program, np. w trzecią rocznicę (1984) seminarzyści przygotowali program pt. „Pokój Tobie Polsko”. W programie obok słów papieża Jana Pawła II wykorzystano utwory J. Słowackiego, C.K. Norwida, Z. Krasńskiego i P. Adamowicza¹⁴.

Najbardziej zasłużonym pallotyńcem, który położył istotne zasługi na rzecz Solidarności był niewątpliwie ks. Alojzy Orszulik SAC (wykładowca Seminarium w Ołtarzewie, kierownik Biura Prasowego Episkopatu Polski 1968–93, biskup pomocniczy diecezji siedleckiej 1989–92, zastępca sekretarza Episkopatu Polski 1989–94, biskup diecezji łowickiej w latach 1992–2004, a następnie biskup senior diecezji łowickiej, †2016). Ks. A. Orszulik w okresie stanu wojennego był reprezentantem Kościoła do utrzymywania kontaktów z internowanym Lechem Wałęsą, przewodniczącym NSZZ Solidarność oraz negocjatorem w dialogu pomiędzy władzą państwową a „Solidarnością”. W momencie wprowadzenia stanu wojennego był jednym z najbliższych współpracowników ówczesnego sekretarza generalnego Episkopatu Polski abpa Bronisława Dąbrowskiego.

Już po 20 latach jako biskup łowicki udzielił on wywiadu „Stan wojenny nie bronił niepodległości Polski, bronił socjalizmu”, którego fragmenty warto tu przypomnieć. Biskup A. Orszulik argumentował w nim swą tezę, że stan

wojenny przedłużył jedynie konanie socjalizmu; nie bronił niepodległości Polski ani naszej suwerenności, bronił natomiast socjalizmu.

Mija 20. rocznica wprowadzenia stanu wojennego, jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Ksiądz Biskup to wydarzenie?

Stan wojenny przedłużył konanie systemu socjalistycznego. W czasie sympozjum w kwietniu 1999 roku na Uniwersytecie w Michigan odbyła się dyskusja na temat 10. rocznicy Okrągłego Stołu. Zaproszono mnie, przedstawicieli ówczesnej opozycji, a ze strony władz PRL: Mieczysława Rakowskiego, Stanisława Cioska i Janusza Reykowskiego. Publicznie oświadczyli oni, że już w momencie wprowadzenia stanu wojennego system się wyczerpał i nie miał możliwości dalszej egzystencji, nie chcieli jednak oddać władzy, bo uważali, że Solidarność nie umie rządzić. Jednoznacznie przyznali, że w momencie wprowadzenia stanu wojennego system władzy był niefunkcjonalny. Stan wojenny w gruncie rzeczy nie bronił ani niepodległości Polski, ani naszej suwerenności, bronił socjalizmu. Oceniając tamte czasy na pewno trzeba brać pod uwagę uwarunkowania. Jednak czy te uwarunkowania były na tyle poważne, że gdyby były dalej prowadzone negocjacje między rządem a Solidarnością doszłoby do inwazji wojsk całego bloku socjalistycznego? Według mnie, to były raczej nie trafne prorocstwa. Nie było też fizycznego zagrożenia dla rządu ze strony ludzi Solidarności. Oni byli groźni tylko w słowach. Nie mieli broni, aparatu przymusu. W jaki sposób mieliby przejąć siłą władzę, obsadzić stanowiska wojewodów, czy stworzyć rząd? Solidarność nie była do tego przygotowana. Owszem, padały ostre słowa, ale tylko słowa. Argumentacja używana dla uzasadnienia stanu wojennego – zagrożenie państwa ze strony Solidarności – była w moim przekonaniu bezzasadna.

Co się stało z pamięcią Polaków – najnowsze sondaże pokazują, że 49% społeczeństwa uważa wprowadzenie stanu wojennego za słuszne...?

Wielu Polaków patrzy na rzeczywistość przez pryzmat kilku lat względnie dobrej sytuacji ekonomicznej w pierwszej połowie lat 70. Były tanie kredyty i dużo na półkach w sklepach. Działo się tak, bo przejadaliśmy zagraniczne kredyty. Oni zapomnieli co się działo po 1976 roku i w okresie stanu wojennego. Nad świadomością społeczeństwa ciążyą też skutki transformacji i koniecznych reform. Ludzie nie mają świadomości, że na obecne trudne warunki

¹³ T. Tomasiński, *Tak było. Wspomnienia księdza Warszawa-Rzym-Paryż*, spisała Teresa Błażejewska, Ząbki 2022.

¹⁴ M. Krzywoń, *Program wokół smutnej daty 13 grudnia*, „Wiadomości Polskiej Prowincji SAC” 1984, nr 12, s. 533–534.

miał wpływ cały okres komunistyczny. To, że jest nam teraz tak ciężko, wynika również z blisko 10-letniego opóźnienia spowodowanego stanem wojennym.

Czy można więc powiedzieć, że gdyby nie stan wojenny mielibyśmy demokrację i wolny rynek w Polsce wcześniej?

Moglibyśmy mieć przemiany powolniejsze, ewolucyjne. Przecież już zaczęło się rozluźnianie gospodarki, pewne symptomy wolnego rynku. Gdyby to szło dalej w tę stronę, być może obecnie mielibyśmy o wiele lepszą sytuację ekonomiczną. System polityczny i tak by się zawalił, bo przecież 10 lat później padł cały blok socjalistyczny. W dziennikach z 11 grudnia br. są dwa teksty poświęcone wprowadzeniu stanu wojennego: Bogdana Borusewicz i wywiad z autorem stanu wojennego. Borusewicz, z którym się zgadzam, udowadnia, że był on obroną systemu komunistycznego i przedłużył tylko trwanie ogromnego kryzysu politycznego i gospodarczego. Natomiast autor stanu wojennego usprawiedliwia jego wprowadzenie niepoważnymi argumentami. Bo jak można traktować poważnie stwierdzenia, że niewiasty czy żołnierze, byli zniecierpliwieni sytuacją w państwie i oczekiwali wprowadzenia ładu. Mówi również, że groziła konfrontacja z Solidarnością. Wspomina nawet, że biskupi wyrazili zaniepokojenie możliwością konfrontacji, powołując się tu na Komunikat ze 181. Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski z 26 listopada 1981 roku Rzeczywście w tym dokumencie, mówiącym o różnych problemach kraju, jest napisane m.in. „przemieszczają się nad krajem ciemne chmury grożące bratobójczą walką i utratą osiągniętych wartości”. Redagowałem tekst tego komunikatu i to zdanie znalazło się tam, ponieważ parę dni wcześniej, podczas posiedzenia Komisji Wspólnej, spytałem się strony rządowej, czy prawdą jest, że funkcjonariuszom partyjnym rozdano broń. Jeden z przedstawicieli rządu powiedział, że w jednym z województw pospieszyli się. Jeśli potwierdziłoby się, że funkcjonariusze partyjni mają broń, to przy istniejących wówczas napięciach łatwo mogli jej użyć, a wtedy mogłoby dojść do bratobójczych walk.

I stąd to zdanie w komunikacie z 26 listopada?

Dokładnie tak. Chodziło nam m.in. o to, że choć ludzie Solidarności nie mieli broni, do walki mogli jedynie używać narzędzi pracy. Tak przecież stało się w kopalni „Wujek”, gdzie robotnicy zginęli od kul ZOMO-wców. Analizując wprowadzenie stanu wojennego wyraźnie widzę, że był on niezwykle

starannie i długo przygotowywany. W tzw. godzinie zero w jednej chwili uruchomiony został aparat przemocy w całej Polsce. Wszystko było doskonale zgrane: gotowe listy proskrypcyjne, które mieli wszyscy komendanci milicji, dosłownie w ciągu jednego dnia zaaresztowano kilka tysięcy osób. Odbywające się bezpośrednio przed 13 grudnia rozmowy Prymasa Glempa z gen. Jaruzelskim, a potem w trójkącie z Lechem Wałęsą, były według mnie tylko parawanem do przygotowania stanu wojennego.

Ze słów Księdza Biskupa wynika, że Kościół nic nie wiedział o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego, że został tak samo zaskoczony jak cały naród?

Nie mieliśmy wiedzy. Ja osobiście miałem wiele kontaktów zarówno z opozycją, jak i ze stroną rządową i nie spodziewaliśmy się, że zostanie wprowadzony tak drastyczny stan wojenny, który ograniczy wszystkie prawa obywatelskie. 12 grudnia wieczorem docierały do sekretariatu Episkopatu, do ówczesnego sekretarza generalnego Episkopatu Polski bp. Bronisława Dąbrowskiego (od czerwca 1982 roku arcybiskupa) wieści, że są aresztowania. Ale przecież wszystko funkcjonowało: radio, telewizja, telefony. Przed północą dzwoniłem do bratanka i poszedłem spokojnie spać. O wpół do szóstej rano do rezydencji Prymasa Polski przyszli przedstawiciele władz i poinformowali Prymasa Glempa o wprowadzeniu stanu wojennego, a od 6 rano w telewizji zaczęto nadawać wystąpienie gen. Jaruzelskiego. Prymas, zgodnie z wcześniejszymi planami, udał się na Jasną Górę, odbył spotkanie z młodzieżą akademicką, a po południu wrócił do Warszawy. W tym czasie w sekretariacie Episkopatu zgromadzili się świeccy doradcy Episkopatu, którzy nie zostali aresztowani, m.in. Andrzej Stelmachowski, Wiesław Chrzanowski, Stanisław Stomma, Jan Olszewski i Andrzej Wielowieyski. Radziliśmy co zrobić. Gdy wrócił Ks. Prymas spotkał się z nami, wysłuchał naszej opinii, a potem poszedł na ambonę w kościele Matki Bożej Łaskawej i wygłosił słynne kazanie. Mówił m.in., że nie wolno przelewać bratniej krwi. – „Kościół broni każdego życia, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko może o spokój, o zaniechanie gwałtu, o zażegnanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości nad życie ludzkie, dlatego sam będę wołał o rozsądek nawet za cenę narażenia się na zniewagi i będę prosił, nawet, gdybym miał iść boso i na kolanach błagać: nie

podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi” – mówił Ks. Prymas. Niestety w trzy dni później ta krew została przelana, ZOMO zostało wysłane do pacyfikacji bezbronných robotników w kopalni Wujek, użyło przemocy, czołgów i broni przeciw robotnikom z narzędziami pracy w rękach.

Dla wielu Polaków te słowa Księdza Prymasa były trudne, spodziewano się raczej wezwania do oporu, walki. Jak Ksiądz Biskup z perspektywy lat ocenia postawę pasterzy Kościoła wobec stanu wojennego?

Musimy pamiętać, że dysponowaliśmy wtedy tylko ograniczoną wiedzą, nikt się nie spodziewał, że dojdzie do takiego dramatu, jakim był stan wojenny. Do ostatniego momentu odbywały się przecież rozmowy z gen. Jaruzelskim i Lechem Wałęsą. Jeszcze 6 grudnia, gdy powstał pomysł, aby sejm uchwalił specjalne uprawnienia dla rządu, Ks. Prymas napisał do marszałka sejmu list z ostrzeżeniem, aby tego nie robiono, bo zwiększy to napięcie w państwie. 13 grudnia był ciosem. Postawa, która przyjął Prymas i Kościół była słuszną. W dwa dni po wprowadzeniu stanu wojennego, 15 grudnia, Rada Główna Episkopatu spotkała się w Gnieźnie i wystosowała komunikat, w którym były dwa ważne sformułowania, wyznaczające zadania Kościoła w czasie stanu wojennego: Kościół i społeczeństwo powinny skupić się na uzyskaniu wolności dla internowanych, a do czasu ich uwolnienia na stworzeniu im ludzkich warunków oraz dążyć do przywrócenia związkom zawodowym, a zwłaszcza Solidarności statutowego działania. „Swobodna działalność przewodniczącego i Prezydium Związku Zawodowego Solidarność broniąca praw ludzi pracy jest nieodzowna, aby w życiu społecznym przywrócić równowagę” – napisali biskupi w komunikacie.

Ten Komunikat nie został jednak podany do publicznej wiadomości, dlaczego?

Gen. Jaruzelski bardzo nalegał, aby tego dokumentu nie publikować, choć został on już rozesłany do diecezji i w niektórych był odczytany. Dwóch generałów przyleciało wówczas do Gniezna helikopterami i przedstawiali Prymasowi Głempowi racje, dla których, według nich, byłoby lepiej, gdyby ten komunikat nie był czytany w kościołach. Prymas został postawiony w bardzo trudnej sytuacji. Biskupi uchwaili komunikat i rozjechali się, a on został sam. W końcu uznał, że dokument nie będzie publikowany. Mimo to i tak był upubliczniony.

Kiedy doszło do pierwszych kontaktów przedstawicieli Kościoła w władzami stanu wojennego?

Jeszcze 13 grudnia abp Dąbrowski i ja poszliśmy do urzędu ds. wyznań i tam przedstawialiśmy swoje racje dotyczące praw narodu i Kościoła. Dekret o stanie wojennym był na okrągło czytany w telewizji, wiedzieliśmy więc, jakie były restrykcje i ograniczenia. Abp Dąbrowski stanowczo przeciwko temu protestował. Po wieczornym kazaniu Ks. Prymasa poszliśmy tam po raz drugi. Abp Dąbrowski znów protestował, szczególnie przeciwko drastycznym ograniczeniom praw Kościoła, które zostały przeniesione z czasów stalinowskich, np. kwestia obsadzania stanowisk biskupów, tworzenia struktur kościelnych itd. Akurat tak się złożyło, że od roku negocjowaliśmy przepisy nowej ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, ustawy, która zresztą po modyfikacjach została przyjęta w 1989 roku. Odwołaliśmy się do tych rozmów i zwróciliśmy uwagę, że od roku rozmawialiśmy o zupełnie innych regulacjach, a teraz mają obowiązywać przepisy stalinowskie. Pomimo całej bezwzględności tych ludzi udało się wynegocjować, że te przepisy zostały złagodzone. Zresztą walczyliśmy nie tylko o prawa Kościoła, ale o prawa całego narodu. Nasi eksperci, m.in. Andrzej Stelmachowski, Jan Olszewski i Wiesław Chrzanowski, w ciągu dwóch dni przeanalizowali prawo stanu wojennego i już 15 grudnia sekretarz Episkopatu wysłał stanowczy list do ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszcza, w którym domagał się cofnięcia drakońskich restrykcji wobec społeczeństwa. Wykazaliśmy m.in., że przepisy stanu wojennego są sprzeczne z konstytucją. Sekretarz Episkopatu nie podejmował dyskusji nad całym dekretem o stanie wojennym, lecz koncentrował się na niektórych sprawach, np. że przepisy o przymusie pracy są zbliżone do regulacji z czasów II wojny światowej, czy że złamane jest prawo do odpoczynku w niedzielę. Protestowaliśmy również przeciwko przepisom o internowaniu czy upoważnieniu do bezpośredniego użycia broni palnej przez dowódców oddziałów i pododdziałów i to nawet do ochrony mienia.

Wspomnieliśmy Ksiądz Biskup, że władza wycofała się z restrykcyjnych ustaw dotyczących Kościoła. Czy nastąpiło do od razu po pierwszej interwencji abp Dąbrowskiego?

W całym cywilizowanym świecie prawo zaczyna obowiązywać, gdy zostaje opublikowane w odpowiednim organie – dzienniku ustaw. Żadnego z przepisów

stanu wojennego nie opublikowano w organie urzędowym. Aresztowania zaczęto już 12 grudnia w nocy, bez zebrania się Rady Państwa wprowadzającej stan wojenny i bez opublikowania prawa stanu wojennego w odpowiednim organie. Aresztowania były więc bezprawne. Przepisy dotyczące Kościoła, które nam udostępniono jako prawo stanu wojennego, znajdowały się na luźnych kartkach. Powiedziano nam jeszcze 13 grudnia, że jeśli drukarnie nie wydrukowały tych przepisów, to zostaną one złagodzone i tak też się stało.

Jak Ksiądz Biskup ocenia postawę władz stanu wojennego wobec Kościoła?

Ówczesne władze nie chciały wojny na dwóch frontach i dlatego były względnie tolerancyjne wobec działań Kościoła. Jeszcze na początku stanu wojennego kontynuowaliśmy rozmowy na temat ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego. Strona rządowa zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

Jak szybko doszło do kontaktu z Ojcem Świętym i jaki był stosunek Jana Pawła II do stanu wojennego i postawy Kościoła wobec tego wydarzenia?

W pierwszych dniach mieliśmy olbrzymie problemy z komunikacją, nie było kontaktu telefonicznego ani radiowego. W związku z tym Ks. Prymas wydelegował abp Dąbrowskiego i ks. Jerzego Dąbrowskiego (od marca 1982 roku biskupa), aby polecili do Rzymu i złożyli bezpośrednią relację Ojcu Świętemu. Pamiętam, że polecili 20 grudnia przez Frankfurt. Ojciec Święty był niezwykle zatroskany o losy Polski, czemu dał wyraz w swych przemówieniach od pierwszych chwil wprowadzenia stanu wojennego, niewątpliwie potwierdził on linię postępowania przyjętą przez władze Kościoła w Polsce – nie wolno dopuścić do przelewu bratniej krwi.

We wspomnianym komunikacie Rady Głównej z 15 grudnia Kościół upomniał się o przewodniczącego Solidarności. Czy w rozmowach z przedstawicielami rządu staraliście się dowiedzieć jaki jest los Lecha Wałęsy?

Lech Wałęsa był symbolem Solidarności. Jeszcze 13 grudnia pytaliśmy przedstawicieli rządu, gdzie jest pan Wałęsa. Najpierw tłumaczono nam, że jest w Gdańsku, potem że został przewieziony do Warszawy. Gdy mówili, że nie jest internowany żądaliśmy spotkania z nim Szarpaliśmy się tak kilka dni, aż wreszcie przysłała decyzja, że możemy we dwóch z abp Dąbrowskim udać się do Wałęsy. Jeden pułkownik zawiózł nas 15 lub 16 grudnia do Chyliczek, gdzie był on więziony. W następnych dniach, w niedzielę 20 grudnia, zezwolono

mnie jako członkowi Komisji Wspólnej, udać się ponownie do miejsca internowania Wałęsy w Otwocku Wielkim. Potem zostałem oddelegowany do odwiedzania pana Wałęsy i czyniłem to jeszcze prawie w każdą niedzielę, jeśli przyjechał po mnie funkcjonariusz z ministerstwa spraw wewnętrznych.

W jakiej kondycji był Wałęsa w czasie tych pierwszych dni?

Gdy byliśmy u niego po raz pierwszy był bardzo oszołomiony całą sytuacją. Twierdzono, że nie chciał przyjąć Rakowskiego na rozmowę. On tłumaczył mi, że nie bardzo wiedział, z kim miał rozmawiać. W czasie kolejnego spotkania Wałęsa napisał list na papierowej serwetce, w którym deklarował, że jest gotowy wraz z Komisją Krajową Solidarności rozmawiać z władzami bez żadnych warunków wstępnych. Ja to przedstawiłem w styczniu na Komisji Wspólnej, ale odrzucono tę propozycję jako nieaktualną. Kościół od pierwszych chwil zabiegał o uwolnienie internowanych i zapewnienie im ludzkich warunków uwięzienia. To niewątpliwie był jeden z priorytetów. Od pierwszych dni wszyscy biskupi domagali się dostępu do internowanych z posługą duszpasterską. Organizowali dla nich i ich rodzin pomoc materialną. Przecież wiele rodzin zostało bez żywiciela. Dla uwięzionych wizyta duchownego była olbrzymią pociechą. Biskupi doznawali nieraz ciężkich upokorzeń, czekali długie godziny na łaskę komendanta czy naczelnika więzienia, aby uzyskać pozwolenie na widzenie z internowanymi. Spotkania odbywały się w grupach, po 20, 30 osób. Były okazją, aby przekazać przez księży wiadomości do rodzin o ich losie. Stan wojenny zastał wielu Polaków za granicą. Nie chcieli oni wracać do Polski, a ich rodziny nie dostawały paszportu na wyjazd do nich. Wtedy zwracali się do sekretariatu Episkopatu o interwencję. Pamiętam, że abp Dąbrowski wraz ze mną, nigdy nie kontaktowaliśmy się z przedstawicielami władz pojedynczo, chodził do gen. Kiszczaka i wstawiał się za tymi ludźmi, często było to skuteczne. Później rozpowszechniły się wyjazdy do Rzymu, zdarzały się sytuacje, gdy wracał tylko kierowca pustym autobusem. Ludzie szukali azylu we Włoszech i innych krajach. Ich rodziny prosiły władze o zgodę na wyjazd w celu scalenia rodziny, a gdy jej nie otrzymywali zwracali się do Episkopatu o pomoc. Abp Dąbrowski często interweniował w sprawie ludzi zwalnianych z pracy, dokumentacja na ten temat znajduje się w książce Petera Rainy pt. „Troska Kościoła o internowanych”.

W czasie stanu wojennego pod skrzydła Kościoła schroniło się wielu Polaków, także niewierzących. Jednak po odzyskaniu wolności duża część z nich zerwała związki z Kościołem, a nawet zaczęła go atakować. Czy czas stanu wojennego nie został zmarnowany pod względem duszpasterskim jako szansa otwierania ludzi na Chrystusa? A może ci ludzie traktowali Kościół instrumentalnie?

My podchodziliśmy do nich z pełnym zaufaniem. Sądziliśmy, że walcząc o te same wartości opieramy się na tych samych zasadach etycznych. Rok 1990 pokazał, że tak nie było. W 1989 roku, kiedy delegacja Solidarności wyjeżdżała z gmachu sekretariatu Episkopatu na spotkanie z rządem w Magdalence. Przechodziliśmy obok kaplicy, wszyscy poszli, uklękli i modlili się, Adam Michnik, Bronisław Geremek i inni. Do głowy nam nie przyszło, że za kilka miesięcy część tych ludzi rozpęta w „Gazecie Wyborczej” wielką kampanię przeciwko wprowadzeniu religii do szkół, opowie się za zabijaniem nienarodzonych, czy będzie kontestować nauczanie Jana Pawła II w 1991 roku. Według mnie, w czasach, gdy byli opozycją, chodzenie do kościoła było z ich strony pewną demonstracją. Później okazało się, że wielu z nich traktowało Kościół instrumentalnie, że kierują się innymi zasadami etycznymi niż my.

Czy mając dzisiejszą wiedzę ocenia Ksiądz Biskup, że Kościół przyjął słuszną strategię wobec stanu wojennego?

Według mnie słuszną. Kościół zrobił wówczas wszystko co było możliwe, każdy z biskupów i księży stanął na wysokości zadania¹⁵.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć świadectwo kleryka ołtarzewskiego, Józefa Targosza SAC, ukazujące już z perspektywy czasu, pierwsze dni wprowadzenia stanu wojennego.

„13 grudnia 1981 roku, niedziela. Dzień rozpoczął się tak, jak każda poprzednia niedziela w Seminarium, były modlitwy, następnie Eucharystia. Osobiście też nic nie wyczuwałem. Ale po zakończonej Mszy świętej obiegła nas zaskakująca i porażająca wiadomość: w Polsce ogłoszono stan wojenny! Początkowo nic nie mogłem zrozumieć. Rodziły się pytania: Jaki stan? Kto go ogłosił

i przeciwko komu? Po śniadaniu poszedłem do sali zobaczyć, co pokazuje telewizja. Nie było żadnego programu, puszczana była tylko poważna muzyka i co pewien czas na ekranie pojawiał się generał Wojciech Jaruzelski ze swoim wystąpieniem, w którym czytał komunikat o zaistniałej sytuacji i o wprowadzeniu stanu wojennego.

Rozpoczął się nowy tydzień, wykłady. Dziwny czas... Na pozór wokoło nic się nie zmieniło. Tylko dzieci nie poszły do szkoły, bo w całej Polsce zajęcia szkolne zostały zawieszone aż do odwołania. Nie działały telefony. Był to może wtorek lub środa, dokładnie dzisiaj nie pamiętam, wróciłem z kolacji i wtedy usłyszałem dochodzący gdzieś z oddali szum, może bardziej warkot. Przypominało mi to nalot samolotów. Taki stan trwał kilkanaście minut lub nieco dłużej. Wyczułem, że coś niedobrego się dzieje. Po pewnym czasie zobaczyłem z okna pokoju (z czwartego piętra) na ulicy Poznańskiej kawalkadę samochodów wojskowych, wozów pancernych i czołgów. Widok był przygnębiający.

W sutannie z kilkoma współbraćmi wybiegliśmy w stronę ulicy. Wieczór był bardzo mroźny. Żołnierze widząc nas, głosem przemarzniętym, krzycząc z samochodów, pytali, gdzie się znajdują i czy my wiemy, co się dzieje? Widziałem tragedię tych młodych chłopaków, którzy nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Tak dokonywała się pacyfikacja Warszawy i Ursusa.

Dni stanu wojennego to smutny czas. Ale zdarzały się też i chwile śmieszne i zabawne. Jak wspomniałem, wykłady w Seminarium odbywały się normalnym tokiem. Mamy właśnie wykład z Pisma Świętego z ks. prof. Józefem Lisiakiem. Ksiądz Profesor prowadzi wykład, przechadza się po sali, zbliżył się do okna i nagle słyszymy z jego ust: „O! Czołg przyjechał pod Seminarium”. Oczywiście, wszyscy znaleźliśmy się przy oknie. Wkrótce sytuacja się wyjaśniła. Okazało się, że jeden z żołnierzy został zakwaterowany w Warszawie, a w Ołtarzewie był kleryk z jego rodzinnej miejscowości i korzystając ze sposobności, postanowił przyjechać do nas tym nietypowym pojazdem i odwiedzić swojego ziomka.

Minęło kilka kolejnych dni i „otrzymaliśmy” nowych sąsiadów. Za płotem w budynku szkoły podstawowej zakwaterowano kilkunastu żołnierzy ze swoim dowódcą. Wozami pancernymi, które stacjonowały na ulicy obok budynku

¹⁵ Orszulik Alojzy, *Stan wojenny nie bronił niepodległości Polski, bronił socjalizmu*, wywiad Bogumiła Łozińskiego, „Wiadomości Prowincji Chrystusa Króla” 2001, nr 12, s. 58–63.

szkoły, patrolowali okolicę. Mróz się potęgował, spadł śnieg. Szkoła nie była przystosowana, by mieszkali tam ludzie, była zimna i nie posiadała właściwego zaplecza kuchennego. Spotykaliśmy żołnierzy, którzy chodzili do pobliskiego sklepu po mleko. Niestety, pod wpływem mrozu, mleko zamarzało w butelkach i nie nadawało się do spożycia. Pewnego razu zanieśliśmy do budynku szkoły duży termos z gorącą herbatą. I znowu smutny to był widok, kiedy dwóch żołnierzy odniosło ten termos z nienaruszoną zawartością herbaty, ze łzami w oczach stwierdzili, że taki był rozkaz dowódcy. Myślę, że zwyczajnie czegoś się obawiał. Ale sposób na dożywianie żołnierzy się znalazł. Zamiast w szkole, gorąca herbata była w refektarzu seminaryjnym, żołnierze mogli pojedynczo przychodzić do Seminarium i napić się czegoś ciepłego. Zawsze też kuchnia miała coś przygotowane dla nich do jedzenia. Chodząc na spacery zatrzymywaliśmy się przy szkole i odbywaliśmy długie pogawędki z żołnierzami, którzy krzatali się wokół wozów pancernych.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Byłem wtedy na drugim roku studiów i zwyczajem, który do dzisiaj obowiązuje, zostałem ze swoim kursem na przerwę świąteczną. Do końca nie było wiadomo, czy w tym roku ktokolwiek wyjedzie na Święta z Seminarium. Trwały przygotowania do Wigilii. Naszym gorącym pragnieniem było, aby Wieczерzę Wigilijną spożyć wspólnie z naszymi sąsiadami. Władze Seminarium były otwarte na przyjęcie gości. Żołnierze cieszyli się bardzo na myśl, że ta wyjątkowa chwila, niezależnie od stanu wojennego, a może tym bardziej, będzie przeżyta w atmosferze rodzinnej przyjaźni i w ludzkich warunkach. Niestety, racje stanu wojennego wzięły górę, usiedliśmy do stołu wigilijnego osobno, żołnierze zostali w budynku szkoły. Towarzyszyło nam jednak gorące pragnienie spotkania się z tymi ludźmi. Po zakończonej Wieczерzy udało nam się dostać do budynku szkoły. Tam, przy gitarze, usiedliśmy z żołnierzami, wspólnie śpiewaliśmy kolędy, były łzy w oczach. Dla tych młodych ludzi była to namiastka Bożego Narodzenia, bo o pójściu na Pasterkę też nie było mowy, chociaż bardzo tego pragnęli.

Po Nowym Roku miałem możliwość odwiedzić dom rodzinny. Udałem się do Urzędu Miasta i Gminy Ożarów Mazowiecki, aby otrzymać stosowny dokument, który zezwoli na zmianę miejsca zamieszkania. Jak pamiętam, problemu z otrzymaniem pozwolenia nie było. Mając dokument w ręku, drugiego

stycznia pojechałem do rodzinnej Ponikwi koło Wadowic, wróciłem, zgodnie z przepustką, czwartego stycznia.

Najbardziej zapadły mi w pamięci pierwsze dni stanu wojennego, które pokrótce opisałem. Były też wyjazdy do Warszawy, kontrole ZOMO na rogatkach Stolicy, przemycanie zakazanej literatury podziemnej, spotkania z ludźmi opozycji, których wcześniej bądź już w czasie stanu wojennego poznałem. Ale zawsze w sercu pozostawało pytanie, kiedy się to skończy? I czekałem...”¹⁶.

¹⁶ J. Targosz, *Stan wojenny*, „Nasz Prąd” 2007, nr 5, s. 18–19.

RYSZARD CZARNECKI

1987, WROCLAW, NZS, „ODWILŻ”

Sześćciolecie zarejestrowania Niezależnego Zrzeszenia Studentów (styczeń 1987), przypadające niedługo po piątej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego świętowaliśmy hucznie, czując, że w Polsce, w tym na uczelniach, sytuacja powoli zmienia się jednak na lepsze. Świętowaliśmy jednak na tyle hucznie, że nasze podziemne pismo „Komunikat NZS Uniwersytetu Wrocławskiego”, w którym wezwaliśmy do obchodów tej rocznicy, zostawiając ich formę „lokalnym ośrodkiem NZS”, wydaliśmy co prawda na przełomie stycznia i lutego 1987, ale z datą 25.01 – 15.02... 1986 ! Gdzieś się zapodział jeden rok... A może było też tak, że połączyliśmy obchody rocznicy rejestracji NZS z moimi urodzinami przypadającymi 25 stycznia (Wodnik)? W każdym razie do kompromitującego błędu doszło. Jak zobaczyłem – złapałem się za głowę. Wtedy byłem już formalnie poza uczelnią, bo skończyłem studia, jak Pan Bóg przykazał w terminie, po pięciu latach, bez żadnych tam „dziekanek”. Tym różniłem się od szeregu innych działaczy naszego NZS, którzy studiowali całymi latami. Dla Polski, panie, dla Polski! Studia bodaj o trzy lata przedłużył na przykład mój następca na stanowisku szefa NZS na naszym uniwerku Grzegorz Schetyń pseudonim „Mateusz Lewita”, „Robert Synowiecki” (ale także „Radek”). Zresztą było to wtedy powszechne.

Sensacja: gdy władza uczelni przychodzi do studentów czyli „...początek podjęcia dialogu”

Chociaż byłem już absolwentem, to w dalszym ciągu, jeszcze przez rok kierowałem pracami Zarządu Uniwersyteckiego NZS i wypełniałem swoimi artykułami naszą NZS-owską bibułę. Nie kierowałem jednak już bezpośrednio

pracami redakcji, stąd też mottem „Komunikatu” stały się ładnie brzmiące słowa niemiecko-amerykańskiego filozofa żydowskiego pochodzenia, przedstawiciela tzw. szkoły frankfurckiej, zupełnie nie z mojej bajki Herberta Marcuse’a (1898–1979): „Wolność jest niepodzielna”. On był natchnieniem dla studentów z Paryskiej Wiosny 1968, ale na pewno nie moim.

O tym, że sytuacja się wyraźnie zmienia, świadczyły podawane przez nas w rubryce „Wydarzenia” informacje z uczelni. I tak na przykład przekazaliśmy wiadomość o sensacyjnym spotkaniu w akademiku „Wagant” władz Uniwersytetu Wrocławskiego ze studentami i naukowcami. Pierwszy raz się zdarzyło, żeby to nie studenci przyszli do władzy, tylko władza przyszła do studentów. Spotkanie trwało prawie trzy godziny i było niesłychanie burzliwe. Swoją drogą było też mocno chaotyczne. Dyskusja była szczera, ataki, w tym personalne z obu stron ostre. Przyjęliśmy fakt samego spotkania dobrze, daliśmy temu wyraz w „Komunikacie”, gdzie uznaliśmy, że już samo „przybycie na spotkanie przedstawicieli Rektora każe żywić nadzieję, że jest to początek podjęcia dialogu między władzami uczelni a środowiskiem naukowym i studenckim naszego Uniwersytetu”.

Komuna jednak zawsze pozostaje komuną. Obecny na tym spotkaniu jako jeden z przedstawicieli władz towarzysz Mazurkiewicz, niewysoki, szczupły, siwy, zasuszony zaraz potem wykorzystał wypowiedzi uczestników spotkania w tym akademiku i to na posiedzeniu ważnej Komisji Odwoławczej, która decydowała przecież o ludzkich losach na uczelni, aby napiętnować „niewłaściwą postawę” niektórych studentów, co mogło skutkować fatalnymi dla nich konsekwencjami.

„List otwarty” do Jaruzelskiego czyli „otwórzcie w końcu granice”

Pisaliśmy również o „Liście otwartym” 35 pracowników naukowych wrocławskich uczelni do generała Jaruzelskiego. Głównie profesorowie upomnieli się o tych Polaków, którym uniemożliwiono wyjazdy za granicę – w tym... ich samych. Oto fragment listu: „W najbliższych dniach wyruszy Pan w kolejną podróż zagraniczną. Jest to stosowny moment, aby wskazać tych obywateli PRL, którzy za granicę wyjechać nie mogą. Należą do nich między innymi sygnatariusze tego listu i mieszkańcy Wrocławia – miasta, w którym restrykcje

paszportowe są szczególnie szerokie (...). Jako punkt odmowy najczęściej podaje się Art. 4 Ust. 2 „Ustawy o paszportach”: „Przeciw wydaniu paszportu przemawia wzgląd na bezpieczeństwo państwa, obronność, ochronę tajemnicy państwowej, albo gdy może to narazić gospodarkę polską na znaczne straty. (...) Dziś nikt z nas nie zna tajemnic wojskowych, nie ma wpływu na bezpieczeństwo państwa, a gospodarka kraju wręcz traci na blokadzie naszych wyjazdów. Zakaz uważamy za zwyczajną represję polityczną”. List ten podpisali przeważnie bardzo znani naukowcy, głównie humaniści, choć nie tylko. m. in.: prof. R. Duda, prof. Adam Galos, prof. Czesław Hernas, doc. Jacek Jastrzębski, prof. Tadeusz Kotuła, Urszula Koziół (także znana poetka), dr Teresa Kulak, doc. Jacek Łukasiewicz, doc. Jerzy Przystawa, doc. Ludwik Turko, prof. Andrzej Wiszniewski, prof. Wojciech Wrzesiński (mój promotor pracy magisterskiej i niedosłej doktorskiej), prof. Mieczysław Zlat oraz Ewa Szumańska (także dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”).

Jak Frasyniuk chciał pracować na Uniwersytecie...

Podaliśmy też ciekawostkę, dziś już zapomnianą, że po zwolnieniu z więzienia Władysław Frasyniuk starał się o przyjęcie do pracy jako ...kierowca na Uniwersytecie Wrocławskim! Rektor UW r odpowiedział odmownie uzasadniając to... dobrem uczelni.

Podaliśmy również listę 15 więźniów politycznych, którzy na początku 1987 roku, a więc już po „odwilży”, amnestii, a rok przed strajkami w Gdańsku i dwa lata przed „Okrągłym stołem” siedzieli za kratami. Listę otwierał wówczas b. oficer SB, ówczesny „Konrad Wallenrod” Adam Hodysz, który konspiracyjnie współpracował z „Solidarnością”. Aresztowano go 26 października 1984 i skazano na 6 lat. Odsiedział wtedy już dwa lata i kwartał, a przetrzymywano go w Zakładzie Karnym w Słupsku. Siedzieli również oskarżeni o terroryzm, czyli... zamiar wystrzelenia z wyrzutni ulotek w czasie manifestacji z okazji 1 Maja w Krakowie. Byli to: student UJ A. Kumor (urodzony w 1964 roku), J. Mleczko z pierwszego roku polonistyki UJ, inżynier M. Stachniuk (żonaty, z dwojgiem dzieci, urodzony w 1955), Z. Grzesiak z pierwszego roku filozofii UJ (ur. 1958), J. Orzeł – pracownik Huty Lenina, żonaty, dwoje dzieci (ur. 1953), Z. Hebda – lekarz (ur. 1960) oraz K. Orchel (dekarz).

Byli tam też aresztowani za podpalanie wycieraczek i wstrzykiwania do mieszkań cuchnących substancji: marynarz A. Cybulski (ur. 1958) i pracownik Stoczni Gdańskiej R. Walewski. Byli również skazani za zabójstwo sierżanta MO Zdzisława Karosa: uczeń R. Chechłacz, aresztowany 4 marca 1982 roku i skazany na 25 lat więzienia, przy czym wyrok zmniejszono do 15 lat oraz drugi uczeń T. Łupanow skazany na 15 lat, przy czym wyrok zmniejszony do lat 8.

Był też pracownik MPK w Krakowie K. Krauze (ur. 1956), aresztowany 6 marca 1986 i skazany na 5 lat za przecinanie pasków klinowych oraz E. Lewandowski – elektryk z Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie (ur. 1956) skazany też za sabotaż na 2,5 roku. Ostatnim na liście był pracownik Zakładów Azotowych w Puławach J. Łodyga (ur. 1944). Aresztowano go 6 maja 1986. Akt oskarżenia dotyczył... posiadanie pieniędzy NSZZ „Solidarność” na swojej książeczce oszczędnościowej!

„Komunikat”: papier do bibuły, papier do...

Informowaliśmy również prześmiewczo, że w sklepach dewizowych „PEWEX”-u i „Baltony” pojawił się papier toaletowy... za dolary. A konkretnie w cenie 30 centów za rolkę! Komentowaliśmy to w następujący sposób: „Tym samym rozwiązano problem dręczący od kilku lat zagranicznych turystów odwiedzających nasz kraj”. Konkludowaliśmy to informacją, że w 1987 roku zabraknie... 100 milionów rolek papieru toaletowego!

Czasy były do „d”... – to i papieru zabrakło.

„O ANTYKOMUNIZMIE SKUTECZNYM” – DROBNA
GŁOSA WSPOMNIENIOWA „OBSERWATORA
WSPÓŁUCZESTNICZĄCEGO”.

Część IX: od powstania klubu parlamentarnego „Ruch dla Rzeczypospolitej”, przez sfalszowane głosowanie nad uchwaleniem „Małej Konstytucji”, prace podkomisji sejmowej do rozpatrzenia projektów ustaw lustracyjnych, po upadek rządu Suchockiej i nielegalne rozwiązanie Sejmu I kadencji przez Wałęsę.

Pierwsze kilka tygodni po obaleniu rządu Jana Olszewskiego to krótka historia misji W. Pawlaka powołanego przez Wałęsę na premiera 5 czerwca 92 r. i odwołanego z funkcji już 10 lipca 92. Jak się szybko okazało, głównym zadaniem Pawlaka było nie tyle sformowanie rządu – co się nie udało, lecz przede wszystkim przejęcie kontroli belwederu nad MSW, MON i Urzędem Rady Ministrów (obecnie Kancelaria Prezesa RM). Trzeba zaznaczyć, że po 5 czerwca Pawlak był premierem rządu którego skład się nie zmienił, mimo odwołania go, gdyż Sejm powierzył mu pełnienie obowiązków (wszystkim ministrom) do czasu powołania nowej Rady Ministrów. Powodowało to dużą trudność w wykonaniu „zadania” przejęcia kontroli nad rządem przez belweder. Ludzie Pawlaka i belwederu działali wtedy na zasadzie pozaprawnych nacisków – żądań wydania dokumentów i wymuszania decyzji od legalnie urzędujących ministrów, którzy to przeciwstawiali się tym naciskom – toczyła się swoista walka i przepychanka kompetencyjna. Dopiero po dwu tygodniach Pawlak zdołał uzyskać zwolnienie z pełnienia obowiązków Antoniego Macierewicza (MSW) i Wojciecha Włodarczyka (URM) i urlopował kierownika MON Romualda Szeremietiewa, w miejsce których powołano na kierowników ministerstw odpowiednio – Milczanowskiego, Łuczaka i Onyszkiewicza.

W tym oto czasie miało miejsce zdarzenie, które pokazuje stopień przerażenia oraz naiwnej niekompetencji Wałęsy i części jego otoczenia. Otóż Wałęsa zażądał od MSW „wypożyczenia” mu i przywiezienia do belwederu „oryginałów” wszystkich dokumentów z jego teczek w tym materiałów SB dotyczących sprawy tajnego współpracownika SB „Bolek”. Nie wiadomo na jakiej podstawie prawnej MSW wydało mu te dokumenty, a raczej... wydało je bez prawnej podstawy. W belwederze pokwitowano odbiór tych dokumentów. Zostały one zwrócone we wrześniu 92 z kuriozalną adnotacją **by ich nie otwierać bez wiedzy i zgody prezydenta (sic!)**

Jak się później okazało dokumenty zostały **zwrócone w stanie dalece zdekompletowanym – powyrywano wiele kart tej dokumentacji...**

To może trudne do uwierzenia... ale świadczy to o głupocie i kompromitującej niewiedzy prezydenta i przynajmniej części jego otoczenia – którym to wydawało się, że są w stanie w prosty sposób zlikwidować ślady agenturalnej działalności... Zapomnieli o tych którzy tymi dokumentami także dysponowali, nie rozumieli do końca lub lekceważyli wiedzę o zasadach ich ewidencjonowania..., albo zakładali że czekiszczak i ...inni... nigdy tych dokumentów nie ujawnią... Jak dziś wiemy ...przeliczyli się... W 2016 r. po śmierci czekiszczaka masa dokumentacji, w tym także dotyczącej sprawy „Bolka”, została z jego domu odzyskana przez organy Państwa. Pisz o tym Artur Kłus w swojej biografii Jana Olszewskiego, powołując również świadectwo prof. S. Cenckiewicza zawarte w książce „Sprawa Lecha Wałęsy”. Kłus przytacza także opinie dotyczące tej sprawy, wyrażane przez osoby, które były bezpośrednio i „pierwszoplanowo” zaangażowane w obalenie rządu Olszewskiego współdziałając z Wałęsą. Jan Rokita np. stwierdził : „*Właściwie jest tylko jedna rzecz, z którą nie mogę się pogodzić. Czyli sprawa «Bolka». I nie chodzi o fakt bardzo dawnej współpracy, ale o tę małość, jaką wykazał Wałęsa, używając jako prezydent służb specjalnych niepodległego państwa do tego, aby skorygować nie najlepsze strony swego życiorysu z czasów młodości(...)*”.

Bliski współpracownik Rokity – minister w rządzie Suchockiej – Aleksander Hall stwierdził natomiast, że: „*Trudniejsze do usprawiedliwienia było i jest niszczenie akt dotyczących Wałęsy w Warszawie w latach 1992–1993 i w gdańskiej*

*Delegaturze UOP w latach 1993-95 oraz zapiekłość Wałęsy w stosunku do Adam Hodysza*¹⁴⁸ [szefa tejże Delegatury].

Artur Kłus – „Bohater naszych czasów. Premier Jan Olszewski” – wyd. Artur Kłus, Fundacja Instytut Edukacja Pro Futuro – 2019 r. oba powyższe cytaty na str.733.

Należy jeszcze dla jasności i także elementarnej uczciwości dodać w tym miejscu, parę słów o tym kim był Ppłk. UOP Adam Hodysz. Część osób pamiętających czasy pierwszej „Solidarności” i stan wojenny zna to nazwisko, młodszy i zupełnie młodszy, zapewne w większości, nie. Otóż był on jednym z nielicznych ludzi, którzy pracując w SB, jeszcze w 1979 r. rozpoczął konspiracyjne współdziałanie z opozycją demokratyczną, kontynuował je po powstaniu „Solidarności” i w stanie wojennym współpracował z podziemną „Solidarnością”. Dobrze znał A. Halla, B. Borusewicza, A. Gwiazdę... Ostrzegał działaczy podziemia o agencji SB wewnątrz „Solidarności”, uprzedził o wprowadzeniu stanu wojennego, budował wewnątrz SB grupę działającą na rzecz podziemia.

Został zdradzony przez jednego ze współpracowników i aresztowany w 1984 r. i **skazany najpierw na 3, a potem – po „ponownym rozpatrzeniu” sprawy przez „Sad Najwyższy”... na 6 lat więzienia.** Posadzono go w jednej celi z... mordercą ks. Jerzego Popiełuszki...

W 1990 r. został zrehabilitowany i przyjęty do służby w UOP. W latach 1990–1993 był Dyrektorem Delegatury UOP w Gdańsku. **W 1992 r. czasie prac nad lustracją Delegatura pod jego kierownictwem przekazała do MSW akta sprawy TW SB MSW „Bolka”.** Został za swą działalność i służbę odznaczony m.in.: Oficerskim(1999) i Komandorskim (2009) Krzyżami Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Wolności i Solidarności.

Wałęsa podejrzewał Ppłk. Hodysza o to, że ten dysponuje aktami sprawy „Bolka” i od razu po obaleniu rządu Olszewskiego i powołaniu Milczanowskiego na kierownika MSW, **zażądał zwolnienia Ppłk. Hodysza pracy – co Milczanowski niezwłocznie wykonał.**

To dla takich głównie zadań potrzebował Wałęsa Pawłaka czy Milczanowskiego...

Teraz, niejako w kontrapunkcie do tej historii, oczywiście z zachowaniem proporcji i lekkim przymrużeniem oka, taka, nieco groteskowa, anegdota stanowiąca moją osobistą swoistą puentę wątku „misji Pawłaka”, której „współ-bohaterem” byłem wraz z Andrzejem Anuszem. Dotyczyła wydarzeń, które miały miejsce zaraz w następnych dniach po 4 czerwca i rozegrały się głównie na osi – urzędnicy kancelarii prezydenta – vs – my, czyli posłowie jak nas wtedy nazywali złośliwi „olszewicy” – ustępujący minister gabinetu Jana Olszewskiego. Zatytułujmy tę anegdotę – „jedwabne skarpetki pana P.”

Nie jest to historyjka szerzej znana, ale miała miejsce rzeczywiście i trafiła nawet do jednego ze scenariuszy filmowych...

Pewnego dnia poprosił nas o spotkanie kolega z NZS, nazwijmy go „A” pracujący od dłuższego w kancelarii prezydenta. Był jedną z osób obsługujących nasze spotkanie 14 maja 92 r. z Wałęsą w Belwederze. Pracował z /dla Mieczysława Wachowskiego. Nasze spotkanie z „A” odbywało się w urokliwym miejscu – na ulicy Nowomiejskiej – na Starówce – w restauracji „Lapidarium” pomiędzy Rynkiem a Barbakanem, naprzeciwko istniejącej do dziś galerii z antykami, w jedynej niezniszczonej doszczętnie po Powstaniu kamienicy. Zachowane było tam wewnętrzne patio – dziedziniec, w którym zorganizowano restaurację z niewielką sceną i częścią stolików rozmieszczonych na różnych poziomach z wykorzystaniem naturalnych zagłębień, schodów i podestów starych murów, z efektownie zaaranżowaną zielenią i kwiatami. Miejsce było bardzo oryginalne i wręcz „kultowe”, ze względu na atmosferę wnętrza i patio oraz częste produkcje muzyczne i artystyczne... Niestety nie przetrwało długo – nie pamiętam już czy z powodu zawiści konkurencyjnej gastronomii sąsiadującej, czy przez mafie ściągające haracze... czy z obu tych powodów łącznie...

Po niedługim wstępie „A” wyłuszczył dlaczego prosił nas o to spotkanie.

Otóż dostał bardzo odpowiedzialną „misję” – zadanie „pilnowania” ...desygnowanego już wtedy na premiera Waldemara Pawłaka. A rzeczony Pawlak, jak się wyraził „A”, przebywa praktycznie bez przerwy i ciągle w towarzystwie jakiejś... „pani X” czy to ze „służb”, czy nie wiadomo skąd,... która monopolizuje wszelkie kontakty z Pawlakiem i oboje ciągle mu (czyli „A”) „sp.....ą” – czyli „uciekają”, znikają... a tak nie może być... bo przecież on dostał „misję”...

musi wszystko wiedzieć... itd. Poradźcie chłopaki co tu robić... jak „okiełznać” tę parę... a zwłaszcza pana P., żeby był pod kontrolą ...

Z drugiej strony mieliśmy relacje od Wojciecha Włodarczyka o próbach panoszenia się ludzi Pawłaka w URM-ie, z którymi zarówno minister jak i pracownicy mieli ciężkie utrapienie. Nie pamiętam już czy to na pierwszym czy na kolejnym spotkaniu z „A” w owym „Lapidarium”, zaczęliśmy przekonywać „A”, że przecież to skandal jak ten Pawlak...w końcu premier ...się prezentuje i w ogóle ...wygląda. Jak nicpoń jakiś prowincjonalny w seledynowym garniturku, białych frotte skarpetkach i żalosnych mokasynach do tego... Nasza rada jest taka, że „A”, jako osoba bywała w świecie, i znakomicie rozeznaną w wymogach etykiety, musi się zatroszczyć o wizerunek pana P. Musi „A” stworzyć przyjazną atmosferę, pokazać co trzeba nosić.... i zabrać pana P. – najlepiej i koniecznie z osobą towarzyszącą „X” na... porządne i miłe... zakupy. Od czego w końcufundusz reprezentacyjny... przecież nie muszą wydawać swojej kasy... nie muszą się przecież wcale krępować, a zwłaszcza „A” który... koniecznie musi płacić... Po wszystkich wystarczy jak nam przyniesie kopie rachunków, no a jakby się udało to może i zdjęcia... Trochę robiliśmy sobie „jaja”, a trochę beczelnie liczyliśmy, że jakby się, o dziwo udało, to zrobimy z tego dobry użytek i pomożemy Wojtkowi Włodarczykowi i kolegom w URM-ie w użeraniu się z pawlakowcami.

„A” wydawał się zachwycony pomysłem... i pobiegł go jak najszybciej realizować. Jakież było nasze zdziwienie, gdy niebawem na kolejne spotkanie przyszedł z rozdziawioną ze śmiechu gębą.... Cały „w skowronkach”... że się udało...

Otóż bez problemu zabrał oboje na zakupy do jednej z pierwszych, w stylu „zachodnim”, „ekskluzywnej” galerii handlowej „Bogusz Center”, która znajdowała się na Złotej przy Emilii Plater tam gdzie teraz stoi słynny apartamentowiec – „skrzydło” Libeskinda. Nastrój na zakupach musiał być...wyśmienity bo...jak wynikało z rachunków... „poooooszli na caaałość”.

Oprócz tego co dałoby się jeszcze wytłumaczyć uzasadnionymi potrzebami Pana P. – wliczając w to nawet wiele par jedwabnych skarpetek, zakupy w swej zasadniczej kwocie dotyczyły także potrzeb osoby towarzyszącej – czyli Pani „X”... Ogólnie wydana suma „biła po oczach” i dalece odbiegała od przyzwoitości... Wzięliśmy od „A” tę „dokumentację” i zanieśliśmy ministrowi

Włodarczykowi... Ten zwołał konferencję prasową... Dziennikarze wcześniej uprzedzeni, że będą „pikantne” newsy stawili się tłumnie... I nie zawiedli się... używali sobie na Panu P. ile wlezie... był spory „huuuczek” przez parę dni... Oczywiście to zdarzenie nie miało szczególnie istotnego znaczenia, choć pokazywało ludziom z kim mają do czynienia... a „misja” Pawłaka potrwała jeszcze niecałe 2 tygodnie i... „spaliła n panewce”.

Już w połowie czerwca myśleliśmy o tym co robić dalej. Wewnątrz PC narastał konflikt na tle z jednej strony oceny i stosunku do Jana Olszewskiego, z drugiej dyskusji o tym jaką postawę ma przyjąć PC wobec kształtującego się nowego układu rządowego. Doszło do nieprzyjemnego zgrzytu na posiedzeniu władz PC – postawiono wniosek o wykluczenie Jana Olszewskiego z partii... Było to niepotrzebne i niemądre... przy okazji należy wspomnieć, że Premier był owszem, członkiem klubu parlamentarnego PC i Rady Politycznej, ale w partii raczej się nie udzielał ...

To zdarzenie miało swoje bardzo negatywne konsekwencje w relacjach między Olszewskim i Kaczyńskim, myślę, że w pewnym stopniu było przyczyną niedogadania się obu Panów przed wyborami 1993 r.... Porozumieli się dopiero w 1997 roku w ramach Ruchu Odbudowy Polski (ROP)...

Jarosław Kaczyński i jego zwolennicy w Zarządzie Głównym i Radzie Politycznej byli zdania, że należy zaangażować się w negocjacje w sprawie powołania koalicji i rządu Suchockiej. Dla nas, skupionych wokół Premiera i zorganizowanych wewnątrz PC we frakcję Forum Chrześcijańsko – Demokratyczne rozwiązanie – by poprzeć tych którzy obalili „nasz rząd” w haniebnych okolicznościach – było zupełnie nie do przyjęcia. Mieliśmy wewnątrz partii swoisty „pakiet kontrolny” i jak pokazało, omawiane we wcześniejszych częściach moich wspomnień, głosowanie z marca 1992 r. nad wyborem Hanny Gronkiewicz-Waltz na Prezesa NBP, spore, bo sięgające 50 % poparcie w klubie parlamentarnym. Pamiętam dwie ważne rozmowy z tamtego czasu. Pierwsza z nich miała miejsce w restauracji Starego Domu Poselskiego, gdzie we trzech – Andrzej Anusz, Paweł Kotlarski i ja zastanawialiśmy się nad tym w jaki sposób podejść do zbliżającego się drugiego zjazdu PC. Zdecydowaliśmy, że należy działać wyprzedzająco, zinstytucjonalizować Forum Chrześcijańsko –

Demokratyczne jako odrębne ugrupowanie zwołując zjazd jego struktur jeszcze sporo przed zjazdem PC. Ponadto podjąć energiczne działanie w celu budowy odrębnego klubu parlamentarnego. Na kolejnym spotkaniu – odbyło się ono w końcu czerwca 1992 – w mieszkaniu prywatnym naszego kolegi – współzałożyciela PC – Stasia Rojka na Ochocie – w składzie: gospodarz, Przemek Hniedziewicz, Andrzej Kostarczyk, Andrzej Anusz, Paweł Kotlarski i ja zdecydowaliśmy, że utworzymy bezzwłocznie odrębny klub parlamentarny i proponujemy Janowi Olszewskiemu aby stanął na jego czele. Właśnie wtedy zaproponowałem nazwę „Ruch dla Rzeczypospolitej” – byłem (byliśmy) wtedy pod „urokiem” rozwiązań konstytucyjnych V Republiki Francuskiej de Gaulle’a oraz inspirował nas ruch gaullistowski – ugrupowanie o charakterze chrześcijańsko-demokratycznym i republikańskim opowiadające się za integracją europejską w duchu „Europy Ojczyzn”, który w tym czasie reprezentowała partia „*Rassemblement pour la République – RPR*”. Nasza nazwa była też podobna do ruchu budowanego przez Jana Parysa... Tak czy inaczej... przyjęła się... Prowadziliśmy już wtedy od pewnego czasu – rozmowy i konsultacje na temat powołania klubu. Jan Olszewski zgodził się na przewodniczenie mu.

Trzeba podkreślić tutaj wyraźnie, że to właśnie ta „nasza część” PC i klubu parlamentarnego okazała się, jako jedyne zorganizowane środowisko, zdecydowana na stworzenie Janowi Olszewskiemu realnego, reprezentowanego w Sejmie na poziomie pełnego klubu, zaplecza politycznego. To nie Jan Olszewski ani żaden z jego ministrów proponowali nam wspólną polityczną dalszą drogę, lecz to my właśnie – „olszewicy” z PC przedstawiliśmy koncepcję, założenia programowe i realną strukturę organizacyjną tego projektu. Oczywiście, zwłaszcza w sensie programowym było to kontynuacja – niepodległościowej, proatlantyckiej i europejskiej wizji miejsca Polski w łańdź międzynarodowym oraz realizacji modelu społecznej gospodarki rynkowej i budowy silnego sprawnego państwa o niezbędnej społecznej solidarności – myśli programowej rządu Jana Olszewskiego.

Skład powołanego w lipcu 1992 roku KP RdR – weszli do niego następujący posłowie :

Andrzej Anusz, Kazimierz Barczyk, Roman Bartoszcze, Janusz Chosiński, Stanisław Hniedziewicz, Andrzej Kostarczyk, Paweł Kotlarski,

Edmund Krasowski, Jan Mizikowski, Jan Olszewski, Cezary Piasecki, Kazimierz Świtoń, Stanisław Węglowski, Danuta Wierzbicka, Wojciech Włodarczyk i moja skromna osoba.

Każdej z tych osób należałby się odrębna rozbudowana nota biograficzna... bo każda z nich była osobą nietuzinkową i zasłużoną. Większość członków klubu wywodziła się ze środowiska PC i ruchu Komitetów Obywatelskich, ale przestąpiły do nas także osoby z innych środowisk politycznych – tak jak **Kazimierz Świtoń** – niezwykle zasłużony działacz opozycji demokratycznej – współpracownik KOR i działacz Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, uczestnik Wolnych Związków Zawodowych i współzałożyciel śląskiej „Solidarności”, internowany w stanie wojennym. Współtwórca stronnictw chrześcijańskiej demokracji na Śląsku, jako kandydat Górnośląskiej Chrześcijańskiej Demokracji wybrany do Sejmu I kadencji z ramienia Ruchu Autonomii Śląska. Podobnie spoza naszego środowiska PC, dołączył do nas także mecenas **Jan Mizikowski** – również działacz opozycji jeszcze z lat 70-tych – członek Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, później KPN, przeszedł do nas wraz z posłanką **Danutą Wierzbicką** z klubu KPN.

Choćby z racji tego, że zostałem przez nich wybrany sekretarzem Klubu, nie mogę poprzestać tylko na suchym wymienieniu ich nazwisk... Posiłkując się zachowanymi dokumentami, notatkami i własną pamięcią oraz informacjami archiwum sejmowego i Wikipedii, pozwolę sobie na, z konieczności bardzo skrótowe i wybiórcze, wspomnienie o kilkorgu z moich ówczesnych kolegów klubowych. I tak :

Kazimierz Barczyk – wiceprzewodniczący klubu ... osoba ogromnie ważna dla naszego środowiska i zasłużona dla Polski. W okresie późniejszym, o czym będę jeszcze szerzej pisał, w latach 1993 – 1997 również niezwykle aktywny – pomysłodawca i współorganizator krakowskich Ogólnopolskich Konferencji Centroprawicy, które, we współpracy z kierownictwem krajowym „Solidarności” zaowocowały popartym przez 2 mln Polaków Obywatelskim Projektem Konstytucji RP i dostarczyły bardo istotnego wkładu programowego przy powołaniu AWS.

W latach 80. działał w pierwszej „Solidarności”, organizował struktury związku w krakowskich sądach, także w około stu sądach w Polsce

południowo-wschodniej. Był członkiem prezydium i pełnomocnikiem Krajowej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości NSZZ „Solidarność” do spraw Nowelizacji Ustaw. Współtworzył i w latach 1980–1992 kierował **Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych Solidarności**, składającą się z około 200 osób, w tym wielu znakomitych profesorów prawa oraz wybitnych adwokatów i sędziów. Instytucja ta opracowała społecznie kilkadziesiąt projektów ustaw (w tym projekty kodeksu karnego bez kary śmierci, prawa prasowego bez instytucji cenzury, przepisów wprowadzających gwarancje niezawisłości wymiaru sprawiedliwości w przypadku ustaw o Sądzie Najwyższym, sądach powszechnych, prokuraturze oraz Krajowej Radzie Sądownictwa, ustawy o samorządzie terytorialnym tworzącą samorząd gminny z demokratyczną ordynacją wyborczą), które w istotnej mierze wykorzystano do kształtowania podstaw ustrojowych III RP. Po wprowadzeniu stanu wojennego Kazimierz Barczyk został odwołany ze stanowiska sędziego, jako jedyny krakowski sędzia. Do czerwca 1987 był objęty wprowadzonym przez ministra sprawiedliwości zakazem wykonywania zawodu adwokata. W latach 80. współtworzył Krajowe Duszpasterstwo Prawników, działał również w Duszpasterstwie Ludzi Pracy w Kamieniołomie im. Jana Pawła II przy parafii św. Józefa w Krakowie. W 1988 był doradcą prawnym strajkujących w Hucie im Lenina w Krakowie. Od 1989 był członkiem władz miejskiego i regionalnego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

Roman Bartoszcze – człowiek bardzo odważny i zasłużony w walce o Wolną Polskę i jednocześnie niezwykle skromny. W 1980 został jednym z liderów „Solidarności Chłopskiej”, a w 1981 podjął działalność w NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”. W stanie wojennym był internowany przez ponad dwa miesiące. SB – („nieznani sprawcy”) – zamordowali mu rodzzonego brata – Piotra, jednego z czołowych liderów ogólnopolskich rolniczej „Solidarności”.

W 1989 z ramienia Komitetu Obywatelskiego został wybrany do Sejmu kontraktowego. W Sejmie kontraktowym był jedną z tych kilku osób (do policzenia na palcach jednej ręki), które odważyły się ujawnić i domagać się wyjaśnienia, **leżące u fundamentów, niejako założycielskiej dla tzw. III RP,**

„matki wszystkich afer” – afery FOZZ, o której pisałem we wcześniejszych częściach moich wspomnień.

W 1990 wstąpił do Polskiego Stronnictwa Ludowego i został jego pierwszym prezesem. W tym samym roku kandydował w wyborach prezydenckich – w I turze z 25 listopada **uzyskał ponad 1 175 000 głosów**. W czerwcu 1991, na skutek nacisków starego ZSL-owskiego aparatu i agresywnych działań post-prl-owskich służb wojskowych, utracił kierownictwo PSL, po czym odszedł z tej partii i założył Polskie Forum Ludowo-Chrześcijańskie „Ojcowizna”. Po raz drugi uzyskał mandat poselski w wyborach 1991 r z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum i przystąpił następnie do KP RdR.

Stanisław – dla nas Przemek – Hniedzewicz – Od 1980 należał do współpracowników przewodniczącego PAX Ryszarda Reiffa. W 1981 został przewodniczącym oddziału warszawskiego i członkiem zarządu głównego tej organizacji. W 1982 usunięto go ze Stowarzyszenia. Był wśród tych działaczy PAX którzy popierali ruch „Solidarności” i dążyli do współpracy z opozycją demokratyczną. Był jednym z założycieli, a następnie wiceprzewodniczącym Klubu Myśli Politycznej „Dziekania”. W 1989 i 1990 r. należał do wąskiej grupy osób które przyczyniły się do powstania Porozumienia Centrum. W PC pełnił funkcję sekretarza generalnego, następnie wiceprezesa naczelnej rady politycznej. Był także członkiem Forum Myśli Chrześcijańsko-Społecznej. W 1990 został przewodniczącym komitetu wyborczego Lecha Wałęsy w Porozumieniu Centrum.

W wyborach parlamentarnych w 1991 uzyskał mandat posła na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum w okręgu płocko-skiernewickim.

Paweł Kotlarski – jeden z trojga (obok Danuty Wierzbickiej i Cezarego Piaseckiego) lekarzy w naszym gronie i jedna z osób które w największym stopniu przyczyniły się do powstania zarówno klubu, jak i partii RdR. W latach 80. działał w NZS, później w niezależnym ruchu wydawniczym (w ramach Porozumienia Prasowego „Solidarność Zwycięży”). W 1984 założył opozycyjne pismo „Solidarni-Konin”. Prowadził akcje ulotkowe i kolportaż, był przez

funkcjonariuszy SB represjonowany i karany za swoją działalność opozycyjną w ramach drugiego obiegu wydawniczego. W 1989 został członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W tym samym roku powołano go na wiceprzewodniczącego tymczasowego zarządu regionu NSZZ „Solidarność”. Stał na czele struktur wojewódzkiego i miejskiego konińskiego Komitetu Obywatelskiego. Zasiadał w Naczelnej Radzie Politycznej PC.

W wyborach parlamentarnych w 1991 uzyskał mandat posła na Sejm I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum w okręgu konińsko-sieradzkim. Pracował bardzo aktywnie w Sejmie m.in. nad projektem ustawy o Radiofonii i Telewizji. W późniejszym okresie był założycielem prywatnego „Radia Konin”.

Edmund Krasowski – niezwykle sympatyczny i życzliwy kolega. Od 1981r. bardzo mocno zaangażowany w działalność NSZZ „Solidarność”, w latach 1985–1986 był represjonowany więziony w związku z działalnością podziemną związku. W 1989 został kierownikiem biura tymczasowego zarządu regionu NSZZ „S” w Gdańsku.

Sprawował mandat posła na Sejm X kadencji z ramienia Komitetu Obywatelskiego i I kadencji z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum. W 1992 przeszedł z PC do Ruchu dla Rzeczypospolitej.

Jako poseł X kadencji był inicjatorem i uczestnikiem pierwszego po 1945 cywilnego rejsu polskiego jachtu przez Zalew Wiślany i Cieśninę Piławską, co ze względu na status tych wód i postawę strony sowieckiej (rosyjskiej) było zupełnym ewenementem i miało symboliczny wymiar – przełamania wieloletniej blokady. Jeszcze w Sejmie kontraktowym X kadencji, podobnie jak dwaj inni posłowie solidarnościowi – Roman Bartoszcze i Czesław Nowak, występował bardzo stanowczo domagając się wyjaśnienia i rozliczenia afery FOZZ.

Stanisław Węglowski – W latach 1980–1981 był aktywnym działaczem „Solidarności”. Zorganizował komisję zakładową Związku w Biurze Geodezji w Ciechanowie i został wybrany na przewodniczącego komisji zakładowej. Był wiceprzewodniczącym NSZZ „S” w Ciechanowie i współprzewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Porozumiewawczej.

W 1989 kandydował do Sejmu z ramienia Komitetu Obywatelskiego w okręgu ciechanowskim i z bardzo dobrym wynikiem został posłem na Sejm X kadencji. Należał do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, w 1990 stał na czele wojewódzkiego sztabu wyborczego Lecha Wałęsy w Ciechanowie.

Przystąpił do Porozumienia Centrum, w wyborach w 1991 kandydował z listy Porozumienia Obywatelskiego Centrum w okręgu ciechanowsko-łomżyńsko-ostrołęckim, uzyskując mandat posła na Sejm I kadencji. Był przewodniczącym sejmowej Komisji Polityki Przestrzennej, Budowlanej i Mieszkaniowej, inicjatorem i organizatorem I Kongresu Mieszkaniowego, członkiem Komisji Łączności z Polakami za Granicą. Należał do Rady Ekonomicznej przy prezesie Narodowego Banku Polskiego.

W 1992 opuścił Porozumienie Centrum, stając się jednym ze współzałożycieli Ruchu dla Rzeczypospolitej Jana Olszewskiego. Na wiosnę 1994 kongres nadzwyczajny RdR wybrał go na przewodniczącego.

Danuta Wierzbicka – osoba wielkiej kultury – znakomicie wykształcona – lekarz i jednocześnie doktor nauk humanistycznych w dziedzinie historii kultury antycznej, znająca biegle grekę klasyczną, łacinę, francuski, niemiecki.

Należała do Polskiego Związku Zachodniego i została wybrana do Sejmu I kadencji ze wspólnej listy Związku i KPN. Po 4 czerwca 92 roku zdecydowała się przystąpić do RdR.

Znakomicie reprezentowała nasz klub pracując w Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych oraz prezentując stanowiska klubu na posiedzeniach plenarnych m.in. w sprawie projektu uchwały sejmu zobowiązującej rząd H. Suchockiej do energicznego domagania się od Rosji odtajnienia i przekazania Polsce najistotniejszych dla naszej historii dokumentów.

Byliśmy więc, moim zdaniem, bardzo ciekawą grupą silnych i utalentowanych, dobrze przygotowanych do roli parlamentarzystów osobowości, które znalazły wspólne mocne ideowe fundamenty i podzielały wizję w pełni niepodległej, uwolnionej od stygmatu i obciążeń PRL-u, Polski przyszłości.

Oto fragmenty naszej pierwszej deklaracji programowej z 17 września 1992 roku. Cytuję za A. Anusza „Osobistą Historią Porozumienia Centrum” – wydanie drugie, str.420–423:

„Współdziałanie i integracja środowisk chrześcijańsko-demokratycznych, chrześcijańsko-narodowych, ludowych, patriotyczno-niepodległościowych i konserwatywnych w celu przeciwstawienia się zagrożeniom stojącym dzisiaj przed Polską jest koniecznością – wyrazem odpowiedzialności za przyszłość Narodu i Państwa.

Tworzymy koalicję polityczną opartą na ugrupowaniach, których celem jest usunięcie tych zagrożeń, budowa silnego demokratycznego Państwa Polskiego opartego na solidarności społecznej, na samorządności lokalnej i środowiskowej, Państwa w którym urzeczywistni się wolność i godność, w którym gospodarka rynkowa będzie podstawą aktywności i pomysłowości obywateli – Rzeczypospolitej wolnej od dziedzictwa PRL-u.(...)

Koniecznym elementem przemian jest gruntowna przebudowa systemu prawnego obciążonego totalitarnym rodowodem. Początkiem tego procesu winno być szybkie uchwalenie nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej opartej na wartościach chrześcijańskich która:

- przesadzi demokratyczny charakter ustroju państwowego, rynkowy charakter gospodarki, zagwarantuje prawo własności prywatnej, zapewni godność pracy i ochronę najsłabszych;*
- zapisze katalog nienaruszalnych praw ludzkich oraz wolności gwarantujących każdemu obywatelowi równość szans uczestnictwa w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym;(…)*

Opowiadamy się za partnerską obecnością Polski w Europie Ojczyzn, za przyszłym uczestnictwem we Wspólnotach Europejskich i NATO. Dla bezpieczeństwa Polski istotna pozostaje trwała obecność polityczna Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Europie (...).”

Czas po 10 lipca 92 r. czyli po powołaniu rządu H.Suchockiej nie był dla nas łatwym okresem – mimo, że powołaliśmy nasz klub parlamentarny i nasz głos nie mógł być w Sejmie formalnie pomijany, to jednak zaplecze polityczne rządu – a przede wszystkim jego polityczni liderzy – głównie z UD i KLD –

tak jak np. J.M. Rokita – wprost grozili nam jako „opozycji antypaństwowej” i robili wszystko by nasze środowisko polityczne izolować, eliminować z mediów, a także dezintegrować używając do tego administracji rządowej, a także siły aparatu służb specjalnych. Jaskrawym przejawem tego była m.in. afera inwigilacji prawicy. Jak wynika ze znanych dziś dokumentów zachowanych z tamtego okresu, dotyczących działań MSW i WSI, tak jak to opisywałem już także we wcześniejszych częściach wspomnień, ówczesny rząd używał przeciwko nam jako legalnej, parlamentarnej opozycji, nie tylko zomo – dla rozbijania demonstracji odbywanych w rocznicę obalenia rządu Jana Olszewskiego – ale także oficerów UOP i WSI, którzy prowadzili inwigilację i starali się skłócać i rozbijać środowiska centroprawicy. Typowym przykładem tego rodzaju działań było także włamanie do naszych (Anusza, Piesiewicza i mojego) biur poselskich RdR w Al. Ujazdowskich – nie ukradziono pieniędzy, żadnych przedmiotów stanowiących jakakolwiek wartość – zabrano wyłącznie wszystkie twarde dyski naszych komputerów, które znalazły się potem w słynnej „szafie płk. Lesiaka”.

Rząd Suchockiej od samego początku starał się działać „ręka w rękę” z Wałęsą, tak aby jak najdłużej unikać z nim konfliktu, co mogło się wydawać zrozumiałe, gdyby nie to jak daleko ów „kompromis” z prezydentem miał być posunięty. Został wyrażony w przygotowanym głównie pod dyktando UD i Geremka w projekcie tzw. „Małej Konstytucji”. Był to dokument stanowiący bezprzykładny akt kapitulacji Parlamentu wobec belwederu – jego istotą było oddanie prezydentowi, uzurpowanych do tej pory „prawem kaduka”, a raczej Falandysza, kompetencji do ingerowania w skład i sposób działania rządu. Powołanie ministrów na owe resorty „prezydenckie” – czyli MON, MSZ i MSW możliwe było „po zasięgnięciu opinii” prezydenta, co w praktyce oznaczało uzyskanie jego zgody albo wprost akceptację popieraną przez niego kandydatów. Prezydent miał też możliwość samodzielnego zwoływania Rady Ministrów i nowe uprawnienia do rozwiązania Sejmu po uchwaleniu wotum nieufności dla rządu. Ponadto osłabieniu uległa ustrojowa pozycja Senatu, którego poprawki miały być odtąd odrzucane bezwzględnie, a nie jak dotąd kwalifikowaną 2/3 większością głosów w Sejmie. Ustawa konstytucyjna była napisana w pośpiechu i w wielu miejscach nieprecyzyjna, co stało się także

pośrednią przyczyną rozwiązania Sejmu przez Wałęsę w 1993 r. przed upływem pełnej kadencji.

Byliśmy jako KP RdR zdecydowanie przeciwni przyjęcie tego rodzaju „protezy” ustrojowej, dlatego, że utrzymywała ona niejasny i osłabiający parlament podział kompetencji i wzmacniała nadmiernie pozycję Wałęsy. Nie był to ani system prezydencki, ani kanclerski ani parlamentarno-gabinetowy – był to po prostu dokument stanowiący zapis doraźnego, kulawego kompromisu politycznego ówczesnego układu politycznego dzielącego się władzą. Uważaliśmy, że pierwszy sejm polski od przedwojnia, wybrany w demokratycznych wyborach, powinien zdobyć się na uchwalenie pełnowymiarowej Konstytucji RP – nawiązującej do tradycji ustrojowej I i II Rzeczypospolitej oraz ideowych inspiracji społecznej nauki Kościoła i spuścizny „Solidarności”.

Uchwalenie „Małej Konstytucji” 17 października 1992 r. nie obyło się też bez skandalu...

Otóż w dniu głosowania byłem sekretarzem Sejmu odpowiedzialnym za niejako zbiorcze zliczanie głosów, na podstawie głosów liczonych na sali przez posłów sekretarzy... Nie głosowano tej ustawy konstytucyjnej za pomocą urządzeń elektronicznych, ale posłowie głosowali przez podniesienie ręki, a każdy sektor sejmowy był liczony przez oddelegowanego do tego sekretarza... Wynik głosowania podany przez Marszałka był taki, że głosów za uchwaleniem małej konstytucji pod zaledwie 3 ponad wymaganą większość 2/3, lecz już podczas zliczania głosów liczonych przez sekretarzy z poszczególnych sektorów sali sejmowej, powstały zasadnicze wątpliwości co do poprawności wyników... Zdecydowałem się wystąpić z protestem – z mównicy poddałem w wątpliwość wynik głosowania i oświadczyłem, że nie podpiszę protokołu głosowania. Dlaczego...? Otóż w trakcie liczenia głosów okazało się, że niektóre osoby z sektora zajmowanego przez UD – m.in. premier Suchocka – zostały policzone niejako podwójnie – w sektorze gdzie siedział rząd i w sektorze gdzie mieli swe miejsca poselskie. **Stwierdzono po prostu, że w sektorze UD „za” głosowało tyle osób ile było maksymalnie miejsc. Na kasecie z mediateki sejmowej widać było wyraźnie, że niektóre miejsca w tym sektorze były puste w chwili głosowania. Mało tego – zgodnie z listą obecności na obradach tego dnia kilku posłów z tego sektora było nieobecnych... Dziesięciu posłów KPN**

złożyło na moje ręce pisemne oświadczenia o tym że głosowali wstrzymując się od głosu – co nie zgadzało się z liczbą wstrzymujących się podaną przez Marszałka... i zasadniczo zmieniało wynik!!!!... W sumie wynikało z tego, że projekt nie uzyskał wymaganej większości 2/3 głosów... „Uzbrojony” w oświadczenia posłów KPN, listę obecności podpisaną przez posłów tego dnia oraz taśmę z sejmowej mediateki, wspólnie z Andrzejem Anuszem zorganizowałem konferencję prasową... Przyszli dziennikarze wszystkich mediów pracujący w Sejmie – dostali od nas wszystkie informacje o nieprawidłowości tego głosowania wraz z w/w dowodami, które to bezsprzecznie potwierdzały. Złożyliśmy jako grupa posłów formalny protest w tej sprawie do Prezydium Sejmu, przekazując to do wiadomości Prezydenta, Marszałka Senatu a nawet Prezesów SN i TK... **W normalnym kraju i normalnym systemie demokratycznym wszystkie media podawałyby takie informacje przez kilka dni, a odpowiednie organy Państwa czułyby się zobligowane przynajmniej do sprawdzenia sformułowanych oficjalnie przez posłów zarzutów i wdrożenia postępowania wyjaśniającego, włącznie z przynajmniej rozważeniem powtórzenia zakwestionowanego głosowania w sprawie tak fundamentalnej jak uchwalanie ustawy konstytucyjnej...** Nie stało się dosłownie nic... Nie zwołano nawet konwentu seniorów, ani Prezydium Sejmu... Żadna z gazet ani telewizja nie poinformowała o tym zdarzeniu... nasz protest – formalnie złożony przez kilkudziesięciu posłów – mimo naszych sprzeciwów – został po prostu zignorowany... Pamiętam, że dzwoniłem wtedy do Prezesa TVP, którym po odwołaniu Zbigniewa Romaszewskiego, od niedawna i ponownie z „nadania” Wałęsy, był wtedy Janusz Zaorski... Dopiero po kilku moich próbach był łaskaw odebrać telefon od posła RP... **Na moje pytanie jakim prawem TVP mimo obecności w Sejmie oraz uczestnictwa i nagrania naszej konferencji prasowej nie podaje nawet skrawka informacji w sprawie tak ważnej jak udokumentowane zarzuty poselskie co do sfalszowania głosowania na małą konstytucję... zaczął coś belkotać o misji telewizji publicznej ...i powiedział mi że.... jako poseł wykonuję... brutalny nacisk polityczny na wolne media (sic!!!)**

Taką mieliśmy wtedy... „demokrację” i „wolne media”... „Układ Magdaleny” działał w najlepsze i najwyraźniej uznał, że „mała konstytucja” musi

zostać przyjęta za wszelką cenę nawet „po trupie” prawa, kultury demokracji i elementarnej przyzwoitości.

Kolejny ciekawy wątek pokazujący ówczesne realia i warunki w których przeszło nam działać i wypełniać mandat poselski, to historia dalszego ciągu „epopei lustracyjnej”. Należałoby to raczej nazwać historią politycznej dintojry magdalenkowo – czekiszczakowej większości nad autorami lustracji i odpowiedzialnymi za wykonanie uchwały Sejmu członkami rządu Jana Olszewskiego, w postaci powołania i działalności haniebnej „komisji do badania wykonania przez Ministra Spraw Wewnętrznych uchwały Sejmu RP z dnia 28 maja 1992 r.” nazwanej później komisją Ciemniewskiego...

Tak jak możemy przekonać się podczas lektury wielokrotnie cytowanych przeze mnie w poprzednich częściach moich wspomnień autorów II wydania kultowej pozycji „Konfidencki”, komisja ta powołana została w taki sposób by **przeciwnicy lustracji mieli w niej zdecydowaną większość. Od razu zrezygnowano z tego co było zasadniczym celem powołania Komisji przez Sejm i jej podstawowym obowiązkiem** – czyli zbadania i weryfikacji zasadności umieszczenia osób figurujących w wykazie współpracowników UB i SB przekazanej przez szefa MSW A. Macierewicza Sejmowi 4 czerwca 1992 r. Stało się tak, mimo tego, że komisja miała pełny dostęp do wszystkich materiałów archiwalnych UB i SB które stanowiły podstawę do sformułowania tej listy osób – tajnych współpracowników tych instytucji.

Jej celem szybko okazało się to, co zastało sformułowane wcześniej, w oświadczeniu politycznym przedstawionym w Sejmie przez kluby parlamentarne Polskiego Programu Gospodarczego, Kongresu Liberalno-Demokratycznego, Unii Demokratycznej i Unii Pracy – które stawiając się w roli samowłańczych prokuratorów, domagały się odpowiedzialności konstytucyjnej i karnej premiera Olszewskiego i ministra Macierewicza. Chodziło o to by wytworzyć papiery stanowiące podstawę do postawienia tych ludzi przed sądem za to, że wykonali obowiązek nałożony przez uchwałę Sejmu i że ośmielili się naruszyć interesy układu licencjonowanej byłej opozycji – w sporej części agentury komunistycznej z ich komunistycznymi czekiszczakowymi oficerami prowadzącymi i jednocześnie obecnymi politycznymi sojusznikami. Komisja

zakończyła prace już w lipcu 1992 r. Tylko owa próba zemsty za lustrację – czyli oskarżenia pod adresem premiera i ministra SW – ujrzała światło dzienne w postaci oficjalnie opublikowanego „sprawozdania komisji”. Większość materiałów z prac komisji ostała utajniona na wiele lat – dopiero zarządzeniem Prezesa IPN z 2015 roku utajnione materiały komisji udostępnione zostały badaczom i historykom.

Trzeba jednak podkreślić że spośród 26 członków komisji trzech – Jan Piątkowski i Stanisław Zajac (obaj ZChN) oraz Stefan Pastuszewski (Chrześcijańska Demokracja) wniosło wnioski mniejszości do konkluzji komisji, a posłowie Lech Pruchno-Wróblewski (UPR) Lech Kaczyński (PC), Alojzy Pietrzyk („S”) i Artur Balazs (Porozumienie Ludowe) wnieśli vota separata, poddając wnioski komisji druzgoczącej krytyce prawnej i wskazując na rażącą tendencyjność, nierzetelność wniosków komisji działającej pod z góry założoną tezę i nie wykonującej swego podstawowego zadania czyli zbadania dokumentacji archiwalnej UB i SB.

Trzeba powiedzieć, że koniec końców, cele komisji Ciemniewskiego nie zostały osiągnięte, bo choć proces karny Antoniego Macierewicza rozpoczęty w 1993 r. ciągnął się 7 lat, to zakończył się sukcesem oskarżonego, a prace nad lustracją nie zostały zahamowane bo jeszcze we wrześniu 1982 roku musiała zostać powołana specjalna podkomisja sejmowa ds. lustracji dla rozpatrzenia 5 poselskich i 1 senackiego – projektów ustaw lustracyjnych.

Do komisji Ciemniewskiego nie mogliśmy zostać powołani – wtedy klub RdR jeszcze nie istniał, natomiast do podkomisji lustracyjnej zostałem już delegowany przez nasz klub i powołany przez Sejm. Mimo stałego przeciwdziałania i nękania nas przez „magdalenkową” większość, prace nad lustracją w tej komisji wspominam bardzo dobrze – zwłaszcza współpracę z posłami klubu „Solidarności”, w szczególności dobre współdziałanie z posłem Janem Kulasem, z którym także byliśmy współautorami i współ-wnioskodawcami projektu ustawy o ograniczeniu działalności gospodarczej osób pełniących funkcje publiczne (pierwsze projekty regulacji antykorupcyjnych w III RP).

Oto fragmenty naszego stanowiska klubowego w debacie nad projektami ustaw lustracyjnych, które przygotowywałem i miałem zaszczyt prezentować.

Przytaczam bezpośrednio fragment z protokołu posiedzenia sejmu za archiwum sejmowym :

„1 kadencja, 23 posiedzenie, 3 dzień (05.09.1992)

4 punkt porządku dziennego:

Pierwsze czytanie:

- 1) poselskiego projektu ustawy lustracyjnej (druk nr 386);*
- 2) poselskiego projektu ustawy o warunkach zajmowania niektórych stanowisk publicznych w Rzeczypospolitej Polskiej (druk nr 394);*
- 3) poselskiego projektu ustawy o trybie sprawdzania i ujawniania okoliczności dotyczących współpracy z organami Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Służby Bezpieczeństwa oraz z innymi służbami specjalnymi osób pełniących lub ubiegających się o pełnienie publicznych funkcji państwowych (druk nr 399);*
- 4) poselskiego projektu ustawy o lustracji (druk nr 406);*
- 5) poselskiego projektu ustawy o warunkach wstępnych zajmowania niektórych stanowisk w Rzeczypospolitej Polskiej (druk nr 423);*
- 6) senackiego projektu ustawy o warunkach wstępnych zajmowania niektórych stanowisk w Rzeczypospolitej Polskiej (druk nr 417).*

Posel Piotr Wójcik:

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Pytanie, na które dziś mamy odpowiedzieć, nie jest pytaniem tylko o to, czy będzie można dziś, w wolnej Polsce być posłem, senatorem, wojewodą albo też pełnić inne funkcje publiczne, jeżeli w czasach komunistycznej przeszłości współpracowało się z narzuconą narodowi władzą totalitarną, z jej aparatem przemocy, współtworzyło antydemokratyczny i antynarodowy system państwowy PRL. Nie jest to także wyłącznie pytanie o potrzebę swoistej spowiedzi powszechnej, rozrachunku z przeszłością albo też moralnej oceny postaw i działalności osób, które są obecne na dzisiejszej scenie politycznej, nie jest to także pytanie, na które odpowiedzią może być udzielenie moralnej satysfakcji i zadośćuczynienie poczuciu sprawiedliwości milionów Polaków, którzy przez lata zmuszeni byli żyć w państwie, które było wobec nich państwem wrogim, państwem niesprawiedliwości, państwem krzywdy, państwem, w którym życie przypominało jakże często permanentne odbywanie wymierzonej bezprawie kary ograniczenia wolności. Dyskusja, którą dziś prowadzimy, jest dla mojego

klubu próbą dania odpowiedzi polskiemu społeczeństwu na te wszystkie pytania łącznie, ale przede wszystkim na pytanie najważniejsze, na pytanie o przyszłość Polski: o szansę budowy i kształt demokracji w Polsce, o szansę na normalność w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym, o to, czy taki proces w Polsce nabierze wreszcie właściwej dynamiki.

Po 3 latach tego, co mieliśmy do tej pory, czyli nieskoordynowanych prób przemalowywania tego, co odziedziczyliśmy po PRL, postulat konieczności przeprowadzenia lustracji i właściwie – szerzej – określenia warunków niezbędnych do zgodnego z interesem narodu i państwa sprawowania funkcji publicznych, jest kwestią dla Ruchu dla Rzeczypospolitej zupełnie zasadniczą, (...).

Chodzi w równej mierze o to, czy będzie możliwe zapanowanie nad chaosem, korupcją, wyniszczeniem gospodarki przez nieformalne układy dawnych postkomunistycznych i nowych elit władzy. Przebudowa ustrojowa i gospodarcza, wskutek której ogromne straty ponosi nasze społeczeństwo, musi być wreszcie efektywna. Chodzi właśnie o to, aby przebieg tego procesu uwiarygodniał, a nie kompromitował rodzącą się demokrację, a takie niebezpieczeństwo istnieje, jest ono bardzo wyraźne, grozi rozwiązaniami autorytarnymi. Nie może być tak, aby w sprawach najważniejszych dla międzynarodowej pozycji i bezpieczeństwa państwa o kierunkach rozwoju gospodarczego, o administrowaniu krajem, wymierzaniu sprawiedliwości decydowali w Polsce ludzie uzależnieni w przeszłości od służb specjalnych państwa totalitarnego, mogący łatwo zostać poddani szantażowi, wpływowi ze wewnętrznym zmuszającym do agenturalnej współpracy. I na pewno nie mogą również dać gwarancji zgodnego z interesem państwa i narodu sprawowania tych funkcji ludzi, którzy w przeszłości czerpali korzyści z aktywnego współtworzenia – łamiącego prawa człowieka, pauperyzującego społeczeństwo, niszczącego gospodarkę – systemu państwa bezprawia. Za przestanki zasadnicze pełnienia funkcji publicznych w suwerennej Polsce należy uznać zagwarantowanie bezpieczeństwa państwa, sprostanie wymogom moralnym oraz spełnianie warunków posiadania kwalifikacji fachowych przez osoby dające rękojmię działania w sferze publicznej wyłącznie w interesie wspólnego dobra.

Klub Parlamentarny "Ruch dla Rzeczypospolitej" będzie w pracach nad projektami ustaw popierać te rozwiązania, które proponują, by pełnienie szeroko określonego katalogu funkcji publicznych uzależnione było od spełnienia warunków

wstępnych, i to określonych znacznie szerzej niż tylko tak, że przeszkodą do sprawowania tych funkcji jest fakt bycia w przeszłości funkcjonariuszem czy współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa, Służby Bezpieczeństwa czy informacji wojskowej. Określenie tych przeszkód powinno obejmować również fakt pełnienia w przeszłości funkcji w aparacie partyjnym, w cenzurze, w Urzędzie do Spraw Wyznań i innych instytucjach państwa totalitarnego odpowiedzialnych za politykę fizycznego i moralnego zniewolenia społeczeństwa. (...) Ustawa powinna zagwarantować w sposób nie budzący wątpliwości pewność i nieuchronność przeprowadzenia procesu lustracji.

W związku z powyższym opowiadamy się za takimi rozwiązaniami, które zakładają przeprowadzenie lustracji przez powołane do tego organy przede wszystkim z urzędu. Złożenie oświadczeń i odpowiednich zaświadczeń o niewystępowaniu określonych ustawą przeszkód stanowić powinno warunek wstępny sprawowania funkcji publicznych. (...) Odpowiedzialność za złożenie nieprawdziwych oświadczeń określona być powinna analogicznie do odpowiedzialności za fałszywe zeznania. (...)

Członkowie organu lustracyjnego powinni być niezawisli w sprawowaniu swego urzędu i podlegać jedynie ustawom, podobnie jak sędziowie.

Procedura postępowania lustracyjnego powinna być więc dwuinstancyjna z odpowiednim zastosowaniem przepisów postępowania administracyjnego. Klub Parlamentarny „Ruch dla Rzeczypospolitej” szczególnie naciska kładzie na rozwiązanie kwestii prawa dostępu wszystkich obywateli do dotyczących ich akt UB i SB. Uważamy, że gwarancje ustawowe prawa dostępu do tych informacji są niezbędne jako podstawowe zabezpieczenie elementarnych praw człowieka i obywatela. Do tej pory tych rozwiązań po prostu nie ma. Tkwimy ciągle w systemie państwa totalitarnego. (...)

Otóż nie zgadzamy się na takie rozwiązanie, które prowadzi do uznania wyższości prawa ochrony tajemnicy donosu przed ewentualnym jego naruszeniem nad prawem do informacji i ochrony praw osobistych tych, którzy przez wszechwładne MSW byli inwigilowani i represjonowani. Takie rozumowanie to nie tylko nazywanie czarnego białym, to po prostu absurd. Dlatego właśnie zdecydowanie będziemy bronić tych propozycji uregulowań, które będą gwarantować prawo dostępu obywateli do akt MSW ich dotyczących. (...) Będziemy popierać rozwiązanie

wyodrębnienia z MSW akt archiwalnych dawnej SB i UB i powołania specjalnego państwowego archiwum lustracyjnego.

Wysoka Izbo! Podsumowując chcę powiedzieć, że sposób rozwiązania sprawy lustracji i dekomunizacji to dla nas, dla Klubu Parlamentarnego RdR, swoisty test polskiej elity politycznej. Test na wiarygodność, test na to, czy reformy demokratyczne w Polsce nie zatamią się i nie skompromitują demokracji dlatego, że elita polityczna nie potrafi zerwać z takim porządkiem spraw publicznych, który prowadzi do utrzymywania swoistego układu, który można by nazwać „magdalenkowym porządkiem”. Ten porządek właśnie obowiązuje teraz, ciągle. Strony tego kontraktu, stare elity postkomunistyczne i część byłej opozycji, często od komunizmu uzależniona i przez ten system w dużym stopniu licencjonowana, zafundowała nam scenariusz tzw. ewolucyjnej transformacji. Scenariusz ten do tej pory prowadzi po prostu do wyprodukowania quasi demokratycznej mutacji PRL, państwa przejściowego, słabego, w którym dawni właściciele polski ludowej i ich kontrahenci, tworząc wspólnie swoistą polityczno-gospodarczą oligarchię, eksploatują stan kryzysu państwa i gospodarki, dbają głównie o utrzymanie zdobytych pozycji. W zupełnie cyniczny i bezczelny sposób wykorzystują zadziwiającą odpowiedzialność, cierpliwość systematycznie pauperyzowanego, ponoszącego wszystkie skutki tej operacji społeczeństwa.”

Prace nad lustracją w sejmie I kadencji nie zostały niestety zakończone przyjęciem rozwiązania ustawowego, głównie z powodu rozwiązania sejmu przez Wałęsę długo przed upływem normalnej kadencji. Oczywiście istniało duże prawdopodobieństwo tego, że ustawa zostanie przyjęta w formie dalece niezadawalającej, tzn. pominie np. prawne rozwiązania dekomunizacyjne, ale i tak, wydaje mi się, że mieliśmy szansę na przyjęcie rozwiązań daleko lepszych niż te, które przyjął zdominowany przez postkomunę Sejm II kadencji.

Na koniec tego wątku jeszcze tylko mała anegdota, ilustrująca jednak moim zdaniem prawdziwie, delikatnie rzecz ujmując, niełatwe warunki naszego ówczesnego działania...

Podczas prac podkomisji lustracyjnej niejaki Jaskiernia – przedstawiciel komunistycznej, za przeproszeniem, „jurysprudencji” z Krakowa (późniejszy nawet, „pozał się boże”, minister sprawiedliwości w rządzie Oleksego – tajnego

współpracownika SB – „Olinia”) zaproponował podczas dyskusji o definicji ustawowej pojęcia tajnego współpracownika własną definicję tego pojęcia... Zacząłem się uważnie przysłuchiwać jego wynurzeniom, bo z chwili na chwilę sytuacja zaczęła się robić kuriozalna... – coraz bardziej komiczna... Otóż Jaskiernia – sam występujący na „liście Macierewicza” jako esbecki tewulec pod pseudonimem „Prym” – zaczął dowodzić, że jako tajnego współpracownika należy w projektowanej ustawie uznać tylko taką osobę, która łącznie spełnia następujące dwa warunki tj. ...co do której w archiwach SB zachowały się oryginalne „teczki pracy” – czyli zawierające oryginały donosów, zeznań i informacji dostarczanych przez tewulca oraz oryginały podpisanych przez niego pokwitowań odbioru pieniędzy.... Dużą część posłów uczestniczących w posiedzeniu bezczelność i zupełnie jawne poczucie bezkarności Jaskierni kompletnie zaskoczyło... zamurowało ich po prostu... W posiedzeniu komisji uczestniczyli również „eksperci” zaproszeni przez prezydium komisji, a także przez panie oficer MSW (z bardzo długim stażem jeszcze w PRL-u, stanowiące etatowa obsługę np. komisji MSW, teraz obsługujące też naszą podkomisję). Pamiętam, że „eksperci” siedzieli na specjalnym „proscenium” spoglądając „z góry” na poselską „gawiedź”. Wszyscy w takich samych szaroburych garniturkach, mordy kartoflane, podobni – jak „z metra cięci” – na kilometr widać, że wszystko stare ubeckie trepy... Ponieważ ich widok mnie wk....ł, a wynurzenia Jaskierni – z drugiej strony – zaczęły mnie po prostu śmieszyć, wstałem, zabrałem głos i oświadczyłem że domagam się odpowiedzi i informacji wprost od „ekspertów”. Zapytałem czy „panowie oficerowie” mogliby łaskawie wyjaśnić posłom czy mieli okazję niszczyć dokumentację TW „Pryma” w tym oryginały z teczek pracy i pokwitowania odbioru pieniędzy, czy też, jeśli nie oni, to kto konkretnie je niszczył, kiedy i na czyj rozkaz... Po chwili na sali zapanował chaos, oburzone fukania rywalizowały z wybuchami śmiechu... dłuższy czas przewodniczący obradom nie mógł zapanować nad salą... Oczywiście panowie „eksperci” zamiast udzielić odpowiedzi- choćby przeczącej – długo coś bełkotali o przepisach, tajności dokumentów itd. Pouczali ex- cathedra wszystkich o ogromnej wadze tajemnicy państwowej w tych sprawach, prezentując oczywiście święte oburzenie na prowokacyjne pytania niektórych posłów. Ogłoszono przerwę... Pracowaliśmy wtedy chyba w jednej z sal kancelarii senackiej...

W tych czasach na korytarzach parlamentarnych stały popielniczki i mona było palić... Wyszedłem na papierosa, zaciągam się ...a tu podchodzi do nie jeden z owych „ekspertów” z przyklejonym niewyraźnym uśmiechem i pyta czy mogę go poczęstować... Machinalnie wyciągnąłem fajki i przypaliłem mu... Po chwili zaczyna, z wdziękiem salonowca z piździkowa, coś do mnie zgadywać, że to ja taki młody, zapalczywy i odważny, stawiam takie trudne i dociekliwe pytania... Ponieważ nie podjąłem rozmowy patrząc na niego jak na idiotę, zgasił zaraz papierosa i odchodząc, scenicznym szeptem rzucił do mnie...Wie Pan ...panie pośślee, że jest u nas takie dobre polskie przysłowie...o tym że zbytnia ciekawość... to do piekła prowadzi...

Takich oto właśnie mieliśmy... życzliwych ...,„ekspertów” w komisji ds. lustracji i nie tylko...

Jako sekretarz klubu parlamentarnego oprócz spraw organizacyjnych w Sejmie – m.in. stałego reprezentowania nas w konwencie seniorów, co robiłem zastępując Jana Olszewskiego, miałem za jedno z najważniejszych zadań organizowanie zespołów ekspertów dla prac programowych i wsparcia przygotowania projektów ustaw i wystąpień klubowych.

W pewnym stopniu wspierali nas byli członkowie rządu i eksperci rządowi ekipy Jana Olszewskiego. W szczególności w sprawie przygotowania konkretnych inicjatyw ustawodawczych, które dotyczyły reformy administracji gospodarczej państwa, powołania instytucji Skarbu Państwa i prokuratury generalnej oraz wprowadzenia nowych rozwiązań w sferze prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, reformy emerytalnej powiązanych z realizacją idei powszechnego uwłaszczenia obywateli, musieliśmy podjąć własny merytoryczny wysiłek jako klub.

Udało mi się przekonać do współpracy z nami grupę ekspertów – znakomitych prawników specjalistów prawa cywilnego i handlowego, finansowego i gospodarczego – w większości byli to moi wykładowcy akademicki z wydziału prawa i administracji Uniwersytetu Warszawskiego oraz znakomici adwokaci oraz eksperci ekonomiczni. Nawiązując oczywiście do koncepcji i prac prowadzonych w ramach rządu Jana Olszewskiego, wraz z tym zespołem eksperckim, przy współpracy kolegów z klubu RdR, w krótkim czasie udało mi się doprowadzić do powstania projektów ustaw „O Zarządzie Skarbu Państwa” (był to

druk sejmowy nr 817), „O gospodarowaniu składnikami mienia państwowego” (druk nr 818) oraz „O akcjonariacie narodowym” (druk 898). Najkrócej rzecz ujmując – pierwszy z projektów ustaw dotyczył zasad reprezentacji interesów skarbu państwa – i nawiązywał, choć nie wprost, do przedwojennej instytucji prokuratury generalnej, drugi z projektów określał zasady gospodarowania należącymi do skarbu państwa akcjami spółek akcyjnych i udziałami spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, powoływał w tym celu specjalną instytucję – Agencję Mienia Państwowego, trzeci zaś określał zasady powszechnej prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych oraz sposób udostępnienia obywatelom polskim praw do Pracowniczych i Narodowych Funduszy Inwestycyjnych mających powstać z majątku prywatyzowanych przedsiębiorstw. Były to znakomite przemysłane koncepcyjnie i przygotowane prawniczo projekty, stanowiły wtedy nieporównanie lepsze merytorycznie rozwiązanie od forsowanego przez rząd tzw. programu NFI autorstwa liberałów kojarzonego z nazwiskiem Janusza Lewandowskiego. Przede wszystkim nasze projekty miały dużo szerszy zakres i systemowy charakter, instytucjonalizowałyby Skarb Państwa porządkowałyby proces prywatyzacji, dotyczyłyby dużo większej liczby przedsiębiorstw, dawałyby w nim udział pracownikom i wszystkim obywatelom, bez rozpraszania kapitału, wspierałyby proces koniecznej reformy emerytalnej i przekazywały każdemu obywatelowi realną część wartości majątku narodowego. Na tym tle, program NFI dotyczący prywatyzacji tylko ponad 300 przedsiębiorstw państwowych wyglądał (i tak zafunkcjonował w praktyce) jak skok na uwłaszczenie się tym majątkiem układu rządzącego i jego akolitów. To właśnie już wtedy, także w sejmie, kołesie wtajemniczonych dostawali zaświadczenia kursów rad nadzorczych aby móc wchodzić do władz spółek podległych NFI i do samych zarządzających nimi funduszy.

Muszę wspomnieć o kilku najważniejszych osobach ekspertów tworzących te nasze projekty. Zespołowi szefował znakomity cywilista, wieloletni Dziekan Warszawskiej Rady Adwokackiej, zmarły już niestety, śp. mecenas Andrzej Rościszewski (późniejszy w latach 1994–1996 szef-koordynator społecznej komisji konstytucyjnej przygotowującej obywatelski projekt Konstytucji „Solidarności”), a także prawnicy (ówcześni doktorzy nauk prawnych) pracownicy naukowi WPiA UW – Jerzy Modrzejewski, Jacek Krauss, Marek Grzybowski,

ekonomiści – prof. Stefan Kurowski oraz (ówcześni doktorzy nauk ekonomicznych) Dariusz Grabowski i Jerzy Żyżyński (obecnie prof.). Nie potrafię już dziś wymienić wszystkich osób które nas wspierały konsultacjami. Miałem zaszczyt być posłem sprawozdawcą pierwszych dwu projektów, a Kazimierz Barczyk był sprawozdawcą projektu „O akcjonariacie narodowym”. Oczywiście nasze projekty były zwalczane przez rządzącą większość, choć część ekonomistów popierających rząd, jak np. Ryszard Bugaj przyznawało, że mają dużą wartość merytoryczną i należałoby rozważyć przyjęcie tych rozwiązań. Ostatecznie nie weszły niestety w życie.

Oto fragment uzasadnienia projektów zawarty w moim przemówieniu sejmowym – posła sprawozdawcy – cytuję za archiwum sejmowym :

„Pierwsze czytanie poselskich projektów ustaw:

1) o Zarządzie Skarbu Państwa (druk nr 817);

2) o gospodarowaniu składnikami mienia państwowego (druk nr 818).

Posel Piotr Wójcik:

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Mam zaszczyt przemawiać w imieniu wnioskodawców z grupy posłów Ruchu dla Rzeczypospolitej, klubu "Solidarność", koła Akcji Polskiej i rekomendować państwu projekty naszym zdaniem bardzo teraz potrzebne, projekty, które są pierwszą próbą powołania organów tej specyficznej osoby prawnej, jaką jest skarb państwa; chodzi o utworzenie Zarządu Skarbu Państwa i Agencji Mienia Państwowego, czyli wyspecjalizowanego państwowego organu do zarządzania majątkiem państwowym.

W imieniu wnioskodawców i własnym chcę wyrazić szczególnie serdeczne podziękowanie naszym współpracownikom, grupie ekspertów, specjalistów w zakresie prawa cywilnego, handlowego, administracyjnego i finansowego, pracownikom Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego oraz współpracującym z nami członkom warszawskiej Rady Adwokackiej za ogromny wkład pracy w przygotowanie tych projektów.(...)

Podstawowym uzasadnieniem konieczności przyjęcia takich rozwiązań jest potrzeba budowy nowego systemu zarządzania sektorem państwowym, dostosowanego do potrzeb tworzenia gospodarki wolnorynkowej w oparciu o zmianę struktury własności, o upowszechnienie własności prywatnej.

W ostatnich latach, właściwie od rozpoczęcia procesu przemian gospodarczych, od początku 1990 r., nie zaproponowano takich rozwiązań. W założeniach makroekonomicznych polityki Balcerowicza w ogóle pominięto problem zmian systemu zarządzania sektorem państwowym. Próbowano wymusić dostosowanie się przedsiębiorstw do wymogów programu makroekonomicznego, programu stabilizacyjnego, ale działo się to w sytuacji gdy właściwie nie było jakichkolwiek zmian dotyczących struktur wewnętrznych przedsiębiorstwa, jego struktury i organizacji wewnętrznej, bez poprawy jego efektywności i kondycji ekonomicznej. Nie zdecydowano się na masową komercjalizację przedsiębiorstw. Nie zdecydowano się po prostu na szerokie zmiany strukturalne. Skutki programu makroekonomicznego właściwie nie spowodowały zmiany podstaw i konstrukcji prawnej systemu zarządzania sektorem państwowym, przedsiębiorstwem państwowym, a jednocześnie zlikwidowano dotychczasowe instytucjonalno-polityczne postępowanie otoczenie, w jakim te przedsiębiorstwa działały, które właściwie stanowiło siłę napędową tego całego systemu. Jednocześnie rząd, a za nim organy założycielskie, zrezygnował z administracyjnego ingerowania w działalność przedsiębiorstwa państwowego, zlikwidowano również pośrednie szczeble zarządzania sektorem państwowym.

Zbieg tych wszystkich okoliczności spowodował atomizację, w ogóle rozpad struktur sektora przedsiębiorstw państwowych na wiele grup. Praktycznie uniemożliwiało to realne wykonywanie nadzoru właścicielskiego i funkcji właścicielskich przez państwo i prowadzenie jakiegokolwiek spójnej, generalnej polityki na poziomie przedsiębiorstwa państwowego. Rozpadł się po prostu system zarządzania tym sektorem, nie zaproponowano nowego. Rozpad starego systemu i łączący się z tym chaos, spotęgowany narastaniem recesji, wywołały procesy rozkładu struktur wewnętrznych przedsiębiorstwa, których skutkiem były zjawiska o charakterze patologicznym, aferowym, bezprawne przejmowanie majątku państwowego – po prostu narastanie anarchii gospodarczej.

Zmiany, polegające na próbie nadania innej roli i funkcji Ministerstwu Przekształceń Własnościowych, które miałyby kłaść nacisk na przyspieszenie komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw, a zatem w coraz większym stopniu musiałyby przejmować zadania bezpośredniego zarządzania majątkiem państwowym, a także próby fragmentarycznych eksperymentów, czyli wprowadzanie nowych form zarządzania, takich jak Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa, naszym zdaniem,

nie okazały się wystarczające. Po prostu nie było całościowej propozycji nowego sposobu zarządzania sektorem państwowym. Dlatego, naszym zdaniem, potrzebne jest wprowadzenie regulacji prawnych instytucjonalizujących skarb państwa, tworzących nowy model zarządzania sektorem państwowym.

Podstawowe założenia i cele, które legły u podstaw pracy nad tymi projektami, to przede wszystkim próby:

- uporządkowania stosunków własnościowych w sektorze państwowym, przywrócenie właścicielowi, czyli państwu, możliwości skutecznego wykonywania jego uprawnień właścicielskich;*
- oddzielenia administracji państwowej od bezpośredniego zarządzania i nadzoru właścicielskiego nad majątkiem państwowym;*
- oddzielenia instytucji skarbu państwa od budżetu;*
- ścisłego powiązania powstawania tych instytucji (...) z procesem powszechnej prywatyzacji (te instytucje po prostu powinny go przeprowadzać);*
- oraz generalna potrzeba uporządkowania zasad reprezentowania interesu skarbu państwa, ponieważ chaos w tej mierze jest do tej pory ogromny.*

To są jakby te zasadnicze przesłanki, które leżały u podstaw podjęcia prac nad obu projektami.(...)

Chciałbym jeszcze na koniec poświęcić kilka słów jakby aspektowi politycznemu tej całej inicjatywy. Otóż dyskusja nad koniecznością powołania instytucji skarbu państwa trwa w Polsce od początku procesu przemian gospodarczych, właściwie od 3 lat. Do tej pory powstało kilka projektów ustaw, przede wszystkim za rządów premiera Jana Olszewskiego; zresztą te projekty były punktem wyjścia i punktem odniesienia w naszych pracach. Powołanie instytucji skarbu państwa zapowiadała również w swoim exposé pani premier Hanna Suchocka. I tego rodzaju instytucja nie została przez rząd zaproponowana. Myślę, że to jest problem wymagający kilku uwag, po prostu komentarza.

W krajach ościennych, w Niemczech – w byłych landach wschodnioniemieckich – na Węgrzech, w byłej Czechosłowacji proces powszechnej prywatyzacji czy prywatyzacji w ogóle był ściśle związany z powołaniem instytucji, które miały za zadanie zinventaryzować majątek, wykonywać uprawnienia właścicielskie skarbu państwa. W Niemczech już w roku 1990 powołano Urząd Powierniczy, w 1991 r. powstała na Węgrzech Agencja Majątku Państwowego, a w byłej Czechosłowacji

– Narodowy Fundusz Majątku Państwowego. Te wszystkie instytucje były ściśle wkomponowane w proces prywatyzacji. U nas próbuje się wprowadzać rozwiązania prywatyzacyjne bez zinstytucjonalizowania skarbu państwa. Uważamy, że dotychczasowe doświadczenia z prywatyzacją i skala patologii, nieprawidłowości, które uwiadcniają się w tym procesie, stanowią wystarczające uzasadnienie dla konieczności uprzedniego powołania właśnie instytucji skarbu państwa, która by zapewniała właściwą ochronę interesów majątkowych państwa, interesów ogółu obywateli w tym procesie. To jeden z najważniejszych celów i jedno z najważniejszych założeń, jakie przyswiecały nam przy opracowywaniu projektów tych ustaw. Dziękuję za uwagę.”

Jest faktem, że nasze możliwości sprawcze jako klubu parlamentarnego były w sejmie I kadencji mocno ograniczone – czego wymownymi przykładami są losy naszych inicjatyw ustawodawczych. Podobny jednak los spotkał inicjatywy ustawodawcze innych klubów czy kół, w których to projektach byliśmy współ-wnioskodawcami, współpracowaliśmy przy ich powstaniu, a także później procedowaliśmy w komisjach... Dotyczyło to choćby wspomnianego już wcześniej projektu o ograniczeniu działalności gospodarczej osób pełniących funkcje publiczne, czy bardzo zaawansowanego i dobrze przygotowanego projektu ustawy reprivatyzacyjnej (którego byłem współwnioskodawcą) kojarzonego z posłem sprawozdawcą Lechem Pruchno-Wróblewskim. Często udawało się nam, choć mieliśmy tylko 16 mandatów w Sejmie, skłonić do współpracy wielu posłów nie tylko z klubów centroprawicowych ale także np. z PSL. Co ciekawe pozyskaliśmy poparcie praktycznie całej centroprawicy oraz PSL dla kandydatury Zbigniewa Romaszewskiego na szefa NIK (dostał prawie 200 głosów ale niestety nie został wybrany) oraz skutecznie w podobnej konfiguracji udało się nam zbudować poparcie i doprowadzić do wybrania przez sejm naszego kandydata do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – zasłużonego działacza opozycji demokratycznej i „Solidarności” – Lecha Dymarskiego.

Nasz polityczny, sejmowy rok 1993 – szybko okazał się być pod znakiem wzmoczonej aktywności Wałęsy skierowanej na zużycie kolejnego rządu, w charakterze sławnego wałęsowskiego „zderzaka”. Wałęsa realizował po prostu, zapewne nie do końca własny, nie do końca przemyślany, koncept wzmacniania

władzy prezydenckiej kosztem funkcjonowania państwa, prowadzący naszym zdaniem Polskę w kierunku nie poważnego systemu prezydenckiego, lecz raczej w kierunku nieco groteskowej republiki bananowej. Pierwszą próbę „wysadzenia z siodła” Suchockiej podjął Wałęsa przy uchwalaniu budżetu tego rządu. Miał prawie tyle głosów aby ten budżet pogrzebać... Nie udało się wtedy tylko dlatego, że dosłownie bardzo bardzo nieliczna grupa kilku posłów – między nimi Jan Olszewski i Andrzej Anusz, przewidując, że Wałęsa może doprowadzić do nieuchwalenia budżetu po to by móc rozwiązać parlament, wstrzymało się od głosu zamiast, tak jak normalnie robi opozycja, głosować przeciw.

Wałęsa rozwał państwo a koalicja rządowa działała tak, że coraz bardziej przypominała owe karpie czekające na wigilię... w praktyce nie zrobiła nic aby nie dopuścić do przyjęcia przez sejm zgłoszonego przez posła „Solidarności” Alojzego Pietrzyka wniosku o votum nieufności...

Wyglądało na to, że liderzy UD na czele z Geremkiem, de facto godzili się na nowe wybory, bo wydawało się im, że dostana w nich dobry wynik... Przeliczyli się. Wszystkie partie postsolidarnościowe te wybory przegrały ...nawet te które uzyskały śladową reprezentację w Sejmie.

Trzeba pamiętać, że votum nieufności dla rządu Suchockiej przeszło jednym głosem (pamiętam to dobrze jak widziałem ten jeden brakujący głos – notabene ważnego członka rządu – jak paląc papierosa w korytarzu sejmowym nie wziął udziału w tym głosowaniu).

Rozwiązanie Sejmu przez Wałęsę po tym głosowaniu nosiło również znamiona nieuprawnionej nadinterpretacji nieprecyzyjnego przepisu art. 66 małej konstytucji i było po prostu politycznym i prawnym skandalem... Otóż chodziło o interpretację art. 66 ust. 5 małej konstytucji. Ust. 5 tegoż art. 66 stanowił tym, że Sejm jeżeli sejm uchwali votum nieufności dla rządu i nie dokona jednocześnie wyboru nowego premiera to prezydent albo przyjmuje dymisję rządu albo rozwiązuje sejm.... Wałęsa rozwiązał sejm na tej właśnie podstawie...

Problem polegał na tym, że rozwiązanie z art. 66 nie było klasyczną formułą konstruktywnego votum nieufności. Nie sprecyzowano w tym artykule, że wniosek o votum nieufności musi zawierać wskazanie nowego kandydata na premiera. Przepis mówił tylko o jednoczesnym powołaniu kandydata na premiera... Szkopuł w tym, że dosłownie kilka chwil po przegłosowaniu

votum nieufności dla rządu Suchockiej, zgodnie z przepisami konstytucyjnymi i regulaminem sejmu, wymagana liczba posłów zgłosiła prawidłowy wniosek o powołanie na premiera kandydata Andrzeja Ostoja – Owsianego (był to wniosek posłów KPN ale i ja go podpisałem i wielu posłów mojego i innych klubów także). Wniosek mógł i powinien być niezwłocznie, czyli... jednocześnie z uchwaleniem votum – w tym samym punkcie tego samego posiedzenia – głosowany... tak się jednak nie stało. Bezprawnie nie poddano go pod głosowanie. Ogłoszono przerwę i zwołano konwent seniorów... Pamiętam, że domagałem się decyzji prezydium sejmu poddania wniosku w sprawie powołania na premiera pod głosowanie... I tu... usłyszałem kuriozalną prawniczo, wygłoszoną tonem nie znośącym sprzeciwu przez Geremka – historyka mediewistę – tezę o tym, że jest za późno, bo uchwalenie votum i powołanie na premiera musi odbyć się w jednym ...głosowaniu...(sic!). Nic takiego nie było napisane w małej konstytucji... Zapytałem wtedy marszałków i szefów klubów jak sobie wyobrażają przeprowadzenie tego w jednym głosowaniu w przypadku gdyby w sejmie posłowie zgodnie z wymogami zgłosili prawidłowo więcej niż jednego kandydata na premiera... Powstał tumult, odpowiedzi oczywiście nie dostałem... Widać było wyraźnie, że boją się przeciwstawić Wałęsie...a część tak jak Geremek chce nowych wyborów już teraz...

Rząd Suchockiej de facto obalił się sam, a Wałęsa zrobił „wałek” quasi legalnie rozwiązując sejm... Czekwały nas przyspieszone wybory parlamentarne...i nowy etap walki. O tym już jednak opowiem w następnej części. CDN.

1 LISTOPADA – NARODOWA SZAJBA

Skąd się wzięła ta polska przypadłość, że szanujemy i czcimy naszych Zmarłych, jak bodaj żaden inny naród na świecie? Sami nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale gdy cudzoziemiec przyjedzie do Polski na początku listopada, to zwykle jest bardzo zaskoczony.

Przyczyn zapewne jest kilka. Jedną z nich (bodaj czy nie najważniejszą) jest działanie kombatanatów Armii Krajowej po 1956 roku zaangażowanych w nurt niepodległościowy. Zostawili oni nam po sobie kilka „legatów”. Z większości



Znicze pod pomnikiem Powstania Warszawskiego na Cmentarzu Powązkowskim – „Gloria Victis”. Rok 1962. Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

z nich nie zdajemy sobie sprawy i traktujemy je jako coś naturalnego, co było zawsze.

Otóż nie było zawsze! To oni wprowadzili te działania do społecznego krwioobiegu i to oni spowodowali, że dzisiaj działania te wydają nam się naturalne.

Analiza historyczna prowadzi do wniosku, że te elementy rozwinęły się po 1956 roku za sprawcą piłsudczykowskiego nurtu niepodległościowego i były elementem budowania polskiej świadomości narodowej. Był to główny cel tego nurtu w długim, pierwszym okresie jego działalności. Członkowie nn nie mieli do dyspozycji mediów, nie było w tym czasie Internetu, Radio Wolna Europa zwykle ich działań nie dostrzegano, możliwości prowadzenia legalnej działalności były bardzo ograniczone, raz – z uwagi na działanie aparatu represji, dwa – z uwagi na brak środków finansowych. Czy w tych warunkach „starsi panowie” mogli coś realnie zdziałać? Przywódcy nn urodzeni na przełomie wieków w latach 70-tych mieli już ponad 70 lat, w większości przeszli przez ciężkie więzienia lat stalinowskich i byli mocno schorowani.

Niezlomny duch piłsudczykowski, połączony z kreatywnością, inteligencją i sprytem spowodował, że „stara wiara” bardzo mocno oddziaływała na polskie społeczeństwo (i to nie tyle na rozum, ile na emocje). Do dziś śpiewamy – z rozpędu – o „sowieckiej zawierusze” w „Rocie” oraz wołamy „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” w „Boże coś Polskę”, a narodowcy czczą 11 Listopada nie wiedząc o tym, że to piłsudczykowskie święto. W warszawskich kościołach tablice epitafijne z lat 60., 70. i 80. mieszają się z tymi wmurowanymi później, „gdy już było wolno...”.

Wśród wielu różnych form oddziaływania na emocje społeczne święto 1 Listopada było bardzo istotne. Pamiętamy, jak Żeromski w „Syzyfowych pracach” opisał siłę moralną leśnej mogiły powstańczej z brzoźowym krzyżem. Po 1956 roku do tej moralnej siły sięgnęli kombatanci. Groby poległych, zamordowanych, zabitych Bohaterów walki o niepodległość były w wielu miejscach kraju. Najwięcej było ich bodaj na warszawskich Powązkach. Rano 1 listopada (ale też np. 1 Sierpnia) pod bramy cmentarza podjeżdżały samochody wypełnione zniczami. Akcję „sponsorował” PAX (zasługi przedwojennego oenerowca – Władysława Dziarmagi-Działyńskiego, który od drugiej połowy

lat 60. blisko współpracował z piłsudczykami, trudno tutaj przecenić!). „Starsi Panowie” (w tym osobiście płk Kazimierz Pluta-Czachowski – szef Oddziału III Komendy Głównej Armii Krajowej) zabierali po kilkadziesiąt zniczy, roznosili i zapalali je na grobach zmarłych kolegów. Wieczorem od wielu z tych grobów biły łuny światła! Stefan Starzyński, Śmigły-Rydz, bohaterzy Powstań narodowych i wojen o niepodległość... Przy wielu grobach młodzież zostawiała tarcze z numerami swych szkół.

Czy ktoś może sobie wyobrazić te potężne emocje, które rozpały się w sercach młodych ludzi gdy wieczorem 1 Listopada patrzył na rozświetlony grób postaci, o której nie mógł przeczytać w żadnym ocenzonego podręczniku?!

A najwięcej światła było przy symbolicznych krzyżach upamiętniających nieznaną żołnierzy, poległych gdzieś na Wschodzie, w Katyniu lub w śniegach Syberii...

Dlatego nie kpij dzisiaj z tej narodowej szajby, jaką jest dzień 1 Listopada. Nie kpij!

Spróbuj zrozumieć, skąd to się wzięło.



KULTURA

Właściwymi dla dotychczas jeszcze istniejącego, zarówno w Polsce jak i Europie, przedstawicielskiego systemu republikańskiego, są spory w kwestiach dotyczących wysokości podatków, mniejszej czy większej interwencji państwa w gospodarce, takiej czy innej organizacji procesu edukacyjnego, modelu służby zdrowia, kierunków polityki zagranicznej, rywalizacji poszczególnych grup społecznych dążących do jak najpełniejszego zabezpieczenia swoich interesów itp. One były i w dalszym ciągu jeszcze są motorem aktywności różnych sił politycznych funkcjonujących w ramach systemu. Uznawano jednak, ponad liniami podziałów, oprócz środowisk skrajnych i marginalnych, pewne wartości, które stanowiły fundament ładu. Od długiego już czasu wartości te są nie tylko kwestionowane ale coraz skuteczniej rugowane z życia zbiorowości ludzkich a spór czy konflikt polityczny charakterystyczny dla republikańskiego modelu państwa zszedł na drugi plan. To, z czym mamy do czynienia obecnie, co jest dominujące i czemu wszystkie dotychczasowe spory są podporządkowane, to głęboki antagonizm dotyczący wartości stanowiących podstawę ładu. Z racji tego wykracza on poza politykę rozumianą w sposób tradycyjny i jest starciem cywilizacyjnym które rozstrzygnie o istnieniu bądź nieistnieniu naszego świata. Dlatego też każdy, kto jest świadomy tego, że uczestniczy w procesie dziejowym, ma jego takie czy inne wyobrażenie i ma poczucie, że jest człowiekiem odpowiedzialnym, powinien zastanowić się, jakie wartości w jego przekonaniu są fundamentalne, jak je rozumie i powinien wyznaczyć sferę w odniesieniu do której jakiegokolwiek ustępstwo a więc i kompromis są wykluczone. W moim przekonaniu najistotniejszymi są te, które rozstrzygają o istnieniu

naszej wspólnoty narodowej, organizacji państwowej oraz te, które stanowią podstawę ładu moralnego.

Naród i państwo. Nie ulega wątpliwości, że zbiorowość jest bytem wyższego rzędu niż jednostka. Człowiek może realnie istnieć tylko w niej i poprzez nią, w całkowitym odosobnieniu nie może nawet zaistnieć. Jednostki nie tyle tworzą zbiorowość ile się na nią składają. Dlatego też wartości odnoszące się do zbiorowości jako takiej, jako całości, mają daleko większe znaczenie z punktu widzenia istnienia rodzaju ludzkiego niż te, które odnoszą się do jednostkowego aspektu istnienia człowieka. Inaczej wszelkie ryzyka i ofiary ponoszone przez jednostki w obronie zbiorowości nie miałyby najmniejszego sensu.

Naród, historycznie ukształtowana wspólnota kulturowa, jest naturalną formą zbiorowości ludzkiej. Od wielu lat trwa spór o jego genezę. Niektórzy podkreślają pradowe korzenie tożsamości narodowej, tkwiące w zamierzonych, przednowoczesnych czasach, widząc w nich początki współczesnych narodów. Z drugiej strony wielu badaczy początków narodów i ruchów narodowych doszukuje się dopiero w późnej nowożytności, w II połowie XIX wieku. Bliższy jest mi ten pierwszy pogląd. Wydaje się, że taki byt jak naród zaistniał znacznie wcześniej niż usystematyzowana refleksja nad nim. Tak samo świadomość odrębności narodowej jest znacznie starsza. Najstarszy historyk grecki, Herodot z Halikarnasu, opisuje różne ludy, które pod względem języka, kultury, religii i rytuałów, praw i obyczajów wyraźnie różnią się między sobą. Daje także świadectwo świadomości tych różnic. Szczególnie zaś daje świadectwo świadomości odrębności Hellenów od barbarzyńców (słowem tym w czasach Herodota określano wszystkich nie-Greków i nie miało ono wtedy jeszcze pejoratywnego zabarwienia). Formuluje pogląd, że początkowo słabi, rozrośli się, kiedy Pelazgowie i inne liczne ludy barbarzyńskie się do nich przyłączyły. Lektura Herodota wskazuje, że pojmował on Hellenów jako historycznie ukształtowaną wspólnotę kulturową.¹

Naród jest wspólnotą nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie. Czas narodu jest znacznie dłuższy niż czas jednostki. Tworzą go nie tylko ci, którzy są tu i teraz, ale także ci, którzy byli przed nami i ci którzy przyjdą po nas. Wszyscy oni

¹ Herodot, *Dzieje*, I.56-58, Warszawa 2002, przekł. Seweryn Hammer, str. 37-38.

stanowią jedną wspólnotę narodową. Społeczno-kulturowe rozstrzyga o tym, że więź między członkami takiej wspólnoty ma charakter emocjonalny. Sądzę, że człowiek jest nie tyle istotą racjonalną, co przede wszystkim emocjonalną i racjonalizującą. Jeśli tak, to trudno sobie wyobrazić, aby przed II połową XIX w. nie istniały wspólnoty oparte na więziach emocjonalnych wytworzonych na podstawie kulturowej. To oznacza, że tak długo, jak więź tego rodzaju istnieje i jest silna, wspólnota nie ulegnie rozbiciu. Społeczeństwo oparte wyłącznie na więziach utylitarnych, trwa tak długo, jak długo trwają korzyści wynikające z tych więzi. W momencie, kiedy korzyści te ustają, następuje zerwanie więzi i społeczeństwo ulega rozpadowi. Naród zaś tak długo, jak jest narodem, istnieje i jest w stanie przetrwać nawet najgorsze koleje losu. Dlatego też silna tożsamość narodowa jest wartością fundamentalną i niepodlegającą jakiegokolwiek dyskusji.

Jedna z najstarszych w naszym kręgu kulturowym, sformułowana przez Arystotelesa, definicja państwa, określa *polis* jako wspólnotę obywateli² i takiej jej charakterystyce poświęca się najwięcej uwagi we współczesnych badaniach.³ *Każda wspólnota powstaje dla osiągnięcia jakiegoś dobra ... lecz przede wszystkim czyni to najprzedniejsza ze wszystkich, która ma najważniejsze ze wszystkich zadanie i wszystkie inne obejmuje, tj. państwo i wspólnota państwowa.*⁴ ...*państwem zaś – krótko mówiąc – zwiemy ogół takich ludzi, odpowiednio wielki, by w wystarczającej mierze zapewnić sobie wszystko, co do życia potrzebne.*⁵ ...*państwo nie jest zespoleniem ludzi na pewnym miejscu dla zabezpieczenia się przed wzajemnymi krzywdami i dla ułatwienia wymiany towarów. Wszystko to co prawda być musi, jeśli państwo ma istnieć, jednakowoż jeśli nawet to wszystko jest, to i tak nie jest to jeszcze państwo, bo jest ono wspólnotą szczęśliwego życia, obejmującą rodziny*

² ...*państwo jest pewną wspólnotą, a mianowicie wspólnotą obywateli w ramach ustroju...* Arystoteles, *Polityka*, III.13, 1276b, przekł. Ludwik Piotrowicz w Arystoteles, *Dzieła wszystkie*, t. 6, Warszawa 2001, s. 80.

³ Jonathan M. Hall, *Historia Grecji archaicznej ok. 1200 – 479 p.n.e.*, przekł. Magdalena Komorowska, Kraków 2011, s. 74, 75.

⁴ Arystoteles, *Polityka*, I.1. 1252a, przekł. Ludwik Piotrowicz w Arystoteles, *Dzieła wszystkie*, t. 6, Warszawa 2001, s. 25.

⁵ Arystoteles, *Polityka*, III.8, 1275b, przekł. Ludwik Piotrowicz w Arystoteles, *Dzieła wszystkie*, t. 6, Warszawa 2001, s. 78.

*i rody, dla celów doskonałego i samowystarczającego bytowania.*⁶ Najogólniej rzecz ujmując państwo jest organizacją polityczną tworzoną przez wszystkich obywateli.

Współcześnie istnieje jednak silnie zakorzenione przekonanie, że państwo to wyłącznie zbiór organów i instytucji, że obywatele, jako cała zbiorowość określani słowem społeczeństwo, są czymś względem państwa odmiennym a nawet z nim w jakiejś mierze zantagonizowanym.⁷ Że między obywatelami a państwem istnieje relacja hierarchiczna w której ci pierwsi zajmują pozycję podporządkowaną.⁸ Tego rodzaju rozumienie sprzyja rozgraniczaniu państwa i społeczeństwa oraz utożsamianiu państwa z władzą. Takie przeciwstawianie instytucji czy organów państwowych pojmowanych właśnie jako państwo poszczególnym obywatelom czy nawet całej społeczności obywatelskiej jest ze wszech miar błędne.

Państwo, jak każdy zorganizowany wg pewnych zasad czy reguł zbiór stanowi pewien system na który składają się jego elementy i struktura, czyli relacje między elementami. Tymi elementami są poszczególni obywatele i są to jedyne elementy państwa. Instytucje czy organy państwa nie są jego elementami tylko konfiguracjami czyli układami elementów stworzonymi po to, aby pełnić określone funkcje w systemie. Elementami tych konfiguracji też są obywatele. Z racji tego, że państwo, zwłaszcza współczesne, jest systemem niezwykle złożonym, zawiera wiele różnorodnych konfiguracji pozostających w odpowiednich do swoich funkcji relacjach wzajemnych i w relacjach z elementami państwa czyli poszczególnymi obywatelami. Niezależnie od tego, że mamy

⁶ Arystoteles, *Polityka*, III.5.13, 1280b, przekł. Ludwik Piotrowicz w Arystoteles, *Dzieła Wszystkie*, t. 6, Warszawa 2001, s. 89.

⁷ Jak to ujął P. Viollet: *Czynność społeczeństwa jest w istocie przeciwstawna czynności państwa*. P. Viollet w *Revue Historique*, t. LXXXIII, 1903, s. 90, cytowany przez B. Guenée, *L'Histoire de l'État en France à la fin du Moyen Age vue par les historiens français depuis cent ans*, tamże, t. CXXXI, 1964, s. 339, za Antoni Mączak, *Rządzający i rządzoni*, Warszawa 1986, s. 21.

⁸ Wprawdzie uważa Arystoteles, że *Jeśli bowiem nawet to samo jest najwyższym dobrem i dla jednostki, i dla państwa, to jednak dobro państwa zdaje się być czymś większym i doskonalszym*, Arystoteles, *Etyka Nikomachejska* 1094 b, przekł. Daniela Gromska, w Arystoteles, *Dzieła Wszystkie*, t. 5, Warszawa 1996, s. 78, wskazuje wyraźnie na wyższość państwa nad jednostką, ale nie państwa rozumianego jako zbiór organów i instytucji lub sektor władzy lecz państwa rozumianego jako wspólnota obywateli w ramach ustroju.

do czynienia z systemem wewnątrznie zróżnicowanym i zantagonizowanym, w łonie którego nieustannie toczą się gry o władzę między poszczególnymi segmentami, to cała jego struktura jest państwowa i wszystkie jego elementy, bez względu na to, w jakim miejscu struktury są usytuowane, są elementami systemu państwowego na który składa się zarówno sektor władzy jak i obywatele usytuowani poza tym sektorem. We współczesnych republikach teoretycznie z obywateli i za ich sprawą powstają wszystkie instytucje i organy państwa. Od nich też, czy to w sposób bezpośredni, czy w sposób pośredni pochodzą wszystkie prawa i normy obowiązujące we wspólnocie politycznej oraz oni rozstrzygają kto jaką władzę sprawuje i w jakim zakresie. Z nich też składają się wszelkie instytucje i organy państwowe. Niezależnie od tego, czy teoretyczna sprawczość tych obywateli, którzy są usytuowani poza sektorem władzy, ma przynajmniej w jakimś stopniu coś wspólnego z rzeczywistością, czy jest tylko ideologiczną iluzją, należy stwierdzić, że tak jak bez szeregowych żołnierzy nie ma armii, tak bez szeregowych obywateli nie ma państwa. Nawet w przypadku monarchii absolutnej, gdzie w warunkach idealnych państwo było ześrodkowane w osobie władcy,⁹ gdyby nie było poddanych, nie byłoby i króla. Jeśli zaś poddanym spodoba się monarchię usunąć, to oni pozostaną wśród żywych, on niekoniecznie.¹⁰ Monarchia tego rodzaju istnieje więc tak długo, jak długo jej

⁹ Słynne słowa przypisywane Ludwikowi XIV: *L'état c'est moi*. Tak doskonale absolutna monarchia nigdy nie powstała. To spowodowało rozpowszechnianie się wśród historyków krytycyzmu wobec samego pojęcia absolutyzmu. Dlatego też wydaje się bardziej zasadne traktowanie absolutyzmu jako tendencji, nie zaś spełnienie pewnych, np. określonych w XVI i XVII w przez teoretyków tej formy ustrojowej, warunków funkcjonowania władzy. Antoni Mączak, *Rządzający i rządzoni*, Warszawa 1986, s. 20. Według Saint-Simona Ludwik XIV przyjął zasadę, *by rządzić samemu; tej jednak nie zdołał utrzymać równie konsekwentnie; nie zdawał sobie sprawy, że wymykała mu się ciągle. ... W rzeczy samej rządził w sprawach małych, nie udawało mu się to w wielkich, a nawet w małych bywał nieraz rządzony*, Saint-Simon, *Pamiętniki*, przekł. Aleksander i Maria Bocheńscy, t. 1, Warszawa 1984, s. 39, 41.

¹⁰ Jak np. Karol I w Anglii czy Ludwik XVI we Francji. Ujęcie problemu relacji władza – poddani w ramach jednej organizacji państwowej Rzeczypospolitej w sposób analogiczny do tego, jak stosunki te układały się pod rządami absolutystycznymi, znajdujemy w *Przestrobach dla Polski* Stanisława Staszica. W wariantcie idealnym stan szlachecki, który monopolizuje w swoim ręku wszystkie uprawnienia polityczne powinien pełnić rolę reprezentanta *... narodu we wszystkich publicznych radach mając na pierwszym celu nie siebie, ale naród. Powinien stanowić prawa nie o sobie jednym, ale o narodzie całym*. W rzeczywistości tak się nie dzieje. *... szlachta rozumie użyteczniej i bezpieczniej dla siebie mieć się za stan nie reprezentujący, ale za stan absolutnie pa-*

istnienie tolerują poddani. Elementy państwa, niezależnie od jego ustroju, są jego tworzywem, są jego materią, a zatem państwo to my. W naszych czasach obserwujemy postępującą atrofie tradycyjnego państwa a w jego miejsce kształtowanie się w skali globalnej nowej formy totalitaryzmu który skrótowo można by nazwać totalitaryzmem pieniądza.

Zbudowanie silnego i funkcjonalnego państwa jest głównym zadaniem, jakie stoi przed formacją niepodległościowo-narodową. Bez niego niemożliwa będzie skuteczna realizacja jakiejkolwiek strategii i polityki. Państwo takie, jakie jest w tej chwili, realizować strategii i polityki która da trwałe i pozytywne efekty nie jest w stanie, natomiast jest wręcz doskonałe z punktu widzenia interesów klasy realnie rządzącej i sprzyja pogłębianiu zależności od obcych ośrodków.

Niepodległość i suwerenność. Taki stan naturalnej zbiorowości ludzkiej, w którym nie ma ani niepodległości, ani suwerenności, jest stanem najwyższej hańby i niesprawiedliwości. Celem zatem wszelkiej polityki, niezależnie od różnic poglądów na poszczególne kwestie gospodarcze, społeczne, moralne i obyczajowe, musi być zachowanie niepodległości i suwerenności narodu i państwa. W związku z coraz silniejszym rozwojem relacji i związków międzynarodowych we wszystkich obszarach, gospodarczym, politycznym, militarnym i kulturowym, podważa się sens niepodległości i suwerenności. Utrzymuje się, że we współczesnym świecie coś takiego w rzeczywistości nie istnieje i jest co najwyżej świadomościowym reliktem kultywowanym w środowiskach w których dominują anachroniczne wyobrażenia rzeczywistości. Nic bardziej błędnego. W tych różnorodnych relacjach można bowiem

nijący, a Naród Polski za naród sobie poddany, natenczas tym jest w Polsce szlachta do Narodu Polskiego, czym są w krajach sąsiedzkich jedynowładcy do narodów tamecznych. Nie oznacza to, że pozbawiony praw politycznych naród nie należy do organizacji państwowej. Należy, gdyż z tego wszystkiego, co w Polsce szlachta posiada, lud, czyli naród jest najcenniejszą szlachty własnością. Jeśli nawet będąc władcą absolutnym szlachta w swoich stanowieniach będzie uwzględniała wyłącznie wąsko rozumiany interes własny natomiast nie będzie dbała o to, aby powiększały się *pracowitość, ludność i bogactwa narodu*, doprowadzi do osłabienia swojego panowania co spowoduje ... *zaniedbanego narodu utratę, a z tą utratą swój upadek.* W ówczesnych warunkach politycznych oczywiście utratę na rzecz mocarstw ościennych. Stanisław Staszic, *Przestrogi dla Polski*, Wrocław 2008, s. 6–8.

zajmować pozycję satelicką, klientelą czy peryferyjną, można też zajmować partnerską bądź należeć do grona liderów tych relacji. Poziom suwerenności określony jest przez pozycję jaką się zajmuje. Dlatego też w dzisiejszych czasach i w przyszłości siła kulturowa, nowoczesna, oparta na rodzimej wytwórczości, ekspansywna gospodarka i siła militarna, mają z punktu widzenia suwerenności daleko większe znaczenie, niż kiedykolwiek wcześniej.

Religia. Niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący czy nie, musi uznać, bo takie są fakty, że wzorzec moralny stanowiący fundament ładu tak w Polsce, jak w pozostałej części Europy, jest dany w religii chrześcijańskiej co oczywiście nie pozostaje w sprzeczności z faktem, że wiele z dyrektyw moralnych danych przez chrześcijaństwo było także owocem przedchrześcijańskiej refleksji etycznej. Dlatego też niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w Boga czy nie, wzorzec ten obowiązuje go w całej rozciągłości a to oznacza, że religia chrześcijańska jest nieusuwalna z życia zbiorowości zarówno polskiej, jak i innych zbiorowości europejskich czy z Europy się wywodzących. Nie jest to oczywiście równoznaczne z koniecznością popierania formacji deklarujących swój związek z religią. Formacje takie bowiem nie zawsze budują swoje programy i działania na wartościach jakie ze sobą niesie wiara religijna. Mogą istnieć ugrupowania, które nie podkreślają w sposób ostentacyjny swoich związków z wiarą religijną bądź nie manifestują ich w ogóle, natomiast u podłoża ich koncepcji, celów i działań mogą leżeć wartości, które z niej wynikają. Jeśli zatem istotą polityki są wartości i walka o wartości, w sposób naturalny ugrupowania takie mieszczą się w obszarze naszych politycznych wyborów.

Wydaje się, że pojmując religię szerzej, stanowi ona podstawę wyborów politycznych każdego, niezależnie od tego, czy deklaruje się jako człowiek wierzący, czy ateista. Jeśli bowiem jest prawdą, co utrzymuje M. Eliade, że *sacrum jest elementem w strukturze świadomości, nie zaś etapem w historii i że na najbardziej archaicznych poziomach kultury, życie, pojmowane jako bycie człowiekiem, jest samo w sobie aktem religijnym*, wiara religijna odgrywa istotną rolę także w wyborach politycznych ateisty.

Żyjemy w epoce upowszechniania się postaw negujących istnienie Boga oraz zaprzeczających istnieniu sił nadprzyrodzonych. Trudno powiedzieć jak głęboki jest to proces, czy jest trwały, czy odwracalny. Wydaje się, że w dużym stopniu

mamy do czynienia nie tyle z samym negowaniem istnienia Boga ile odchodzeniem od określonych form kultu religijnego i upowszechnianiem się niewiary w to, co się głosi. To z kolei wynika z upadku autorytetu stanu kapłańskiego. Należy też pamiętać, że nie da się udowodnić nieistnienia Boga. Można w nie tylko wierzyć. Jeśli jednak wiara w nieistnienie Boga ma wymiar ideologiczny, niesie on dla ładu społecznego wielkie niebezpieczeństwo. Nie sprowadza się ona bowiem wówczas tylko do prostego odrzucenia istnienia Boga, ale odrzucenie to prowadzi do odrzucenia wartości których Bóg jest źródłem. Ateizm uwarunkowany ideologicznie jest przejawem *hybris* człowieka ze wszystkimi takiego stanu konsekwencjami. Jeśli bowiem nie ma Boga *człowiek jest miarą wszechrzeczy, tego co jest, że jest i tego czego nie ma, że nie ma*. Zastępuje Boga i kreuje wartości. Jako że kondycja człowieka jest zmienna zarówno w czasie jak i w przestrzeni, wartości które kreuje nie mogą mieć nigdy ani charakteru uniwersalnego, ani fundamentalnego. Nie mają bowiem zakotwiczenia w tym co powszechne i niezmiennie. Wówczas *być określa świadomość* a konsekwencją jest relatywizm moralny. W wymiarze praktycznym skutkuje on niemożnością stworzenia cywilizowanego społeczeństwa. Społeczeństwo takie jest możliwe bowiem tylko wtedy, kiedy, przy całej jego zmienności na różnych poziomach, społecznym, gospodarczym, politycznym, jest budowane na ładzie moralnym, którego podstawą są wartości niezmiennie i uniwersalne. Nieprzypadkowo najbardziej zbrodnicze reżimy w dziejach, które sprowadziły człowieka do roli mierzwy historii, plastycznego tworzywa z którego próbowano budować nowe wspaniałe światy, wyszły z ideologii odrzucających Boga. Człowiek, któremu odebrano status istoty stworzonej przez Boga, i którego zredukowano do poziomu kombinacji cząstek materii, stał się niczym, a przynajmniej na tyle niczym, że można było zrobić z nim wszystko, łącznie z jego unicestwieniem, jeśli było to niezbędne dla realizacji ideologicznych wizji czy, w aspekcie bardziej praktycznym, leżało w interesie grup i jednostek rządzących.

Oznacza to, że niezależnie od tego, czy ktoś jest niewierzący czy wierzący, jeśli nie chce totalitarnego porządku opartego na zniewoleniu i posługującego się w razie potrzeby ludobójstwem, nie może przyjąć stanowiska, że kwestia wiary religijnej jest kwestią prywatną, kwestią indywidualnego wyboru czy indywidualnej opcji światopoglądowej. Jako odnosząca się do moralnych

podstaw ładu, jest jak najbardziej kwestią dotyczącą zbiorowości, jej istnienia jako właśnie zbiorowości ludzkiej.

Uczciwość i sprawiedliwość. Wspólnota ludzka tworzy pewien system na który składają się jego elementy – uczestnicy wspólnoty i struktura – relacje między elementami. Jednostki należące do wspólnoty kształtują jej strukturę budując w ten sposób ład wspólnoty. Tak przejawia się podmiotowość jednostek w ramach wspólnoty. Poza wspólnotą jednostka nie istnieje a zatem nie istnieje także jej podmiotowość. Prawidłowym może być tylko taki ład, którego podstawami są uczciwość i sprawiedliwość.

Wartości te mają dwojakie znaczenie. Pierwsze jest takie, że w wyniku ich istnienia społeczeństwo może się skuteczniej rozwijać. Wartości te szczególne znaczenie mają w sferze gospodarczej, a właśnie w tej sferze chyba najsilniej występuje tendencja do odchodzenia od nich. Twórcom transformacji ustrojowej w Polsce wydały się one tak banalne, iż od początku popularyzowano hasło: *pierwszy milion trzeba ukraść*. Dlaczego ktoś, komu udało się ukraść pierwszy milion, nie miałby ukraść drugiego i każdego następnego? Wszak z każdym milionem i doświadczenie i możliwości większe. W istocie, w ciągu ostatnich dwudziestu lat budowano w Polsce system, którego regułami są kłamstwo, złodziejstwo i korupcja zaś uczciwość i prawość pozostającymi w sprzeczności z systemem patologiami. Po co trudzić się nad tworzeniem nowych wartości w różnych dziedzinach skoro można osiągać korzyści łatwiej i szybciej kosztem innych, po prostu okradając ich nie tylko z pieniędzy ale także z możliwości, szans, pracy, należnych praw itp. W takiej sytuacji nie ma żadnego powodu aby okradany nie odpłacał tym samym a hasło *grab zagrabione* jest po trzydziestu czterech latach istnienia III RP jak najbardziej na miejscu. Tylko że takie społeczeństwo nie stworzy niczego sensownego, mocnego i trwałego i prędzej czy później ulegnie rozpadowi. Uczciwości i sprawiedliwości nie da się urzeczywistnić przez prawo ani wyegzekwować przez organy ścigania jeżeli nie istnieje powszechne przekonanie, że są one czymś właściwym, że się opłacają, że są fundamentalnymi kulturowymi zasadami postępowania i życia. W Polsce oczywiście takimi zasadami nie są.

Drugie znaczenie uczciwości i sprawiedliwości jest takie, że są one wartościami samymi w sobie i nie mogą być uzasadniane głównie względami

użytecznymi. Uczciwość i sprawiedliwość bowiem odnoszą się do statusu człowieka jako człowieka. Ten, kto wobec drugiego dopuszcza się czynu nieuczciwego lub niesprawiedliwego, kwestionuje jego człowieczeństwo. Sam siebie uważając za człowieka, odbiera drugiemu status równego sobie, postrzegając i traktując go jako istotę niższego rzędu, istotę której status jest niższy od statusu jego samego. Dzieje się tak dlatego, że dopuszczając się czynu niesprawiedliwego czy nieuczciwego w celu osiągnięcia korzyści sprowadza tego, wobec którego takiego czynu się dopuszcza, do poziomu narzędzia przy pomocy którego tę korzyść osiąga. Status narzędzia zaś jest niższy niż status operatora. Tymczasem status człowieka jako człowieka jest nadany przez Boga i nie może być przez nikogo w żaden sposób kwestionowany. Czyn nieuczciwy i niesprawiedliwy jest więc równoznaczny z podważeniem nie tylko porządku prawnego i moralnego w potocznym rozumieniu tego ostatniego pojęcia, ale przede wszystkim porządku istnienia, którego człowiek kreatorem nie jest w żadnym wymiarze, sensie ani aspekcie. Nie może być zatem żadnego kompromisu wobec dążeń, koncepcji czy łańdów, które urzeczywistniają nieuczciwość i niesprawiedliwość.

Godność i honor. W porządku w którym pieniądź *jest miarą wszechrzeczności* kondycja człowieka, jeśli jest uczciwy i sprawiedliwy, w niewielkim stopniu zależy od niego, w decydującym zaś od zdemoralizowanego pieniądzem otoczenia. Dlatego jego wola własna, przymioty umysłu i charakteru są tylko mało znaczącym czynnikiem rzutującym na jego kondycję ekonomiczną, tym bardziej, że jeżeli jest człowiekiem uczciwym i sprawiedliwym, zarówno jego wola jak i przymioty umysłu i charakteru pozostają w sprzeczności z systemem w którym decydujące jest ekonomiczne kryterium wartościowania jednostek.

W łańdzie społecznym, w którym godność i honor są wartościami nadrzędnymi nad pieniądzem, człowiek panuje nad dobrami ekonomicznymi przez co jest wolny. W ustroju, w którym *człowiek to pieniądź*, zawsze jest niewolnikiem, gdyż zawsze można go kupić i sprzedać. W takim ustroju nie ma godności i honoru a skoro tak, to nikt godności i honoru nie ma. Tutaj wszystko jest na sprzedaż a zatem wszystko jest iluzją. Nawet w sytuacjach, kiedy bogaty wspiera biednego, poprzez to, że udziela mu tego wsparcia, tak naprawdę kupuje od biednego iluzję własnej *lepszości*. Biedny, biorąc pieniądze, tę iluzję mu

sprzedaje. Jeśli biedny, mówiąc kolokwialnie trafi bogatego na kasę, to tylko przydaje mu splendoru.

Istnieje pogląd, wygłaszany często w ostatnim czasie w związku z programem 500+, że rozdawnictwo jest deprawujące, gdyż przyzwyczajają do życia z łatwych pieniędzy, wyrabia przekonanie, że niezależnie od własnego wysiłku, „to mi się należy”. Tak rzeczywiście się dzieje jeśli łań społeczny cechuje prymat wartości moralnych nad materialnymi. W ustroju, w którym nie ma moralności, o żadnej deprawacji być nie może. Deprawować można tylko człowieka moralnego, gdyż niemoralny jest już zdeprawowany zanim się go deprawować zacznie.

Polityka. Polityka ma dwa wymiary, misji i gry. Misja odnosi się do łańd jaki chcemy urzeczywistnić w społeczeństwie i do celów zasadniczych jakie chcemy realizować, np. osiągnięcie określonego tempa rozwoju gospodarczego, zapewnienie bezpieczeństwa zewnętrznego państwa itp. Urzeczywistnienie określonego łańd czy określonych celów prowadzi nieuchronnie do konfliktu z tymi, dla których nasze pojęcie łańd bądź cele pozostają w sprzeczności z ich interesami i poglądami. To, w jaki sposób definiujemy siebie w polityce automatycznie określa także naszych przeciwników. Ażeby zrealizować misję, należy ich pokonać możliwie jak najpełniej, najlepiej tak, aby zinternalizowali oni nasz system wartości będący podstawą łańd jaki chcemy urzeczywistnić a także za własne uznali zasadnicze cele jakie chcemy zrealizować. Jeśli takiego zwycięstwa osiągnąć się nie da, należy dążyć do jak największej ich marginalizacji. Cała sfera działań która odnosi się do przeciwnika ma generalnie wymiar gry aczkolwiek należy zaznaczyć, że dążenie do internalizacji naszego systemu wartości przez naszych przeciwników należy także misji.

Na obecnym etapie rozwoju cywilizacyjnego tradycyjny, chciałoby się powiedzieć klasyczny sposób pojmowania polityki, jest już nieaktualny. W toku swojego istnienia system ewoluował od czegoś, co można by nazwać kapitalizmem wolnokonkurencyjnym do fazy dominacji, ukształtowanej w drodze różnorodnych procesów łączenia kapitału bankowego i przemysłowego, oligarchii kapitałowej. Z czasem wielkie trusty, koncerny, korporacje a także nie sformalizowane układy kapitałowe tworzące sieci złożone z teoretycznie niezależnych podmiotów osiągnęły skalę globalną i przekształciły się z organizacji

gospodarczych w organizmy gospodarczo-polityczne, nie tylko oddziaływujące na scenę polityczną w poszczególnych krajach, ale same posługujące się instrumentami właściwymi polityce. Obecnie system w szybkim tempie ewoluje w kierunku czegoś, co można nazwać totalitaryzmem pieniądza. Jego istotą w sferze struktury społecznej jest ukształtowanie się globalnej oligarchii kapitałowej i stanowiącego podporę jej władzy globalnego establishmentu. Szeroko rozumiana klasa średnia została zredukowana do poziomu bezbronnej wobec medialnej manipulacji masy konsumpcyjnej, tracąc realną polityczną podmiotowość. Istnienie systemu parlamentarnego niczego tutaj nie zmienia, gdyż w tego rodzaju systemie wygrywają ci, którzy monopolizują narzędzia uprawiania polityki. Stąd system parlamentarny jest tylko jedną z aren rywalizacji między poszczególnymi odłami elity. Nie jest on narzędziem wyrażania w obszarze polityki realnych interesów i poglądów innych grup społecznych które to grupy nierzadko nie są zdolne do ich racjonalnego definiowania i formułowania.

W sferze aksjologicznej podstawą systemu jest pieniądz, który z poziomu ekonomicznego narzędzia wymiany i miernika wartości wytworów gospodarki został podniesiony do rangi wartości najwyższej i w praktyce jedynej miary wszechrzeczy. Jako taki określa wzory myślenia i zachowań w niemal wszystkich dziedzinach życia. Konsekwencją jest proces eliminacji z szeroko rozumianej kultury tych wszystkich wartości dla których nie ma ekwiwalentu pieniężnego i zastępowania ich substytutami, które można kupić i sprzedać. Stąd też mechanizmy totalitaryzmu pieniądza prowadzą do eliminacji z życia społeczeństw takich wartości jak oparta na autentycznej wierze religia, tożsamość narodowa, niepodległość i suwerenność, patriotyzm, czy nawet w sferze życia osobistego stanowiąca podstawę rodziny miłość współmałżonków. W miejsce tej ostatniej wartości promuje się niezobowiązujący seks. Seks można kupić i sprzedać, miłości nie. Jak w przypadku totalitaryzmu ideologicznego mieliśmy do czynienia z tzw. nowomową, systemem zakłamywania rzeczywistości i panowania nad myśleniem poddanych poprzez manipulacje językowe czy też bardziej poprzez stworzenie języka zakłamywania i intelektualnego zniewolenia, w systemie totalitaryzmu pieniądza mamy do czynienia z poprawnością polityczną, która pełni rolę analogiczną. W takim systemie jednostka, pozbawiona oparcia

w wartościach wyższych, jest podatna na totalną władzę oligarchii kapitałowej realizowaną za pośrednictwem pozostającego na jej usługach establishmentu. Proces kształtowania się takiego porządku postępuje w szybkim tempie. Najlepiej można go scharakteryzować słowami: *Wszystko w pieniądzach, nic poza pieniędzmi, nic przeciw pieniądзом.*

Równoległe do zmian systemu postępują zmiany w sferze politycznej. Obecnie, podział na prawicę i lewicę, jeśli określeniom tym usiłuje się przypisać tradycyjne, żeby nie powiedzieć klasyczne treści, utracił sens. Pojęcia te pierwotnie odzwierciedlały zasadniczy podział polityczny w Stanach Generalnych określony przez stosunek do *ancien régime*. W XIX w lewicą były środowiska radykalne, najpierw liberalne, później socjalistyczne. Po restauracji monarchii francuscy radykałowie optowali za jej zniesieniem, rozdziałem państwa od kościoła, wolnością gospodarczą i równością wobec prawa. W krajach skandynawskich, takich jak Dania czy Norwegia, za uwolnieniem działalności gospodarczej, co przyczyniło się do zmiany systemu feudalnego. Prawicą zaś były środowiska konserwatywne, stojące na straży dotychczasowego ładu, jeśli już nie we wszystkich jego organizacyjnych przejawach, to na pewno w obszarze jego aksjologicznych podstaw. Należy też zaznaczyć, że z perspektywy ówczesnej prawicowości lewica reprezentowała nie tyle wizję ładu alternatywnego, ale coś, co było bardziej pojmowane jako nie-ład. Stąd też konflikt między prawicą a lewicą miał, z perspektywy tej pierwszej, w istotnym stopniu wymiar walki kosmosu z chaosem.

Rozwój ideologii i orientacji socjalistycznej spowodował, że liberałowie zaczęli sytuować się w centrum, przyjmując jednocześnie niektóre socjalne projekty. Z lewicą zaś utożsamiano socjalistów a także ruchy jeszcze bardziej radykalne. Dziś do lewicy zalicza się w głównym nurcie socjaldemokratów i socjalistów a także funkcjonujących poza głównym nurtem bądź na jego obrzeżach zielonych, anarchistów, komunistów itp. Jednak w wielu krajach pojęcie lewicowości jest niejednoznaczne i operuje się nim w zależności od aktualnego podziału miejscowej sceny politycznej. Np. w USA, Partię Demokratyczną określa się jako socjalliberalną bądź liberalną i sytuuje się ją na lewo od Partii Republikańskiej, jej konkurenta w głównym nurcie politycznym. Tego rodzaju partia w warunkach innego podziału mogłaby być lokowana na prawicy.

W latach 60-ych ukształtowała się tak zwana nowa lewica której sztandarami ideami są internacjonalizm, ekologia, pacyfizm, feminizm, usytuowanie życia seksualnego poza obszarem regulowanym przez normy moralne, niczym nieograniczone powszechne prawo do aborcji, prawo do eutanazji czy prawo do handlu miękkimi narkotykami (jestem przekonany, że jeśli to ostatnie prawo zostanie wprowadzone, nowa lewica podejmie kwestię prawa do handlu narkotykami twardymi).

Do prawicy zalicza się obecnie środowiska konserwatywne i konserwatywno – liberalne, chrześcijańsko – demokratyczne, nawet centroprawicowe, a także formacje o charakterze bardziej radykalnym takie jak sytuujący się poza głównym nurtem politycznym monarchiści, narodowcy, nacjonałiści, postancjonałiści czy liberałowie pojmujący doktrynę w sposób bardziej ortodoksyjny niż ci funkcjonujący w głównym nurcie. W przypadku określenia *prawica* także mamy do czynienia z postępującą niejednoznacznością. Do prawicy bywają zaliczane formacje, które formułują pewne społeczne cele, tradycyjnie związane z lewicą, podobnie jak do lewicy zalicza się formacje, których idee i programy zawierają pewne elementy tradycyjnie związane z prawicowością. Narastająca trudność klasyfikacji według tradycyjnych, ukształtowanych zasadniczo w XIX w. kryteriów powoduje, że wprowadza się podział dwuosiowy, gdzie jedna oś przedstawia kwestie ekonomiczne, druga zorientowana jest na kwestie społeczne, moralne i kulturowe. Tego rodzaju ujęcie nie jest jednak w moim przekonaniu w pełni adekwatne do współczesnej rzeczywistości, chociaż na pierwszy rzut oka przemawia za nim wiele istotnych przesłanek.

Obecnie coraz więcej partii politycznych tzw. głównego nurtu nie wiąże się z konkretną ideą bądź też rozluźnia taki związek. Stają się w coraz większym stopniu organizacjami wyborczymi reprezentującymi interesy poszczególnych odłamów elit, traktując taką czy inną ideę jako jedno z narzędzi sukcesu wyborczego. W konsekwencji różnice programowe formacji głównego nurtu, zarówno prawicy jak i lewicy, nie dotyczą zasadniczych dla systemu kwestii lecz jedynie metod regulowania sytuacji gospodarczej i społecznej. Wszelkie zmiany polityczne oscylują zatem wokół tzw. pływającego centrum co sprawia, że różnice między *oficjalnymi* prawicą i lewicą z punktu widzenia praktyki rządzenia nie są istotne.

Dopiero poważny kryzys, regres czy załamanie systemu, u progu takiego procesu być może stoimy, spowoduje, że do głosu dojdą, zarówno po lewej jak i prawej stronie, orientacje ideowe, pozostające dzisiaj poza głównym nurtem polityki przy czym środek ciężkości uprawiania polityki będzie przesuwiał się z ram instytucjonalnych w sfery właściwe działaniom typu rewolucyjnego. Wydaje się też, że to właśnie formacje radykalne sytuowane po prawej stronie będą skupiały większą część potencjału rewolucyjnego. Prawica odwołuje się bowiem do idei przedpolitycznych zasad porządku wyższego, a zatem już przez samo to jest rewolucyjna w najwyższym stopniu wobec systemu którego podstawę tworzą wartości związane z ekonomizmem i materializmem, ukształtowane przez żywioły liberalne i lewicowe. Konsekwencją nieprzewidywalnego konfliktu na poziomie wartości musi być kwestionowanie istniejących kryteriów kształtowania hierarchii społecznej i w rezultacie samej hierarchii, istniejącego porządku i jego mechanizmów. Współczesna prawica radykalna funkcjonuje w zupełnie innej rzeczywistości niż jej klasyczna poprzedniczka, inne stoją przed nią wyzwania, inne też muszą być wizje nowego ładu. Stary kosmos dawno legł w gruzy. Próby jego przywracania na obecnym etapie rozwoju cywilizacyjnego trącą groteską. Należy, wychodząc od przedpolitycznych i ponadpolitycznych, ponadekonomicznych i ponadmateralistycznych zasad i wartości wyższych, budować nowy kosmos, w ramach którego możliwe będzie podnoszenie kondycji człowieka, kondycji moralnej, kulturowej, jakości życia społecznego ale także kondycji ekonomicznej. Tylko bowiem w przypadku zharmonizowania rozwoju w tych wszystkich sferach można mówić o rozwoju w ogóle. Lewica głównego nurtu, usytuowana mocno w systemie i będąca jego beneficjentem oczywiście żadną siłą rewolucyjną nie będzie aczkolwiek być może będzie chciała coś ugrać na kryzysach czy regresie systemu, radykalizując się na pokaz. Kontestująca system radykalna lewica, obciążona światopoglądem materialistycznym, nawet proponując alternatywne rozwiązania na poziomie gospodarczym i społecznym, nie jest w stanie zakwestionować aksjologicznych podstaw systemu i tworzona przez nią alternatywa nie przekroczy granic określonych przez tę aksjologię. Z punktu widzenia światopoglądu materialistycznego człowiek jest tylko bytem biologicznym, doskonalszą niż inne stworzenia kombinacją cząstek materii. Alternatywa lewicowa docelowo zawsze doprowadzi do ukształtowania jakiegś

nowej formy totalitaryzmu. Podział zatem na prawicę i lewicę, aczkolwiek przejawiający się w sposób inny niż kiedyś, istnieje i jest fundamentalny. Dzisiaj określa go stosunek do kształtującego się globalnego totalitaryzmu. Prawicą są ci, którzy, niezależnie od szczegółowych różnic między nimi, odwołując się do przedpolitycznych i ponadpolitycznych, ponadekonomicznych i ponadmaterialistycznych wartości, występują przeciwko nowemu totalitaryzmowi i usiłują zbudować nowy ład w oparciu o te wartości, lewicą są, także niezależnie od wewnętrznych różnic między poszczególnymi odłamami, wszyscy pozostali.

Z tym nowym sensem polityki wiąże się także kwestia jej języka. Język jest nie tylko narzędziem komunikacji ale także władzy, gry czy walki. Istnieje też wiele języków. Jest język składający się ze słów i zdań, język tworzonych faktów, język gestów, język obrazów, język muzyki niosącej przecież określone treści emocjonalne, w sferze politycznej bardzo istotne. Wszystkie te języki funkcjonują w polityce. Polityk także adresuje swój przekaz do różnych odbiorców o różnej zdolności percepcji co ma konsekwencje odnośnie języka. Trudno zatem określić precyzyjnie, jaki język najlepiej wyraża cele polityki. Człowiek jest istotą tyleż racjonalną co emocjonalną. Można powiedzieć, że jest istotą bardziej racjonalizującą swoje stany emocjonalne niż czysto racjonalną. Każda nasza decyzja czy pogląd ma nie tylko swoje gorsze lub lepsze uzasadnienie racjonalne, ale ma przede wszystkim swoją zasadniczą przyczynę w sferze emocjonalnej, w charakterze i strukturze naszej emocjonalności. Np. istnieje większe prawdopodobieństwo, że egoista będzie optował za ładem, w ramach którego będzie mógł zaspokajać swoje potrzeby nie oglądając się na to, jakie niesie to konsekwencje dla innych. Altruista zaś będzie się zawsze charakteryzował większą wrażliwością społeczną, będzie bardziej zorientowany na dobro wspólnoty a zaspokajaniu własnych potrzeb będą zawsze towarzyszyły skrupuły i niepokój, czy nie odbywa się to ze szkodą dla innych. Sądzę, że prądródło dokonywanych na poziomie racjonalnym zasadniczych wyborów politycznych jest usytuowane w emocjonalności. To oczywiście ma swoje konsekwencje jeśli chodzi o język, jaki najpełniej czy najlepiej wyraża cele polityki. Musi on być przede wszystkim w tej emocjonalności zakotwiczony, musi się z niej brać. Jeśli tak, wówczas przekaz będzie szczery i najpełniej będzie wyrażał cele polityki. Szczerość zaś na tym poziomie, wbrew temu, co się powszechnie sądzi,

jest w polityce skuteczna z uwagi na to, że buduje wiarygodność polityka. Wszystko zaś co ponadto, rodzaj języka, konstrukcja przekazu, itp. są zależne od okoliczności, miejsca, czasu i odbiorcy. Nasze cele najpełniej także wyraża ten język, jaki jest najbardziej adekwatny do wartości które leżą u podstaw ładu jaki chcemy urzeczywistnić i celów jakie chcemy zrealizować. Walka polityczna bowiem to przede wszystkim walka o wartości. Łady i cele jakie się próbuje urzeczywistnić są tylko konsekwencją wyznawanych wartości.

Budując tożsamość ideową orientacji niepodległościowo – narodowej, nawet jeśli sięgamy w takiej czy innej kwestii szczegółowej do dorobku innych, nie powinniśmy w sposób niewolniczy kopiować obcych wzorów, co niestety jest u nas aż nadto widoczne we wszystkich nurtach ideowych od prawa do lewa. Nasza tożsamość ideowa powinna być swego rodzaju odpowiedzią na realne problemy, uwarunkowania społeczne, gospodarcze, kulturowe, geopolityczne, polityczne, moralne, obyczajowe konkretnego kraju. Także wizja przyszłości, proponowane programy i rozwiązania, które są tej tożsamości składnikiem istotnym, powinny być dla tego, konkretnego kraju. Wychodząc od pewnych zasad i wartości podstawowych, tożsamość ideowa powinna być zawsze tworem własnym. Inaczej nie będzie tożsamością. Niestety obserwuję, że w polskiej refleksji politycznej, w przypadku wszystkich orientacji, wpływ refleksji zewnętrznej przeważa nad refleksją własną. Ujmując rzecz metaforycznie, cały czas więcej czytamy niż piszemy. Niestety, zbyt często też czytamy przypadkowo i bezmyślnie. To nie jest dobra sytuacja. Przyszłości naszego kraju obca myśl nie zbuduje.

Miarą skuteczności polityka jest to, na ile jest w stanie realnie wpływać na kształt ładu czy realizację celów tak, aby te jak najpełniej były zgodne z wartościami przez niego wyznawanymi. Wysoki urząd państwowy, przewaga parlamentarna czy znaczne wpływy w obszarach władzy realnej są istotne ale tylko jako narzędzia. Wejście w ich posiadanie nie świadczy jeszcze o skuteczności. Osiąganie ich należy do wymiaru gry. Kluczowe zaś znaczenie ma to, co się mieści w sferze misji. Dopiero osiągnięcia na poziomie misji są miarą skuteczności polityka. Polityk, który opanuje narzędzia realizacji misji a nie będzie jej w stanie zrealizować, zdaje się być bardziej nieskuteczny niż wtedy, kiedy by tych narzędzi nie opanował.

Demografia. Tym, co razi mnie w debacie dotyczącej kryzysu demograficznego, a w zasadzie już dzisiaj klęski demograficznej, to redukcja problemu do strony ekonomicznej. Oczywiście kwestia ekonomiczna, zwłaszcza w społeczeństwie niezamożnym, w którym istnieją duże obszary ubóstwa czy wręcz biedy, jest istotna, ale w moim przekonaniu kapitałne znaczenie mają także uwarunkowania kulturowe i moralne. Wystarczy spojrzeć na klasyfikację krajów wg dzietności a okaże się, że w skali ogólnej status ekonomiczny nie przekłada się w sposób prosty na jej poziom. Jeśli już można odczytać jakąś zasadniczą tendencję, to im większa zamożność społeczeństwa, to dzietność mniejsza.

Najogólniej rzecz ujmując niska dzietność w krajach naszego kręgu kulturowego wynika z tego, że w wykreowanym na Zachodzie i rozprzestrzeniającym się także na część krajów innych kultur totalitaryzmie pieniądza tenże jest wartością najwyższą i absolutną. W systemie tym wszelkie wartości pieniężnie nieekwiwalentne, nie tylko takie jak patriotyzm, wiara, uczciwość, sprawiedliwość itp. ale również, a może przede wszystkim miłość w jej wszelakich odmianach, w tym również do dziecka, są albo eliminowane z obszaru moralności i wrażliwości albo zastępowane pieniężnie ekwiwalentnymi substytutami. Np. w relacjach między kobietami i mężczyznami, miłość, której nie można kupić, jest zastępowana seksem, którym można handlować. Małżeństwo, jako uświęcony i z założenia trwały związek dwojga ludzi, którego strategicznym celem jest spłodzenie i wychowanie potomstwa, jest zastępowany przez związek partnerski, który z natury rzeczy jest zorientowany bardziej hedonistycznie niż prokreacyjnie przez co nietrwały, gdyż jego sens się wyczerpuje po ustaniu zainteresowania erotycznego partnerów. Zanik małżeństwa na rzecz partnerstwa nie tylko nie sprzyja postawom prokreacyjnym ale wręcz prowadzi do ich redukcji. Nie daje bowiem takiej życiowej perspektywy która gwarantuje względną prawidłowość wychowania potomstwa, zarówno w aspekcie emocjonalnym, moralnym, edukacyjnym jak i ekonomicznym.

Rodzina w rozumieniu szerszym niż nuklearna, oparta na więzach pokrewieństwa i powinowactwa, a więc więzach odpornych na zmienność koniunktury życiowych, jest zastępowana związkami o charakterze towarzyskim. Związki takie coraz częściej są warunkowane względem na korzyści materialne lub takie,

które na korzyści materialne mogą się przekładać i nie zawierają zobowiązań wynikających z krwi i powinowactwa. Egoizm dominuje tu nad altruizmem. Trwałość tego typu związków jest bardziej narażona na zmienność koniunktury życiowych a człowiek pozostaje tak naprawdę sam w obliczu systemu który redukuje go do poziomu *homo oeconomicus* i *homo faber*. W tak zatowiszowanym społeczeństwie jednostka staje się *instrumentum vocale* totalitaryzmu pieniądza. Samotność zagłuszana jest pieniężnie ekwiwalentnymi substytutami więzi międzyludzkich a pustka emocjonalna wypełniana różnego rodzaju rozrywkami, które show business produkuje w wielkiej obfitości, oraz angażującymi emocje aktywnościami w różnych dziedzinach, w skali ogólnej w pracy i robieniu tzw. karier a tak naprawdę w pogoni za iluzją kariery. Z drugiej strony jednostki napędza lęk przed utratą pracy, wyższych dochodów, pozycji i wpływów, lęk przed wypadnięciem z gry. W warunkach wykreowanej przez pieniądza iluzji życia kluczowym źródłem poczucia szczęścia stają się rzeczy i ulotne wrażenia a nie realne więzi z żywymi ludźmi, w tym również a może przede wszystkim z własnymi dziećmi. Pogoń za pieniężnie dostępną iluzją szczęścia z jednej strony, z drugiej lęk przed wypadnięciem z gry, przed tym, że nie zapewni się swoim dzieciom egzystencji na zaspokajającym aspiracje materialne poziomie, prowadzi nie tylko do zaniku pragnienia posiadania więcej niż jednego dziecka, ale wręcz do posiadania dziecka w ogóle, do swoistej dzieciofobii. Potomstwo bowiem jest coraz częściej postrzegane i odczuwane jako życiowa przeszkoda. Dotyczy to zarówno kobiet jak i być może w jeszcze większym stopniu mężczyzn.

Pozornie wydawałoby się, że kulturowe i moralne przypadłości bogatych zachodnich Europejczyków, nie dotyczą nas, biednych wschodnioeuropejskich tubylców, że u nas znaczenie ograniczeń ekonomicznych jest większe, jeśli nie dominujące. To złudzenie. Gdyby w Polsce zdarzył się prawdziwy cud gospodarczy, tj. w ciągu jednego pokolenia stanęlibyśmy w rzędzie najbogatszych społeczeństw świata, w co szczerze wątpię, nie wydaje mi się żeby wpłynęło to na naszą dynamikę prokreacyjną w tym stopniu, aby nasz byt ludnościowy (narodowościowy) nie był zagrożony.

Ograniczając się tylko do strony ekonomicznej problemu nie osiągniemy wymaganej dzietności przede wszystkim dlatego, że zaślepieni bogactwem

Zachodu i sami dążąc do jego osiągnięcia, na wszelki sposób usiłujemy się upodobnić do imponującego nam wzorca, także pod względem stylu życia i dominujących tam nie-wartości. Dzisiaj coraz bardziej i u nas pieniądz znaczy więcej niż wiara, miłość, rodzina, dzieci, naród, państwo, godność i honor. Stajemy się jego niewolnikami tym łatwiej, że wciąż mało go posiadamy. Cywilizacja zachodnia, jak każdy twór człowieka, jest bytem niedoskonałym i jak każdy byt niedoskonały z upływem czasu przechodzi w swoje przeciwieństwo, nie-cywilizację. Wartości cywilizacyjne Zachodu były w zaniku już wtedy, kiedy po okresie sowieckiej okupacji zgłaszaliśmy do niego akces. Trwał on, trwa i przez jakiś czas trwać będzie siłą bezwładu wcześniej zbudowanej przewagi. Fundamentami jego współczesnej nie-cywilizacji są egoizm, hedonizm, chciwość i próżność. Utraciwszy podstawy w sferze wartości Zachód pozycję dotąd posiadaną nieuchronnie utraci. Na jego ruinach inni ludzie stworzą inną cywilizację. Jeśli nie chcemy podzielić jego losu, jeśli nie chcemy umrzeć wraz z nim, musimy dokonać zasadniczej i sięgającej samych podstaw naszego istnienia aksjologicznej reorientacji, musimy wrócić do wartości fundamentalnych. Przykłady krajów zachodnich zaś, a także niektórych wschodnich, które w sprawę przewyciężenia kryzysu przyrostu naturalnego zaangażowały więcej środków i działania ich były zdecydowanie bardziej wielostronne niż w Polsce, osiągając rezultaty mizerne, lub nie osiągając ich wcale, pokazują, że bez głębokiej sanacji moralnej, nawet przysłowiowe „cuda wianki” nie pomogą.

Strategia rozwoju. W chwili obecnej jesteśmy w dalszym ciągu gospodarką, która na rynkach światowych ma do zaoferowania produkty rolne, przemysłowe o niskim stopniu przetworzenia i takimż zawansowania technologicznego oraz małym wsadzie najnowszej wiedzy, surowce, owoce lasu, niewyszukane usługi, tanią siłę roboczą, trudniącą się w kraju montowaniem wyrobów w obcych montowniach (których nie projektują polscy inżynierowie a ich procesu wytwórczego nie opracowują polscy technologowie) oraz tanią siłę roboczą eksportowaną do krajów wyżej rozwiniętych, której przeznaczeniem *en masse* są zajęcia właściwe imigrantom z III Świata. To oznacza, że jesteśmy typowo peryferyjną gospodarką zależną od gospodarek wysokorozwiniętych.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w III RP prowadzono poważną debatę publiczną na temat strategii rozwojowej, natomiast w latach 90-ych

sformułowano pogląd, że najlepszą polityką gospodarczą jest brak polityki. Takie podejście nie powinno budzić zdziwienia. W polskiej kulturze politycznej, zarówno obecnie jak i w całej historii, myślenie całościowe, systemowe, strategiczne i długofalowe jest rzadkością a jeśli już się pojawi napotyka na nieprzezwyciężalną barierę w postaci prymitywizmu tzw. elit oraz ich nicości charakterologicznej i moralnej. Ze stanem takim mamy do czynienia we wszystkich dziedzinach życia, od gospodarki, poprzez naukę, po kulturę, ale najbardziej widoczna, ze względu na duże zainteresowanie mediów, jest tradycyjna słabość intelektualna i moralna wszystkich środowisk politycznych. Niezbędne zatem jest wychowanie wreszcie elity z prawdziwego zdarzenia która z czasem zastąpi obecną czeredę i stworzenie właściwych mechanizmów jej reprodukcji. Będzie to proces długotrwały i trudny jednak bez tego nie ma co nawet roić o przyszłości.

Dla kraju takiego jak Polska, jedyną odpowiedzią jest gospodarka skutecznie rywalizująca na rynkach światowych w zakresie wytwórczości o wysokim stopniu przetworzenia, zawansowanej technologicznie, której atutem nie jest marnie opłacana siła robocza ale ulokowana w wytwórczości wiedza i umiejętności na najwyższym poziomie. Kluczowe znaczenie ma zatem wspieranie inwestycji z obszaru wysokich technologii oraz edukacji nie takiej, której rezultatem jest dyplom, lecz takiej która wyposaża adeptów w rzeczywistą wiedzę i umiejętności. Sam wzrost konsumpcji w sytuacji, gdy w znacznej części towary nabywane przez klientów pochodzą z importu lub wytwórczości na terenie kraju, ale będącej własnością obcego kapitału, nie przyczyni się do rozwoju wytwórczości rodzimej w sposób taki, jaki jest niezbędny. Chodzi o to, aby nasza przedsiębiorczość wypierała z rynków krajowych przedsiębiorczość obcą i rozwijała ekspansję na rynki obce. Inaczej mówiąc, musimy być krajem, który zalicza się do grona wyznaczającego innym standardy rozwoju cywilizacyjnego, stąd czerpiącego zyski i tak budującego swoją przewagę. Bez tego nie może być mowy o suwerenności i niepodległości we współczesnym świecie.

Jak do tej pory jesteśmy narodem proletariackim ze wszystkimi tego faktu kulturowymi, mentalnymi i społecznymi konsekwencjami tak niekorzystnie wpływającymi na rozwój. Nawet jeśli obraz ten koryguje nieco szara strefa,

to nie koryguje go w sposób istotny. Bogatych ludzi wprawdzie przybywa, ale w dalszym ciągu na tle większości krajów UE jest ich mało. Bogaci ludzie wzięli się u nas z:

a) PRL-owskich funkcjonariuszy którzy w latach 1984 – 1990 przejmowali przedsiębiorstwa, nieruchomości, pieniądze (uwłaszczenie nomenklatury) oraz zakładali i rozwijali przedsięwzięcia prywatne w niezwykle dla nich dogodnych warunkach korzystając z rzeczywistego przywileju jaki dawała wysoka pozycja w strukturach systemu, który to przywilej ograniczał bądź wykluczał wszystkich nie należących do klasy rządzącej w PRL,

b) części ludzi o solidarnościowym rodowodzie reprezentujących ugodowe skrzydło ruchu którzy od rozpoczęcia transformacji, a może nawet nieco wcześniej, zostali dokooptowani do interesu i wraz z postkomunistami wykorzystali okazję jaką dawała rabunkowa transformacja gospodarcza lat 90 – ych,

c) przedstawicieli wykreowanej przez służby PRL przestępczości zorganizowanej, posiadających powiązania z grupami a) i b);

z grup tych bogatymi dzisiaj są ci, którzy przejętego majątku nie przetracili lecz potrafili go korzystnie zainwestować i pomnożyć oraz trwale uplasować się w strukturach kapitalizmu zależnego tworząc tzw. burżuazję kompradorską. Zaznaczyć należy, że dzisiaj, owo pomnażanie majątku ułatwia im przewaga jaką uzyskali w chwili startu, sieć różnorodnych powiązań korzeniami tkwiących w epoce PRL oraz fakt, że władzę polityczną w kraju od początku transformacji sprawują ugrupowania wyrosłe z paktu „okrągłego stołu”, będące polityczną emanacją grup interesu a) b) i c);

d) ludzi którzy, zaczynając od niewielkiego kapitału, zakumulowanego dzięki własnej indywidualnej przedsiębiorczości lub bez mała od zera, za sprawą własnej wiedzy, pomysłowości, operatywności i szczęściu potrafili dojść do większej lub mniejszej fortuny, oczywiście na polską miarę;

e) piątą grupę stanowią ludzie, którzy jeszcze dziś do bogatych się nie zaliczają, jednak podjęli wyzwanie i próbują, w oparciu o cechy właściwe grupie d) wykreować i rozwijać własne przedsięwzięcia; ludzie ci, bardzo często natrafiają na różnorakie bariery, zarówno ekonomiczne, instytucjonalne i polityczne, z których to barier kluczową jest sieć układów stworzona przez grupy a), b) i c) nazywana żargonowo „szklanym sufitem”.

Z punktu widzenia przyszłości polskiej gospodarki kluczowe znaczenie mają grupy d) i e) z racji tego, że osiągają swoje cele gospodarcze w sposób, w którym zasadniczą rolę odgrywają wiedza, pomysły, pracowitość, operatywność i przedsiębiorczość a nie faktyczny przywilej polityczny czy siła układów. Jeśli chcemy stworzyć silną narodową przedsiębiorczość, skutecznie rywalizującą w nowoczesnym świecie to możemy ją stworzyć tylko z tych grup. Utrwalenie się zaś przewagi grup a), b) i c) z ich przywilejem politycznym, siecią powiązań w obszarze gospodarka, służby, sfera polityczna i przestępczość, przewagi zabezpieczanej przez związki o charakterze kompradorskim z obcym kapitałem i obcymi ośrodkami politycznymi, będzie równoznaczne z utrwaleniem się systemu klientelnego, którego gospodarka pozostanie na stałe składnikiem peryferyjnego zaplecza krajów wysokorozwiniętych.

Dlatego też każdy rząd patriotyczny powinien w ramach strategii rozwojowej prowadzić politykę mającą na celu złamanie pozycji grup a), b) i c) i unicestwienie układów tkwiących korzeniami w PRL i epoce rabunkowej prywatyzacji lat 90-ych. Jednocześnie należy zablokować przepływ kapitałów z grup a), b) i c) w ręce obce i wykreować proces przepływu tych kapitałów do grup d) i e) w taki sposób, aby wraz z rozrostem tych grup następowała atrofia grup a), b) i c). W inny sposób nie da się rozbić „szklanego sufitu”. Jednocześnie rząd, jeśli jest patriotyczny, musi bezwzględnie wspierać polskich przedsiębiorców w walce z obcymi zarówno na rynkach krajowych jak i zagranicznych. Nie da się też na serio rozwiązać żadnego problemu społecznego, jeśli się nie stworzy silnej narodowej przedsiębiorczości zdolnej realną perspektywą sukcesu zaktywizować gospodarczo społeczeństwo oraz jeśli nie stworzy się elity zdolnej do zbudowania ładu społecznego w którym wartości etyczne mają prymat nad materialnymi. Obawiam się jednak, że takiej operacji nie będzie w stanie przeprowadzić żaden rząd wyłoniony w trybie innym niż rewolucyjny, niezależnie od tego, jak bardzo byłby patriotyczny.

Kultura. Terminem tym zwykło się określać ogół wytworów ludzi – zarówno materialnych, jak duchowych i symbolicznych. Jednak kluczowe znaczenie mają ukształtowane w procesie historycznym wzory myślenia i zachowań, idee, systemy wartości i moralność kierowana przez rozum i obyczaje. Kultura wpływa także na kształtowanie osobowości jednostek. W jej ramach przekazywane

są, poprzez kontakt społeczny, określone dyspozycje psychiczne. Istotny jest tutaj poziom ładu na co dzień nie uświadamianego sobie przez uczestników określonej kultury. Wytworzona przez nią konfiguracja wyuczonych zachowań jest przekazywana przez członków danego społeczeństwa z pokolenia na pokolenie. W ten sposób formują się, utrwalają oraz są internalizowane normy i wartości obowiązujące w danej zbiorowości. Epoka nowożytna, w której nastąpiło rozejście się dróg rozwojowych między zachodnią i wschodnią Europą, była jednocześnie okresem, w którym ukształtowały się kulturowe fundamenty współczesnych narodów, a więc także zasadnicze różnice kulturowe między nimi.

Na kulturę narodu nie należy patrzeć bezkrytycznie ani nie należy postrzegać jej jako czegoś, co jest niezmiennie. W toku swojego istnienia naród cały czas ją kształtuje. W dorobku kulturowym każdego narodu można znaleźć te elementy, które są duchową przesłanką jego siły teraz i mogą taką być w przyszłości, oraz te, które nie będąc wystarczającą odpowiedzią na wyzwania współczesności i nadchodzących czasów, stanowią coraz większą przeszkodę dla jego rozwoju. W moim przekonaniu, najważniejszymi negatywnymi zjawiskami współczesnej rzeczywistości naszego kraju, które są w dużym stopniu, aczkolwiek nie wyłącznie, rezultatem uwarunkowań kulturowych, są: niski poziom innowacyjności oraz niezdolność do stworzenia sprawnego, efektywnego i silnego państwa. Uwarunkowania te są po części dziedzictwem odmiennej od zachodniej drogi rozwoju w epoce nowożytnej, po części epoki zaborów kiedy nie tworzyliśmy własnego państwa, po części epoki PRL kiedy też nie tworzyliśmy własnego państwa. Na co dzień najczęściej sobie ich nie uświadamiamy, gdyż mają one bardzo starą genezę i niejako wkomponowały się w naturalny porządek rzeczy.

Na Zachodzie wymagania, jakie stawiały właściwe rozwijającemu się kapitalizmowi metody produkcji oraz wiążąca się z tym ewolucja stosunków społecznych, wpływały na typ kultury, która stawała się nośnikiem takich wartości jak wiedza, innowacyjność, mobilność, przedsiębiorczość, oszczędność, racjonalność i praca. W związku z rozwojem przemysłu i handlu następował postęp w zakresie kultury technicznej i organizacyjnej. Generujące zapotrzebowanie na żywność rozwijające się rzemiosło, wytwórczość manufakturowa, handel,

transport morski i miasta pobudzały także rolnictwo krajowe do większej produkcji czemu sprzyjało coraz lepsze wyposażenie techniczne, indukowana przez kulturę wczesno przemysłową innowacyjność w tym sektorze a wreszcie, rozwijana przez siły społeczne związane z pozarolniczą działalnością gospodarczą presja na przekształcanie form ustrojowych w kierunku pro wzrostowym, którymi to formami obejmowane było także rolnictwo. Wreszcie rewolucja agrarna, która poprzedziła rewolucję przemysłową, pozwoliła na osiągnięcie wydajności w rolnictwie na poziomie umożliwiającym zaangażowanie nadwyżek zasobów pracy z tego sektora w przemyśle co zaowocowało rozwojem produkcji fabrycznej. W wytwórczości kapitalistycznej, opartej na pracy najemnej, kluczowe znaczenie mają koszty pracy. Ich obniżanie prowadzi do wzrostu dochodów. Opłaca się zatem podnosić wydajność przez innowacyjność w zakresie produktu i procesu wytwórczego. Jeśli warunki determinujące innowacyjność trwają w danym społeczeństwie odpowiednio długo, staje się ona jednym z istotnych i trwałych elementów w jego zbiorze wzorów myślenia i zachowań, staje się istotną cechą kulturową.

Rzeczpospolita, od przełomu XV i XVI w., na skutek znakomitej koniunktury na produkty żywnościowe w kraju i zagranicą, zwłaszcza zboże, przyjęła rolniczą orientację wytwórczą a podstawami jej systemu gospodarczego stały się folwark pańszczyźniany i wtórne poddaństwo. Sytuację taką można dość dobrze wytłumaczyć na gruncie neoklasycznego modelu wymiany międzynarodowej Heckschera–Ohlina, przy wszelkich zastrzeżeniach co do szeregu restrykcyjnych założeń, pomijających wiele aspektów istotnych dla wyjaśnienia przyjęcia przez dany kraj specjalizacji międzynarodowej i kierunków handlu, jakie poczynili twórcy tego modelu. Według niego, kraje eksportują dobra, w których produkcji intensywnie wykorzystują swoje najbardziej obfite, czyli względnie tańsze, zasoby czynników. Różnice obfitości zasobów wyjaśniają kierunki specjalizacji międzynarodowej, w której strony uzyskują korzyści z handlu, sprzedając dobra, wytwarzane względnie taniej i kupując te, które same byłyby w stanie produkować względnie drożej. Różnice cen w warunkach autarkii mają bowiem źródło w różnicach kosztów produkcji a te, przy założeniu identycznej technologii, w różnych cenach czynników produkcji wynikających z różnego stopnia rzadkości posiadanych zasobów. W epoce przed fabrycznej,

kiedy rolnictwo było decydującą gałęzią gospodarki, kluczowym czynnikiem produkcji była ziemia. Ze wszystkich krajów europejskich Rzeczpospolita była wyposażona w ten czynnik najhojniej. Stosunkowo mała względem obszaru liczba ludności sprawiała, że czynnik ten był względnie tani. Mimo doskonałej koniunktury na produkty rolne, niewystarczająca do pełnego zagospodarowania zasobów liczba ludności powodowała, że duże obszary pozostawały nieuprawiane czego efektem było to, że obok produktów rolnych naszą ówczesną pozycją eksportową były także dobra jakie pozyskiwano z lasów. Kolejnym czynnikiem produkcji była praca. Tutaj sytuacja już nie kształtowała się tak korzystnie i przy niewystarczającej liczbie ludności w stosunku do zasobów gruntów nadających się pod uprawę praca teoretycznie powinna być droga. Jednak szlachta, posiadając dominującą pozycję w strukturze społeczeństwa stanowego przezwyciężyła ten problem rozwijając folwark pańszczyźniany w którym wykorzystywała pracę chłopów. Przymusowa praca poddanych nie była istotnym składnikiem kosztów produkcji, nie było więc impulsów do zwiększenia wydajności poprzez nakłady na stosowanie nowych rozwiązań. Tak dogodnie dla niskich kosztów warunki nie sprzyjały zatem postępowi w zakresie technologii produkcji rolnej. Łatwiej i taniej było zagospodarowywać nowe obszary i zwiększać świadczenia pańszczyźniane niż inwestować w nowe metody upraw, w udoskonalenia prowadzące do intensyfikacji produkcji. Była to gospodarka ekstensywna i to w dwojakim sensie: zarówno jeśli chodzi o obejmowanie uprawą kolejnych niezagospodarowanych obszarów jak i obejmowanie coraz większej liczby chłopów coraz wyższym wymiarem pańszczyzny.

Z odwrotną sytuacją mieliśmy do czynienia w większości krajów Europy Zachodniej. Względnie wysokie koszty produkcji rolnej wynikały po pierwsze z mniejszych w stosunku do liczby ludności zasobów gruntów nadających się pod uprawę, po drugie z tego, że rozwijające się pozarolnicze dziedziny gospodarki czerpały surowce z części majątków ziemskich nastawionych na ich produkcję, np. w Anglii hodowla owiec dostarczających surowca dla wytwórczości włókienniczej, po trzecie brak pańszczyzny powodował, że praca w rolnictwie kosztowała. W efekcie na Zachodzie wystąpiła tendencja do intensyfikacji produkcji rolnej co polegało na stosowaniu rozwiązań prowadzących do wzrostu wydajności pracy i ziemi. Najsilniej tendencja ta wystąpiła w kraju badaj

najuboższym w nadające się pod uprawy grunty, Niderlandach, później w Anglii, gdzie w XVIII w. dokonała się rewolucja agrarna rozprzestrzeniająca się na pozostałe kraje Zachodu. W efekcie już w XVIII w. między krajami Europy Zachodniej a Rzeczpospolitą zaistniała w rolnictwie poważna luka technologiczna. Towarzyszyła jej luka organizacyjna, gdyż system gospodarczy oparty na folwarku pańszczyźnianym nie posiadał wewnętrznych mechanizmów pobudzających do innowacji.

W kraju, którego gospodarka została zdominowana przez rolnictwo a ustrój kształtował się pod interesy właścicieli majątków ziemskich mieliśmy do czynienia nie tylko z zahamowaniem procesu tworzenia się stosunków kapitalistycznych, ale z recydywą feudalizmu. Konsekwencją tego stanu rzeczy był w dalszej perspektywie upadek miast i miejskiej wytwórczości. Od czasów starożytnych najszybciej rozwijały się te kraje, które miały dostęp do bardziej efektywnych środków komunikacji i transportu oraz intensyfikowały aktywność handlową, co pozwalało na szybkie upowszechnianie się nowych wynalazków. Jednak szlachta, obawiając się powstania silnej klasy handlowo-przemysłowej, która mogłaby zagrozić jej pozycji, wołała w eksporcie produktów folwarku korzystać z usług obcych kupców. Jej świadomość gospodarczą ograniczały ciasne horyzonty majątku ziemskiego a świadomość polityczną egoizm stanowy. To spowodowało, że państwo przez nią tworzone nigdy nie przejęło realnej władzy nad wybrzeżem bałtyckim mimo, że nad częścią tego wybrzeża sprawowało nominalną zwierzchność. Mało tego, nie rozwinięto nawet wewnętrznej sieci komunikacyjnej w stopniu niezbędnym do lepszego wykorzystania możliwości kraju w zakresie produkcji rolnej. W związku z powyższym nie ukształtowały się u nas w epoce nowożytnej wystarczająco silne czynniki społeczne i polityczne zorientowane na rozwój handlu, przemysłu i kapitalistycznych form produkcji. Nie wytworzyły się zatem w naszej kulturze właściwe wytwórczości kapitalistycznej wzory myślenia i zachowań. Wśród elity kształtowały się skłonności do podkreślania statusu i wygodnego życia. Uwielbiano się procesować, politykować, imponować. W społeczeństwie zasadniczo składającym się z uprzywilejowanej grupy właścicieli ziemskich i ogromnej masy zależnych, ubogich chłopów, mamy z jednej strony lenistwo i dogadanie sobie, z drugiej beznadzieję; na górze wyniosłą obojętność, ignorancję i arogancję, na

dole zawiść, chciwość, rozpacz i rezygnację. W takim społeczeństwie nie było wystarczających bodźców do ulepszeń i zmian. Ogólnie struktura wymiany handlowej Rzeczypospolitej wyglądała następująco: eksport – zboże, drewno, popiół, smoła, skóry, futra, wełna, len, konopie, woły; import – stal, narzędzia metalowe, noże, kosy, sierpy, sukna, płótna, barchan, jedwab, wina. Taka struktura wymiany handlowej już wówczas prowadziła do kształtowania się zależności naszej gospodarki od rozwijającej się poza naszymi granicami wytwórczości wczesno przemysłowej. Próby modernizacji kraju, w tym również gospodarki, podjęte w epoce stanisławowskiej, zakończyły się klęską rozbiorów.

W epokę produkcji fabrycznej wkroczyliśmy opóźnieni w stosunku do krajów zachodnich o całą fazę rozwojową. Podstawą naszej gospodarki było w dalszym ciągu głęboko zacofane rolnictwo. Ponadto straciliśmy własną państwowość a wraz z nią szansę na zaprojektowanie i realizację jakiegokolwiek strategii zniwelowania dystansu. Nasze ziemie pozostały obszarem peryferyjnym względem centrów rozwojowych Europy oraz względem centrów gospodarczych naszych zaborców. Na Górnym Śląsku postęp rewolucji przemysłowej opóźniało jego peryferyjne usytuowanie w ramach Rzeszy. W Królestwie polskim przez długi czas przeszkodę stanowił napływ tanich towarów z Rosji. W Galicji brakowało wszystkiego: kapitałów, rynku zbytu oraz polityki austro-węgierskiego rządu. O ile na początku XX w rolnictwo w zaborze pruskim osiągnęło wskaźniki wydajności na poziomie czołowych krajów zachodnich o tyle dla zaboru rosyjskiego i Galicji wskaźniki te były prawie dwukrotnie niższe. Bieda na wsi oznaczała płytki rynek na produkty przemysłowe. Nie było więc podstaw dla zadowalająco szybkiego rozwoju przemysłu. Ewentualny eksport na Zachód nie wchodził w grę z uwagi na różnicę poziomu technicznego. Możliwości eksportu na rynek wschodni ograniczała polityka Moskwy. Sytuacja zaczęła się zmieniać na korzyść dopiero w latach 60-ych XIX w kiedy w zaborze rosyjskim przeprowadzono reformy agrarne których efektem było stopniowe kapitalizowanie folwarku. Czynnikiem hamującym rozwój była jednak taniość siły roboczej.

Rewolucja przemysłowa jako znacznie w stosunku do Zachodu spóźniona, miała u nas charakter wybitnie peryferyjny a więc charakteryzujący się zasadniczo adaptacją rozwiązań już gdzie indziej wypracowanych a nie kreowaniem

rozwiązań oryginalnych. Na jej kulturowy wpływ na społeczeństwo polskie negatywnie rzutowało to, że większość przemysłu znajdowała się w rękach obcych. Wielkie ziemiaństwo polskie, które jako jedyne posiadało wystarczające środki, w przedsięwzięcia przemysłowe angażowało się w niewielkim wymiarze, sporadycznie i okazjonalnie. Stąd też wśród poważniejszych przemysłowców na naszych ziemiach nazwiska polskie można policzyć na palcach przysłowiowej jednej ręki. To sprawiało, że właściwa kulturze przemysłowej innowacyjność jako wzór myślenia i postawa w małym stopniu przenikała do kultury polskiej. Nasza kultura funkcjonowała niejako obok dziewiętnastowiecznego procesu rozwoju produkcji fabrycznej mimo, że taka produkcja na naszych ziemiach, aczkolwiek w mniejszej skali niż na Zachodzie, także się rozwijała. W kontekście decydującej roli przemysłu dla rozwoju cywilizacyjnego tamtej epoki i w przyszłości oznaczało to, że jako naród nie wchodziliśmy w wystarczającym stopniu w posiadanie narzędzi kulturowych niezbędnych do skutecznego funkcjonowania w nowoczesnym świecie.

Po odzyskaniu niepodległości Polska podjęła ogromny wysiłek na rzecz modernizacji. Powstały od zera przemysły będące wówczas dźwigniami nowoczesności takie jak elektrotechniczny, chemiczny, zbrojeniowy i gumowy a w mniejszym stopniu lotniczy, motoryzacyjny, telekomunikacyjny i radio-techniczny. Niezależnie od tego jak oceniać poszczególne aspekty rozwoju w dwudziestolecie międzywojennym, generalnie sprawy szły w dobrym kierunku a przed nami istniała realna perspektywa znalezienia się z czasem w gronie krajów wysoko rozwiniętych. Niebagatelną rolę odgrywało tutaj państwo. Proces modernizacji trwał jednak zbyt krótko, aby na stałe wprowadzić do naszej kultury wartości sprzyjające rozwojowi na miarę XX w. Nie należy zapominać, że było to zaledwie 16 lat normalnej gospodarki. Przed 1922 r. mieliśmy bowiem gospodarkę wojenną i jeszcze nieustalone granice, w roku zaś 1939 wybuchła II Wojna Światowa.

Po przegranej wojnie znaleźliśmy się pod sowiecką okupacją funkcjonując w warunkach nowego ustroju. Tzw. realny socjalizm, odwołujący się do marksizmu i leninizmu, miał w myśl teoretycznych założeń doprowadzić do likwidacji zacofania oraz stworzenia nowej formacji społeczno – ekonomicznej, w ramach której wszystkie sprzeczności rozwoju zostaną przezwyciężone.

W rzeczywistości nie był zdolny do skutecznej antycypacji tendencji rozwojowych, nie posiadał wewnętrznych motorów innowacyjności, nie kreował nowoczesnej wytwórczości. Zaistniał w epoce węgla i stali i tak długo, jak ta epoka trwała, jako tako się bronił. Jednak wobec wyzwań rewolucji technologicznej, elektronicznej, telekomunikacyjnej i informatycznej okazał się bezradny jak dziecko. W rezultacie światowy kapitalizm najpierw założył światowemu socjalizmowi pętlę na szyję a później ją zacisnął. Jego bilans w Polsce z punktu widzenia szans rozwojowych to przede wszystkim utrata wartościowej części elit przedwojennych jaka ocalała z pożogi i likwidacja mechanizmu reprodukcji elit. System nakazowo-rozdziałczy bowiem nie kreował elit gospodarczych tylko gospodarczych funkcjonariuszy a to istotna różnica. Efektem czterdziestu pięciu lat istnienia tego ustroju jest głębsza niż nam się wydaje kulturowa sowietyzacja. W epokę III RP wkraczaliśmy zatem jako kultura wybitnie antyinnowacyjna.

Rozpatrując problem innowacyjności w kontekście barier kulturowych istotne znaczenie ma kwestia pewnych rodzajów wiedzy których poziom i zasięg jest silnie uwarunkowany kulturowo. O ile wiedza deklaratywna, dotycząca koncepcji teoretycznych, faktów czy zdarzeń, jest łatwa do zwербalizowania i przekazywania, o tyle wiedza proceduralna, stanowiąca zespół umiejętności odnoszących się do konkretnych sytuacji i pozwalających dostrzegać szanse rynkowe oraz wypracowywać sposoby ich wykorzystania, jest często trudna bądź niemożliwa do zwербalizowania. Podobnie jest w przypadku wiedzy specjalistycznej i wiedzy przedsiębiorczej będącej częścią wiedzy ogólnej. Ta pierwsza dotyczy znajomości specyfiki konkretnego rynku, technicznych aspektów produktu, nabywców, kanałów dystrybucji, itp. Jednak nie każdy, nawet wybitny specjalista, jest dobrym przedsiębiorcą. Tym, co wyróżnia przedsiębiorcę jest przede wszystkim wiedza przedsiębiorcza która może być nabywana tylko przez doświadczenie i obserwację. Dotyczy ona z jednej strony poszukiwania szans w otoczeniu i ich wykorzystywania, z drugiej umiejętności pozyskiwania akceptacji inwestorów, klientów czy kontrahentów. Gromadzenie wiedzy proceduralnej i przedsiębiorczej odbywa się poprzez relacje społeczne, szczególnie rodzinne, których siła oddziaływania jest w procesie socjalizacji przedsiębiorczej największa, a także poprzez transformację własnych doświadczeń.

Jeśli przez całe wieki właściwe przedsiębiorczości wzory myślenia i zachowań zajmowały w naszej kulturze pozycję marginalną, rozpowszechnienie i poziom wymienionych rodzajów wiedzy, kluczowych z punktu widzenia przedsiębiorczości, są daleko niewystarczające.

W rezultacie powyżej naszkicowanych procesów historycznych ukształtowała się dzieląca nas od krajów rozwiniętych wyraźna i głęboka luka mentalna, intelektualna i psychologiczna. Jest ona jedną z kluczowych przyczyn rozziwienia między obiektywną potrzebą innowacji a praktyką i rzeczywistością w tej dziedzinie. Mimo stopniowo wzrastających ilości informacji i poziomu wiedzy na ten temat, luka ta zamiast się kurczyć, raczej się pogłębia. Niski poziom innowacyjności naszej gospodarki nie budzi najmniejszego niepokoju „elit” i społeczeństwa. Nie podejmuje się też żadnych poważnych działań, aby zmienić ten stan rzeczy. Ilekroć jest mowa o stanie finansów publicznych czy konkurencyjności polskiej gospodarki, zarówno ekonomiści jak i przedsiębiorcy wskazują na konieczność zmniejszania kosztów pracy. Niestety, drogę widzą jedną: poprzez redukcję, w taki czy inny sposób, znajdujących się na bardzo niskim poziomie płac i świadczeń pracowniczych. Zupełnie nie biorą pod uwagę możliwości opracowywania i wdrażania rozwiązań w zakresie organizacji i technologii lepszych niż u konkurencji, co jest zdecydowanie skuteczniejszą metodą redukcji kosztów pracy. Ludzie ci w sposób nieuświadomiony posługują się wzorem myślenia ukształtowanym w epoce, w której szlachcic zwiększał dochodowość folwarku nie za pomocą innowacyjności, lecz poprzez zwiększanie obciążeń poddanych. To wskazuje, że innowacyjność nie jest w naszej kulturze wartością istotną. Stanu tego nie zmieniają incydentalne dokonania pojedynczych naukowców czy nawet zespołów. We współczesnym świecie nawet największe talenty nie wystarczają, kiedy funkcjonują w kulturowej i gospodarczej próżni gdyż ich intelektualne osiągnięcia nie zostaną połączone z przedsiębiorczością zdolną do ich zagospodarowania. W społeczeństwie nieorientowanym na innowacyjność i badania naukowe dokonania ludzi wybitnie uzdolnionych pójdą na marne albo będą wykorzystywane przez innych, nierzadko bez oddania należnego honoru właściwym twórcom. Nadziei na zmianę tego stanu nie daje także świadomość fundamentalnego znaczenia tego problemu w niektórych środowiskach. Zdolność do stworzenia innowacyjnej gospodarki, a tylko taka

jest gospodarką nowoczesną i najbardziej pod każdym względem korzystną, osiągniemy dopiero wtedy, kiedy innowacyjność stanie się naszym standardem kulturowym a bycie innowacyjnym powszechnie wymaganą postawą.

W naszej świadomości historycznej I Rzeczypospolita funkcjonuje jako mocarstwo. Należy jednak pamiętać, że nie było to mocarstwo jedyne a co do jej pozycji w hierarchii mocarstw nie ma sensu się spierać. Jeśli jednak spojrzeć na całą jej historię to można obserwować dwa równoległe procesy. Jednym jest słabnięcie Rzeczypospolitej, drugim jest wzrost siły państw ościennych. Finał zatem nie mógł być inny niż ten jaki był a zdziwienie niezaangażowanego emocjonalnie obserwatora mógłby co najwyżej wzbudzić fakt, że miał on miejsce tak późno i dokonał się w trzech aktach. Podstawową jej wadą było to, że nie rozwinęła ona aparatu państwowego z mechanizmami podejmowania decyzji odpowiednimi do wyzwań dziejowych. Nawet jeśli przyjmiemy ryzykowną tezę, że w jej początkowej fazie nie było to konieczne gdyż z takim instrumentarium, jakim dysponowała, jakoś sobie radziła, to jednak bardzo szybko zmiany w tym zakresie były już konieczne. Jednakże obiektywna konieczność leżała poza świadomością zasadniczej części jej elity która zamiast budować silne państwo kontentowała się czymś, co eufemistycznie można nazwać wolnością. Epoka *potopu* wykazała z całą ostrością jak ta forma państwowości jest niewystarczająca. Jednak wówczas nie było już odpowiednich sił wewnętrznych na to, aby po wyjściu obronną ręką z tarapatów, państwo zreformować. Przebudzenie epoki stanisławowskiej, w której poważne działania w tym kierunku wreszcie podjęto, było niestety przysłowiowym obudzeniem się z ręką w nocniku.

W epoce zaborów i PRL mieliśmy do czynienia z państwowością wrogą którą najlepsi Polacy zwalczali jak mogli i potrafili. I chociaż wszyscy jesteśmy patriotami, to jednak zdolność i umiejętność tworzenia silnego, sprawnego, funkcjonalnego i efektywnego państwa nie należy do odziedziczonych po przodkach zdolności kulturowych. Mimo, że przecież cały czas leżymy między Rosją a Niemcami, to kontentując się spokojem dnia dzisiejszego, w ostatnich latach coraz bardziej problematycznym, nie odczuwamy nawet potrzeby budowania silnego państwa, twardo wierząc w to, że jak w przyszłości ten spokój się skończy, sojusznicy nie pozwolą nam zginąć.

Jeśli zatem nasze aspiracje cywilizacyjne i państwowe mają być aspiracjami serio a nie buffo, musimy dokonać odpowiedniej głębokiej reorientacji kulturowej. Przewyciężanie barier kulturowych powinno być oczywistym zadaniem elit. Problem ten jest jednak położony daleko poza zasięgiem zdolności pojmowania przez grupy, które jako elity się firmują. Jesteśmy zatem krajem bez elit a to nie wróży nic dobrego. Jeśli chcemy, żeby złe wróżby się nie spełniły, musimy wreszcie elity stworzyć.

Edukacja. Pod tym pojęciem rozumie się ogół procesów i oddziaływań, których celem jest zmienianie ludzi stosownie do panujących w społeczeństwie ideałów i celów wychowawczych. I chociaż w rozumieniu potocznym kojarzona jest z dziećmi i młodzieżą oraz z zespołem instytucji powołanych do kształcenia należy zdawać sobie sprawę, że jest procesem ciągłym obejmującym całe życie człowieka i realizowanym we wszelkich formach i rodzajach społecznych interakcji. Dlatego też typ kultury rozwijanej przez daną zbiorowość decyduje o rodzaju edukacji i na zasadzie sprzężenia zwrotnego edukacja wpływa na typ kultury. Składa się zasadniczo z dwóch części, wychowania i wykształcenia. Obok instytucji powołanych do kształcenia kluczowe, a w aspekcie wychowania pierwszorzędne znaczenie ma rodzina. Atrofia rodziny i rozwój mediów społecznościowych powodują, że w szybkim tempie zastępują one rodzinę w procesie wychowania. Dlatego też odbudowa rodziny ma z tego punktu widzenia znaczenie fundamentalne gdyż to właśnie rodzina jest naturalnym środowiskiem wychowawczym.

W III RP nigdy nie przeprowadzono poważnej debaty publicznej na temat edukacji, jej celów, metod i poziomu. Zachłystywano się natomiast znaczącym wzrostem ilości osób kończących różnorakie studia utożsamiając wyższe wykształcenie z dyplomem wyższej uczelni. Należy jednak pamiętać, że po pierwsze, poziom naszych wyższych uczelni jest silnie zróżnicowany, po drugie nie należą one do najlepszych, po trzecie system kształcenia w dużej ich części nie sprzyja rozwijaniu postaw twórczych i samodzielności intelektualnej, po czwarte wreszcie w dalszym ciągu większość kończy uczelnię tylko po to, by przejść przez egzaminy i zdobyć *papier*. Uzyskanie przy pomocy *papieru* wyższej pozycji w hierarchii najczęściej nie jest pojmowane jako zobowiązanie do wytężonej pracy, lecz jako wejście w posiadanie większych uprawnień

władczych umożliwiających osiąganie wyższych dochodów, podwyższenie statusu oraz zajęcie mocniejszej pozycji w sieci powiązań niezbędnych w robieniu kariery.

Milton i Rose Friedman w książce *Wolny wybór*, wprowadzając rozróżnienie między wykształceniem (*education*) a nauczaniem (*schooling*), formułują taką oto myśl: *Jeśli używać tych terminów ściśle, okaże się, że nie każde nauczanie prowadzi do wykształcenia i nie zawsze wykształcenie jest wynikiem nauczania. Są ludzie, którzy uczyli się intensywnie, a mimo to nie są wykształceni. Są też ludzie głęboko wykształceni, mimo że nie kończyli szkół.* Uznawanymi za główne w życiu współczesnego człowieka są umiejętności czytania ze zrozumieniem i interpretacji oraz umiejętności matematyczne i rozumowania w naukach przyrodniczych. Proces kształcenia powinien więc wyposażać w umiejętność rozpoznawanie zagadnień naukowych oraz samodzielne interpretowanie i wykorzystywanie wyników i dowodów naukowych. Szczególne znaczenie ma nauczanie matematyki z uwagi na to, że jest to język opisu zjawisk stosowany we wszystkich naukach przyrodniczych i technicznych a także wielu humanistycznych. Sama zdolność do wyjaśniania zjawisk w sposób naukowy z wykorzystaniem posiadanej wiedzy, możliwa do osiągnięcia dzięki pamięciowemu przyswojeniu sporych ilości informacji bez konieczności samodzielnych eksperymentów naukowych czy prowadzenia samodzielnych rozumowań, jest niewystarczająca jeżeli chcemy budować nowoczesną, a więc innowacyjną gospodarkę opartą na wiedzy. Jeśli bowiem we współczesnym świecie jakiś kraj chce odgrywać rolę na tyle istotną, aby poważnie się z nim liczone, niezbędne jest to, żeby jego obywatele, rozwijający aktywność w różnych dziedzinach, potrafili wychodzić poza znane sposoby działania, samodzielnie rozumować i planować strategię postępowania. Dotyczy to nie tylko ludzi z wyższym wykształceniem czy tych, którzy stanowią elitę w konkretnych branżach czy dziedzinach. Dotyczy to wszystkich. Na przykład doświadczenia japońskiego przemysłu motoryzacyjnego z epoki jego rozkwitu wskazują na istotną rolę bezpośrednich wykonawców w usprawnianiu produkcji. Kiedy japońscy menedżerowie, w wyniku analizy rynku wewnętrznego, odchodzili od amerykańskich metod produkcji masowej i postawili na dywersyfikację, wiązało się to z przestawieniem z maszyn wyspecjalizowanych na uniwersalne, wymagające

obsługi przeszkolonej w wykonywaniu wielu zadań. Niezbędna też była umiejętność szybkiego przerzucania się z jednego zadania do drugiego. Przeprowadzenie tej innowacji, jak i wielu innych oraz stosowanie tak elastycznego sposobu produkcji było możliwe między innymi dzięki inteligencji i pomysłowości robotników. Zjawisko takie określa się jako postęp techniczny indukowany. Występuje on gdy pracownicy potrafią w krótkim czasie opanować obsługę nowych maszyn. W japońskich firmach każdy pracownik czuje się zobowiązany, a w zasadzie jest nakłaniany do przedstawiania pomysłów pozwalających zaoszczędzić wysiłek, czas i pieniądze. Propozycje te idą w dziesiątki tysięcy. Wynikają stąd następujące korzyści: wykorzystuje się te możliwości usprawnień, które nawet jeśli proste, są łatwiej uchwytnie z perspektywy bezpośrednio wykonującego konkretne operacje niż z perspektywy menedżera czy projektanta produktu bądź procesu wytwórczego; zwiększa się poczucie podmiotowości szeregowych pracowników co sprzyja zwiększeniu spójności kadry kierowniczej z załogą i identyfikacji pracowników z firmą; tworzy się kultura innowacyjności dzięki czemu wprowadzanie nowych rozwiązań nie natrafia na opory czy niezrozumienie. W każdym momencie społeczeństwo dysponuje pewnym zasobem wiedzy dotyczącej metod wytwarzania, zapisanym w książkach i dokumentacjach technicznych. Większość jednak wiedzy technicznej to praktyczne umiejętności i kwalifikacje, będące efektem żmudnego zdobywania doświadczenia zawodowego. Najbardziej znany przykład uczenia się przez pracę, tzw. efekt Horndala, pochodzi ze szwedzkiej stalowni. Od momentu jej uruchomienia w 1836 r. przez kolejne 15 lat wyposażenie w maszyny oraz liczba zatrudnionych nie uległy żadnym zmianom. Mimo to przez pewien czas wydajność pracy rosła średnio o 2% rocznie. Warto zatem solidnie uczyć rozumowania przyszłych bezpośrednich wykonawców.

Jak do tej pory, nasz system edukacji nie generuje wystarczającej ilości mózgów a z tej niewielkiej ilości jaką udało się wykształcić, jesteśmy systematycznie drenowany przez silniejszych gospodarczo partnerów. Znaczenie mają tutaj warunki finansowe, ale nie tylko o nie chodzi. Młody, zdolny, wykształcony człowiek, nie znajduje w polskiej gospodarce takich możliwości rozwoju swoich uzdolnień, jakie oferują mu firmy obce. W przypadku większości z tych, którzy mimo wszystko zostają, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nie

osiągną oni takiego poziomu zawodowego, jaki mogliby osiągnąć, gdyby funkcjonowali w gospodarce wysokorozwiniętej. W rezultacie znaczna liczba tych najcenniejszych specjalistów, pracuje zagranicą a nie w kraju. Równocześnie należy podkreślić, że większość specjalistów, którzy opuścili nasz kraj, uzyskała wykształcenie na uczelniach publicznych, finansowanych z kieszeni polskiego podatnika. Problem jakiejś formy rekompensaty za poniesione nakłady społeczne nie został jednak u nas jak dotychczas rozwiązany w przeciwieństwie do szeregu innych krajów w Europie, co stwarza dodatkowe bodźce do odpływu zagranicę. Z drugiej jednak strony, jeśli gospodarka krajowa nie jest w stanie oferować pracy adekwatnej do rodzaju i poziomu wykształcenia oraz uzdolnień, wprowadzenie takiej rekompensaty nie byłoby do końca fair. Nie rozwiązano w polskim systemie edukacyjnym także problemu o kluczowym znaczeniu dla działalności innowacyjnej, a mianowicie selekcji talentów i szczególnie uzdolnionej młodzieży. Zawodzi, bądź go w ogóle nie ma, system wczesnego rozpoznawania talentów i promowania ich kariery zawodowej i naukowej.

Cały czas musimy pamiętać, że jeżeli nie wpoi się młodym ludziom podstawowych zasad moralnych, to nawet jeśli zostaną wyposażeni w wiedzę i umiejętności na wysokim poziomie, nie stworzą nowoczesnej gospodarki. Będzie to niemożliwe z uwagi na prywatę, korupcję i złodziejstwo. Od początku istnienia III RP nasza młodzież wychowuje się w kraju, w którym obowiązujące hasło *pierwszy milion trzeba ukraść*, w którym otwarta pogarda dla własności wspólnej i ukryta dla własności prywatnej wyznacza standardy postępowania klasy rządzącej. Jak wykazuje doświadczenie wielu krajów, które osiągnęły sukces w procesie modernizacji, kapitalne znaczenie ma przywiązanie do wartości narodowych. Tylko taka postawa duchowa pobudza do aktywności na rzecz własnego narodu i państwa. Kosmopolityczny liberalizm, który na wszelkie sposoby wpaja się naszej młodzieży, narodowi i państwu do niczego nie jest potrzebny. Ludzie o takich przekonaniach nie czują emocjonalnej i duchowej więzi z ojczyzną i rodakami, w praktyce kierując się zasadą *ibi patria ubi bene*. Jedyne ich *bene* są pieniądze i za te zawsze będą gotowi służyć obcym interesom.

W przypadku kraju takiego jak Polska, a więc o umiarkowanym potencjale ludnościowym, kluczowe znaczenia ma jakość tego potencjału która powinna

być najwyższa, gdyż tylko jakością możemy zniwelować ilościową przewagę konkurentów. Od początku zatem powinniśmy robić wszystko aby w zakresie edukacji uzyskać światowy prymat. Musi to być główny strategiczny cel wokół którego koncentruje się energia wszystkich patriotycznych środowisk, sił społecznych i politycznych, a stosunek do tej kwestii jest wskaźnikiem rzeczywistego, a nie tylko deklaratywnego czy wręcz pozornego patriotyzmu. W przeciwnym razie, niezależnie ile patriotycznych gestów jeszcze wykonamy, w ramach międzynarodowego podziału pracy zachowamy nasz dotychczasowy status proletariackiej masy etnicznej.

Polityka społeczna. Mówiąc w uproszczeniu powinna ona polegać bardziej na wyrównywaniu szans na wędkę, mniej na rybę, chociaż musimy zdawać sobie sprawę, że w każdym społeczeństwie istnieli, istnieją i będą istnieć ludzie trwale lub czasowo potrzebujący wsparcia bezpośredniego. Państwo nie będzie jednak w stanie prowadzić sensownej polityki społecznej bez polityki gospodarczej a tej ostatniej bez strategii rozwoju. Działania w tych zakresach muszą być ze sobą tak skorelowane, aby w sposób racjonalny dystrybuując w skali ogólnospołecznej część efektu polityki gospodarczej, nie tylko rekompensować skutki nadmiernych dysproporcji, lecz także a może przede wszystkim dystrybucja taka winna działać wzmacniająco na osiąganie efektu gospodarczego. Hierarchia jest zatem jasna:

- 1) strategia rozwojowa,
- 2) polityka gospodarcza,
- 3) polityka społeczna.

Bez 1) i 2) nie ma 3). Nawet jeżeli państwo w takiej sytuacji podejmuje jakieś działania społeczne, to nie jest to żadna polityka lecz są one wyrazem obawy przed napięciami generowanymi przez narastające dysproporcje. Tego rodzaju motywacja powoduje, że polityka społeczna zostaje w dużej mierze zredukowana do jednego jej aspektu, który określa się jako rozdawnictwo. Przy okazji liberalni przeciwnicy wszelkiej polityki społecznej podnoszą zarzut, że rozpruwa ona związek między pracą a wysokością wynagrodzenia. Jest to zarzuty z gruntu fałszywy, gdyż nie można rozpruć tego, co w Polsce i nie tylko w Polsce, chyba w całej jej historii, nigdy nie było ze sobą związane. W epoce postkomunistycznej związek między płacą a wartością pracy jest rozpruwany

przez chciwość pracodawców. W tej sytuacji polityka społeczna, nawet zredukowana do prostego rozdawnictwa, jest jedynie wprawdzie daleką od doskonałości i niepełną, ale jednak jakąś formą odszkodowania wypłacanego ofiarom złodziejskich praktyk przedsiębiorców. Ponadto nie jest stosowana bezinteresownie. Amortyzując bowiem napięcia społeczne do poziomu poniżej progu wybuchu, klasa rządząca tanim kosztem kupuje pokój społeczny unikając w ten sposób znacznie większych kosztów ponoszonych w przypadku konieczności trzymania społeczeństwa w ryzach przy pomocy siły. Wiedzą o tym zwolennicy totalitaryzmu pieniądza i dlatego od czasu do czasu stosują rozdawnictwo w różnych formach ale w dawkach zawsze mocno umiarkowanych, tyle tylko, ile trzeba do złagodzenia napięcia.

Drugą metodą amortyzacji napięć wynikających z nadmiernych dysproporcji, zwłaszcza w odniesieniu do ludzi młodych, jest roztaczanie iluzji szansy na bogactwo dla każdego, gdzie szczególnie przydatna jest ideologia liberalizmu gospodarczego z jego uproszczoną a więc łatwą w percepcji, wizją rzeczywistości. Rządzący doskonale wiedzą, że tak długo, jak większość bardziej będzie chciała być bogatymi niż uczciwymi, system a zatem i ich władza pozostaną niezagrożone. W przypadku Polski te obawy przed ewentualnymi niepokojami społecznymi są w moim przekonaniu irracjonalne, gdyż społeczeństwo nasze jest pokorne jak mało które i gdyby mu zaaplikować na początek 1 dzień pańszczyzny w miesiącu, też by to przyjęło. Później stopniowo można by wymiar pańszczyzny zwiększać a telewizyjne autorytety ekonomiczne dostarczyłyby argumentów na rzecz tezy, że jest to dobre dla gospodarki, gdyż zmniejszając w ten sposób koszty pracy, zwiększa się jej konkurencyjność.

Według liberałów, kiedy państwo zaprzestanie ingerencji w zakresie polityki prorodzinnej, bezpieczeństwa socjalnego, polityki mieszkaniowej, wszystko wróci na swoje miejsce, a ludzie sami, zgodnie z interesem tak własnym, jak i wspólnoty, będą wiedzieć jak zadbać o rozwój ogółu. Takie myślenie opiera się na trzech „mocnych” założeniach:

- a) ludzie wiedzą jakie są ich interesy i jak o nie zadbać,
- b) ludzie wiedzą jakie są interesy ogółu i jak o niego zadbać,
- c) istnieje harmonia między interesami jednostek a interesem ogółu.

Chcąc ten sposób rozumowania traktować paradygmatycznie można przyjąć następujące założenia:

- a) pracownicy to ludzie,
- b) firma to wspólnota pracowników stanowiąca ich ogół.

Stąd można wyciągnąć następujący wniosek: kiedy zarząd firmy zaprzestanie ingerencji w zakresie jej funkcjonowania, wszystko wróci na swoje miejsce, a pracownicy – ludzie sami, zgodnie z interesem tak własnym, jak i firmy-wspólnoty, będą wiedzieć jak zadbać o rozwój firmy-ogółu. W ten sposób, chcąc konsekwentnie stosować myślenie liberalne, można dojść do socjalizmu utopijnego. Na szczęście w odniesieniu do firm nikt takiego paradygmatu nie stosuje.

Według liberałów o wszystkim powinien rozstrzygać wolny rynek na którym wszyscy mają jednakowe szanse. Nie jest to prawdą. Najogólniej rzecz ujmując rynek jest systemem gry. Istotą gry jest oszustwo. Lepiej gra ten, kto przechrzty rywala. Graczami na rynku są oferenci produktów i klienci. Oferenci rywalizują między sobą o klientów, gdyż od tego zależą ich zyski. Klienci zaś rywalizują z oferentami o jak najkorzystniejszą cenę. Oferenci z kolei chcą wygrać z konkurencją, chcą także jak najwięcej zarobić na klientach. Problem klientów polega na tym, że w grze tej są w większości amatorami. Trudno bowiem sobie wyobrazić, żeby np. mechanik samochodowy, nauczyciel akademicki, inżynier budowlany, informatyk, lekarz, hydraulik, elektryk, adwokat itp. byli profesjonalistami w grze na rynku. Jeśli nawet takimi chcieliby się stać, to siłą rzeczy musieliby przestać rzetelnie wykonywać swoje zawody gdyż czas i energię poświęcaliby na doskonalenie się w grze rynkowej. Ludzie ci zaś muszą grać przeciwko oferentom, czyli profesjonalistom w tej grze, którzy z niej żyją i za którymi stoi siła ich organizacji gospodarczych. Wynik nie jest trudny do przewidzenia i nawet jeśli klientowi wydaje się, że wygrywa (co dla oferenta jest jeszcze lepsze bo w ten sposób trwale wiąże ze sobą źródło zysku), to z reguły przegrywa. Trzymając się dogmatu liberalnego, państwo nie powinno ingerować w grę rynkową w żaden sposób, nawet w postaci rekompensowania strat jakie w tej grze poniósł przegrany. Bo niby z jakiej racji reszta ma ponosić koszty błędów jakie w grze popełnili ci, którzy przegrali. Nikt nikogo do niczego nie zmuszał, teoretycznie klienci wiedzą co robią. Grają, przegrywają, tracą.

Sprawa jednak nie jest tak prosta, gdyż na wolnym rynku ludzie są najzwyczajniej oszukiwani najpierw poprzez to, że wmawia się im, iż sami wiedzą jak zadbać o swoje interesy, po drugie, że wmawia się im, iż transakcja która na wolnym rynku zawierają jest dla nich najbardziej korzystna i jeśli nawet w momencie zawarcia taką jest, nie uświadamia się im, że jej skutki finansowe mogą być dla nich znacznie mniej korzystne w przyszłości, nie uświadamia się im wreszcie samej istoty mechanizmu rynkowego, która, jak to pięknie na długo przed Adamem Smithem określił Herodot z Halikarnasu, polega na wzajemnym oszukiwaniu się wśród przysiąg.¹¹ Dlatego też państwo w sposób nieustanny musi korygować szkodliwe skutki niedoskonałości mechanizmu rynkowego m.in. poprzez prowadzenie sensownej polityki społecznej. W ramach tej polityki wspieranie najuboższych jeszcze długo będzie koniecznością, ale rzeczywiście tylko najuboższych a nie tych, którzy takiego wsparcia nie potrzebują. Udzielanie wsparcia zamożnym uważam za głęboko niemoralne marnowanie pieniędzy. Nasz kraj w ogóle stoi przed problemem redukcji społecznych dysproporcji które w ciągu III RP osiągnęły taki poziom, że stanowią jeden z istotnych wewnętrznych hamulców rozwoju. Ponadto należy mieć świadomość, że bez solidaryzmu społecznego nie ma solidaryzmu narodowego a bez tego ostatniego nie ma narodu.

Patoelita. W III RP na klasę rządzącą składają się grupy i środowiska do których należy rzeczywista władza w obszarze finansów, gospodarki, kultury czy mediów, w obszarze władzy wykonawczej, ustawodawczej, sądowniczej i samorządowej. Oczywiście udział poszczególnych grup i środowisk we władzy realnej jest bardzo zróżnicowany i toczy się między nimi jak i w ich łonie rywalizacja o zwiększenie tego udziału. Klasa ta wykrystalizowała się w toku transformacji ustrojowej i ma oparcie w silnych powiązaniach o charakterze kompradorskim z czynnikami obcymi.

Jest ona w większości patologiczna zatem w przypadku III RP można mówić o swoistej patoelicie. Dominują w niej ludzie goniący za jeszcze większą i większą ilością pieniędzy, za karierą i użyciem. Dopuszczają się w tej gonitwie złodziejstw, korupcji i wszelkich łajdactw. Cechuje ich wstręt do systematycznej

pracy, zwłaszcza myślowej. Sprawując władzę w różnych sferach, dysponując całą gamą narzędzi oraz technik umożliwiających codzienne okradanie zwykłych obywateli, zarówno w sposób legalny jak i nielegalnie. Przed bogatszymi i ważniejszymi płaszcą się jak najnędzniejsi niewolnicy, wobec niżej postawionych są bezwzględni despotami. Są cwani ale nie mądrzy, przebiegli ale nie inteligentni. Chcąc w swojej głupocie i próżności zmanifestować swoją *lepszość*, małpują Europejczyków w sposób tak kiczowaty, że budzi to największe obrzydzenie nawet u człowieka o przeciętnej wrażliwości.

Ich sznitem ideologicznym od początku III RP stał się liberalizm gospodarczy w swojej najbardziej wulgarnej postaci. Jedyne, co z tej ideologii stosują w praktyce, to spiszowe prawo płac, sformułowane przez Turgota, jednego z ojców leseferyzmu. Według niego, pracownik może zarabiać tylko tyle, aby starczyło mu na utrzymanie, nigdy zaś tyle, żeby mógł się wzbogacić. Prawo to, mimo że nigdzie nie uchwalone, działa niezawodnie, gdyż jak zaobserwował Adam Smith przedsiębiorcy zawsze i wszędzie tworzą rodzaj ligi, cichej ale wytrwałej i zwartej, aby zapobiec podnoszeniu płac. Oczywiście liga ta nie jest rezultatem żadnego spisku, tylko wynika z logiki bezpośrednich interesów pracodawców. W Polsce tendencja ta jest dodatkowo wzmocniona przez zakorzenioną w naszej kulturze wielowiekową tradycję pracy chłopów pańszczyźnianych i politykę ubóstwa mas rozwijaną w PRL-u. Sens pracy jest zatem znikomy a zajmowanie się nią przez masy jest przejawem ich desperacji. Z punktu widzenia interesu jednostki działaniami racjonalnymi ekonomicznie są złodziejstwo, korupcja i wszelkiego rodzaju przynoszące korzyść machinacje. Dzięki nim uzyskuje się dużo pieniędzy za które można kupić na przykład luksusową rezydencję, najnowszy model sportowego samochodu, najlepsze ubrania, atrakcyjną kobietę (a nawet kilka), przyjemną iluzję prestiżu, szacunku, autorytetu itp. Przy takim podejściu nie może zatem dziwić, że po ponad trzydziestu latach budowania gospodarki kapitalistycznej wydajność polskiego pracownika jest w dalszym ciągu prawie dwukrotnie mniejsza niż niemieckiego i znacznie mniejsza niż średnia unijna.

Na drugim biegunie mamy zróżnicowaną masę pracowniczą wśród których w dalszym ciągu jest wysoka liczba pracujących biedaków. Wprawdzie bezrobocie, jedną z plag III RP, przez ostatnie osiem lat udało się sprowadzić do

¹¹ Herodot, *Dzieje*, I.153, Warszawa 2002, przekł. Seweryn Hammer, s. 77.

bardzo niskiego poziomu ale nie ma gwarancji, czy w związku ze zmianą polityki nowego rządu, nie zacznie ponownie wzrastać. Plagą, która dotknęła nas w epoce rządów orientacji lewicowo-liberalnych, rządów trwających niemal nieprzerwanie do 2015 r., o skutkach której tak niewiele się mówi, była masowa emigracja zarobkowa spowodowana brakiem perspektyw na przyzwoite, podkreślam przyzwoite a nie zamożne czy bogate, życie. Utraciliśmy w ten sposób duże zasoby energii pracowniczej które mogły być wykorzystane w gospodarce krajowej oraz straciliśmy części zasobów przedsiębiorczości. Zjawiska te powodowały i w dalszym ciągu powodują, że jakość pracownika systematycznie spada. Tani pracownik jest jak tani piłkarz. Drugim nie wygra się Ligi Mistrzów, pierwszym nie zbuduje się nowoczesnej gospodarki. Na dłuższą metę w obu przypadkach istnieje ścisła korelacja między ceną a jakością i w konsekwencji efektem. Kraje, które weszły na ścieżkę przyspieszonego rozwoju a które dziś należą do czołowych gospodarek świata zaczynały od taniego pracownika, bo innych atutów nie miały. Wraz z rozwojem jednak podnosił się także poziom życia pracowników a polityka państwa była konsekwentnie zorientowana na podnoszenie jakości zasobów pracy. Tak było w przypadku Japonii czy Korei Południowej. Społeczeństwo chińskie, które mniej więcej w tym samym czasie co my startowało ze znacznie większej biedy, już dzisiaj jest zaliczane do społeczeństw o średnich dochodach i należy liczyć się z tym, że pod względem poziomu zamożności nas wyprzedzi. Jeśli bowiem nie będzie korelacji między rozwojem a wzrostem zamożności, ludzie będą pracowali wprawdzie dużo, ale jakość tej pracy a w konsekwencji efektywność będą na niskim poziomie i cele rozwojowe wezmą diabli.

Należy jednak pamiętać, że kraje te nie weszły na ścieżkę zależności gospodarczej oraz że ich elity były zdolne do samodzielnego kreowania wytwórczości w nowoczesnych branżach, będących dźwigniami rozwoju cywilizacyjnego. My przeżyliśmy przysłowiowe 5 minut jakie podarowała nam historia. W ciągu pierwszych 10–15 lat III RP nie stworzyliśmy ani instytucjonalnych, ani edukacyjnych a w konsekwencji i kulturowych, ani społecznych przesłanek do budowy nowoczesnej gospodarki. Proces akumulacji pierwotnej kapitału przebiegał u nas w sposób taki, że decydująca była pozycja w dominujących układach politycznych lub względem nich, znikome znaczenie zaś miały

zdolności przedsiębiorcze. Nie dokonaliśmy żadnej analizy tego, co z masy upadłościowej gospodarki PRL daje perspektywy modernizacji i rozwoju, co zaś nie. Znacznie lepsze rozeznanie miał tutaj kapitał obcy. Przegraliśmy handel, zwłaszcza wielkopowierzchniowy, istotną dziedzinę jeśli poważnie myśli się o rozwoju rodzimej przedsiębiorczości. W warunkach naszych zaniechań i niekompetencji wykrystalizowała się struktura zewnętrznych uzależnień na tyle mocna, że realizacja korzystnej dla nas strategii rozwojowej bez poważnego załamania ośrodków od których jesteśmy zależni wydaje się niemożliwa. Wewnętrznie zaś ukształtował się typ stosunków społeczno – gospodarczych spowalniający rozwój umożliwiając skracanie dystansu do krajów wysoko rozwiniętych w uchwytnej dla obecnego pokolenia perspektywie. Nawet jeżeli podążamy w tym kierunku, to podążamy za wolno. Dlatego też likwidacja patoelity i wyłonienie rzeczywistej elity jest koniecznością.

ŁUKASZ PERZYNA

OKNO W MURZE O „PUNKCIE ODNIESIENIA”, WIĘZIENNYCH OPOWIADANIACH JANA SZNAJDERA

„Otwór w płaszczyźnie ściany, oprawiony w ramę ze szkłem, nazywamy oknem. Służy ono do dziennego oświetlenia pomieszczenia i regulacji przepływu powietrza. Dodatkowo stanowi połączenie z tym wszystkim, co znajduje się po jego zewnętrznej stronie (...)”. Pełna zgoda, chciałoby się odrzec narratorowi, tylko po co aż o tym pisać. Zaraz jednak odpowiedź znajdujemy. Nieco inaczej jednak wygląda to w więzieniu: „Parapet okienny znajdował się na wysokości głowy, czyli całe okno sięgało prawie sufitu. Właściwie był to otwór w klatce zamieszkałej przez kilku ludzi. Za oknem widniały metalowe kraty, wzmocnione dwoma poziomymi poprzeczkami. Przez takie okno świat ograniczał się do, widocznego w prześwicie szyby, skrawka nieba, zmieniającego się z pogodą, porą dnia, porą roku”¹.

Jan Sznajder, dziewięćdziesięciolatek z Konina, również malarz inspirowany się koloryzmem, kapizmem i kubizmem ale autor prac jedynych w swoim rodzaju – dał nam książkę, której walor nie sprowadza się do dokumentalnego chociaż nie byłoby tych tekstów bez pięcioletniego pobytu przyszłego pisarza w stalinowskich więzieniach, do których trafił w 1950 r. jako siedemnastolatek zaangażowany w patriotyczną konspirację. Zaskakują literackim dopracowaniem, skupieniem na stanach psychicznych, jakie powoduje izolacja połączona z rozmaitymi szykanami. Poszukiwaniom tym patronuje przywoływany w tym kontekście przez autora prof. Antoni Kępiński. Jan Sznajder wiele zawdzięcza opowiadaniom oświęcimskim Tadeusza

¹ Jan Sznajder, *Punkt odniesienia. Opowiadania z ilustracjami autora*, Wyd. Setidava, Konin 2022, s. 15.

Borowskiego, chociaż wnioski z jego narracji okazują się bardziej optymistyczne niż twórcy „Proszę państwa do gazu”.

U Borowskiego człowiek dostosowuje się do ekstremalnych warunków, byle przeżyć, zaś u Sznajdera – szuka dla siebie niszy i czasem ją znajduje. Nawet jeśli okażą się nią dokonywane „pod celą” w pamięci obliczenia matematyczne jak w opowiadaniu „Tabliczka mnożenia”. Chociaż w innym bohater, świeżo zwolniony – bo zbliża się już rok 1956 – idzie z więzienia na stację i zamiast pojechać stamtąd do domu rzuca się pod pociąg („Władek”).

Obrazy na przystanku i słowa rzucane nie na wiatr

Autora nazwać można człowiekiem renesansu ze względu na rozległość artystycznych zainteresowań. Pomimo zaawansowanego wieku nie stroni też od nowoczesnych i awangardowych form promocji, skoro jak powiadał nam latem lokalny dziennikarz Marcin Maliński w ramach akcji „Sztuka nas szuka”: „(...) na wybranych przystankach MZK Konin pojawiają się dzieła Jana Sznajdra – uznanego i zasłużonego malarza, ale też pisarza, poety, rzeźbiarza i kolekcjonera sztuki. Twórca z Posoki świętował niedawno 90. urodziny”².

Co znaczące, bohaterem ostatniego z opowiadań pomieszczonych w „Punkcie odniesienia” nie jest więzień polityczny, ale sędziwy już Ludwik van Beethoven, schorowany i dotknięty duchotą autor inspirującego pisarza „Andante”. Za to Sznajder objawia w tym wypadku – nie bójmy się tego sformułowania – słuch absolutny. Odnieść można wrażenie, że jego doświadczenia życiowe się sumują i – co zadziwiać może – dają efekt harmonijny czy wręcz pogodny jeśli o przesłanie chodzi, uderzający w kontraście z ich infernalnym charakterem. Trochę jak w westernie, liczy się finał – bo też podobnie jak twórca klasycznego „W samo południe” Fred Zinnemann, nie zacierają Sznajder różnic ani granic między dobrem a złem. Zestawienie wydaje się zasadne, bo przecież to szeryf stamtąd wygrał dla nas czerwcowe wybory z 1989 r., oznaczające koniec ustroju, który autora recenzowanych opowiadań posłał za kraty. Nie od rzeczy przypomnieć, że w czasie gdy amerykańscy widzowie podziwiali premierę filmu z Gary Cooperem i Grace Kelly, a zwycięzca

² Marcin Maliński, *Sztuka nas szuka w Koninie...*, Konin.naszemiasto.pl z 7 sierpnia 2023.

II wojny światowej Dwight Eisenhower wygrał tam również wybory prezydenckie, w bez porównania smutniejszym dla Polaków 1952 roku twórca „Punktu odniesienia” zastanawiał się, czy na obiad pod całą kalifaktorzy podadzą mu brukiew czy kapustę.

Na szlaku więziennym młodego Jana Sznajdera znajdowały się Rawicz, Wronki i Potulice, ciężkie więzienia załadowane wówczas politycznymi, traktowanymi jako wróg, którego trzeba pomęczyć zanim się go zniszczy. Po latach już w nowej Polsce Jan Sznajder organizował ich środowisko, zwoływał spotkania ofiar dawnych represji. Jego aktywność rosła wraz z wiekiem: w dworku pod Koninem w Posoce stworzył muzeum sztuki ludowej. Nie musimy jednak tego wszystkiego wiedzieć, żeby się jego opowiadaniem zachwycić. Obronią się same.

O Borowskim była już mowa, jego odkrycia okazały się epokowe, w sytuacji gdy porażka zarówno „Medalionów” Zofii Nałkowskiej jak „Z otchłani” Zofii Kossak-Szczuckiej dowiodła, jak konwencjonalna czy po prostu tradycyjna literatura okazuje się bezradna wobec konieczności opisu totalnego segmentu represyjnych państw zbudowanych przez ideologię. Czym stały się sowieckie łagry opisane przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w „Innym świecie” i więzienia komunistyczne w kraju z „Zaplutego karła reakcji” Piotra Woźniaka oddać mogła tylko narracja odmienna zarówno od wielkiej epiki XIX wieku jak powieści z tezą. Sznajder wybiera sposób wolny od ozdobników, skupiony na szczególe, jakim może być zarówno więzienny regulamin jak stan psychiczny człowieka. Czasem przybiera to postać szokującą. Jak wtedy kiedy dręczeni przez plagę szczurów więźniowie kolejno tych małych prześladowców wyłapują, urządzają każdemu z nich śledztwo i proces, z zachowaniem procedur z epoki. Nie ma więc szans nawet mały i mniej z wyglądu szkodliwy gryzoń, gdy rozpoznany po obciętym ogonie, że już raz wypuszczony został na wolność – przy powtórnym schwytaniu uznany zostaje za recydywistę. Wyjątkowo przerażająca opowieść. Podobnie jak opis łowów na pluskwy. U obdarzonych wyobraźnią więźniów wznecających pomysł handlowego wykorzystania odzyskiwanej z nich krwi. Wystarczy? Przerażająca opowieść. Ale taka okazuje się „cywilizacja więzienna”, której wyimek pokazuje nam Sznajder, czasem nasuwająca analogię z „I powraca wiatr...” Władimira Bukowskiego. Tego,

który przytomnie zauważył, że wyjście z więzienia nie oznacza jeszcze wolności: u Sznajdera podobną prawdę znajdujemy. Chociaż bez porównania więcej zawdzięcza autor Borowskiemu, a przede wszystkim wypraniu jego narracji ze zbędnych komentarzy.

Jednak o ile „człowiek zlagrowany” z opowiadań Tadeusza Borowskiego dba wyłącznie o to, żeby przeżyć a nawet paradoksalną wygodę na miarę okoliczności sobie zapewnić (jego Tadek znajdzie nawet w obozie mleko skondensowane, gdy wokół inni głodują i gra w piłkę nożną w czasie trwania transportu do pobliskiego krematorium), to bohaterowie „Punktu odniesienia” starają się zachować jak najwięcej własnego świata a reguły więzienne aprobują na taką miarę, jaką podpowiada im instynkt samozachowawczy, nie uznając ich za własne.

Coś wniosłego za kratami

W więzieniu rozmawia się więc o wszystkim, nawet o poezji: tam również docierają wiadomości o śmierci kolejno Gałczyńskiego i Tuwima, co staje się okazją do dysputy o pożytku z wierszy Leopolda Staffa. W toalecie oczywiście, bo tam znajduje się czas na gadanie i szerszy kontakt.

„– Bo wy nie rozumiecie, musi być, we wszystkim musi być coś wniosłego. Można uciec w tą wniosłość” – przekonuje jeden z osadzonych³. Trudniej to wytłumaczyć kryminalnym. Politycznych uznają bowiem za frajerów, chociaż nie czynią im wielkich wstrętów. Nawet do niemieckich zbrodniarzy wojennych można się przyzwyczaić, o czym wiemy od czasu publikacji „Rozmów z katem” Kazimierza Moczarskiego, stanowiących owoc pobytu ich autora w jednej celi z likwidatorem warszawskiego getta Juergenem Stroopem. U Sznajdera napotykamy „pod całą” generała z „von” przed nazwiskiem, objawiającego tam bezbrzeżną pogardę wobec rodaka, zwykłego SS-mana, bo jest niższy rangą i kulturą, za to w stosunku do Polaków, teraz dopiero, całkiem poprawnego. Był komendantem w kripo, zastrzega, że policja kryminalna potrzebna jest w każdym ustroju a w czasach okupacji żaden Niemiec w jego obecności Polaka nie uderzył, bo sam by na to nie pozwolił. Współwięźniowie słuchają tych wynurzeń, bo muszą.

³ Jan Sznajder, *Punkt odniesienia...*, op. cit., s. 120.

Nie wszystko co ważne u Sznajdera rozgrywa się za kratami. Niezmierne istotne dla zrozumienia całości okazuje się opowiadanie o wigilii dziewczyny więźnia politycznego: pokazujące, co dzieje się z tymi, którzy wedle potocznego stwierdzenia pozostają na wolności – tu powraca nie tyle tytułowy jego wiatr, co paradoks przywołanego wcześniej Bukowskiego – ale których opresyjna sytuacja zmienia w równym stopniu co bezpośrednie ofiary. O względności wielu pojęć zresztą szybko się przekonujemy, jak w opowiadaniu „Nazwisko wasze?”:

„Po kilku latach darowano mu Wolność (...). Nakaz meldowania się na posterunku milicji przypominał mu, kim jest. Stawał więc przed milicyjnym biurkiem i podawał, jak do nauczono:

– Jestem Kowalski, Jan Kowalski, syn Stanisława. Mam obowiązek meldowania się w waszym komisariacie. Spełniwszy wymóg prawa, został odnotowany”⁴.

Jeden z więźniów, o czym była już mowa, ratuje swoją psychikę mozolnym mnożeniem w pamięci co noc przed zaśnięciem wielocyfrowych liczb. Jednak cały „Punkt odniesienia” pokazuje, że dramat wcale do wielkich liczb się nie sprowadza. Chociaż tak wielkie wrażenie sprawia zwielokrotniony przez echo długich korytarzy łoskot drewniaków wychodzących na spacerniak więźniów. Przywodzi on na myśl odgłos, którego w skupionym na osadzonych i ich bliskich „Punkcie odniesienia” nie usłyszymy: rumor robociarskich drewniaków pracowników Cegielskiego w Poznania, protestujących w Czerwcu 1956 r., którym ich koledzy zza krat zawdzięczali otwarcie bram więzień. Nie wszystkich i nie na zawsze, bo ich dzieło dokończone zostało dopiero za sprawą narodzonej w ćwierć wieku później Solidarności i także nie od razu. Tej wielkiej, dziesięciomilionowej.

Jednak to nie wielkie liczby są bohaterem niezwykłych opowieści Sznajdera. Liczy się ten zwykły Kowalski, przerażony na więziennym korytarzu, że własne nazwisko zapomniał i zostanie za to ukarany przez kławisza, o potem – nauczony doświadczeniem – skwapliwie je skandujący przed znudzonym milicjantem z komendy, którego mało co to obchodzi, bo wie, że właśnie zaczęła się odwilż. Nie jest to książka o bohaterach głośnych pokazowych procesów. Tylko

o zwyczajnych politycznych, których zanim wspomniana odwilż nastąpiła, było w Polsce sto tysięcy. O tym, jak w czas najtrudniejszy zachowali ludzką godność i zdrowe zmysły. Na co każdy z nich znajdował swój osobisty, czasem niezmiernie oryginalny i niepowtarzalny sposób. O tym właśnie opowiada „Punkt odniesienia”. Na wskroś humanistyczny właśnie dlatego, że tak starannie unikający frazesów. Oddający wielkie problemy z pomocą zwykłych, czasem małych słów. Przeważają one w narracji i dialogach co wzmacnia walor autentyzmu. W świecie przedstawionym „Punktu odniesienia” znajdzie się również jednak miejsce, o czym była już mowa, dla poezji i muzyki poważnej, w samym zaś książkowym grzbiecie – dla niebanalnej sztuki plastycznej, bo ilustracje przygotował sam twórca. Zaświadcza to dobitnie o trwałej porażce tych, którzy przed ponad siedemdziesięciu laty przerzucali go z jednego ciężkiego więzienia do drugiego.

⁴ Ibidem, s. 49–50.

MAG Z WYBRZEŻA POŻEGNANIE PAWŁA HUELLE (1957–2023)

W swoim „Weiserze Dawidku”, powieści, która stała się modna i go wypromowała, stworzył najciekawszą zapewne od czasów najlepszego okresu Tadeusza Konwickiego wykładnię realizmu magicznego¹. Zarzucano tej książce odtwórczość i granie na obowiązujących trendach, ale trzeba się przyznać, że zasadniczo się różni od reszty polskiej prozy tego czasu.

Zekranizował ją po kilkunastu latach Wojciech Marczewski i chociaż nie dał nam wtedy dzieła równie istotnego jak wcześniejsze o dwie dekady „Dreszcze”, rola Krystyny Jandy nie tylko zmuszała do skupienia ale przytłumiła wszystkie inne, czyniąc z opowieści o zaginionym nastolatku obdarzonym nadprzyrodzonymi zdolnościami epicki szkic o poszukiwaniu prawdy o przeszłości, niemożliwej do uzgodnienia nawet na poziomie szczegółu.

– Miałas wtedy czerwoną sukienkę – mówi do Jandy w filmie odgrywający kolegę Weisera Marek Kondrat.

– Nieprawda, bo niebieską – odpowiada ona.²

Zapamiętuje się ten dialog pomimo pozornej ostentacyjnej jego błahości, ponieważ chodzi o sukienkę nastolatki, która podnosiła się, gdy kładli się obok siebie na pasie startowym lotniska, żeby wspólnie obserwować startujące samoloty. Zabawę, jak niemal wszystkie inne, wymyślił znany z niespożytej inwencji Dawid Weiser, umiejący też trafnie obliczyć, gdzie mogą się położyć, aby poczuć energię startującego samolotu, ale zarazem pozostać bezpieczni.

¹ Paweł Huelle, *Weiser Dawidek*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1987.

² *Weiser*, film polski, reż. Wojciech Marczewski, 2001.

Tym trudniej więc uwierzyć, że w trakcie kolejnego eksperymentu – odpalania materiału wybuchowego – młody erudyta tym razem się pomylił i dlatego nie można go odnaleźć.

Przepaść mógł przecież również za sprawą komunistycznych służb, dla których afera z materiałami wybuchowymi to gruba sprawa. Bohater odgrywany w filmie przez Kondrata doświadcza obcesowego przesłuchania na milicji. Tam na pewno nie uwierzą w to, że Dawid miał zdolność do lewitacji i zaklinania zwierząt. Powątpiewa w to również ksiądz, wcale od milicjanta nie lepszy i dostrzegający w opowieści chłopaka o Weiserze i jego talentach pogański rytuał, stanowiący zagrożenie. W tle płacze się wątek żydowskiego pochodzenia tego niezwykle dzieciaka: rodziców nie ma. Poznajemy za to jego dziadka, który ilekroć wnuk łamie reguły, napomina go, że zginie równie nędznie jak jego rozliczni pobratymcy.

Historię nastoletniego Dawida Weisera da się również odczytać jako opowieść o rodzącym się przywództwie i charyzmie, zdolności wywierania wpływu na innych, organizowania ich działań i nadawania im sensu.

U pisarza z Wybrzeża, który w chwili powstania *Solidarności* miał 23 lata to kontekst zapewne oczywisty.

Chociaż bohaterowie prozy Pawła Huelle nie są niewolnikami historii ani nawet głównie jej świadkami.

Gdański stoczniovec z jednego z opowiadań jeździ brawurowo na motocyklu, przypomina bardziej bohaterów Alana Sillitoe (jak z „Córki śmieciarza”) niż Janka Wiśniewskiego a naprawdę Zbyszka Godlewskiego, co padł w walce z glinami i tankami w słynnej robotniczej balladzie, śpiewanej też przez Krystynę Jandę, ale w całkiem innym niż „Weiser” filmie, nagrodzonym Złotą Palmą w Cannes³.

Napisał też Paweł Huelle scenariusz do ekranizacji „Wróżb kumaka” innego gdańszczanina – Guentera Grassa⁴.

Stał się jednym z głosów pokolenia. Chociaż jego książki do niczego otwarcie nie wzywały ani niczemu nie służyły. „Weisera Dawidka” wydał zresztą

³ *Człowiek z żelaza*, film polski, reż. Andrzej Wajda, 1981.

⁴ *Wróżby kumaka*, film prod. polsko-niemieckiej, reż. Robert Gliński, 2005.

w oficjalnym obiegu, w czasach, kiedy rozkwitał ten drugi, niezależny a także wydawnictwa emigracyjne. Uczył też w tym czasie filozofii przyszłych lekarzy na gdańskiej Akademii Medycznej.

Dojrzał razem z generacją pierwszej Solidarności. Sierpniowe strajki wspomagali razem z Donaldem Tuskiem, wtedy studentem historii tego samego Uniwersytetu Gdańskiego. 27 sierpnia 1980 r. z inicjatywy m.in. Pawła Huelle, Donalda Tuska, Andrzeja Zarębskiego i Jacka Jancelewicza pod Stoczną Gdańską wtedy noszącą imię Lenina przedstawiono apel na rzecz powołania niezależnej organizacji studenckiej⁵. Później Huelle redagował związkowe pismo „Głos Wolny”. I współpracował przez lata z drugim obiegiem po wprowadzeniu stanu wojennego. Ale też jego własny głos... wolnym pozostał. Zwracał się do nas we własnym imieniu. Dobitnie i w sposób dający się zapamiętać.

⁵ Por. Encyklopedia Solidarności encyklopedia-solidarnosci.pl

CZERWONY RADOM PAMIĘTAM, SINY...

PROLOG SOLIDARNOŚCI

O „PROTEŚCIE WYKLĘTYM...” MACIEJA KOSOWSKIEGO

Czerwony Radom pamiętam siny, jak zbite pałką ludzkie plecy. Szosę E-7, na dworcach gliny. Jakieś nazwiska, jakieś adresy – śpiewała korowska młodzież kultową balladę Jana Krzysztofa Kelusa. Radomski Czerwiec 1976 r. był ostatnim protestem, który nie wyłonił robotniczych komitetów, ale zarazem pierwszym, który pobudził młodą inteligencję do akcji pomocy poszkodowanym przez represje. Bez tego spotkania w pół drogi nie byłoby fenomenu późniejszej o cztery lata pierwszej, dziesięciomilionowej Solidarności.

W reakcji na wydarzenia radomskie, na długo przed powołaniem Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z Andrzejem Czumą i Leszkiem Moczulskim – objawiła się powszechnie społeczna solidarność pisana przez małe „s”.

Wdzięczni «burzycielom porządku publicznego»

Jak wyluszcza w książce „Protest wyklęty...” Maciej Kosowski: „Kiedy na wiecach władze potępiały „radomskich warcholów”, w tym czasie na stacjach paliw na terenie całego kraju, samochody z rejestracją radomską tankowały poza kolejnością. A kolejki po paliwo były w owym czasie dosyć długie”¹.

Pamiętano bowiem wtedy o tym, o czym niekiedy zapomina się teraz: **protest radomskich robotników okazał się zwycięski. I dla całej Polski**

¹ Maciej Kosowski, *Protest wyklęty. Radom 1976 – Bunt robotniczy na tle historii protestów PRL-u*, Akces, Warszawa 2023, s. 14.

korzystny, bo wieczorem tego samego dnia, kiedy wyszli na ulice, 25 czerwca 1976 r. premier Piotr Jaroszewicz w wystąpieniu telewizyjnym ogłosił cofnięcie drastycznej podwyżki cen podstawowych artykułów żywnościowych (m.in. mięsa o 69 proc i cukru o 100 proc, a także nabiału), którego ogłoszenie stało się bezpośrednią przyczyną radomskiego buntu. Komuniści zmuszeni zostali do wyciągnięcia ręki już włożonej do kieszeni obywateli, nie tylko mieszkańców Radomia. Stąd wdzięczność reszty Polski wobec „burzycieli porządku publicznego”, bo tak nazywała ich oficjalna propaganda.

Zasługą Macieja Kosowskiego staje się, że pozostanie w naszej pamięci historia Stanisława Kowalskiego, wtedy znakomicie się zapowiadającego 22-letniego pięściarza, który 25 czerwca 1976 r. w drodze na trening spontanicznie dołączył do robotniczego pochodu i rychło stał się jednym z organizatorów protestu, bo przystał do grupy, jeżdżącej wózkiem akumulatorowym po zakładach pracy i nawołującej załogi, żeby się do wystąpień przyłączyły. Potem znalazł się w siedmioosobowej delegacji na rozmowy z Januszem Prokopiakiem, sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, zanim jeszcze podpalono gmach, w którym te pertraktacje miały miejsce. Zatrzymany kolejnego dnia Kowalski wyszedł na wolność dopiero w 1977 roku. W areszcie i więzieniu, wielokrotnie pobity, zostawił zdrowie. Gdyby nie to, zostałby być może wicemistrzem Europy w boksie jak inny słynny radomianin Antoni Czortek, którego los posłużył Józefowi Henowi za osnowę opowiadania „Bokser i śmierć”, którego bohater stacza w oświęcimskim obozie walki o życie z SS-manami. Srebrny medal Czortek wywalczył w trakcie ostatniego przed wojną europejskiego czempionatu. Skoro zaś o medalach mowa, to Stanisław Kowalski, szef Stowarzyszenia Czerwiec 76, tak o nich się wyraża: „Czuję się jak medal wyjmowany z szuflady z okazji rocznicy. Wtedy jestem szanowany i doceniany. Trwa to jednak tyle, ile trwają uroczystości”².

Władze demokratycznej Polski czasem zdają się nie pamiętać od jakich wydarzeń zaczął się u nas schyłek komunizmu.

Jak zauważył Andrzej Paczkowski: „Uderzająca niezręczność „operacji cenowej” z czerwca 1976 r. mocno zachwiała autorytetem władzy. Nie pomogła

² Maciej Kosowski, *Protest wyklęty...*, op. cit., s. 512.

w jego odbudowie fala zorganizowanych i sztabowych wieców popierających kierownictwo i potępiających „warcholów z Radomia”, która przetoczyła się przez Polskę w ciągu następnych paru tygodni. Wzmogła natomiast poczucie znaczenia spontanicznych odruchów społecznych”³.

Kolejnymi okazały się już: przywitanie Papieża Jana Pawła II w czerwcu 1979 r. oraz **letnie strajki z 1980 r. z tym rozstrzygającym w Stoczni Gdańskiej.**

Te ostatnie **różniły się od protestów z Czerwca 1976 r. tym, że robotnicy nauczeni doświadczeniem, tym razem nie wyszli na ulice. Pozostali w macierzystych zakładach pracy.**

W Czerwcu 1976 r. do wystąpień, właśnie ulicznych, doszło także w Ursusie, gdzie robotnicy fabryki traktorów zablokowali linię kolejową Warszawa-Poznań oraz w Płocku: tam zgromadzili się pod gmachem Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w którym wybito szyby. We wszystkich trzech miastach z Radomiem włącznie ekipa I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, nauczona z kolei doświadczeniem krwawego Grudnia 1970 r. na Wybrzeżu, w wyniku którego doszła do władzy kosztem Władysława Gomułki – użyła wprawdzie siły lecz nie broni.

Zastrajkowało całe miasto

„Również w Radomiu zastrajkowało całe miasto” – opisuje prof. Wojciech Roszkowski. „Strajk rozpoczęli robotnicy zakładów metalowych im. gen. Wł. Wł. Wł. Sformowany tu pochód zasilili wkrótce pracownicy „Radoskóru”, ZNTK, Wytwórni Telefonów oraz innych fabryk. Około 10.00 przed gmachem KW w Radomiu zebrał się wielotysięczny tłum demonstrantów domagający się cofnięcia podwyżki. I sekretarz KW Janusz Prokopiak obiecał porozumieć się z Warszawą i dać odpowiedź w ciągu dwóch godzin: zamiast tego uciekł z komitetu. Drugiego sekretarza Adamczyka, który pogardliwie odniósł się do zebranych, rozebrano do bielizny. Około 12.00 demonstranci weszli do budynku KW, gdzie zastali tylko niższy personel i agentów cywilnych SB. Oburzenie

³ Andrzej Paczkowski, *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, s. 416.

manifestantów wzmogło znalezienie w bufecie KW zapasów wędlin. Zaczęto demolować budynek komitetu. Około 15,00 gmach KW podpalono tak skutecznie, iż z pożaru ocalały tylko mury. Z wyjątkiem obleganego kompleksu Urzędu Wojewódzkiego oraz KW MO, skąd zabarykadowani funkcjonariusze rzucali petardy, cały Radom był w rękach demonstrantów. Nad ulicami krążyły helikoptery, z których policja filmowała zajścia i fotografowała uczestników. Grupa agentów SB systematycznie niszczyła sklepy przy ul. Żeromskiego bez żadnej reakcji ze strony MO⁴.

Władze odcięły Radom od reszty kraju i 30 samolotami wojskowymi ściągnęły dodatkowe formacje milicji. Broni jednak nie użyto, tylko gazu łzawiącego, armatek wodnych i pałek przeciwko kamieniom i cegłom, miotanych przez robotników. Do akcji weszła szkoła milicyjna w Szczytnie (takie same chłopaki jak my, w podobnym wieku – zauważają autorzy relacji cytowanych przez Macieja Kosowskiego w „Proteście wyklętym”) i esbecka z Piły, ZOMO z Gołędzinowa, Milicja Obywatelska z Łodzi, Lublina, Rzeszowa i Tarnobrzega. Do godz. 23 milicja całkiem opanowała Radom.

Co znaczące, tego samego dnia strajkowały w Warszawie zakłady Nowotki, Świerczewskiego i Kasprzaka oraz Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu, Zelmot i PZO, w Łodzi kilkanaście fabryk włókienniczych, załogi z Wrocławia, Szczecina, Poznania, Gdańska i Starachowic.

Dane o poborze mocy i energii wskazują, że 25 czerwca 1976 r. praktycznie nikt w Polsce nie pracował, przynajmniej jeśli o wielkim przemyśle mowa.

Strajkujący robotnicy nie wiedzieli jednak o sobie nawzajem. Zabrakło koordynacji protestów i informacji o nich.

Poza tym w Radomiu ani w Ursusie czy Płocku nie pojawił się żaden odpowiednik Lechosława Goździka z żerańskiej FSO w Październiku 1956 r. ani Lecha Wałęsy ze Stoczni Gdańskiej w Sierpniu 1980 r. Wyłoniono co najwyżej – jak w Radomiu – siedmioosobową delegację do rozmów z sekretarzem wojewódzkim. Jeden z obdarzonych wtedy zaufaniem jej członków Stanisław

⁴ Andrzej Albert [Wojciech Roszkowski], *Najnowsza historia Polski 1918–1980*, Polonia, Londyn 1989, s. 1002.

Kowalski, o którym była już mowa, jest rozmówcą Macieja Kosowskiego w „Proteście wyklętym...”.

W książce „Solidarność 1980–1981. Geneza i historia” Jerzy Holzer oceniał, że „Wydarzenia czerwcowe 1976 roku były ostatnim przed Sierpniem 1980 roku doświadczeniem masowego ruchu protestu. Zakończyły się w pewnej mierze sukcesem robotników, bo władze komunistyczne wycofały się ze swych decyzji. Zarazem ukazała się granica możliwości spontanicznych wystąpień. Uczestnicy protestu bezpośrednio i później w licznych procesach stali się ofiarą zemsty pokonanego aparatu. Nic nie zmieniło się w systemie sprawowania rządów i administrowania gospodarką. W następnych latach kryzys pogłębiał się, a ciężary przezeń spowodowane spadały na społeczeństwo”⁵.

Nie było oczywiście winą radomskich ani ursuskich robotników, że władza poodcinała im łączność telefoniczną ani, że w tych miastach zabrakło korespondentów zagranicznych mediów z wolnego świata. Nie przewidzieli oni, co się tam wydarzy. Zresztą nałożenie blokady informacyjnej na robotniczy protest przyczynił się wydatnie do zaostrzenia jego przebiegu. Jak w Ursusie, gdzie robotnicy rozkręcili tory kolejowe magistrali Paryż-Moskwa, żeby nie dało się ukryć wiadomości o ich buncie. Również w Radomiu fakt, że nigdzie nie można się dodzwonić, radykalizował nastroje i zachowania.

Atutem „Protestu wyklętego...” staje się fakt, że to wszystko nie tyle nawet systematyzuje, co rozpisuje na głosy dramat historii. Waler niepowtarzalnego autentyzmu znajdujemy w relacji pracownika Zakładów Metalowych im. Waltera – Ryszarda Szałapskiego: „I sekretarz ogłosił wtedy przez okno, że będzie dzwonił do Warszawy, aby władza podjęła decyzje i da nam znać. A my głośno krzyczeliśmy: My chcemy chleba, poza tym śpiewaliśmy różne pieśni patriotyczne. W tym czasie dwie dziewczyny z mojego wydziału zaczęły palić swoje legitymacje partyjne, inni też dołączyli się do tej akcji. Ale ja nie paliłem, bo do partii nie należałem. Z partią to miałem do czynienia wtedy, jak nawaliłem w robocie i groziło mi zwolnienie, to szedłem do partii po pomoc. Ale odpowiadano mi, że ja przecież do partii nie należę, więc mówiłem, że właśnie

⁵ Jerzy Holzer, *Solidarność 1980–1981. Geneza i historia*, Wyd. Rytm, Warszawa 1986, cz. I, s. 24.

mam zamiar się zapisać, przyjdę na zebranie i się zapiszę. Później oczywiście na zebranie nie poszedłem i tak to się kończyło. Bo tak naprawdę, to ja nie miałem skłonności, aby do tej partii należeć (...). Właściwie to nie wiem, kto podpalił budynek Komitetu. Kiedyś to nawet dziennikarka mnie zapytała, czy to ja podpaliłem Komitet, wtedy żartobliwie powiedziałem, że to nie ja, bo nie miałem przy sobie zapalek”⁶.

Nie palcie komitetów partyjnych, zakładajcie własne

– Nie palcie komitetów partyjnych, zakładajcie własne komitety – radził robotnikom po Czerwcu, nawet z nutą pewnej przemądrzałości, zaangażowany w pomoc dla nich Jacek Kuroń z KOR. Skorzystali z jego zaleceń.

Latem 1980 r. powszechnie już zawiązywali komitety strajkowe. W tym najważniejszy, międzyzakładowy ale zlokalizowany w Stoczni Gdańskiej, który 31 sierpnia podpisał historyczne porozumienia.

Cenna i ważna książka Macieja Kosowskiego „Protest wyklęty...” mniej opowiada jednak o koncepcjach politycznych, więcej mówi poprzez dokumentalne świadectwa o ludzkiej krzywdzie, ale i godności, z której rodzi się bunt. Autor ujmuje hasło „Radom ,76” na prawie 550 stronach druku we wszystkich aspektach, również tych, co postronnemu obserwatorowi nie wydadzą się przesadnie znaczące, bo na tle dziejów miasta. Za sprawą jego erudycji dowiemy się także, że znane z niezapomnianego protest-songu Jana Krzysztofa Kelusa określenie „czerwony Radom” wzięło się z wyniku wyborów samorządowych w 1927 r. kiedy wygrała tam Polska Partia Socjalistyczna. Domyślaliśmy się, że nie od komunistów, co tak miastu bruździli. Pamiętam też jednak, że łączy się je również z kolorem cegły starych kamienic, zasiedlonych przez robotników jeszcze w czasach boomu gospodarczego pod zaborem rosyjskim.

Najważniejsze w pracy Kosowskiego okazują się zresztą nie tyle analizy i opinie czy efekt kwerend archiwalnych – lecz świadectwa uczestników wydarzeń. Naprowadzają na przekonanie, które – zrodzone po Radomiu ,76 – stało się jedną z przyczyn Sierpnia: że władza cofa się pod robotniczym naciskiem. Z kolei radomscy pracownicy pamiętali o tym w kontekście Grudnia ,70, co

⁶ Maciej Kosowski, *Protest wyklęty...*, op. cit., s. 121–124.

nie tylko Gierkowi dał władzę po Gomułce ale wszystkim Polakom cofnięcie drakońskich podwyżek, chociaż to ostatnie nastąpiło – jak słusznie przypomina Kosowski – dopiero na przedwiośniu 1971 r. za sprawą kolejnego już strajku: łódzkich włókniarek.

Powrót tego przeświadczenia, że władza ustępuje pod presją załóg zakładów pracy pozwolił na fenomen Solidarności. Powróćmy jednak do Kosowskiego i jego bohaterów – w obu przecież tego słowa znaczeniach.

Na milicję poszła szukać brata, wróciła po paru miesiącach

Dzień 25 czerwca 1976 r. tak wspomina Mirosława Hetman: „Ukończyłam szkołę gastronomiczną, ale pracowałam w Zakładach Metalowych. Do protestu dołączyłam, jak wracałam z pracy, a uciekałam z tłumu, kiedy milicja użyła gazu. Na Komendę MO to poszłam sama szukać brata i tak trafiłam do aresztu na kilka miesięcy. Te przeżycia wzbudziły we mnie nienawiść do systemu, a walcząc z nim, rozwoziłam ulotki w wózku z dzieckiem”⁷.

Kluczowe wydaje się w jej relacji jedno zdanie, co starczy za cały komentarz: „Miałam 20 lat, byłam młodą dziewczyną, która myślała o przyszłości, ale nie takiej, jaką mieli moi rodzice”⁸.

Kolejny to dowód, że wcale nie o kiełbasę szło pamiętnego dnia w Radomiu. Świadczy o tym również zróżnicowanie społeczne uczestników protestu: niejedno dopiero co dostał nowe mieszkanie w bloku, bo przecież Edward Gierk zanim skierował na robotników milicyjne armatki wodne i kordony, najpierw starał się zbudować drugą Polskę. Ale wielu wciąż mieszka z rodzicami albo ze wsi podradomskiej codziennie dojeżdża do pracy. Dla części z nich rachunki z ustrojem zaczęły się wcześniej.

Przychodzi do domu, a tam milicjant. Ale brat...

Tadeusz Żurek w 1976 r. zatrudniony w radomskich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, chrzest bojowy przeszedł już jako szesnastolatek w innym też ważnym czasie, kiedy akurat ukończył zawodówkę: „Na protest

⁷ Kosowski, op. cit., s. 78.

⁸ Ibidem.

uliczny to ja wyszedłem już w 1968 roku. Wtedy były w Polsce protesty studenckie. Ale w Radomiu milicja nas obstawiała jak tylko zaczęliśmy się zbierać na ulicy Żeromskiego i nagonili nas w ulicę Moniuszki. Tam nas pobili i rozpędzili. Dostałem kilka razy pałką po głowie i uciekłem do bramy (...). Ja miałem brata, który był w milicji. I wtedy, jak wróciłem pobity z tego protestu do domu, to on akurat był w odwiedzinach u mamy. Kiedy wszedłem, to usłyszałem jego narzekania, że tak bardzo się dzisiaj napracował, że aż go ręce bołą. Ja wtedy wyszedłem do drugiego pokoju, bo nie mogłem patrzeć na niego i na ten jego milicyjny mundur. Ale mama poszła za mną, zobaczyła, że mam rozbitą głowę i ociekam krwią, a była wybuchowa. Chwyciła mnie za rękę, wyprowadziła z pokoju i powiedziała: – Zobacz ty łobuzie, co dzieciakowi zrobiliście. On wyszedł i trzy miesiące nie pokazał się w domu (...). I tak powstał w rodzinie konflikt na tle politycznym⁹ [9].

Jak się więc przekonujemy, rozliczenia radomian „z komuną” nie datują się dopiero od pamiętnego Czerwca, chociaż to on stał się ich ikoną. Rzutuje również na późniejsze doświadczenia miasta i regionu w trudnych relacjach z systemem.

Dyrektor radomskiego Liceum im. Konopnickiej Dariusz Żytnicki tak wspomina 13 grudnia 1981: „Bardzo dobrze pamiętam ten dzień. Należałem do Solidarności, a także do Konfederacji Polski Niepodległej. To była jedyna partia, która w tym czasie jasno podnosiła sprawę niepodległości Polski. 13 grudnia mieliśmy umówioną pikietę, podczas której odbył się odczyt i plakowanie Pionek. Było nas ok. piętnaście osób. Msza święta odbyła się rano w kościele świętej Barbary w Pionkach. Wówczas już był ogłoszony stan wojenny, wiedzieliśmy o tym, ale to nas nie powstrzymało¹⁰ [10].

Dyrektor relacjonuje skromnie, więc my zrekapitulujmy: w niewielkim mieście, zbudowanym wokół fabryki zbrojeniowej, w dniu, kiedy wprowadzono stan wojenny, kilkunastu zapaleńców przeprowadziło akcję plakatową i odbyło nielegalne zebranie. Dobitnie dowodzi to determinacji mieszkańców Ziemi Radomskiej. I przyzwoitości nie tylko samych uczestników akcji, bo

⁹ Kosowski, op. cit., s. 141.

¹⁰ Ibidem, s. 330.

też przecież nikt ich krytycznego dnia w Pionkach, gdzie ludzie się znają, nie schwytał ani później nie doniósł.

Nie oznacza to oczywiście, że opowieść o radomskim Czerwcu, a także jego genezie i następstwach, autorstwa Macieja Kosowskiego, dostarcza samych budujących przykładów. Znajdujemy w niej również historię żony jednego z przywódców protestu, która, kiedy mąż przekazał jej sygnał, gdzie ukrył oszczędności, zamiast na adwokata, przeznaczyła je na własne potrzeby. Ale to zła kobieta była – podsumować można znanymi słowami z listy dialogowej „Psów” Władysława Pasikowskiego.

Postacią, której poświęcenia wciąż nie doceniono jak należy, formatu wielkich męczenników jak ks. Jerzy Popiełuszko czy salvadorski biskup Oskar Romero – obaj zginęli z rąk szwadronów śmierci, chociaż wspierających biegunowo przeciwne orientacje – pozostaje ks. Roman Kotlarz. Najpierw ze schodów kościoła błogosławił maszerujących robotników. Potem padł ofiarą narastających szykan ze strony bezpieki, które doprowadziły do jego śmierci. O jego ofierze wiele dowiadujemy się z książki Andrzeja Anusza „Kościół obywatelski”¹¹. Również Kosowski podejmuje jego historię, wciąż czekającą na osobną biografię.

Nowa Polska pozamykała zakłady, z których wychodzili na protest

Żadne dane liczbowe nie oddadzą cierpień ofiar represji, zarówno uczestników i organizatorów wystąpień, jak przypadkowych przechodniów powpychanych w ramach odpowiedzialności zbiorowej do milicyjnych bud. Nie znaczy to jednak, że nie warto ich przypominać. W Radomiu 25 czerwca 1976 r. zginęły dwie osoby, to efekt nieszczęśliwego wypadku przy próbie ustawienia przyczepy na barykadzie. Rannych zostało tego dnia 198 osób, w tym 75 milicjantów. Zatrzymano w sumie 645 uczestników zajęć lub tych, których o udział w nich podejrzewano. Na bezwzględne więzienie skazano 72 z nich plus 118 kary wymierzono w zawieszeniu.

Wyroki i kolegia, szykany i poniżenie, zwolnienia z pracy i wilcze bilety ich ofiary opisują prostymi przeważnie słowami. Ktoś przetrwał, bo miał

¹¹ Por. Andrzej Anusz, *Kościół obywatelski*, Akces, Warszawa 2020, s. 419–421.

oszczędności, pozwalające przeżyć pomimo zakazu zatrudnienia w mieście. Zapomogi oferowanej przez Komitet Obrony Robotników nie wziął, bo skoro zostały pieniądze, to nie honor je brać... Jednej z kobiet lekarka załatwiła pracę, w której nie spytano o świadectwo z poprzedniej.

Tak toczy się ta opowieść, pasjonująca i groźna, czasem nawet okrutna, jak wtedy, gdy czytamy o powszechnej praktyce bicia przez milicję zatrzymanych i warunkach na dołku komendy albo w blaszanych samochodach, którymi transportuje się w letni upał radomskich robotników. Ale też wzbudza ta historia optymizm i nadzieję, bo jej finałem stanie się wolna Polska.

Ta sama – można by dodać złośliwie – która wprowadziła wręcz bohaterom należne im order, ale pozamykała ich macierzyste zakłady pracy, z których wychodzili kiedyś na protest o poranku 25 czerwca 1976 r. I która odebrała Radomiowi wojewódzki status. Zaś sprawcom wyrządzonych robotnikom krzywd ofiarowała nieformalny wprowadzić lecz skuteczny immunitet. Maciej Kosowski niczym tych paradoksów nie maskuje. Happy end okazuje się względny.

Zatrzymany po południu 25 czerwca 1976 r. w ucieczce przed milicją Robert Nowak stracił w jednym oku zdolność widzenia po tym, jak funkcjonariusz uderzył go przy wpychaniu do okratowanej budy. Dowiadujemy się też, jak żyło mu się prawie pół wieku później w Polsce rządzonej przez partię o znaczącej nazwie: Prawo i Sprawiedliwość: „Teraz, z powodu uszkodzonego oka, jestem niepełnosprawny. Składałem do ZUS wnioski o rentę, ale odrzucili. Powiedzieli mi, że mogę sobie znaleźć pracę „jednooczną”. Moje aktualne dochody, to zasiłek stały z pomocy społecznej w Jedlińsku w kwocie 645 zł miesięcznie. Musi mi to wystarczyć na utrzymanie” – wyznaje skromnie bohater radomskiego Czerwca i niezwyklej książki Macieja Kosowskiego¹².

¹² Maciej Kosowski, *Protest wyklęty...*, op. cit., s. 93.

ROZNICE

Obudź się dumny Polaku
Grają tarabany
znów matki błogosławią synów
co w kolejne maszerują w piekło
zaciskając pięści i hartując męstwo.
Wykop karabiny zaminuj podwórko
nie bój się krwi ani płaczu
miej w sercu historii przodków
kibitki zesłania mróz
ścinający dęby bydłce wagony
robactwo krematoria
bezmiar upodlenia i przekleństwo życia
rozprute bagnetem trzewia
zabite o ścianę noworodki.
Bądź waleczny i przezorny
nie daj się zabić kulom
dronom ani plugawym słowom.
Niech cię prowadzą cienie husarii
ryngrafy niezłomnych
i Tajemnica Światła

PATRZĘ W CIEMNOŚĆ

*Piotrowi Wójcikowi,
z podziękowaniem za pamięć i troskę*

1.

W kałuży jesieni, złośliwym wietrze,
sunącej mgle nad drzemiącym krajobrazem
i ścianą zziębniętego lasu,
co kłopoty i złe myśli wchłaniają
jak żarłoczne jelita pokarm na stypie-
chore płyną liście
i porzucone ulotki wyborcze,
by utopić się w rynsztoku.

2.

A co zostanie w chromej głowie,
Prawie jak nogi żołnierza pustyni?
Cień jasnej twarzy w oknie wieczoru,
jakby stworzonej przez dłuto Rodina,
ślad po wiśni na białe sukni,
niby pieczęć kuli-
przepustki do Jeruzalem.
Ale też chmurność oczu
i nieśmiałe słowa,
co przyfrunęły z chmarą wróbli,
tak wyraźne jak śpiew pszczoł
albo skarga dębu-
znak do spoczynku
w bezpiecznej przystani.

3.

Cisza chce się w sobie ukryć
jak ścigane zwierzę
przed wyrokiem silniejszego.
Patrzę w ciemność.
Zaciągam się nocą,
niczym narkoman kokainą.
Zamiast latarni gwiazd
i przekupnego Księżyca,
wypatruję dronów i szpiegowskich satelit.
Pamięć kurczy się jak starzec
Przywalony strachem i pamięcią.

4.

Za co cierpieć mężnie
trwać w prawdzie,
w co wierzyć, za co ginąć,
kiedy wszystko zdradza,
marnieje i upada

październik 2023

PRAWDZIWIY JEST TYLKO POPIÓŁ

*Ś.p. Andrzejowi Nowakowi,
muzykowi i kompozytorowi,
liderowi TSA i „Złych psów”*

Na murach Hebronu i rogatkach Jerycha
wiszą obdarte kikuty przeszłości.
Nieliczne mają oczy koloru żałoby
od zakrzepłej krwi, ze strachem,
co jak wapno miazdży płuca –
one nie chcą śpiewać wzniosłych pieśni.

Agenci, łotry, fakirzy iluzji
hipnotyzują nienawiścią i błagą,
to znów mamia krainą łagodności,
pełną mamony, kiełbasy na grilla,
przaśnej muzyki i beczek z piwem.

Maszyneria historii
zagląda w każdą szczelinę,
jak głodne szczury i pluskwy
albo wspomnienie dawne,
bolesne jak gardło spalone spiritem
lub bitewną pieśnią.
W kapsule powietrza i tajemnicy przeszłości
giną miłosne jęki, spiski, modlitwy
i rżenie hospicjum.
Królestwo Boże
wije się w agonii.
Umiera jak epileptyk
na wysypisku śmieci,

choć nadal gromnica słońca
trudzi się jak stary lutnik,
robiący harfy i gitary.
Prawdziwy jest tylko popiół,
cierpliwe krety i robaki.

listopad 2023

NAUKA

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

W grudniu 2021 roku Minister Edukacji Narodowej przydzielił Kwartalniki Nurtu Niepodległościowego „OPINIA” 40 punktów naukowych.

Lp.	Unikatowy Identyfikator Czasopisma	Tytuł, numer ISSN/numer eISSN	Liczba punktów	Przypisane dyscypliny naukowe
32650	201466	Opinia 2352-5725	40	historia

Zapraszamy do współpracy.

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”

1. Redakcja „Opinii” przyjmuje teksty w języku polskim nadesłane wyłącznie drogą elektroniczną, zgodne z instrukcją wydawniczą „Opinii”, w formatach *.doc, *.docx lub *.rtf. W przypadkach szczególnych, po uprzednim uzgodnieniu z redakcją, mogą być dopuszczone inne formy dostarczenia tekstu.

Przesłanie artykułu oznacza, że autor poświadcza, że zapoznał się z zasadami etycznymi obowiązującymi w „Opinii”, a jego tekst spełnia normy w nich zawarte.

Preferowaną objętością dla artykułu naukowego jest 60 tys. znaków, a objętość maksymalna wynosi 80 tys. znaków. Preferowana objętość dla recenzji to 25 tys. znaków, a maksymalna 40 tys. znaków. Objętość liczona jest z włącze-

niem przypisów i spacji, znaków w tabelach, bez bibliografii, streszczeń i podpisów pod fotografiami.

Wiadomość z elektroniczną wersją tekstu powinna zawierać ponadto podpisane skany oświadczeń o oryginalności tekstu i o „ghostwritingu” i „guest authorship”. Papierowe wersje oświadczeń należy przesłać na adres redakcji. Podpisanie oświadczeń oznacza, że autor zapoznał się z klauzulą informacyjną dotyczącą zbierania i przetwarzania danych osobowych oraz dobrowolnie przekazuje dane osobowe i zgadza się na ich przetwarzanie.

Plik zawierający artykuł powinien zostać nazwany według następującego wzoru: nazwisko autora, inicjał imienia, pełny tytuł artykułu (np. Kowalski J., Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza). Plik z artykułem nie powinien w metadanych być podpisany nazwiskiem autora lub innym podpisem pozwalającym na identyfikację autora.

Tekst powinien zostać wykonany z zachowaniem stylu normalnego programu MS Word – bez użycia stylów nagłówkowych, podziałów stron i sekcji – czcionką Times New Roman pkt. 12 w tekście głównym i pkt. 10 w przypisach. Stosujemy przypisy dolne. Interlinia tekstu głównego pkt. 1,5, przypisów pkt. 1.

2. W pliku z artykułem powinny znajdować się w lewym górnym rogu następujące informacje:

pełne imię i nazwisko autora, numer orcid i afiliacja, adres do korespondencji tradycyjnej, adres e-mailowy, numer telefonu. Pod tekstem artykułu powinna znaleźć się bibliografia wykonana zgodnie z modelem bibliografii zawartym w instrukcji wydawniczej „Opinii”.

W osobnym pliku Autor powinien dostarczyć streszczenie artykułu (Nazwa pliku powinna być zgodna z przykładem: Streszczenie i nota, Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza).

Streszczenie w języku polskim powinno mieć objętość do 1,5 tys. znaków. Opcjonalnie Autor może dostarczyć streszczenia w języku angielskim i rosyjskim o objętości do 1,5 tys. znaków każde.

Autor zobowiązany jest również do przygotowania abstraktu o objętości do 500 znaków w jęz. polskim lub angielskim. W pliku powinna znaleźć się również krótka notka dotycząca autora o objętości do 500 znaków oraz słowa kluczowe w języku polskim i angielskim, opcjonalnie rosyjskim.

Niezamawianych tekstów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów.

Tekst główny:

Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictwa „Opinia”

Część I. Zasady ogólne

A. Tekst główny, wstęp, zakończenie

I. Daty

1. Rozwijamy nazwy miesięcy, skracamy natomiast słowo „rok”:
 - 10 kwietnia 1945 r.; 10 maja br.; w lipcu tr.
2. Stosujemy zapis:
 - w latach dziewięćdziesiątych (nie: w latach 90., w l. 90.)
 - w XX w. (nie: w dwudziestym wieku, w 20. wieku)
 - w drugiej połowie XIX w. (nie: w 2 poł. XIX w.).
3. Daty łączymy pauzą łączącą (półpauzą): 1945–1947. Nie stosujemy tu dywizu (-).

II. Miary, stopnie, tytuły

- Stosujemy skróty słownikowe, takie jak: godz., kg, ha, km, km kw., m sześć., proc., gen., płk, kpt., prof., doc., mgr, dr hab., m.in., tzw., tj., np., itd., itp.
- W przypadkach zależnych stosujemy zapis: płk (= pułkownika), dr (= doktora).
- Piszemy: II Rzeczpospolita Polska, III Rzesza, p.o. delegat

III. Nazwy własne

1. Organizacje i instytucje
 - Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełną nazwę, dalej – ewentualnie skrót. W przypadku nazw powszechnie znanych (np. PRL, ZSRR, PPR, PZPR) dopuszcza się stosowanie skrótów bez ich rozwijania przy pierwszym wystąpieniu.

2. Osoby

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełne imię i nazwisko, dalej – samo nazwisko bez inicjału imienia lub imię i nazwisko (dopuszczalne jest stosowanie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia); nie podajemy otczestwa.

IV. Cytaty i tytuły

- Cytaty ze źródeł i literatury przedmiotu podajemy w cudzysłowie, antykwą.
- Tytuły prac naukowych, utworów literackich, muzycznych, dramatycznych, obrazów wyróżniamy kursywą. Nazwy ustaw podajemy bez cudzysłowu, antykwą.²
- Tytuły wystaw, konferencji, sesji naukowych, konkursów podajemy w cudzysłowie, antykwą.

V. Liczebniki

- Piszemy słownie, gdy możemy zapisać jednym słowem, zwłaszcza w odniesieniu do osób. Przy wyliczeniach – cyframi.
- Stosujemy skróty: mld, mln, tys. (jeżeli występują pełne tysiące, w innym wypadku cyframi: 75 345, 43 009).

VI. Wyrażenia obcojęzyczne

- Słowa i wyrażenia obcojęzyczne użyte w tekście polskim zapisujemy kursywą, np.: *sui generis*, *last but not least*, *ancien régime*.

B. Przypisy

I. Stosujemy oznaczenia: *ibidem*, *idem* (*eadem*), *passim*, *op. cit.*, *loc. cit.* (kursywą). W bardzo obszernych publikacjach zamiast oznaczenia *op. cit.* można stosować zapis: inicjał i nazwisko, skrót tytułu..., s. X.

II. Stosujemy skróty: t., cz., z., nr, R., a także pozostałe, jak w punkcie A II.

III. Daty

- Jeśli data jest pełna, miesiąc zapisujemy cyframi rzymskimi: 25 VI 1999 r., jeśli data jest niepełna miesiąc zapisujemy słownie: 25 czerwca, w czerwcu 1999 r.

IV. Odsyłacze

- Używamy skrótów: zob., por., cyt. za:
- Odsyłacze do innych fragmentów tekstu, np.:

zob. dok. nr 24, przyp. 7;

zob. rozdz. II, przyp. 8;

por. s. 38; por. dok. nr 12 i 17.

V. Liczebniki – jak w tekście głównym

VI. Informacje biograficzne

1. Informacje biograficzne zamieszczamy w przypisach. Biogram powinien być zwięzły. W szczególnych przypadkach można biogramy umieścić osobno, np. w części nazwanej „Biogramy”.

2. Kolejność elementów biogramu:

- Imię i nazwisko
- Pseudonimy, przybrane nazwiska, przydomki
- Daty życia
- Pozostałe informacje życiorysowe

3. Przykłady:

Julian Bartuś „Bojko”, „Julek”, „Zbyszek”, „Romański”, „Krajewski” (1922–1962), żołnierz AK i działacz WiN. Kierownik Rady WiN Przeworsk, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) krakowskiego Wydziału i p.o. kierownik łączności krakowskiego Wydziału. 3 Mieczysław Kawalec „Kałuski”, „Żbik”, „Iza”, „Psarski” (1916–1951), oficer AK i działacz WiN. Komendant Obwodu AK Rzeszów, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) Wydziału WiN Rzeszów, zastępca prezesa krakowskiego Wydziału, kierownik Wydziału Wywiadu w IV ZG WiN i p.o. prezes ostatniego zarządu. Aresztowany 1 II 1948 r., skazany na karę śmierci, stracony 1 III 1951 r.

VII. Cytowanie źródeł i literatury przedmiotu

1. Kolejność elementów w opisie cytowanej pozycji bibliograficznej:

- Inicjał imienia i nazwisko,
- Dalej jak w opisie bibliograficznym, zob. D. Bibliografia ,
- Numer cytowanej strony (pomijamy w wypadku dzienników i tygodników); stosujemy skrót s., nie ss.

Przykłady:

J. Kochanowski, W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001, s. 285.

A. Grajewski, Oskarżony ks. Franciszek Błachnicki, „Więź” 2001, nr 5, s. 94.

W. Władyka, Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

A. Kaczyński, Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

2. Kolejność elementów w opisie materiału archiwalnego (poszczególne elementy oddzielamy przecinkami):

- Nazwa archiwum (skrót),
- Nazwa zespołu archiwalnego (ewentualnie skrót); stosowanie skrótu zesp. dopuszcza się tylko wtedy, kiedy nazwa zespołu jest zapisana cyframi lub symbolami,
- Sygnatura jednostki archiwalnej; jeśli sygnatura jednostki archiwalnej składa się z kilku symboli, dopuszcza się stosowanie skrótu sygn., wtedy jednak skrót należy stosować konsekwentnie w całej pracy,
- Opis dokumentu pozwalający na jego identyfikację – rodzaj dokumentu, kto, do kogo (jeśli tytuł dokumentu zawiera te informacje, można się nim posłużyć). Należy podawać pełne imiona nadawców i adresatów, nie inicjał.

Opis dokumentu (lub przytaczanej relacji) podawany jest antykwą,

- Data powstania dokumentu po przecinku lub data przybliżona w nawiasie kwadratowym; jeśli nie można ustalić daty, stosujemy skrót b.d.
- Numer karty (gdy przywoływany jest fragment dokumentu, numer karty, na której znajduje się ten fragment). Jeżeli jednostka archiwalna nie jest spaginowana, używamy skrótu b.p.

UWAGA 1. Jeżeli dokument był opublikowany, powołujemy się na wersję opublikowaną, a nie archiwalną.

UWAGA 2. Cytując dokumenty z Archiwum IPN (i archiwów oddziałów IPN), stosujemy skróty: AIPN, AIPN Bi, AIPN Gd, AIPN Ka, AIPN Kr, AIPN 4 Lu, AIPN Łd, AIPN Po, AIPN Rz, AIPN Wr. W wykazie skrótów rozwijamy je następująco: AIPN – Archiwum IPN w Warszawie; AIPN Bi – Archiwum

IPN Oddział w Białymstoku itd. Nie stosujemy zapisów typu BUiAD IPN,

OBUiAD, OBUiAD Kat, OBUiAD IPN-Wr, AIPN Kraków, OBUiAD Lublin, OBUiAD IPN w Poznaniu, Archiwum IPN Warszawa itd.

Przykłady:

AAN, KC PZPR, XI A/102, List Nikity Chruszczowa do Bolesława Bieruta w sprawie redukcji sił zbrojnych PRL, 12 VIII 1955 r., k. 3.

AAN, KC PZPR, 237/V-757, Notatka dotycząca analizy aparatu partyjnego KW, KP/KM, KD/KZ, [sierpień 1968 r.], k. 10–20.

AIPN Kr, Akta operacyjne, 010/12061, Analiza materiałów sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Naprawiacz”, 8 VI 1978 r., k. 37.

AIPN, MSW II, 4183, Notatka ze spotkania wiceministra Franciszka Szlachcica z aktywnym SB KW MO w Białymstoku, 13 XI 1962 r., k. 18.

Archiwum MSZ, Zesp. 12, w. 14, t. 331, Raport polityczny poselstwa PRL w Tel Awiwie, 28 III 1956 r., k. 36.

3. Jeżeli w przypisie podajemy kilka źródeł, ich opisy rozdzielamy średnikiem.

C. Wykaz skrótów

1. W wykazie umieszczamy skróty występujące w tekście głównym i przypisach.
2. Podajemy jedynie skróty „rzeczowe” (instytucji, organizacji itp.).

D. Bibliografia

1. Tytuły dzieł obcych podajemy w języku oryginału (z cyrylicy w transkrypcji na łacinkę); opis (red., oprac., t., cz.) w języku polskim; miejsce wydania w tym języku, w jakim zostało podane na karcie tytułowej.
2. Kolejność elementów w zapisie bibliograficznym. UWAGA: kolejność powinna być zachowana bez względu na to, ile elementów zawiera opis.
 - a) Wydawnictwa zwarte (jedno- lub wielotomowe; dzieło jednego, dwóch lub trzech autorów; dzieło zbiorowe, tj. więcej niż trzech autorów):
 - Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł. Podtytuł (kursywą),
 - Numer tomu i części (z dwukropkiem – t. 1:):
 - Tytuł tomu i części (kursywą),
 - Przekład (tłum.),
 - Współpracownicy (red., oprac.),
 - Które wydanie (jeśli jest istotne),
 - Miejsce i rok wydania (b.m.w., b.d.w., umieszczamy po przecinku),
 - Nazwa serii wydawniczej w cudzysłowie, numer tomu w serii (zapisane w nawiasie),
 - Informacje dodatkowe (np. rkps, mps).5

b) Artykuły w pracach zbiorowych:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł (kursywą)
- [w:] (bez poprzedzającego przecinka)
- Dalej jak w opisie bibliograficznym wydawnictwa zwartego.

c) Czasopisma:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwa, w cudzysłowie)
- Rok wydania czasopisma (można poprzedzić miejscem wydania, jeżeli jest to konieczne do zidentyfikowania publikacji),
- Część rocznika (numer, zeszyt; numer podwójny: 1/2, numery kolejne: 1–2),

d) Prasa codzienna:

- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwa, w cudzysłowie),
- Data wydania (a nie numer).

Przykłady:

- Kochanowski J., W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001.
- The Kissinger Transcripts. The Top Secret Talks with Beijing and Moscow, oprac. W. Burr, New York 1998.
- Anderson S., A Cold War in the Soviet Bloc. Polish-East German Relations, 1945–1962, Boulder 2001.
- Wołkogonow D., Stalin, t. 2, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 1998.
- Albert A. [Roszkowski W.], Najnowsza historia Polski 1918–1980, wyd. 2, Londyn 1989.
- Dąbrowska M., Dzienniki powojenne, t. 2: 1950–1954, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1996.
- Zakrzewska J., Mołdawa T., Historia sejmu polskiego, t. 3: Polska Ludowa, red. A. Ajnenkiel, Warszawa 1989.

– Dzierzgowska A. i in., Supliki do najwyższej władzy, red. M. Kula, Warszawa 1996.

– Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 13).

– Gluchowski L., Nalepa E., The Soviet-Polish Confrontation of October 1956. The Situation in the Polish Internal Security Corps, Washington D.C. 1997 („Cold War International History Project Working Paper”, nr 17).6

– Wrześniński W., Postawy i nastroje Polaków po klęsce wrześniowej na terenie okupacji sowieckiej [w:] Komunizm. Ideologia, system, ludzie, red. T. Szarota, Warszawa 2001.

– Romek Z., Droga Leszka Kołakowskiego ku antykomunistycznej opozycji. Od ortodoksyjnej ideologii ku wolności myślenia, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 4.

– Grajewski A., Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5.

– Matis J. [Kozłowski M.], Dżuma, „Kultura” (Paryż) 1969, nr 3.

– Władysław W., Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

– Kaczyński A., Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

– Nowak M., Wspomnienia z mojej młodości, Kraków 1962, mps w zbiorach Jana Kowalskiego.

– Lityński A., O prawie i sądach początków Polski Ludowej, Białystok, b.d.w.

E. Indeksy

1. W indeksie osób zamieszczamy tylko nazwiska występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazwisk występujących w tytułach książek i nazwach własnych.
2. Od pseudonimów i nazwisk przybranych odsyłamy do właściwego nazwiska za pomocą skrótu: zob. „Mietek” zob. Podhorodecki Tadeusz Szwarz Czesław zob. Naleziński Czesław
3. W indeksie nazw geograficznych zamieszczamy tylko nazwy występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści,

bibliografii). Nie indeksujemy nazw występujących w tytułach książek i nazwach własnych, miejsc wydania publikacji, nazw państw oraz nazw typu Europa Środkowo-Wschodnia.

Część II. Opracowanie tekstów źródłowych

1. Numer dokumentu

Wyśrodkowany, kursywa, czcionka wytłuszczona.

2. Nagłówek dokumentu

Kursywa, obustronnie wyjustowany.

Nagłówek składa się z daty powstania dokumentu, miejsca powstania dokumentu oraz – po myślniku – regestu dokumentu.

Data powstania dokumentu ma następujący zapis: rok, miesiąc (słownie), dzień.

Brakujące elementy daty należy uzupełnić w nawiasie kwadratowym.

3. Ogólne zasady edycji dokumentu

- Uwspółcześniamy ortografię i interpunkcję tekstu. Odstępstwa od tej reguły wymagają przekonującego uzasadnienia.
- Stosowane w dokumentach różne sposoby zapisu daty (np. 12.08.1946, 12/8 1946, 12.VIII.1946, 12/8/1946) ujednolicamy następująco: 12 VIII 1946; nie zamieniamy na liczbę rzymską nazw miesięcy pisanych słownie.⁷
- Wszelkie wyróżnienia w oryginalnym tekście dokumentu, dokonane przez jego twórcę (s p a c j o w a n i e ; WERSALIKI; podkreślenia) oddajemy za pomocą czcionki wytłuszczonej. W uzasadnionych przypadkach dopuszcza się pomijanie wyróżnień (np. nazwisk zapisanych wersalikami w dokumentach proveniencji policyjnej) i zapisywanie tych fragmentów tekstu czcionką podstawową.
- Nawiasy ukośne // zamieniamy na nawiasy półokrągłe ().
- Skróty słownikowe (ob., np., wg, ww., tj., ...) pozostawiamy bez rozwinięcia.
- Skróty niekonwencjonalne rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą
- Towarzyszące nazwiskom inicjały imion rozwijamy w nawiasach kwa-

dratowych antykwą. Dopuszczalne jest pozostawienie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia.

- Należy ograniczyć do minimum użycie znaku [sic!]; kwestie wymagające komentarza omawiać w przypisach.
- Opuśzczenia pochodzące od wydawcy zaznaczamy trzema kropkami w nawiasie kwadratowym i opatrujemy przypisem tekstowym, na przykład:

[...] e

4. Układ tekstu dokumentu

W edycji dokumentu nie odtwarzamy układu graficznego oryginału.

- a) miejsce i data powstania dokumentu – wyjustowane do prawego marginesu
- b) nagłówek nadawcy – wyjustowany do lewego marginesu
- c) nazwa adresata dokumentu – wcięta i wyjustowana do prawego marginesu
- d) tytuł dokumentu – wyśrodkowany
- e) treść dokumentu – obustronnie wyjustowany, akapity zaznaczone wcięciem pierwszego wiersza
- f) podpis pod dokumentem – wyjustowany do prawego marginesu; w wypadku dwóch podpisów – lewy podpis wyjustowany do lewego marginesu, a prawy do prawego.

5. Informacja o miejscu przechowywania dokumentu

Kursywa, czcionka o 1 pkt mniejsza od tekstu dokumentu, od akapitu.

Po słowie „Źródło” i dwukropku podajemy: skrót nazwy archiwum, nazwę zespołu archiwalnego (lub jej skrót), sygnaturę jednostki archiwalnej, numer karty oraz informację o formie dokumentu będącego podstawą edycji (oryginał/kopia; rkps/mps).

W przypadku przedruku zamiast adresu archiwalnego podajemy opis bibliograficzny pierwodruku.

6. Przypisy tekstowe

Oznaczone literami. Do części odredakcyjnej przypisu stosujemy kursywę, do tekstu źródłowego – antykwę. Numerację przypisów tekstowych rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

Przypisami tekstowymi opatrujemy:

- lekcję wątpliwą;
- lekcję błędną – do tekstu wprowadzamy lekcję poprawną, a niepoprawną umieszczamy w przypisie tekstowym. W wypadku błędu powtarzającego się w całym tekście lub jego większym fragmencie, przypisem tekstowym oznaczamy tylko pierwsze wystąpienie tego błędu. Błędy maszynowe korygujemy bez zaznaczenia;
- brakujące bądź nieczytelne fragmenty tekstu – przypis tekstowy należy ująć w nawias kwadratowy, na przykład: [d];
- niejasności tekstu, błędy składniowe i gramatyczne;
- treść pieczęci, podpisów, rękopiśmienne adnotacje w tekście;
- dopiski, nadpisanie, przekreślenia;
- podkreślenia tekstu dokonane przez odbiorcę.

7. Przypisy rzeczowe

Numerowane cyframi arabskimi; antykwa. Umieszczone pod stroną, poniżej przypisów tekstowych. Numerację rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

W przypisach rzeczowych umieszczamy wszelkie merytoryczne komentarze i wyjaśnienia do dokumentu. W razie konieczności opatrzenia lekcji błędnej komentarzem merytorycznym, umieszczamy go – wyjątkowo – w dotyczącym jej przypisie tekstowym.

8. Przykład

Nr 8

1945 luty 27, Białystok – Pismo naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Białymstoku do wojewody białostockiego w sprawie konieczności wzmocnienia posterunku MO w Milejczycach, pow. Bielsk Podlaski

Wydział Śledczy Białystok, dnia 27 II 1945 r.

Wojew[ódzkiej] Kom[endy]

Mil[icji] Obyw[atelskiej]

Do Ob. Wojewody Białostockiego w Białymstoku

Stosownie do polecenia Komendy Głównej [MO] z dnia 16 XII 1944 r. za L. 652 S/44, melduję, że dnia 24 II 1945 r. wieczorem zgłosił się do posterunku MO w Milejczycach leśniczy i jego zastępca z leśnictwa Milejczyce

i oświadczyli, że są posłuchy od rodz[in] Małaszaków i Korzeniowskich, mieszk[ańców] wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, że wkrótce ma być napad przez bandę na Pow[iatowa] Kom[endę] MO w Bielsku i więzienie w Białymstoku. Również oświadczyli, że przechodząc, czy też przejeżdżając w okolicach wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, trzeba być ostrożnym, gdyż ta wieś [f] jest zagrożona. Wobec czego komendant posterunku MO Milejczyce prosi o zwiększenie siły oraz większy przydział broni i amunicji, aby można zapobiec wypadkom i zlikwidować bandę, której jest we wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk.

Nacz[elnik] Urz[ędu] Śled[czego]

chor. S[tefan] Kufer

Źródło: APB, Urząd Wojewódzki w Białymstoku, 285, k. 12, oryginał, mps.

a Poniżej pieczęć prostokątna Urząd Wojewódzki w Białymstoku. Wpłynęło 28 II 1945 r. (data wpisana odręcznie).

b Poniżej odręcznie wpisana sygnatura pisma Nr S. 49/45.

c Tak w tekście.

d Korzeniewskich?

e W oryginale tu i dalej Libiejki. Niewątpliwie mowa o Lubiejkach w pow. bielskopodlaskim, nie zaś o Libiejkach w pow. zambrowskim.

f W maszynopisie dwa słowa przekreślone, niemożliwe do odczytania.

g–g Fragment napisany odręcznie.

h–h Fragment podkreślony odręcznie czerwonym ołówkiem.

i Tak w tekście.

j Powyżej nieczytelny podpis odręczny.

Tu i dalej mowa o Bielsku Podlaskim.

Chodzi o Wydział Śledczy KW MO w Białymstoku.

Podstawą powyższego przykładu jest autentyczny dokument ze zbioru Białostoczczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz, pod red. J. Kułaka (Warszawa 1998), który na potrzeby niniejszej instrukcji został odpowiednio spreparowany.

9. Uwagi techniczne

Poniższe porady mają ułatwić użytkownikom edytora MS Word stosowanie

w praktyce zasad edycji dokumentów źródłowych. Ponieważ edytor tekstu nie powinien udawać mądrzejszego od swego użytkownika, przed przystąpieniem do pracy warto wyłączyć następujące opcje:

- Narzędzia→Autokorekta→Autoformatowanie podczas pisania→Stosuj w trakcie pisania oraz W trakcie pisania automatycznie (wszystkie opcje)
- Narzędzia→Opcje→Edycja→Dokonywanie wcięć z lewej klawiszami Tab i Backspace

1) Wstawianie przypisów rzeczowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis10
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: Przypis dolny oraz Numerowanie: Automatyczne (lub Autonumerowanie)
- Wcisnąć klawisz OK

2) Wstawianie przypisów tekstowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: przypis dolny oraz Numerowanie: Znak niestandardowy
- W sąsiednim okienku wpisać odpowiednią literę, którą zostanie oznaczony przypis tekstowy
- Wcisnąć klawisz OK

W razie konieczności zastosowania „podwójnego” przypisu, obejmującego fragment tekstu (typu: axxxxxa), przypis zamykający należy wstawić zgodnie z powyższą instrukcją, zaś przypis otwierający zamarkować odpowiednią literą we frakcji górnej (polecenie: Format→Czcionka→Indeks górny). Analogicznie za pomocą litery i myślnika we frakcji górnej należy zamarkować część oznaczenia przypisu pod stroną (np. a–a).

3) Prawidłowa numeracja przypisów

Numeracja przypisów rzeczowych i tekstowych powinna się rozpoczynać od nowa dla każdego dokumentu. Aby to zrobić, należy:

- Przed przystąpieniem do edycji dokumentów uruchomić polecenie Wstaw→Przypis→Opcje, następnie w otwartym oknie dialogowym na karcie Wszystkie przypisy dolne wybrać opcję Numerowanie: Każda sekcja od nowa. Następnie wcisnąć klawisze OK oraz Zamknij.
- Po każdym zakończonym dokumencie wstawić znak końca sekcji od

nowej strony (polecenie: Wstaw→Znak podziału→Typy podziału sekcji:

Następna strona→OK).

Uwaga: Ponieważ edytor MS Word nie umożliwia rozdzielenia przypisów tekstowych od rzeczowych, pozostaną one „przemieszane”. Zasada umieszczania przypisów tekstowych pod stroną powyżej przypisów rzeczowych będzie mogła zostać spełniona dopiero na etapie łamania tekstu w profesjonalnym programie do składu komputerowego.

4) Wcięcia tekstu

Wszelkich wcięć w tekście (zarówno wcięć pierwszego wiersza akapitu, jak i całych akapitów) należy dokonywać za pomocą tabulatorów, a nie spacji.

ANDRZEJ SADOWSKI

MIROŚŁAWA DZIELSKIEGO PRZESTROGI DLA POLSKI WOBEC PROCESÓW W EUROPIE

Mirosław Dzielski (1941–1989) był jednym z nielicznych twórczych polskich polityków lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wieku XX, współtwórca wolnorynkowej opozycji antykomunistycznej, który w dyskursie publicznym zdominowanym przez poszukiwanie „socjalizmu z ludzką twarzą” rozwijał idee chrześcijańskiego liberalizmu. Obrazoburcze podówczas połączenie liberalizmu i chrześcijaństwa wynikało z konsekwencji jego diagnozy, że zasadniczym źródłem głębokiego kryzysu ekonomicznego oraz politycznego w Polsce jest prymat ideologii nad gospodarką, która niszczy przede wszystkim moralne fundamenty społeczeństwa. Jako założyciel Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego oraz współzałożyciel Akcji Gospodarczej niezmiennie uważał, że przezwyciężenie wszechogarniającego kryzysu jest możliwe dzięki wyswobodzeniu aktywności gospodarczej Polaków z ideologicznego gorsetu i jest to wstępny warunek do odzyskania przez nich wolności¹.

Przedwcześnie umierając 15 października 1989 w Waszyngtonie nie zobaczył szalejącej na chodnikach polskich dróg kontrrewolucji straganów i odradzania się rodzimej przedsiębiorczości, której był niestrudzonym orędownikiem i jednym z jej ojców duchowych. Doświadczał za to anihilacji zarówno materialnej, jak i duchowej, której sprawcą był naukowy socjalizm w praktycznej jego realizacji. Pół wieku przed ekonomicznymi eksperymentami gospodarki planowej angielski historyk cywilizacji Henryk Tomasz Buckle

¹ Plichta A., *Mirosława Dzielskiego wizja wielkiej polityki średniego państwa*, s. 323 w *Rodzinną Europą. Europejska myśl polityczno-prawna u progu XXI wieku*, Prace Naukowe Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego Seria: e-Monografie Nr 64, Wrocław 2015.

zauważył że „wojny nie przyniosły takich zniszczeń i nędzy narodom jak błędne poglądy na ekonomię”. Prawdziwość tego stwierdzenia nie powinna budzić wątpliwości zwłaszcza po fiasku eksperymentu z systemem realnego socjalizmu z prawdziwą nędzą, którą rozpowszechnił nie tylko w Polsce. Niewątpliwie idee mają konsekwencje, co skonstatował Richard M. Weaver w dziele o nadrzędności idei².

Przeciwstawne prędkości Polski i Europy

W sytuacji zastępowania peerelowskiej gospodarki niedoboru wolnością gospodarczą za sprawą tzw. ustawy Wilczka³ wolność, przedsiębiorczość i odpowiedzialność, które do niedawna konstytuowały zachodnią Europę odchodziły w przeszłość i trafiały na podatny grunt w Polsce. Dzięki właśnie tym ideom państwa europejskie były przez ostatnie dwa stulecia wyspami dobrobytu w oceanie nędzy. Trwoniąca dziś gromadzone pokoleniami bogactwo Europa czyni to samo z ideami i wartościami, które zapewniały jej dzisiejszą pozycję. Elity europejskie pośrednio bądź wprost zajmują się kruszeniem fundamentu, na którym budowano ją przez wieki. Źródła tej zamiany i rozkładu wartości były mocno już w wieku XIX, kiedy Lord Acton pisał, że „wolność ma nie tylko wrogów, z którymi walczy, ale i perfidnych przyjaciół, którzy okradają ją z owoców zwycięstwa: absolutną demokrację i socjalizm”⁴. Po wieku tak toczącego się procesu⁵ powstaniu i upadku systemów zniewolenia znaleźliśmy się w sytuacji, w której Św. Jan Paweł II przestrzegał, że „demokracja bez wartości łatwo przemienia się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm”⁶.

Europejska realna demokracja coraz bardziej ogranicza przedsiębiorczość, tym samym pozbawiając jednostkę wolności i odpowiedzialności. Obrazowo

² R. M. Weaver, *Idee mają konsekwencje*, Kraków 1996.

³ Dziennik Ustaw 1988 nr 41, poz. 324, *Ustawa z dnia 23 grudnia 1988 r. o działalności gospodarczej*.

⁴ Lord Acton, *Historia wolności*, Kraków 1995, s. 203.

⁵ „Wiek XX jest okresem zwycięstwa kombinacji dwóch wielkich sił, które wyzwoliły ogrom kinetycznej energii: nacjonalizmu i socjalizmu”, F. Zweig, *Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu*, Lwów-Warszawa 1938, s. 8.

⁶ Jan Paweł II, encyklika *Centesimus annus*, 46.

ujął to Paul Johnson zauważając, że „na Zachodzie państwo przestało być nocnym stróżem i zamienia się w niańkę, która z kolei może się przeobrazić w pielęgniarkę ze szpitala psychiatrycznego”⁷. Państwo realnej demokracji jest dziś „państwem masowego rozdawnictwa”⁸, a korumpowanie wyborców przywilejami finansowanymi nieustannie rosnącym długiem publicznym ma przede wszystkim moralne konsekwencje. Zastępuje system indywidualnej przedsiębiorczości i odpowiedzialności za swój los postawą podsycanego przez polityków konsumpcjonizmu gwarantowanego dochodu⁹. Zaspakajanie go odbywa się kosztem tych, których interesy w demokracji nie są politycznie atrakcyjne dla koalicji redystrybucyjnych¹⁰. Gospodarka stała się ich zakładnikiem, w które przeobraziły się współczesne aparaty partyjne. Zwiększanie ich wpływu na życie państw odbywa się za sprawą interwencjonizmu państwowego, który „stanowi zmianę o kluczowym znaczeniu w historii kapitalizmu. Implikuje on przede wszystkim „polityzację” życia gospodarczego. Zjawiska gospodarcze tracą w pewnym stopniu swój automatyczny, samoregulujący charakter; stają się przedmiotem oddziaływania czynników politycznych”¹¹.

Demokracja pozbawiona jednej z fundamentalnej wartości jaką jest ograniczona interwencja rządu w życie obywateli przypomina jej dekorację lub fasadę¹². Zbiurokratyzowane instytucje demokracji coraz bardziej plebiscytarnej zawłaszczające przestrzeń wolności i przedsiębiorczości starają się zatrzeć w świadomości obywateli dotychczas oczywisty związek przyczynowo-skutkowy, że „przyczyną braków i niedostatku nie jest niesprawiedliwa dystrybucja żywności, lecz niesprawiedliwa dystrybucja... kapitalizmu”¹³. W europejskiej

⁷ P. Johnson, *Odzyskanie wolności*, Poznań, 2002, s. 112.

⁸ Termin A. de Jasaya z roku 1985, za: J.M. Buchanan, R.A. Musgrave, *Finanse publiczne a wybór publiczny*, Warszawa 2005, s. 102.

⁹ Termin autora użyty po raz pierwszy w artykule *Gospodarka niedoboru wolności i wiary*, Polska nr 96. 1-3.12.2023.

¹⁰ Zob. H. de Sotho, *Inny szlak*, Warszawa 1991.

¹¹ A. Z. Kamiński, *Monopol i konkurencja. Socjologiczna analiza instytucji polityczno-gospodarczych*, Warszawa, 1984, s. 148.

¹² Zob. „Nowa Res Publica”, nr 4 z kwietnia 2003 z tematem przewodnim: „Demokracja czy dekoracja”. W tym numerze: A. Sadowski, *Elity versus Polska*.

¹³ R. Limbaugh, *Właściwy porządek rzeczy*, Chicago 1996, s. 19.

demokracji, gdzie wolny rynek zastępują dyrektywy, a chrześcijańskie jej korzenie są okryte wrogim milczeniem, znaleźliśmy się w sytuacji, o której przywołany wcześniej P. Johnson pisze, że „widziałem więcej pracowników socjalnych, nie uświadczylem natomiast policji”¹⁴. Nie można jednak odwrócić porządku rzeczy bez konsekwencji¹⁵. Demokracja w wydaniu europejskim nie może uciec od konfrontacji z ideami i wartościami, póki zapewniają pomyślność milionom ludzi na innych kontynentach.

Bóg i wolność

Mirosław Dzielski podobnie jak jeden z ojców założycieli Państw Zjednoczonych Ameryki Północnej Thomas Jefferson głęboko wierzył w to, że „Bóg, który dał nam życie, dał nam wolność”. Człowiek w momencie, gdy bierze odpowiedzialność za kierowanie własnym losem jest najbardziej podobny do Pana Boga. Przedstawiona przez T. Jeffersona w bardzo uproszczony sposób idea była jedną z najważniejszych, które rozstrzygnęły o skutecznym stworzeniu swojej pomyślności przez Amerykanów. Wolni ekonomicznie i politycznie, przepojeni chrześcijańskimi zasadami stworzyli miejsce na ziemi, którego istnienie przeczy istnieniu biedy. Przez dwa stulecia to biedni, ale przedsiębiorczy ludzie tworzyli federację państw, które nieustannie są celem dla chcących odmienić swój los i wydobyć się z nędzy. Michael Novak chrześcijańską koncepcję wolności streszcza stwierdzeniem, że każda wolna osoba jest „opiekunem swego brata”. Wyraża to powszechnie znany biblijny nakaz nakarmienia głodnego i przyodziania nagiego. Ocena moralna naszego postępowania dokonuje się poprzez sposób, w jaki dbamy o najsłabszych członków społeczności. Nie zmienia to jednak podstawowej zasady, że człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Pana Boga, jest odpowiedzialny za własne życie i kierowanie swymi potrzebami.

¹⁴ P. Johnson, *Odzyskanie wolności*, dz. cyt., s. 126.

¹⁵ Poprzedni system powszechnej redystrybucji przenikliwie rozłożył na czynniki pierwsze Stefan Kisielewski pisząc, że „dyletant umieszczony w centrali gospodarczych decyzji a podejmujących te decyzje w dużym stopniu z motywów taktycznopolitycznych, zaślaniając się częstokroć ideologią, może spowodować kataklizmy i błędy nieobliczalne, rozłożone na długie lata”. S. Kisielewski, *Na czym polega socjalizm*, Poznań 1990, s. 30.

Ład versus rząd

Chrześcijanin stoi w tym miejscu przed pokusą i złudnym wrażeniem, iż rozwiązaniem dla biedy i innych trapiących ludzi problemów mogą być rządy, które ograniczając wolność oferują jednak „gwarantowany dochód” zapewniający „sprawiedliwość społeczną”. Pokusa realizacji huxleyjowskiej utopii jest na tyle silna, że cały czas podejmowane są przez rządy prób ograniczenia wolności na rzecz stworzenia racjonalistycznego systemu organizacji ludzkiego społeczeństwa. Blisko dwa wieki temu Alexis de Tocqueville w „Dawnym ustroju i rewolucji” zdiagnozował tę tendencję, że „skoro rząd zajął miejsce opatrności zrozumiałe jest, że każdy kto znalazł się w potrzebie wzywa jego pomocy”. Killkadziesiąt lat później Jose Ortega y Gasset uznał, że „to właśnie jest największe niebezpieczeństwo, jakie dziś zagraża cywilizacji: upaństwowienie życia, interwencjonizm państwowy, wchłonięcie przez państwo wszelkiej społecznej spontaniczności; wszystko to oznacza unicestwienie historycznej żywiołowości, która w ostatecznym rachunku utrzymuje, żywi i popycha naprzód ludzkie przeznaczenie”¹⁶. Nie bez przyczyny w państwach, które zetatyżowały życie przyjęto rozważania o „końcu historii” jako element legitymizujący ich poczynania. Jej nie tyle koniec, co krach nastąpi kiedy obezwładnione konsumpcjonizmem gwarantowanego dochodu i życia na koszt przyszłych pokoleń społeczeństwa zapomną o wolności i ładzie spontanicznym. Język, prawo, pieniądz i rynek, czyli najdonioślejsze wynalazki ludzkości są efektem ładu spontanicznego. Dziś już oddano język i prawo, aby nie urażać wiary innych. Wiarę coraz jawniej sprowadza się do kategorii dozwolonego hobby. Społeczeństwa wpięrow pozbawiane przedsiębiorczości, odzwyczajane od wolności i zniechęcane do wiary nie będą miały woli bronić się przed wrogami cywilizacjami. Rządzący odrzucili wielowiekowy pogląd, a co za tym idzie wynikające z niego implikacje, że „wolność jest zabezpieczeniem przed kontrolą ze strony innych ludzi. Wymaga samokontroli, a przeto wpływów religijnych i duchowych: wykształcenia, wiedzy i dobrobytu. (...) Wolność staje się w większym stopniu kwestią moralności niż polityki”¹⁷. Również Adam Smith używał mo-

ralnych argumentów dla systemu wolności naturalnej jakim jest kapitalizm¹⁸. To moralność i to moralność chrześcijańska stanowi o sile i trwałości wolności we wszystkich jej przejawach.

Kontrewolucjonista moralnej przedsiębiorczości

Pogląd ten najwyraźniej i najdobitniej sformułował w Polsce Mirosław Dzielski. Stwierdził, że „religijność społeczeństwa jest warunkiem zachowania jego wolności. Nie wyobrażam sobie funkcjonowania państwa prawa, a państwo liberalne jest państwem prawa, bez ludzi, którzy są moralni w głębszym znaczeniu religijnym (...)”¹⁹. Refleksja ta wypływała z oceny funkcjonowania systemu, który był zaprzeczeniem tych wartości. Dogłębny i do dziś radykalnie odmienny od upowszechnionego wśród grup rządzących po roku 1989 osąd dokonany przez M. Dzielskiego dotyka jednego z największych zagrożeń, które ten system sprowadził na nasze państwo. Przez blisko pół wieku system nieustannie niszczył fundamenty egzystencji i moralności polskiego społeczeństwa doprowadzając do zapaści cywilizacyjnej w sferze pracy i przedsiębiorczości. M. Dzielski wiąże pracę i przedsiębiorczość z istnieniem Narodu, który dzięki nim również staje się wspólnotą. Praca jest dla niego równie ważnym czynnikiem określającym Naród jak wspólny język, kultura, religia i państwo. Poprzez pracę bardziej, niż przez jakiegokolwiek inne działanie „istnienie indywidualne włącza się w byt narodowy, umacnia go i samo czerpie z niego siły. Praca stanowi o duchowej i materialnej sile narodu, warunkuje rozwój jego kultury”²⁰.

Jako zwolennik radykalnego liberalizmu ekonomicznego, który uczynił z pracy podstawę odbudowy cywilizacji w naszym państwie opowiadał się za pełną wolnością jednostek w sferze pracy uważając w eseju „Kilka uwag o obyczaju złej pracy w Polsce”, że „żaden człowiek nie ma więc prawa nie tylko zabierać cudzej pracy czy jej owoców, ale nawet dowolnie określać jej wartości”²¹.

¹⁶ J. Ortega y Gasset, *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, Warszawa 1982, s. 143.

¹⁷ Lord Acton, *Historia wolności*, dz. cyt., s. 202.

¹⁸ Smith A., *Teoria uczuć moralnych*, PWN 1989.

¹⁹ M. Dzielski, *Odrodzenie ducha – budowa wolności*, Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe, Wyd. Znak, Kraków, 1995, s. 447.

²⁰ *Tamże*, s. 118.

²¹ *Tamże*.

Dla niego jest oczywistością, że „człowiek, otrzymuje tylko tyle, ile jest jego praca warta na rynku”²². Jeżeli, tak jak w socjalizmie lub w państwach kapitalizmu bananowego źródłem bogactwa nie będzie praca lecz przywileje wybranych grup społecznych to może to być jak stwierdza „źródłem poważnych zakłóceń moralnych i religijnych w sferze pracy”²³. Dla M. Dzielskiego praca i przedsiębiorczość opierały się na wiekowym systemie motywacyjnym powstałym w cywilizacji łańskiejskiej, na który składały się religia, moralność, korzyść własna i przyjemność. Suma tych bodźców dopiero powoduje, że jednostki są w stanie rzetelnie i wydajnie pracować²⁴. Próba ich zastąpienia bodźcami innego rodzaju prowadzi do zniszczenia społeczeństwa, które nie będzie w stanie wytwarzać już bogactwa. Powstanie bogactwa jest koniecznością cywilizacyjną, dlatego „trzeba ze źródła bogactwa narodowego jakim jest wolna praca zepchnąć biurokratyczną górę”²⁵.

Refleksje M. Dzielskiego, jako niewątpliwego i żarliwego chrześcijanina wskazują na filozoficzne i praktyczne konsekwencje wolności, przedsiębiorczości i odpowiedzialności. Dziś ponownie są potrzebne Polsce jak wówczas, kiedy rozpoczęto nie dokończoną do tej pory transformację systemu. M. Dzielskiego do końca nurtowało jaki kapitalizm będzie w Polsce. W przestrzeni publicznej zabrakło przywódców politycznych ufających bardziej jednostkom, niż własnym rządcom. Nie posiadali też kwalifikacji moralnych, aby dokonać wyboru ładu spontanicznego, a nie biurokracji jako organizatora życia. Konsekwencją opowiedzenia się za „biurokratycznym porządkiem” w miejsce utajonego ładu jest dzisiejszy system, który profetycznie opisał M. Dzielski, że „biznesem rządzić będą – oczywiście pośrednio – skorumpowani politycy i urzędnicy strzegący interesów potężnych kapitalistów i ich robotniczej klienteli. Handel zagraniczny będzie koncesjonowany. W cłach roić się będzie od wyjątków. Kraj będzie się rozwijał powoli. Korupcja kapitalistów, polityków i urzędników

prowadzić będzie do olbrzymich różnic w zamożności. (...) System prawny będzie niestabilny i będzie się zmieniał wraz ze zmieniającymi się interesami kolejnych grup rządzących. W polityce rozkwitać będzie demagogia. Politycy opozycyjni, wykorzystując nieświadomość żyjących w ubóstwie mas, skłonni będą do rzucania haseł antykapitalistycznych i populistycznych. (...) Bogactwo będzie znienawidzone dla samego bogactwa, a nie z powodu niesprawiedliwości stanowiącej jego źródło. (...) Słaby, nie posiadający oparcia w szerokich rzeszach rząd będzie ustępował przed żądaniami demagogów, gotów wprowadzić najbardziej nawet szkodliwe dla kraju zmiany, aby utrzymać się przy władzy. (...) Ludzie będą wiedzieć, że łatwiej jest wzbogacić się dzięki przywilejom uzyskanym na drodze korupcji niż dzięki ciężkiej, uporczywej pracy. Kapitalizm będzie krytykowany za zło wynikające z jego braku (...)”²⁶.

M. Dzielski nie przesądzał lecz przestrzegał. Będąc chrześcijaninem i politykiem na pewno starałby się nie dopuścić do ziszczenia się takiej wizji. Wierzył, jako chrześcijański liberał, że kapitalizm da wolność i dobrobyt, że nie jest tylko wolnym rynkiem, ale „systemem konstytuowanym również przez wartości chrześcijańskie”²⁷. Jego przestrogi, że „jeśli raz wtoczmy się w koleinę ulg podatkowych, przywilejów celnych, politycznych metod podziału dochodu narodowego, nasze gospodarstwo narodowe będzie chore, moralnie deprawujące. Znowu na urzędzie zasiadać będzie biurokrata – hamujący przedsiębiorczość pasożyt”²⁸, mogą stanowić inspirację dla wszystkich chrześcijan uczestniczących w polityce, dla których wolność z wynikającymi z niej przedsiębiorczością i odpowiedzialnością są moralnym imperatywem działania.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku.

²² *Tamże*, s. 120.

²³ *Tamże*, s. 121.

²⁴ Przypisywał to teoretyk organizacji Kenneth Arrow stwierdzając, że „Kodeksy etyczne, a nawet sam system rynkowy, można interpretować jako organizacje: w istocie system rynkowy stworzył wyszukane metody łączności i zespołowego podejmowania decyzji”, K.J. Arrow, *Granice organizacji*, Warszawa 1985, s. 25.

²⁵ M. Dzielski, *dz. cyt.*, s. 502.

²⁶ *Tamże*, s. 505.

²⁷ *Tamże*, s. 445.

²⁸ *Tamże*, s. 502.

INSTYTUT HISTORYCZNY NN IM. ANDRZEJA OSTOJA-OWSIANEGO
jest
organizacją pożytku publicznego

**Nasze działania nie byłyby możliwe
bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców**

Aby przekazać

1,5%

wystarczy numer KRS – 0000331920

SZANOWNI PAŃSTWO!

Wśród wielu organizacji społecznych realizujących misję użyteczności publicznej, które zasługują na wsparcie, szczególne miejsce zajmują te, które nie stawiają sobie celów doraźnych, ale inwestują swoją pracę i zaangażowanie wolontariuszy w przyszłość Polski i Polaków. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja-Owsianego, głosząc za Adamem Skwarczyńskim, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębię życia jego organizm...”, upatruje swoją misję w pracy organicznej na rzecz polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty narodowej, przywołując i utrwalając pamięć o zdarzeniach, ludziach i miejscach związanych z historią Polski.

Jest nas już wielu, którzy uważają, że warto bezinteresownie angażować się na rzecz spraw wspólnych, oddawać swój czas i swoją pracę. Dziś chcemy zaproponować Państwu włączenie się w sukces naszego stowarzyszenia przez udział w akcji 1,5% dla Instytutu. Choć nie wymaga to wielkiego wysiłku, to ma to dla nas ogromne znaczenie, potwierdzając celowość prowadzonej przez nas działalności.

**Środki, które wpłyną do Instytutu w ramach akcji 1,5% zostaną w całości
przeznaczone na działalność wydawniczą i edukacyjną!**

REGON – 100794445
NIP – 7252015134

Konto:
PKO Bank Polski

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251